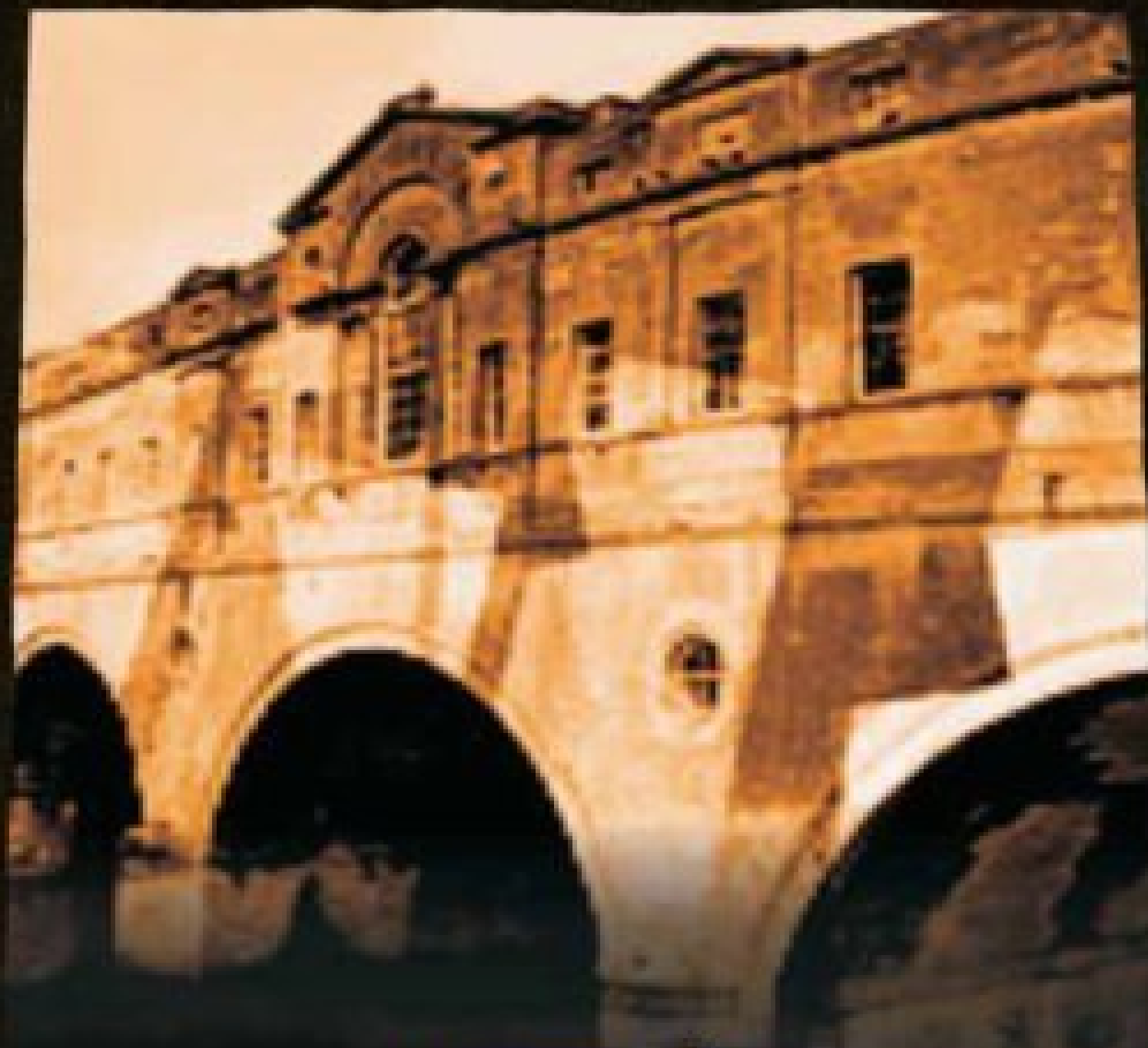


KRYMINAL Z KLASĄ



POWRÓT
DETEKTYWA DIAMONDA

PETER LOVESEY

POWRÓT DETEKTYWA DIAMONDA

KRYMINAŁY Z KLASĄ

To elegancka proza ubrana w wyrafinowaną kryminalną intrygę.

To prestiż i przyjemność czytania. To powieści uhonorowane wszystkimi najwyższymi

światowymi nagrodami gatunku. To wyjątkowa seria książek, które łączą perfekcyjny kryminał ze znakomitą, a często wybitną literaturą. To seria, jakiej nie było.

Chris Ewan

DOBREGO ZŁODZIEJA PRZEWODNIK PO AMSTERDAMIE

DOBREGO ZŁODZIEJA PRZEWODNIK PO PARYŻU

Steve Hamilton

ZIMNY DZIEŃ W RAJU ZIMA PEŁNI KSIEŻYCA

Laura Lippman

TO, CO UKRYTE WZGÓRZE RZEŹNIKA OSTATNIE MIEJSCE

Peter Lovesey

DETEKTYW DIAMOND I ŚMIERĆ W JEZIORZE SAMOTNOŚĆ

DETEKTYWA DIAMONDA

Deon Meyer

MARTWI ZA ŻYCIA

Ruth Newman

BAL ABSOLWENTÓW

Maj Sjówall, Per Wahlóó

ROSEANNA w przygotowaniu

Ann Cleeves

CZERŃ KRUKA

POWRÓT DETEKTYWA DIAMONDA

PETER LOVESEY

Przekład

RADOSŁAW JANUSZEWSKI

AMBER

Redakcja stylistyczna Anna Tłuchowska

Korekta

Jolanta Kucharska Halina Lisińska

Projekt graficzny serii Małgorzata Foniok

Projekt graficzny okładki Małgorzata Foniok Zdjęcie na okładce Wydawnictwo Amber

Skład

Wydawnictwo Amber Jacek Grzechulski

Druk

Drukarnia Naukowo-Techniczna

Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA, Warszawa, ul. Mińska 65

Tytuł oryginału The Summons

Copyright © 1995 by Peter Lovesey. All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2009 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o. ISBN 978-83-241-3336-9

Warszawa 2009. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o. 00-060 Warszawa, ul. Królewska 27 tel.

620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Rozdział 1

MÓWI SIĘ, ŻE KIEDY JEDNE DRZWI SIĘ ZAMYKAJĄ, INNE SIĘ

OTWIERAJĄ.

W więzieniu Albany, kiedy jedne drzwi się otwierają, inne się zamykają.

Frustrujący problem.

Jeśli sędzia mówi skazanemu, że w jego przypadku dożywocie na prawdę oznacza dożywocie, i jeśli raz za razem odmawia mu się prawa do apelacji, w głowie takiego faceta mogą się zrodzić różne pomysły na skrócenie wyroku. Johna Mountjoya zaklasyfikowano do kategorii A -

„stanowi zagrożenie dla społeczeństwa, organów ścigania i bezpieczeństwa państwa”. A on myślał o tym, żeby się stąd wynieść.

Drzwi działają według starej zasady: kiedy przechodzi się przez jedne, drugie zagradzają drogę. Zanim otworzą się te pierwsze, te z tyłu muszą zostać zamknięte. Tysiąc lat temu budowano tak bramy zamków. Ale w epoce elektroniki mechanizm jest automatyczny.

Nowo przybyłym do Albany mówi się, że tu nie ma maksymalnych środków bezpieczeństwa. Tu są ostateczne środki bezpieczeństwa.

Wszystkie bramy i drzwi są połączone z komputerem znajdującym się w pokoju nadzoru, napakowanym ekranami monitorów. Wystarczy podejść do jakichkolwiek drzwi w Albany, a od razu widać cię na ekranie. Pokój nadzoru to prawdziwe serce więzienia. Poza monitorami są tu główna konsola lokalizacyjna, system radiokomunikacyjny, generator i, oczywiście, zespół dyżurnych strażników. Jak na ironię - i ku nieskończonemu rozbawieniu osadzonych - klawisze są tu zapuszkowani znacznie dokładniej niż ktokolwiek w więzieniu. Wokół stałowe drzwi, psy, reflektory i połączone punkty zapory bezpieczeństwa.

Gdyby ktokolwiek wdarł się do pokoju nadzoru, rozegrałyby się sceny jak w filmie o Bondzie.

Mountjoy został osadzony w korytarzu D, gdzie siedziała większość skazanych na dożywocie. Kiedy opuszczali korytarz D, żeby pójść do warsztatów, prowadzono ich przez podwójne drzwi, otwierane dzięki komputerowi, do korytarza centralnego, tam gdzie nigdy nie spuszczało ich z oka klawisze ustawieni w równym szeregu.

Korytarz D miał szklane drzwi. Śmiećcie się, jeśli chcecie, ale osadzonym nie jest do śmiechu. To szkło antywłamaniowe, z wtopioną metalową siatką. Takie drzwi nie ustąpią, chyba że naciśnie się przełącznik w pokoju nadzoru. Między zamknięciem jednych a otwarciem drugich mija siedem sekund. Każdy, kto chce wejść albo (co bardziej prawdopodobne) wyjść z korytarza D, musi stać w hermetycznie zamkniętej przestrzeni i poddać się obserwacji. Jeśli zespół kontrolny ma choćby najmniejsze wątpliwości, tych siedem sekund może trwać nieskończenie długo.

Obserwacja wejść i wyjść zajęła Johnowi Mountjoyowi tydzień, zanim uznał, że nie ma szans przechrzyć elektroniki. Człowieka można oszukać, ale mikroczipa nie. Dowcip polega na tym, że gdyby nawet padło zasilanie, jedne z tych drzwi i tak pozostałyby zamknięte.

Żadna inna droga ucieczki nie wydawała się kusząca. Mury były grube na pół metra, w oknach pręty

ze stali manganowej, a każdy pałapet i mur na zewnątrz wieńczyły druty kolczaste. Wykopanie tunelu w przypadku Mountjoya nie wchodziło w grę ze względu na zasadę, że skazani na dożywocie muszą być osadzeni tak, żeby z góry, z dołu i z każdej strony były inne cele. Wszędzie dookoła są kamery nadzoru. Gdyby nawet zdołał

wy dostać się poza główny blok, nadal pozostałyby mu do pokonania patrole z psami, alarmy geofoniczne, pięciometrowe płoty z siatki i grube mury oświetlone reflektorami na wysokich masztach. Albany zbudowano, żeby zastąpić Dartmoor. Nazywają je brytyjskim Alcatraz, bo znajduje się na wyspie Wight. Jeśli więc nawet komuś uda się pokonać mur, będzie musiał jeszcze wykombinować, co dalej.

Pierwszy krok ucieczki Mountjoya nie był zaplanowany. W korytarzu za wnęką (gdzie więźniowie opróżniali kible) znalazł guzik, srebrny guzik z wytłoczonymi emblematami korony, guzik z munduru klawisza. Nigdy nie wiadomo, kiedy coś się może przydać, trzymania więc guzik schowany w celi przez półtora roku, zanim zdobył kolejny.

Okazja nadarzyła się pewnego letniego wieczoru, kiedy klawisze eskortowali go do karceru, jednej z cel dla więźniów sprawiających kłopoty. Wdał się w bójkę, ustalał poglądy, jak to nazywa stara recydywa, bo jakiś kretyn podwędził mu list od matki. Mountjoyowi to się nie spodobało. Szarpał się, kiedy klawisze go odciągali i wrzucali do celi. Był

posiniaczony i pokrwawiony, ale i tak wyszedł na swoje. W zaciśniętej pięści trzymał srebrne trofeum urwane z czarnej kurtki mundurowej.

Kiedy już wróci do celi, dołoży go do pierwszego guzika w skrytce w grzbiecie słownika.

Strażnicy nie znosili wyglądać niechlujnie - najmniejsza wada w więzieniu jest wielokrotnie wyolbrzymiana - i bali się okazywać słabość tak jak ludzie, których pilnowali. Więzienna tradycja mówi, że klawisze kapują na siebie bardziej niż więźniowie. Klawisz nie przyzna się, że zgubił guzik, bo zaczęłyby się poszukiwania, o których usłyszełby wszyscy. Zachowa to dla siebie i każe żonie przyszyć drugi. Więziennie obyczaje nie zawsze działają na korzyść systemu.

A Mountjoy dostrzegł w tym szansę dla siebie. Zaczął energicznie wzbogacać kolekcję guzików. Kiedy miesiąc czy dwa później pracował

w szwalni, spotkał nowego więźnia, osiemnastoletniego chłopaka przeniesionego z Parkhurst, który za wszelką cenę chciał zdobyć tytoń.

Ubili interes. W więzieniu wszystko może być przedmiotem wymiany.

Mountjoy powiedział dzieciakowi, że guzik z kieszonki na piersi to papierosy dla niego i zgodnie z prawdą poinformował go, że jeśli wda się w przepychankę z klawiszami, za pierwszym razem potraktują go łagodnie. W ciągu miesiąca miał guzik, a chłopak pięć skrętów, zapalną i obietnicę, że zostanie wykastrowany, gdyby sypnął.

PEWNEGO SŁONECZNEGO POPOŁUDNIA, długi czas potem, Mountjoyowi trafiła się

niewyobrażalna szansa. Kolejna wymiana poglądów skończyła się bójką na pięści i znowu trafił do karceru, zgodnie z paragrafem 48. Jeśli w korytarzu Y, jak nazwano ten oddział, pozwalało na spacer, to musiały się one odbywać w samotności.

Dzielnice podzielony jest blokami z termalitu na serię wąskich spacerników. Klawisz nadzorujący Mountjoya właśnie powiesił mundur na oparciu plastikowego krzesła, kiedy nagle wezwano go do jakiejś awantury. W ciągu tych kilku sekund, kiedy nikt, poza kamerą, go nie pilnował,

Mountjoy skompletował zestaw guzików. Lata spędzone za kratami nauczyły go, jak unikać obiektywów kamery.

W więziennym świątku niektóre ucieczki przeszły do legendy. O George'u Blake'u, szpiegu, który urwał się z Wormwood Scrubs w 1966, do tej pory opowiada się z szacunkiem, tak jak o wywiezieniu dwóch ludzi helikopterem z dziedzińca Gartree w 1987. O ucieczce Johna McVicara z Durham nakręcono film. John Mountjoy miał zamiar zasłużyć sobie na miejsce w tej sali tradycji. Mówi się, że to był zdumiewający traf. Nic z tych rzeczy. To trzeźwa kalkulacja, sprytna odzywka gracza w nieskończonej partii pokera.

Jak byście to zaplanowali, zakładając, że macie komplet guzików?

Mountjoy odrzucił rzecz oczywistą. Nie uszył sobie munduru funkcjonariusza służby więziennej z nabożną nadzieją, że przemknie się przez drzwi. To byłoby za duże ryzyko. Klawisze nie słyną z wysokiego IQ, ale potrafią rozpoznać się nawzajem i zauważyć niedociągnięcia w mundurze wykonanym domowym sposobem.

Zaczął studiować sztukę. Innymi słowy, miał powód, żeby pracować z ołówkiem i papierem, rysować abstrakcyjne kształty i cieniować je. Nic ambitnego. Jak zauważył jego instruktor, jego styl był bliższy stylowi Mondriana niż Picassa. Po prostu czarne i białe kwadraty. Małe, jednakowej wielkości. Instruktor podejrzewał, że Mountjoy jest bardziej zainteresowany stworzeniem miniaturowej szachownicy niż abstrakcyjnego rysunku. Stało się to ich tradycyjnym żarcikiem.

Pracował również z innymi materiałami artystycznymi. Po ciachu eksperymentował z zastosowaniem farb jako barwników. Chciał uzyskać mieszankę, która zabarwiłaby koszulkę na czarno. Zamierzał osiągnąć czystą czerń. Była to benedyktyńska praca, prowadząca przez serię szarości. Był cierpliwy. Czasu miał w nadmiarze, a także niezły zbiór szmat, zdjętych z ogrodzenia wokół dziedzińca, na które z okien cel regularnie rzucono śmieci. Następnego dnia zbierały je ekipy sprzątaczy.

Dopiero kiedy zadowolili go czerń barwionych szmat, zaczął moczyć w farbie więzienne koszulki. Nocami - używając igieł z warsztatu krawieckiego i noża zrobionego z rączki szczotki do zębów, naostrzonej jak brzytwa o ścianę celi - rozpoczął żmudny proces cięcia i zszywania możliwego do przyjęcia munduru. Munduru policjanta.

Z dwóch względów czerń nadawała się bardziej. Po pierwsze, łatwiej ją uzyskać za pomocą barwników niż granat mundurów strażników. Po drugie, ściegi i szwy są mniej widoczne, tym bardziej że błyszczące guziki przyciągają wzrok.

Czapka policyjna, o dziwo, była łatwiejsza do spreparowania niż mundur, ale trudniej było ją ukryć, a więc zostawił ją na koniec. Przygotowywał

materiały, ale ich nie łączył. Paski papieru z szachownicą, wzmocnione kartonem, miały uformować otok. Płaskie denko miało być z barwionej wełny naciągniętej na kartonowy dysk, a daszek miał zostać wycięty z lśniącego czarnego wieczka pudła z papierem maszynowym

„Conquerer”, które wyciągnął z kosza na śmieci zastępcy dyrektora więzienia.

Pozostała odznaka na czapkę, srebrne guziki i cyfry na epolety. Jako materiału wyjściowego użył srebrnej folii z mrożonek, którą wyrzucano w kuchni. Powstała z tego odznaka była małym majstersztykiem fałszerstwa, dokładnie wymodelowanym na kształt insygniów policji z Hampshire, skopiowanych z kartki do notatek, także znalezionej w koszu na śmieci zastępcy dyrektora więzienia.

W porównaniu z tym koszula i krawat były dziecinną zabawą.

Oczywiście należało dobrze ukryć zestaw uciezkowy. Przeszukania cel odbywały się zazwyczaj wieczorem, w czasie wolnym, dlatego Mountjoy zabierał wszystko, co mogłoby wzbudzić podejrzenia, i nościł to pod więziennym uniformem. Klawisze tolerowali niektóre rzeczy. Nie podaliby człowieka do raportu za to, że miał kawałki materiału albo igłę z nitką. Bardziej interesowały ich narkotyki.

Wszystko było więc zorganizowane poza datą ucieczki i Mountjoy ćwiczył się w cierpliwości. Ucieczki nie wolno przyspieszać. Czas podyktują czynniki zewnętrzne. Minęło osiem miesięcy i nic go nie zachęciło. W sumie trzy lata i osiem miesięcy, odkąd rozpoczął swój przymusowy pobyt w Albany. Potem w korytarzu D umieszczono nowego więźnia. Manny Stokesay był mordercą, co nie było niczym nadzwyczajnym; mówiono, że kantem dłoni złamał facetowi kręgosłup, a to z kolei było nadzwyczajne. Robiło wrażenie. Stokesay był kulturystą, miał metr dziewięćdziesiąt, ważył ponad sto kilogramów. I miał złe usposobienie.

W ciągu tygodnia od osadzenia Stokesaya Mountjoy przygotował się do opuszczenia więzienia. Widywał wcześniej, jak klawisze skutecznie zmiękczały wielkich, niebezpiecznych więźniów. Pomyślał jednak, że nie ma mowy, żeby tego podporządkowali sobie bez walki. Skończy się przelewem krwi, jeśli nie śmiercią. Wielka awantura w korytarzu D miała istotne znaczenie dla jego planu, a szanse na to, że się zdarzy, wzrastały z dnia na dzień. Skończył zszywać czarne spodnie. Złożył czapkę policyjną.

Przeszukanie celi załatwiłoby go na amen.

Ale był pewien, że mu się uda. Nowy wprowadził napięcie wśród więźniów, dawne układy zostały zagrożone, tworzone nowe sojusze. W

więzieniu nie istnieją związki przyjaźni, są tylko układy oparte na strachu.

Niektórzy starzy wyjadacze uznali, że Stokesay jest zbyt niebezpieczny, by wchodzić mu w drogę, i dali do zrozumienia, że z nim trzymają. Inni, którzy egzystowali dzięki sprytowi, ustawili się na

pożycjach dysponentów siły. Tak wielka niepewność wstrząsnęła fundamentami więziennej hierarchii.

Mountjoy był samotnikiem. Zawsze opierał się próbom wciągnięcia go do tej czy innej grupy. Nikomu nie wchodził w drogę i spokojnie zajmował się swoimi obowiązkami. Przez trzy lata, osiem miesięcy i dwadzieścia trzy dni udało mu się uniknąć kontaktu fizycznego zarówno z osadzonymi, jak i z klawiszami. Nie licząc sytuacji, kiedy dochodziło do bójek.

Seria małych wybuchów utorowała drogę wielkiej eksplozji. W Albany z toalet można korzystać trzy razy dziennie, po raz ostatni 0

wpół do dziewiątej wieczór, tuż przed powrotem do celi. Mountjoy nigdy się nie dowiedział, jakie słowa padły tego wieczoru, bo już zdążył

się umyć i wrócić do celi, ale z krzyków, które niosły się po całym piętrze, wynikało, że Stokesay uderzył człowieka o nazwisku Harragin. Stało się to we wnęce, w której mieszczą się toalety, zlewy i kosze na śmieci.

Harragin fizycznie nie dorównywał Stokesayowi, ale był twardym gościem, byłym bokserem z Jamajki, który miał na koncie wiele aktów przemocy. Miał też silnych popleczników. Dwóch jego pomagierów było przy tym i pospieszyło mu z pomocą. Ogromny nowicjusz rzucił jednym z nich o umywalkę tak silnie, że roztrzaskał mu czaszkę. Mountjoy ze swojej celi słyszał trzask łamanej kości. Głos z karaibskim akcentem ryknął.

- Załatwiłeś go, ty draniu!

Mountjoy wyszedł z celi. Ktoś we wnęce podniósł kosz na śmieci 1

cisnął go w tłum. Dwaj klawisze, którzy mieli nadzorować łazienkę, zostali wypchnięci przez ludzi Harragina. Co najmniej kilkunastu więźniów wybiegło z celi, żeby się włączyć; odmowa przyjęcia z pomocą mogłaby zostać później ukarana.

Powiedział sobie w duchu, że to właśnie to.

Sygnal do rozpoczęcia gry.

Włączono alarm, straszny dźwięk, który mroził każdego, kto go usłyszał.

Przybiegło więcej strażników, ale drogę przegrodziła im barykada z koszów na śmieci wciśniętych między ściany. Chłopcy we wnęce chcieli ustalić poglądy bez cudzej pomocy. Mountjoy, który poznał niektóre zasady, wiedział, że więźniowie po krwawej rozprawie połączą siły, żeby zatrzymać klawiszy. Zajście miało wszelkie cechy buntu.

Mountjoyowi nie zostało wiele czasu. Klawisze zapuszczają w celi każdego, kto nie znajdował się za barykadą. Zbiegną się z wszystkich oddziałów więzienia. Jeśli to będzie konieczne, wezwą posiłki z sąsiedniego więzienia Parkhurst.

Cofnął się do celi, kiedy włączył się alarm, wyjął części munduru policyjnego z rozmaitych schowków i wepchnął do więziennej miednicy.

Zamknął za sobą drzwi. Nie miał powrotu. Ledwie jednak ruszył

korytarzem, klawisz z piętra niżej krzyknął do niego.

-

Dokąd leziesz, do cholery?

-

Wracam do celi.

Dziękował Bogu, że strażnik nie pracował zwykle w korytarzu D. Nie widział, skąd Mountjoy przyszedł ani którą celę zajmował.

-

No to wracaj szybko - krzyknął.

-

Tak jest.

Oczywiście nie zrobił tego. Poszedł w koniec korytarza najbardziej oddalony od zamieszek. Ostatnie drzwi, drzwi pokoju klawiszy, były otwarte. Nikogo nie mogło w nim być, skoro na piętrze zaczął się bunt.

Spojrzał przez ramię, czy ktoś go nie widzi, i wszedł do pokoju, który wybrał sobie na przebieralnię. Na stole stały dwa kubki z gorącą jeszcze kawą, na krześle leżał magazyn ze zdjęciami dziewczyn. Rząd szafek.

Tablica z więziennymi instrukcjami. Przenośny telewizor w kącie.

Nadawali właśnie powtórkę Inspektora Morse'a.

To będzie cholernie ciężka próba, pomyślał. Nie ośmielę się wyjść, dopóki do budynku nie zostanie wpuszczona policja - a tak musi się stać, skoro, jak można się domyślać, zginął człowiek. Poczekam co najmniej dwadzieścia minut. Miejmy nadzieję, że ci bandyci we wnęce tyle wytrzymają, pomyślał. To najtrudniejsze chwile podczas całej odsiadki.

Nie mogę się jeszcze przebrać.

Mógł liczyć na to, że dopóki trwa bójka, dopóty będzie w pokoju sam.

Bunty zdarzają się w naszych więzieniach tak często, że wypracowano standardowe procedury ich tłumienia. Przede wszystkim nie wolno dopuścić do wzięcia funkcjonariuszy więziennictwa jako zakładników, w dzisiejszych czasach nie ma miejsca na bohater-skie czyny. Strażnicy nie szarżą bezmyślnie na barykadę. Zamykają wszystkie cele, do których mogą bezpiecznie dotrzeć, i składają mel-dunek dowodzącemu akcją.

Niektórzy przebierają się w rynsztunek bojowy atandy: kaski z przyłbicami, brązowe uniformy, plastikowe tarcze, biorą pałki i zapas gazu łzawiącego. Prawdopodobnie tak jest właśnie teraz, kalkulował Mountjoy.

W kieszeni miał fałszywe wąsy zrobione z własnych włosów przy-mocowanych do taśmy klejącej, którą zdjął z koperty listu.

Wwiezie-niu człowiek się uczy wykorzystywać wszystko. Zeby taśma nie straciła przylepności, nie próbował przymocować ich ani razu. Gdyby nie trzymały się dobrze, wyrzuciłby je, chociaż szkoda, bo były bardzo ładnie wykonane: elegancki, ciemny wąsik, tak lubiany przez krawęż-ników.

Niestety, z jednej strony nie chciały się przykleić. Zaklął i wło-żył wąsy z powrotem do kieszeni.

Usłyszał rytmiczne walenie. W przyływie paniki pomyślał, że to atanda zaczęła bić w tarcze znacznie wcześniej, niż zakładał. Potem opanował się i uznał, że hałas dochodzi z drugiego końca piętra. To musiała być zgraja z wnętrza. Pewnie już zakończyli bijatykę i teraz zjed-noczeni przeciwko władzy robili, co można, żeby dodać sobie animu-szu. Wyrwali rury kanalizacyjne, uzbroili się też w kije od mopów.

Znów spróbował przymocować wąsy. Nie, to beznadziejne, zdra-dziłyby go. Dobrze, że przynajmniej udało mu się zgolić bokobro-dy. Wszystko, co zmieniało jego wygląd, liczyło się na plus. Musiał to zrobić za pomocą wyostrzonej szczoteczki do zębów. Miał wrażenie, że więcej włosów wrywa niż ścina, ale wysiłek się opłacił i zajął mu trochę czasu.

Po kwadransie spędzonym w pokoju klawiszów włożył nowe ubranie.

Było skrojone tak, żeby pasowało na jego koszulę i dżinsy. Nie miało podszewki. Wkładał je ostrożnie, bojąc się, że może roz-pruć jakiś szew.

Czuł się w nim głupio. Przypomniawsobie, że przede wszystkim powinien wyglądać przekonująco na obrazie monitora nadzoru. Musi być pewien siebie, inaczej wpadnie. W końcu włożył czapkę. Dobrze pasowała i leżała jak trzeba. W Albany nikt jeszcze nie widział go w czapce. Stał wyprostowany, ramiona ściągnięte do tyłu. Posterunkowy numer 121.

Minęło kolejnych dziesięć minut. Dziesięć pustych, przygnębia-jących minut. Żałował, że nie może uciszyć bębnienia zbuntowa-nych zbirów.

Nie można było się nawet domyślić, co robią klawisze. Nie śmiał wyjść na zewnątrz, póki nie upewni się, że policja jest już w środku. Uchylił o centymetr drzwi, nasłuchiwał.

Ktoś mówił przez megafon, ale więźniowie nie przerywali waleńnia, żeby go posłuchać.

Mountjoy starał się usłyszeć, o czym jest mowa.

-

...niezbędna jest pomoc medyczna. Jeśli nie dopuścicie do niego lekarza, wszystkich was spotkają poważne konsekwencje.

Takie gadanie nie zrobi wrażenia na zgrai skazańców odsiadujących dożywocie.

Popchnął drzwi i otworzył je jeszcze trochę, czuł zimny dotyk kośzulki.

Zobaczył atandę w wyposażeniu bojowym, jak idzie korytarem w stronę barykady. Zamknął drzwi. Nie spodziewał się ich tak szybko.

Prawdopodobnie jeszcze nie wkroczą do akcji, oceniają tylko sytuację.

Jakiś metalowy przedmiot zabrzączał na korytarzu. Chyba więźniowie zauważyli atandę. Rozległy się chóralne przekleństwa i dźwięk kolejnych pocisków, uderzających w metalowe barierki.

Chciał wiedzieć, co się dzieje na dole. Od rozpoczęcia incydentu musiało minąć dwadzieścia pięć minut - chyba to dość czasu? Trzeba wykonać jakiś ruch i to już, bo piętro zaroi się od klawiszy. Najbliższa klatka schodowa znajdowała się o cztery kroki od drzwi. Liczył na to, że dostanie się na dół, nie zwracając na siebie uwagi.

Spojrzał jeszcze raz. Klawisze najwyraźniej się wycofali. Zastępca dyrektora więzienia - to jego głos słyszał Mountjoy - wygłaszał kolejne ostrzeżenia.

— ...by sądzić, że ktoś został poważnie zraniony, a prawdopodobnie zabity. Nie mam wyboru, muszę szybko zakończyć te rozruchy. Do personelu więzienia dołączyła pewna liczba funkcjonariuszy policji...

Na to właśnie czekał Mountjoy. Rozejrzał się jeszcze raz i wyszedł.

Błyskawicznie podszedł do klatki schodowej. Były tam dwa ciągi schodów połączone w połowie drogi małym półpięciem. Osiem stopni w dół, zwrot i osiem stopni na parter. Potem będzie czas na modlitwę.

Pierwszy ciąg schodów był częściowo osłonięty. Drugi nie dawał ochrony przed wzrokiem. Przypomniawszy sobie scenę z filmu Ostatni cesarz, chłopca wychodzącego przed pałac cesarski, żeby stanąć wobec masy ludzkiej. Tak będę się czuł za chwilę, pomyślał.

W miarę jak schodził, opuszczała go pewność siebie. Co ja robię, na litość boską, ubrany w przefarbowane szmaty i tekturę, przebrany za policjanta?

Jak w ogóle mogłem pomyśleć, że to się uda?

Doszedł do półpiętra i skręcił. Idź przed siebie, powiedział sobie w duchu.

Bez względu na to, kogo spotkasz, idź przed siebie.

Na dole zobaczył kilkanaście ciemnogrnatowych mundurów. Na szczęście większość strażników nie patrzyła w jego stronę. W centrum zainteresowania znajdowało się piętro z barykadą. Wiązka światła z reflektora przesuwiała się po kratkach. Mountjoy ruszył w dół. Po lewej, kątem oka, zobaczył, jak ktoś w garniturze wydaje polecenia kolejnej atandzie. Patrzył przed siebie, próbując uniknąć kontaktu wzrokowego z kimkolwiek, w każdej chwili spodziewał się, że ktoś go zaczepi.

Dotarł do parteru w nadziei, że uda mu się wmieszać w tłum. Na dole wyłączono część lamp, co powinno sprzyjać jego planom. Oceniał, że do pierwszych drzwi zabezpieczających ma piętnaście kroków, ale tłok był

zbyt wielki, żeby można było je przejść w linii prostej. Pole minowe.

Boże, pomyślał, a jeśli stanę twarzą w twarz z klawiszem, który mnie zna?

Plecy prosto, pomyślał. Idź jak glina. Powiniennem teraz wyjąć radiotelefon, przyłożyć go do ucha i zacząć mówić, gdyby ktoś do mnie podszedł. Cholera, trochę za późno o tym pomyślałem.

Zdrętwiał ze strachu. Widział wszystko w zwolnionym tempie, jakby był

tylko obserwatorem. Pomyślał, że za chwilę wpadnie we wrzaskliwą panikę. Chociaż na dole roiło się od klawiszy, nie zobaczył jeszcze ani jednego gliniarza. Nie chciał się z nimi spotkać, ale dobrze byłoby wiedzieć, że tu są.

Prześlizgiwał się wśród strażników, kiedy odezwał się megafon. Aż podskoczył, o mały włos nie spadła mu czapka.

-

Cofnijcie się pod schody - oznajmił zastępca dyrektora. -

Po-trzebujemy więcej miejsca.

Nie mówił tylko do Mountjoya, uwaga wszystkich odwróciła się od wydarzeń na piętrze. Nastąpiło zamieszanie. Ktoś obok Mountjoya zapytał:

-

Zabili tam kogoś na górze?

-

Jeszcze nie wiadomo - odmruknął, próbując iść pod prąd, choć spychano go z kursu. Zaczynał się czuć, jakby tonął. Nie znosił bliskości ludzi, a ci na domiar złego byli klawiszami. Stał z nimi ramię

w ramię, nie mógł się poruszyć.

Nie był w stanie niczego zrobić, mógł tylko drżeć ze strachu.

Ktoś za jego plecami powiedział.

-

Znowu będą wchodzić.

Okazało się, że atanda zajęła stanowiska na tej klatce schodowej, którą Mountjoy dopiero co zszedł na dół. Wszyscy chcieli popatrzeć na oddział

szturmowy i ścisk trochę się zmniejszył. Mountjoyowi udało się przepchnąć na prawo. Nadal miał przed sobą więcej niż połowę drogi do drzwi. Tak bardzo zależało mu, żeby tam się dostać, że wpadł na kogoś i mało go nie przewrócił.

Klawisz odwrócił się i spojrzał na Mountjoya. To był Grindley, jeden ze strażników, którego widywał codziennie. Nastąpił moment paralizującego strachu, Grindley zmrużył oczy, wydawało się, że go rozpoznaje.

Mountjoy gotów był się poddać. Potem Grindley dwa razy zamrugał.

Widać było, że nie ma pewności. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi, a zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że musi się mylić. W końcu powiedział:

-

Przepraszam, kolego.

Mountjoy nie ośmielił się odezwać. Skinął głową i poszedł dalej.

Teraz był już bardzo blisko pierwszych drzwi. Boże, dopomóż, pomyślał -

obok drzwi stała grupka policjantów.

Nie mógł się zatrzymać. Był już w kadrze kamery, musiał odegrać rolę, której się po nim spodziewano.

Dwóch policjantów odwróciło się w jego stronę. Wyglądali na zaśkoczonych. Nic dziwnego.

Spodziewali się, że coś powie, jakoś wyjaśni swoją obecność. Poowiedział

z całą wiarygodnością, jaką był w stanie z siebie wydobyć.

-

Na górze zginął człowiek. Dyrektor chce, żebyśmy byli w gotowości. - Potem podszedł do drzwi i

podniósł rękę, dając znak strażnikowi w pokoju nadzoru.

Czekał i się trząsał.

-

Jesteś z Cowes, kolego? - zapytał jeden z policjantów.

-

Z Shanklin - odparł i dodał: - Oddelegowany.

-

Tak myślałem, że cię nie poznaję. Jak tu zdążyłeś przed nami?

Dopiero co przyjechaliśmy.

-

Dostałem cynk - odparł Mountjoy i wtedy Bogu dzięki pierwsze drzwi się otworzyły. Wszedł do środka.

Chwila, która sprawiała, że przez całe lata nie mógł spać, rozczarowała go. Musiał stać przez siedem sekund, kiedy zespół w pomieszczeniu nadzoru poddawał go kontroli. Ale to miejsce było jak azyl po ciężkiej próbie, którą dopiero co przeszedł.

Nic się nie stało.

Czekał.

Liczył w myślach, gapiąc się przed siebie.

Minęło siedem sekund. Musiało minąć, pomyślał. Długo mi się przygląda.

Potem otworzyły się drugie drzwi, poczuł na twarzy powiew zimnego powietrza z centralnego korytarza. Zrobił krok do przodu.

Teraz, gdyby go podejrzewali, mogli go już obserwować przez cały czas.

Szedł w stronę wyjścia energicznym krokiem, głowę trzymał wysoko. Po prawej miał korytarz C, po lewej szpital. Znał tę trasę, bo chodził tędy na zajęcia i do biblioteki - zawsze pod eskortą, rzecz jasna.

Korytarz B. Drzwi otworzyły się i w chwili, kiedy tam dochodził, pojawiła się grupa klawiszy. Biegli w stronę Mountjoya, przez straszną chwilę myślał, że dostali polecenie, żeby go zatrzymać. Ale przemknęli obok niego, zdążając ku korytarzowi, z którego wyszedł. Poszedł dalej i skręcił

za róg.

Główne wyjście z budynku więzienia to potrójny system przesuwanych drzwi. Oświetlenie jest tutaj jaskrawe i Mountjoy był pewien, że każdy szew na szmatach, które nosił, musi być widoczny na monitorach. Trzeba było nacisnąć dzwonek, uważał jednak, że zupełnie niepotrzebnie.

Stał i czekał, próbując osiągnąć kompromis między pewną siebie swobodą a wyniosłą postawą typowego, angielskiego policjanta. W głośniku rozległ

się szmer i jakiś głos powiedział:

-

Już pan wychodzi, panie władzo?

Dał odpowiedź, którą przygotował sobie na wypadek, gdyby kogoś spotkał.

-

Wsparcie jeszcze nie przyjechało? Mam złożyć raport. Odsunęły się pierwsze drzwi.

-

Dziękuję. Zrobił krok naprzód. Czekał.

Drugie drzwi.

I trzecie.

W realnym świecie o tej porze było ciemno, ale reflektory na wieżach zamieniły więzienny dziedziniec w lśniącą pustynię. Spod jego stóp umykało co najmniej sześć cieni. Przed głównym wejściem stały dwa radiowozy oznaczone czerwonymi paskami. Wiedząc, że nadzorują go kamery, zatrzymał się przy tym stojącym bliżej i nachylił do okna, jakby nadawał meldunek przez radiostację. Potem ruszył przez dziedziniec w stronę wartowni.

Zaszczekał pies, jego opiekun krzyknął coś, żeby wyprowadzić zwierzę z błędnego przekonania, że John Mountjoy to uciekinier. Po tym szczekania było więcej. Na obrzeżu więzienia, przed pierwszym z dwóch piętnastometrowych ogrodzeń po wewnętrznej stronie muru, były co najmniej dwa patrole z psami. Musiał przedostać się podstępem jeszcze przez cztery bramy.

Ale teraz wierzył, że mu się uda.

Rozdział 2

ZAPROPONOWANO MI DZIŚ PRACĘ.

Stephanie Diamond opuściła wieczorną gazetę na tyle, żeby spośnad jej brzegu sprawdzić, czy mąż

mówi poważnie.

-

Porządna?

-

To kwestia dyskusyjna.

Na kuchennym stole między nimi stały opróżniona w trzech czwartych butelka taniego czerwonego wina i talerz z zapiekanką. Butelka była już zatkana korkiem, żeby wino nie skwaśniało do następnego dnia.

Stephanie ograniczyła im spożycie wina do jednego kieliszka, nie tyle ze względów zdrowotnych, ile z gospodarności. Diamondowie nauczyli się żyć rozważnie, jeśli nie skromnie, w swojej suterenie przy Addison Road, w Kensington.

Kolacja była cennym czasem dnia, pierwszą okazją, żeby wspólnie odpocząć. Jeśli zdarzyło się coś ciekawego, właśnie wtedy o tym rozmawiali. Czasem milczeli. Stephanie lubiła przedzierać się przez proste krzyżówki na ostatniej stronie „Evening Standard”. Zwykle potrzebowała odprężenia po popołudniowej pracy w sklepie z taną odzieżą Oxfam. Trudno było nie złościć się na zamożne kobiety z Knights-bridge, które szukały na wieszakach markowych metek z przeceną i jeszcze prosiły o zniżkę.

Peter Diamond ostatnio rzadko przeglądał gazety. To, co w nich pisano, wprawiało go w ponury nastrój. Przestał oglądać telewizję, z wyjątkiem rugby i boksu. Za dużo było o policji - za dużo w informacjach i za dużo w filmach. Próbował o tym zapomnieć.

-

Przecież już masz pracę - powiedziała Stephanie.

Kiwnął głową.

-

To by była praca wieczorami, jako model.

Zagapiła się na niego, myślami jeszcze w sklepie z ubraniami.

-

Jako co?

-

Model. Ten typ w muszce i kamizelce w kratę podszedł do mnie w Sainsbury. W college'u w Chelsea brakuje mężczyzn modeli.

Odłożyła gazetę.

-

Model dla artystów?

-

Tak.

-

Z twoją figurą?

-

Ta figura po prostu się prosi, żeby ją uwiecznić węglem według słów mojego nowego przyjaciela. Mam rubensowskie kształty i wyzywające kontury.

-

Tak powiedział?

-

A słyszałaś, żebym ja kiedykolwiek tak mówił?

-

Chyba nie będziesz pozował nago?

-

Czemu nie? - Jego ulubiona gra zaczynała się od wątpliwej przesłanki, która stopniowo rozwijała się w rzecz poważną. Najlepiej, żeby Steph uwierzyła we wszystko. - Nieźle płacą.

-

Nie jestem pewna, czy chcę, żeby mój mąż obnażał się przed studentami.

-

Mówisz, jakby to było przestępstwo.

-

Niektórzy z nich są tuż po szkole. To młode dziewczyny.

-

Jestem pewien, że zdołają się opanować - skwitował tym samym, racjonalnym tonem. - Moje wyzywające kontury mogą sprawić, że serce zabije im szybciej, ale wiesz, te zajęcia są nadzorowane.

Przeszarżował.

-

Wydaje mi się, że wszystko wymyśliłeś - powątpiewała Stephanie.

-

Przysięgam, że nie. Dał mi wizytówkę z numerem telefonu, żeby zadzwonić.

-

Co to jest, „dziwaczne”, ma dziesięć liter? - odezwała się po dłuższej przerwie.

-

Tak myślisz o moich próbach uzupełnienia dochodów?

-

Nie, to z krzyżówki.

-

Nie mam pojęcia. Na twoim miejscu nie marnowałbym na to czasu.

-

Może gdybyś ty to robił, nadal miałbyś dobrą pracę w policji -

odgryzła się.

Uśmiechnął się przyjaźnie.

-

Nie, same krzyżówki nie wystarczyłyby. Jeszcze słuchasz oper w samochodzie. - Minęły prawie dwa lata, odkąd z hukiem rzucił pracę nadinspektora w policji Avon i Somerset. A wydawało się, że dłużej.

Między okresami bezrobocia wiązał koniec z końcem, pracując w barze, dorywczo jako Święty Mikołaj, jako ochroniarz u Harrodsa, pomagał też w szkole specjalnej, roznosił gazety, a obecnie zbierał wózki z parkingu przy supermarkecie. Jako mężczyzna w średnim wieku nie miał

pomyślnych perspektyw na stałą posadę.

Praca Stephanie jako kierowniczkini stołówki szkolnej skończyła się w lipcu, kiedy dokonano cięć w budżecie lokalnego samorządu. Od tego czasu ciągle próbowała znaleźć jakieś płatne zajęcie.

-

Skoro mowa o dawnych czasach, wczoraj po południu widziałam program o kanale Kennet-Avon - powiedziała melancholijnie.

Teraz z kolei on był zaskoczony.

-

Nie wiedziałem, że interesują cię łódzie.

-

Nie łódzie. Krajobraz. Widoki Bath. Pamiętasz, jak pięknie słońce oświetlało te długie georgiańskie tarasy? I ten miodowy po-blask, którego nigdzie indziej nie widziałam?

Dobierając starannie słowa, gdyż jednym z powodów, dla których ją kochał, było to, że nauczyła go widzieć mnóstwo rzeczy, jakich wcześniej nie zauważał, stwierdził:

-

A wiesz, pamiętam, że trochę mi ulżyło, kiedy uciekłem od tych ciepłych wieczorów w mieście, które wygląda jak obrazek z pocztówki, a człowiek czuje się w nim jak w łaźni tureckiej. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy kiedykolwiek mieli tam wrócić, Steph, chyba że prze-jazdem, na jeden dzień. To tylko etap naszego życia, rzeczywiście dość szczęśliwy.

Pogódźmy się z tym.

-

To ciężka praca - zmieniła temat. - Cięższa niż myślisz.

-

Co takiego?

-

Pozowanie dla studentów uczących się rysunku. Coś w jej tonie sprawiło, że się zawahał.

-

Skąd wiesz? Uśmiechnęła się lekko.

-

Kiedy byłam sama i potrzebowałam trochę pieniędzy, pozowałam w miejscowej akademii.

Tym razem naprawdę go zaskoczyła. Był zbulwersowany. Zawsze mówiła prawdę.

-

Chcesz powiedzieć, że pozowałeś nago?

-

Uhm.

-

Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

-

To nie jest rzecz, o której napomyka się ot tak, w rozmowie -

odparła. - Tak czy inaczej, teraz bym tego nie zrobiła. - Po chwili dodała. -

Ale też nikt mi tego nie zaproponował.

Odzyskał równowagę na tyle, żeby zapytać.

-

Jeśli chcesz, mogę szepnąć o tobie słówko w Chelsea.

-

Ani się waż. Znow zapadła cisza.

-

Myślę, że to kuriozalne - powiedział w końcu. Poczzerwieniała i zmrużyła oczy.

-

Co takiego?

-

Ten wyraz na dziesięć liter, o który pytałaś. ZNACZNIE PÓŹNIEJ, W ŁÓŻKU, WYZNAŁ JEJ:

-

Steph, jest cholera za późno, żeby to powiedzieć, ale byłem koszmarnym idiotą, występując z policji. Tamtego dnia, kiedy wypadłem jak burza z gabinetu komendanta, nie miałem pojęcia, że skończymy w zaniedbanej suterenie przy jakimś bocznym zaułku.

-

Naprawdę tak sądzisz? Wcale nie jest zaniedbana. Sprzątam ją.

-

No to nędznej.

-

I nie rozumiem, jak możesz mówić o Addison Road, że to boczny zaułek. Posłuchaj tylko. Nie, posłuchaj odgłosów z ulicy. Minęła już północ, a tu ciągle hałas jak na Piccadilly.

Nie dał się wybić z pokutnego nastroju.

-

Gdyby chodziło tylko o moje życie, w porządku, ale to również twoje życie, a ty nie miałaś nic do powiedzenia. To była moja decyzja. Do cholery, to najbardziej samolubna rzecz, jaką w życiu zrobiłem.

-

To była kwestia zasad - zaproponowała.

-

Tak, moich, ale nie twoich.

-

Skoro nie docenili cię jako detektywa, nie zasługiwali na to, że-bys został.

Roześmiał się krótko, ironicznie.

-

Przeciwnie, byli bardzo zadowoleni, że się mnie pozbyli. -

Wesłchał, odwrócił się i powiedział do ściany: - Należało mi się. Nie pałowałem tam.

Stephanie odwróciła się do niego.

-

Tak, jesteś brutalny dla ludzi.

-

Niedelikatny - odparł.

-

Nietaktowny.

-

Prostacki.

-

I użalasz się nad sobą. - Zsunęła mu spodnie od pizamy i dała klapsa w goły tyłek. - Czy dzięki temu czujesz się choć trochę lepiej?

-

Nie.

-

Zawsze psujesz zabawę.

-

Kto tu mówi o zabawie?

Przytuliła się do niego i wyszeptała do ucha:

-

Ja.

Najwyraźniej los też chciał się zabawić, bo w tej intymnej chwili na betonowych schodkach na zewnątrz rozległo się szuranie butów.

-
Co do diabła...?

-
To jacyś pijacy - mruknęła Stephanie.

-
Albo dzieciaki się wygłupiają. Wydaje mi się, że więcej niż jeden.

-
Dzieciaki, o tej porze? Leżeli bez ruchu i czekali.

-
Nie mogą nawet znaleźć dzwonka - mruknął Diamond. Jak na zawołanie rozległ się dźwięk dzwonka.

-
Która to godzina? - mruknął Diamond. - Musi być po północy.

-
Bo jest. Otworzysz?

-
Cholera, nie ma mnie w domu dla nikogo. Spojrzę zza zasłony. -

Wstał i podszedł do okna. W słabym świetle latarni stali dwaj młodzi mężczyźni w watowanych kurtkach. Nie wyglądali na pijanych. - Nie wiem, o co chodzi.

Stephanie usiadła i włączyła nocną lampkę.

-
Wyłącz to! - syknął Diamond.

Ale goście musieli już zobaczyć światło, bo znowu zadzwonili, a także zastukali kołatką.

-
Lepiej otworzę.

-

Myślisz, że powinieneś? Nie wiadomo, czego mogą chcieć o tej porze.

-

Nie zdejmę łańcucha. - Sięgnął po szlafrok. Stukanie nie ustało, było tak głośne, że mogło obudzić cały dom.

-

Już dobrze, dobrze - krzyknął.

Uchylił drzwi, na ile pozwalał łańcuch, i wyrzwał.

-

Pan Peter Diamond?

Zmarszczył brwi. Dwóch przypadkowych pijaczków nie znałoby jego nazwiska.

-

Tak?

-

Inspektor Smith, a to sierżant Brown. Wydział kryminalny Avon i Somerset.

-

Avon i Somerset? Daleko wyszliście poza swoją parafię, co?

-

Pozwoli pan, że wejdziemy? - Mężczyzna trzymał legitymację policyjną blisko szpary w drzwiach, żeby Diamond mógł zobaczyć, że istotnie nazywa się Smith. Gdyby ktoś chciał wymyślić dwa nazwiska, czy na serio wybrałby Smitha i Browna?

-

Jest cholernie późno, nie zauważyliście? - poskarżył się Diamond. -

O co chodzi? Ktoś umarł?

-

Nie, proszę pana.

-

To o co chodzi?

-

Czy moglibyśmy porozmawiać o tym w środku?

Zauważył, że to autentyczna gadka policjantów, używana w rozmowach z potencjalnym świadkiem albo do poprawienia nastroju niebezpiecznego podejrzanego.

-

Sam pracowałem w wydziale zabójstw. Znam swoje prawa.

-

Tak, proszę pana.

-

Jeśli jestem podejrzanym czy coś takiego, chcę, żeby mi powiedziano, o co chodzi.

-

Może pan być spokojny. Nie przyjechaliśmy pana przesłuchiwać.

-

Ale jesteście aż z Somerset i to nie jest towarzyska wizyta.

-

Zgadza się. To pilna sprawa, inaczej nie fatygowalibyśmy pana.

Diamond zdjął łańcuch. Zawołał do Stephanie, żeby ją uspokoić, ale zanim skończył mówić, wiedział już, że mu się to nie uda.

-

W porządku, kochanie. Są z wydziału zabójstw. Zaprowadził ich do salonu. Obaj funkcjonariusze rozejrzeli się z minami sugerującymi, że nie są w stanie zrozumieć, jak były nadinspektor mógł tak nisko upaść.

-

Kawy?

-

Niech pan natychmiast zadzwoni pod ten numer. - Inspektor Smith wręczył mu kawałek papieru i po namyśle dodał. - Ma pan telefon?

Diamond podszedł do aparatu.

Spostrzegł, że sierżant Brown odwraca się, żeby zamknąć drzwi, i to nie po to, żeby uniknąć przeciągu. Nie chcieli, żeby Steph usłyszała, o czym będą mówili. Ta konspiracja stawała się męcząca.

Wystukał numer.

Po zaledwie dwóch sygnałach ktoś się odezwał.

-

Tak?

-

Mówi Diamond.

-

Doskonale. Nazywam się Farr-Jones, jestem komendantem w Avon i Somerset. Nie sądzę, byśmy kiedy się spotkali.

Nawet gdyby tak było, nie spędzaliby wiele czasu w swoim towarzystwie. W głosie Farra-Jonesa pobrzmiwały echa klubów golfowych i eleganckich kolacyjek, których Diamond unikał jak najgorszej zarazy. Ale nazwisko było znajome. Farr-Jones został

mianowany na stanowisko w Avon i Somerset jakieś półtora roku temu, przedtem był komendantem w Norfolk. Nadinspektor policji czekający na telefon

tak późnej porze? To musi być poważna sprawa.

-

Prawdopodobnie wie pan, co doprowadziło do tej rozmowy. -

Aksamitny głos, wyraźna dykcja.

-

Nie - odparł Diamond.

Lakoniczna odpowiedź zbiła z pantafelów Farra-Jonesa. Najwyraźniej pragnął jednak współpracy i po krótkiej przerwie zaczął od nowa. Od komplementu.

-

Dobrze powiedziane. Dobry detektyw niczego nie zakłada.

-

Nie jestem już detektywem, nadinspektorze.

-

To prawda, ale...

-

I nie wiadomo, czy kiedykolwiek byłem dobrym detektywem.

-

Według moich informacji był pan bardzo dobry.

-

Szkoda, że wtedy nikt tak nie uważał — mruknął Diamond. -Czego powinienem się domyślać? Jeśli było coś w gazetach, to ich nie czytam, nie licząc ogłoszeń „dam pracę”.

-

To nie słyszał pan o Mountjoyu?

Obraz sprzed lat zamigotał mu w mózgu: sypialnia, na łóżku ciało kobiety w jasnoniebieskiej

piżamie, zakrwawionej od ran kłutych.

ten groteskowy detal, który trafił do wszystkich gazet. Wepchnięte w usta denatki i rozsiane po całym łóżku pąki kilkunastu czerwonych róż.

Wtedy ta rytualna cecha morderstwa stała się sensacją.

-

Co z Mountjoyem?

-

Jestem naprawdę zdumiony, że pan nie słyszał. Przez cały tydzień rozpisywały się o tym gazety. Uciekł z Albany.

-

Boże, miej nas w swojej opiece!

Dwudziestego drugiego października 1990 roku Diamond aresztował

Johna Graingera Mountjoya pod zarzutem zamordowania Britt Strand, dziennikarki, w jej mieszkaniu w Larkhall, w Bath. Mountjoy został

skazany na dożywocie.

-

Wrócił tutaj - dodał Farr-Jones. - Wydarzył się wypadek, niezwykle poważny wypadek.

-

I pan uważa, że to Mountjoy?

-

Jesteśmy tego pewni.

-

A co ja mam z tym wspólnego?

-

Jest nam pan tutaj potrzebny. To niezwykle istotne, żeby pan się stawił.

-
Chwileczkę, proszę pana. Odszedłem dwa lata temu. Już nie służę w policji.

-
Proszę pana, proszę mnie wysłuchać. To coś więcej niż niebezpieczny przestępca, który uciekł z więzienia. Przez niego sytuacja stała się krytyczna, naprawdę krytyczna, i nie mogę powiedzieć nic więcej przez telefon poza tym, że poprosiliśmy o embargo prasowe i użyliśmy je. Jako były policjant zrozumie pan, że nie posunęlibyśmy się do tego, gdyby nie byłoby to usprawiedliwione delikatnością incydentu.

-
I pan myśli, że mogę pomóc?

-
Nie o to chodzi.

-
A więc o co?

-
Powiedziałem, że nie mogę wchodzić w szczegóły.

-
Dlaczego, skoro jest embargo? Dzięki temu można rozmawiać bezpiecznie.

-
Proszę nie utrudniać sprawy. Wiem, że to nie jest pora, żeby nachodzić ludzi, ale daję słowo, że zaistniała wyższa konieczność, która sprawia, że pański przyjazd jest niezbędny.

-
Chce pan powiedzieć: natychmiastowy przyjazd?

-
Funkcjonariusze, którzy są u pana, mają rozkaz przywieźć tu pana.

-
Kiedy tylko będzie pan na miejscu, zostanie pan o wszystkim poinformowany.

A jeśli odmówię?

-

Wydam im polecenie, żeby pana doprowadzili.

Diamonda kusilo, żeby zapytać, po co ta rozmowa, skoro i tak zostanie odwieziony do Bath, ale się powstrzymał.

-

Może się ubiorę, ale niczego nie przyrzekam. Docenia pan fakt, że nie służę już w policji?

Pokazał Smithowi i Brownowi, gdzie są przybory do parzenia kawy, i wrócił do sypialni, żeby przekazać Stephanie nowinę o swoim wyjeździe do Bath. Powiedział jej tyle, ile wiedział; w końcu miała do tego prawo, a on nie został zobowiązany do dotrzymania tajemnicy. Trudno jej było uwierzyć, że policja chce jego powrotu po tej awanturze, którą urządził, odchodząc. Na swój toporny sposób był dobrym detektywem, ale nie ma ludzi niezastąpionych. Zapytała, jak długo tam zostanie, a on jej przypomniał, że Bath leży zaledwie o dwie godziny jazdy od ich domu.

Obiecał, że rano zadzwoni.

-

No cóż, myślę, że to lepsze niż pozowanie nago - powiedział, nie chcąc dramatyzować.

-

Nie licz na to - odparła Stephanie.

Rozdział 3

SIERŻANT BROWN PROWADZIŁ, JAKBY CHCIAŁ WZBIĆ SIĘ W

POWIETRZE. Ulice Zachodniego Londynu wyglądały z tylnego siedzenia czerwonego montego, jadącego w stronę M4, jak niewyraźna plama. Peter Diamond, który nigdy nie czuł się dobrze w samochodzie, próbował podjąć rozmowę, ale żaden z jego towarzyszy nie dał się skusić ani zmusić do wyjawienia czegokolwiek na temat „krytycznej sytuacji”, która miała usprawiedliwić tę nadzwyczajną nocną wyprawę. Przy wjeździe numer 3 Diamond doszedł do wniosku, że to po prostu popychadła, które nic nie wiedzą.

Zmienił temat i zapytał o zmiany personalne w wydziale zabójstw hrabstw Avon i Somerset. Najwyraźniej z nastaniem nowego komendanta odbyła się czystka personalna. Z oddziału do spraw zabójstw - zespołu Diamonda

- po dwóch latach zostało tylko dwóch starszych detektywów. Aż siedmiu przeniesiono do innych zajęć albo na wcześniejszą emeryturę. Przetrwali

Keith Halliwell, czarujący, ale lekko myślny, i John Wigfull, karierowicz o mentalności absolwenta akademii policyjnej. Wigfull został

awansowany do rangi głównego inspektora. Teraz on stał na czele oddziału.

Diamond przymknął oczy i powiedział sobie, że to wszystko już go nie dotyczy. Co go to może obchodzić, skoro takie nic jak Wigfull zajęło najwyższe stanowisko?

-

Dobry pomysł - powiedział Smith.

-

Co?

-

Drzemać, kiedy tylko ma się okazję.

-

Przy tej szybkości to może być wieczny sen. , Ale Diamond jednak przysnął.

Kiedy się obudził, przygotowany na to, że trafił na OIOM, byli już w Membury Services, sto dwadzieścia kilometrów dalej. Postój z tankowaniem.

-

Nie wiem jak wy, chłopaki, ale ja nie odmówiłbym sobie kawy —
zauważył.

-

Za niecałą godzinę będziemy na miejscu - stwierdził Smith.

-

Za niecałe czterdzieści pięć minut - dodał Brown. - Kawa będzie czekała.

-

Do tego czasu będzie mi potrzebne coś mocniejszego niż kawa. Na ostatnim odcinku, na wzgórzach Cotswolds, którymi biegła A46 po zjeździe z autostrady, Brown wykorzystał okazję, żeby zamieścić jazdę samochodem w doświadczenie podnoszące puls do niebezpiecznego poziomu. Na wijącym się zjeździe z Cold Ashton co chwila zostawiał za sobą ślady opon. Diamond zdawał sobie sprawę, że gdyby samochód wypadł z drogi, czekałoby go kilkaset metrów pikowania.

W innych okolicznościach nocna panorama Bath z mnóstwem świateł

rozpościerających się wokół iluminowanego klasztoru byłaby ciekawym widokiem. Diamond zaczął z zachwytem do chwili, kiedy skręcili w prawo, na równoległy odcinek London Road.

-
Ładnie.

-
Ładna jazda czy tutaj jest ładnie? - zapytał Smith.

-
Która godzina?

-
Tuż po trzeciej.

-
Całe dwie godziny. Co nas tak długo zatrzymało?

Smith i Brown byli łatwymi celami. Niebawem czekała go ostrzejsza wymiana zdań.

-
Z kim spotkam się w komisariacie? Jacy lunatycy mają teraz dyżur?

Smith nie wiedział albo nie chciał powiedzieć.

Samochód zatrzymał się przed komisariatem przy Manvers Street i Diamond, szczęśliwy, że przeżył jazdę, wszedł tam ze Smithem, żeby uzyskać odpowiedź na swoje pytanie.

Recepcja dla interesantów bardzo się zmieniła od czasów Diamonda, ścianki działowe drastycznie ograniczyły jej rozmiary. Srebrne trofea zdobyte przez policję nadal stały w szklanej gablocie, jakby zachęcając miejscowych rzezimieszków do działania. Okrągłe lustro, ustawione w strategicznym miejscu, pokazywało wszystkich wchodzących. Sierżant dyżurny siedział za szybą ochronną, jak kasjer w banku. Był jednym ze starych. Twarz mu się rozpromieniła.

-
Pan Diamond! Co za krzepiący widok. - Powitanie znacznie cieplejsze niż gdyby chodziło tylko o starego znajomego. Diamond nie dał

się zwieść: mówiło więcej o nowym reżimie niż o sympatii do niego.

Smith zaprowadził go na górę do pokoju, w którym zwykle urzędowały policyjne szczyty podczas wizytacji. Jak na ironię, był to ten sam pokój, z którego Diamond wypadł jak burza, kiedy był tu po raz ostatni. Tamtego fatalnego ranka Tott, zastępca komendanta, w mundurze zapiętym na ostatni guzik, siedział za owalnym mahoniowym stołem. Poinformował

Diamonda, że odebrano mu śledztwo w sprawie morderstwa i że zastąpi go Wigfull. Obraza? Był ponoć odpowiedzialny za wstrząs mózgu dwunastolatka, który kopnął go w czułe miejsce. A on tylko popchnął

chłopca na ścianę. Mały Matthew przyznał później, że udawał wstrząs mózgu, ale Diamond zdążył już podać się do dymisji.

Drzwi były otwarte.

-

Niech pan od razu wchodzi - odezwał się Smith. - Pan Tott czeka.

Diamond trzasnął dłonią o framugę.

-

Powiedziałeś Tott? Nie wierzę.

-

Zastępca komendanta - szepnął z szacunkiem Smith.

-

Wiem, kim jest - powiedział Diamond głosem, który musiał być słyszany za drzwiami pokoju. - Nie chcę z nim rozmawiać.

Odwrócił się i ruszył korytarzem w stronę schodów. Nie wiedział, dokąd zmierza, chciał tylko znaleźć się jak najdalej od człowieka, którym gardził. Kipiał w nim gniew, który jak mu się zdawało, rozwiał się już przed dwoma laty.

Smith dogonił go i złapał za ramię.

-

Coś nie tak? Co powiedziałem?

-

Akurat tyle, żeby zapobiec masakrze.

-
Nie rozumiem.

-
Nie przejmuj się. To nie jest twoja sprawa.

-
A właśnie, że moja. Miałem zaprowadzić pana do tego pokoju.

Czekają, żeby z panem porozmawiać. Jest środek nocy, na litość boską!

Dokąd pan idzie?

-
Najdalej jak się da od tego dupka. Jestem cywilem. Nie muszę się przed nikim płaszczyć.

Zaczął schodzić po schodach.

-
Proszę pana, nie mogę panu na to pozwolić - zawołał za nim Smith. -

Nie wolno panu wyjść z tego budynku.

-
Spróbuj mnie zatrzymać - odrzyknął były detektyw. - Masz nakaz?

Dotarł do parteru i energicznie skierował się do wyjścia, mijając po drodze przyjaciela sierżanta. Ledwie na niego spojrział, przeszedł przez podwójne drzwi i wtopił się w noc.

Tott.

-
Czy oni mają mnie za głupka? - powiedział na głos. Wściekły szedł

Manvers Street. Był w stanie tuż przed wybuchem.

Dopiero kiedy przeszedł kawałek, zdał sobie sprawę, że plamki przed oczami nie są zdrowym objawem i że lepiej uspokoić myśli. Dobrze, że miał na tyle rozsądku, by wyjść. Powinien poczuć się lepiej, skoro przypomniał sobie o swojej niezależności. Spróbuje coś znaleźć w hotelu Francis przy Queen Square. To miejsce w sam raz, żeby położyć głowę na poduszce i przespać się do rana, kiedy będzie mógł złapać pociąg do domu. W porze obiadowej, dawnymi czasy, kiedy na komisariacie było

spokojnie, czasem wpadał na piwo do baru Roman w tym hotelu. W

lepszym nastroju niż teraz pławił się w luksusowych klimatach, przywodzących na myśl mniej zabiegane czasy. Łatwo było wyobrazić sobie zacnych mieszczan w prążkowanych garniturach, kamizelkach z dewizkami, jak zabawiają kapryśne, młode damy w kapeluszach z szerokimi rondami.

W centrum Bath bezpieczniej było spacerować o tej porze niż w centrum Londynu. Jedynymi ludźmi, jakich zobaczył, byli bezdomni skupieni wokół kraty za rzymskimi łaźniami, z której wydobywało się gorące powietrze. Może było tu bezpiecznie, ale perspektywa spędzenia reszty nocy na ulicy nie przemawiała do niego. Jeśli w hotelu nie dostanie pokoju, pójdzie na stację i zaczeka na pierwszy pociąg.

Przed sobą miał fasadę hotelu Francis, z żelaza i szkła, stojącego na wprost okazałych drzew i szkaradnego obelisku na Queen Square. Był o kilka kroków od drzwi obrotowych, kiedy zza rogu Chapel Row z piskiem opon i migającym sygnałem wyjechał radiowóz. Jechał w jego stronę, choć pas ruchu wokół placu był jednokierunkowy.

Po południowej stronie Queen Square nie da się zejść z pola widzenia.

Żadnych uliczek, przejść czy drzwi sklepów. Tylko balustrady przed hotelem. Tusza nie pozwalała Diamondowi na biegi i skoki, a nie miał

ochoty wejść do holu z policjantami na ogonie, podszedł więc do krawężnika i czekał.

Radiowóz zatrzymał się i ktoś w skórzanej kurtce i dzinsach wysiadł z miejsca dla pasażera. Diamond zauważył najpierw, że to kobieta, a dopiero potem ją rozpoznał. Nie miał aż tak złej pamięci do nazwisk, jak się obawiał. Kiedy ostatni raz spotkał się z Julie Hargreaves, była sierżantem w wydziale kryminalnym. Zrobiła na nim wrażenie jako zdolny i godny zaufania detektyw.

Rozbrojony odprężył się i uśmiechnął.

-

Dobra robota, szefowo. Złapałaś mnie na gorącym uczynku.

Odpowiedziała uśmiechem.

-

Już miałam ochotę się założyć, że pójdzie pan do Francisa.

-

Mój stary wodopój.

-

Smithie szuka w Pratt's.

-

Trzeba znać człowieka - zauważył. - Masz zamiar założyć mi kajdanki, Julie?

-

Powinam - przyznała. - Jest pan najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Bath.

Wyczuł, że może mu udzielić jakichś informacji.

-

Chciałbym, żeby ktoś mi powiedział, dlaczego Tortowi wydaje się, że nadal ma prawo wyciągać mnie z łóżka, wieść dwieście kilometrów i stawiać przed swoim obliczem w środku nocy - powiedział poważnie. -

Głupio założyłem, że czasy gestapo się skończyły.

-

Przepraszam pana. Mamy tu naprawdę stan ostrej gotowości.

-

Tak mi mówiono.

-

To nie Tott po pana posłał.

-

Prawda - przyznał. - To był wielki biały wódz, Farr-Jones.

-

Tott o niczym nie decyduje. Jest zamieszany w sprawę, ale tylko jako ofiara.

-

Ofiara?

-

W pewnym sensie. No, ściśle rzecz biorąc, sam nie jest ofiarą. -

Zaplątała się. Wreszcie powiedziała. - To jego córka.

-

Córka?

-

Proszę posłuchać, czy mógłby pan zapomnieć, że to ja panu o tym powiedziałam? - Odwróciła się i spojrzała na kierowcę. Rozmawiał przez interkom, dodała więc: - Chcieli po swojemu przedstawić panu sprawę.

Liczą na pańską współpracę, bardzo liczą.

-

Co takiego mogę, czego nie mogą inni?

-

Panie Diamond, oni to muszą panu powiedzieć. Cały incydent trzymany jest w tajemnicy.

Powstrzymał się przed pytaniem, o jaki incydent chodzi. Wyciąganie z Julie informacji, które mógł uzyskać legalną drogą, byłoby nie w porządku. Wiedział, co powinien zrobić. Odraza, jaką czuł do Totta, była jego prywatną sprawą. Należało zważyć, co ma większe znaczenie: jego miłość własna czy to, co przydarzyło się córce tego człowieka, i fakt, że dla jakichś zagadkowych przyczyn jego współpraca była niezastąpiona.

-

Wróci pan ze mną na Manvers Street, żeby wysłuchać, co mają panu do powiedzenia? - zapytała po prostu Julie.

-

W porządku, sierżancie. Wygrałaś.

W samochodzie powiedziała mu, że w listopadzie ubiegłego roku awansowano ją do stopnia inspektora. Odparł, że jej się należało.

Na prawdę tak uważał.

Pięć minut później, nieomal wymiotując z odrazy, stał oko w oko z Tottem, reliktem z czasów, kiedy wysocy rangą policjanci nie różnili się od generałów pierwszej wojny światowej. Wokół owalnego stołu siedzieli jeszcze główny inspektor John Wigfull, inspektor Julie Har-greaves i inspektor Keith Halliwell. Sposób, w jaki go przywitani, był tak niezwykły, że aż się zaniepokoił. Tott wstał, obszedł stół i powiedział, że są mu bardzo wdzięczni za jego przybycie. Nie tylko ujął dłoń Diamonda

swoją prawicą, ale jeszcze lewą ręką przytrzymał go za łokcie, jak nadgorliwy wolnomularz.

Powitanie Halliwella polegało na przekrzywieniu głowy i niezobowiązującym uśmiechu. Wigfull wydobył z siebie uśmiech finalisty przegrywającego na Wimbledonie.

Diamond parsknął w duchu i popatrzył na nich.

-

Może zobaczyłbyś, co z tą kawą, którą zamówiliśmy? - zwrócił się Tott do Wigfulla.

Wigfull poczerwieniał i wyszedł z pokoju.

-

Proszę pana, to nie będzie dla nas łatwe - odezwał się Tott, ledwie drzwi się zamknęły. - John Wigfull jest teraz szefem. Prowadzi cały ten cyrk.

-

Ponieważ już nie należę do cyrku, nie widzę w tym problemu -

odparł Diamond.

Tott opuścił głowę i oparł ją na dłoniach. Język ciała mówił o skrusze grzesznika.

-

Ja... ja chciałem powiedzieć coś osobistego. Byłoby dziwne, gdyby nie żywił pan urazy do mnie w związku ze sprawami, które, mam nadzieję, będziemy w stanie odłożyć tej nocy na bok. Chcę pana zapewnić, że mój udział w tym, co się dzieje, nie był przeze mnie pożądanym. Ale pomyślałem, że powinienem tutaj być, kiedy pan się zjawi. Jestem panu to winien.

-

Jest mi pan winien? Nie rozumiem.

-

I mojej... i komuś jeszcze. Policja z Avon i Somerset pragnie pańskiej współpracy. Osobiście apeluję do pana - nie, do cholery - błagam pana, żeby wysłuchał pan nas ze zrozumieniem, a ponieważ, gdy ostatnio widzieliśmy się w tym pokoju, rozstaliśmy się na mniej niż przyjaznej stopie, powinienem przynajmniej...

-

Przyjmuję - przerwał mu Diamond. - Wtedy powiedziałem to, co czułem. Nie spodziewałem się, że

zostanę ponownie zaproszony, ale jestem.

-

Dziękuję.

-

To może teraz ktoś mi powie, po co tu jestem. Tott był wyczerpany nerwowo, głos mu się łamał.

-

Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zostawię to głównemu inspektorowi Wigfullowi - stwierdził. - Powinien zaraz wrócić.

Tott i Wigfull. Cóż to za para! Diamond nie mógł sobie wyobrazić dwóch ludzi, których towarzystwa bardziej chciałby uniknąć. Nie licząc tych, którzy siedzą w więzieniu.

Wszedł kadet, z kawą i kanapkami z serem i szynką. Wigfull wśliznął się za nim i zajął miejsce przy stole. Diamond pozwolił sobie na ironiczną myśl, że promowanie Wigfulla na szefa oddziału do spraw zabójstw przyniosło jedną interesującą zmianę: wąsik został przycięty. Teraz bardziej przypominał byłego kapitana angielskiej drużyny krykieta niż śmiejącego się kawalera z obrazu Fransa Halsy.

-

John, zdaje się, że masz mi streścić sprawę.

-

Za chwilę. - Wigfull poczekał, aż kadet wyjdzie. Kiedy drzwi się zamknęły, popatrzył na Totta, z uprzejmości albo z lizusostwa - zależy, jak się do tego odnieść - i uzyskał skinienie głowy.

-

Jak wiesz, dziesięć dni temu, czwartego października, John Mountjoy uciekł z Albany.

-

Powiedziałeś jak wiesz", ale ja wcale o tym nie wiem - zauważył

Diamond.

Wigfull popatrzył na niego z niedowierzaniem.

-

Pisały o tym wszystkie gazety.

-
Nie czytam gazet, John, jestem wolnym człowiekiem.

-
No cóż, przedostał się przez Bóg wie ile elektronicznie zamyka-nych drzwi w przebraniu policjanta. Oddajmy sprawiedliwość obsadzie więzienia, wtedy na jednym z bloków były zamieszki. Do tej pory nie ustalono, czy wywołano je celowo, jako przykrywkę dla ucieczki. W

każdym razie Mountjoy miał dwie godziny przewagi, zanim ogłoszono alarm. Jest ryzykantem albo człowiekiem bardzo przebiegłym, bo zamiast pójść prosto w stronę drogi, skierował się do sąsiedniego więzienia w Parkhurst, które jak wiesz leży nieopodal Albany. Tam odwiedził kwatery strażników i ukradł samochód metro należący do żony funkcjonariusza więziennictwa. Samochód znaleziono dwa dni później porzucony w Bembridge.

-
Dziwną wybrał drogę. Czy Bembridge nie leży na wschodnim krańcu wyspy?

-
Ten człowiek nie robi niczego, co można by przewidzieć. Kiedy przeczesywano wszystkie miejsca na północ od Albany, on ukradł łódkę z żaglem, mirror, sprzed domku wakacyjnego w pobliżu portu.

-
Szczęściarz.

-
Wcale nie. Miał kilka do wyboru. Ludzie są beztroscy, jeśli chodzi o ich łodzie na wyspie. Właściciele zostawiają cały sprzęt na pokładzie.

Mountjoy musiał tylko pod osłoną ciemności doholować łódkę na plażę, poszperać pod brezentem, wyjąć żagle i postawić maszt.

-
Gdzie nauczył się żeglarstwa?

-
Czy to ma znaczenie? - powiedział Tott, zdradzając oznaki zniecierpliwienia.

Dla niego musiało mieć, kiedy spychał łódź na wodę. Wigfull rzucił, jakby uważał, że nie ma potrzeby mówić o rzeczach oczywistych.

-

Chodził do szkoły w Eastbourne. Do prywatnej szkoły. Diamond -

produkt szkoły publicznej - niezłomnie odmawiał

przyjmowania czegokolwiek za rzecz oczywistą.

-

Czy uczą tam chłopców żeglarstwa?

-

Najczęściej na mirrorach.

Wigfull jako znawca systemu szkół prywatnych miał równie po-każną i świeżą wiedzę na temat żeglarstwa.

-

Musiał zwodować ją pod osłoną ciemności i popłynąć prosto na wschód. W tym czasie nocny przyływ na pewno spychał go w stronę Portsmouth, przepłynął więc trzydzieści kilometrów wzdłuż brzegu do West Wittering.

-

Skąd to wszystko wiesz?

-

Właściciel przyjechał z Londynu, żeby zamknąć domek w Bem-bridge i stwierdził, że nie ma łodzi. Fragmenty kadłuba znaleziono rozwleczone wzdłuż płycizn na wysokości West Wittering. Pomyślał-by, że Mountjoy utonął, gdyby nie miejscowy farmer, który znalazł żagiel i kamizelkę ratunkową schowane pod żywopłotem. Tymczasem drużyny poszukiwawcze przeczesywały wyspę między Albany i Co-wes, obserwowano każdy prom, a helikoptery patrolowały cieśninę Solent.

-

A tymczasem on wybrał się do Bath? Wigfull pokiwał głową.

-

Wszystko, co teraz ci powiem, objęte jest embargiem. Media będą musiały się powstrzymać, dopóki

tak czy inaczej tego nie rozwiążemy.

Prawie przez tydzień o Mountjoyu było cicho. W końcu wczoraj wieczorem telefonistka z centrali w hotelu Royal Crescent odebrała telefon. Dzwonił mężczyzna, mówiący kulturalnym głosem. Kazał dziewczynie zapisać swoje słowa i dopilnować, żeby jak najszybciej dotarły do policji. Oto, co dostaliśmy. - Podał nad stołem kartkę z notatnika z nagłówkiem Royal Crescent.

Diamond zerknął na kartkę, z początku po to, żeby okazać niechęć do wchodzenia w sprawę, ale widok własnego nazwiska w notatce okazał się nieodparty. Zaczął czytać.

„Panie Tott, ze względu na dobro dziewczyny, niech pan powie Diamondowi, żeby jutro rano, o dziewiątej był do dyspozycji z samochodem. Musi być sam. Żadnej radiostacji, żadnych pluskiew i żeby nikt go nie śledził. Niech pan pamięta, nie mam nic do stracenia”.

-

Dziewczyna? Chodzi o porwanie? - zapytał Diamond i nie patrząc Julie w oczy, dodał obojętnym głosem. - Wiemy, kim jest?

-

To moja córka, Samantha - powiedział Tott. Głos załamał mu się ze zdenerwowania.

-

Aha.

-

To dlatego jesteśmy tak bardzo zaniepokojeni - dodał Wigfull po pełnej szacunku pauzie.

-

Bylibyście zaniepokojeni bez względu na to, kim ona jest -parsknął

Diamond. - Prawda, John?

Tott zatuszował zażenowanie Wigfulla, podając kolejne informacje.

-

Jest muzykiem. Studiowała w szkole imienia Menuhina.

-

To uderzająco atrakcyjna młoda dama - rzekł Wigfull.

-

Czy to ważne? - zapytał Diamond, rzucając okiem w stronę Julie, która pewnie mogłaby uznać, że seksizm znów podnosi głowę.

-

Tak, to ważne - powiedział Tott. - Wszyscy mówią, że jest śliczna i to prawda, choćby się nawet wydawało, że to słowa kochającego tatusia.

Jakieś pięć tygodni temu w dodatku do „Daily Express” pojawił się tekst o utalentowanych muzykach, zmuszonych przez recesję do grywania na ulicy. Opublikowano zdjęcie Sam, grającej na skrzypcach na Abbey Churchyard, przed przepompownią. Uważam, że to jej uroda skusiła redakcję. Niestety, w artykule wspomniano, że jest córką zastępcy komendanta policji. Zakładamy, że Mountjoy przeczytał to w więzieniu.

-

Kiedy zaginęła?

-

W sobotę wieczorem - odpowiedział Wigfull.

-

Chodzi mi o to, kiedy uznano ją oficjalnie za zaginioną. Tott odkaslnął.

-

Sam chodzi własnymi ścieżkami. Nie braliśmy na poważne jej zniknięcia, dopóki nie dostaliśmy tego.

-

Nie wspomina się jej tutaj z nazwiska.

-

Nie mamy innych świeżych zgłoszeń o zaginięciu dziewczyn -

powiedział Wigfull. - Przyjeliśmy za rzecz oczywistą, że w liście chodzi o nią.

-

Ile lat ma pańska córka?

-
Dwadzieścia dwa.

«...

-
Jak zniesie tego rodzaju życiową próbę?

-
Jest bardzo silna. - Tottowi drgnęły usta. - Ale są pewne granice.

Diamond odepchnął się dłońmi od brzegu stołu. Kusiło go wejście w rolę przesłuchującego. Ponownie przyjrzał się kawałkowi papieru, jakby potrzebował potwierdzenia.

-
Dlaczego ja?

-
To ty go zwinąłeś - odparł Wigfull. - Od tamtego czasu siedział w Albany. Nie może wiedzieć, że dwa lata temu złożyłeś rezygnację.

-
Tak, ale czego chce właśnie ode mnie?

-
Pamiętam, że wtedy twierdził, iż jest niewinny.

-
A kto tak nie twierdzi? - zapytał Diamond. - Był winny. Często stosował przemoc wobec kobiet. Przykro mi, ale wszyscy wiemy, że to prawda.

Tott skinął głową i zamknął oczy

-
Przyjeżdżając tutaj, zamiast gdzieś się ukryć, podjął wielkie ryzyko

- zauważył Wigfull. - Sądzimy, że chce dobić z tobą jakiegoś targu.

W jakiej sprawie? Nie mogę mu pomóc. Nie mógłbym mu pomóc, nawet gdybym dalej służył w policji. Nie jestem ministrem spraw wewnętrznych. Na litość boską, przecież jest już po wyroku.

-

Peter - powiedział Wigfull - z całym szacunkiem, ale chyba czegoś nie rozumiesz.

A więc teraz nazywa się Peter i to okraszony „całym szacunkiem”. Wiele się tutaj zmieniło przez te dwa lata.

-

Wyjaśnij mi to - podjął temat Diamond.

-

W przypadkach porwań nie wysłuchuje się żądań porywaczy. Chodzi o to, żeby nawiązać kontakt i jeśli to możliwe, stworzyć z porywaczem nic porozumienia. Celem jest ocena sytuacji. Dopiero wtedy można sformułować zasadny plan uwolnienia ofiary.

Co za nadęty sukinsyn, pomyślał Diamond.

-

Współdziałała się z nim.

-

Właśnie. Trzeba się dowiedzieć, czego chce, i nie dopuścić, żeby przeszedł do gwałtownych działań. Jego żądania mogą być niemożliwe do spełnienia - jeszcze nie wiemy - ale musimy udawać, że chcemy negocjować.

-

I padło na mnie? Wigfull wzruszył ramionami.

-

Zażądał ciebie. Jak właśnie powiedziałem, pierwszą zasadą...

-

Daj spokój - uciął Diamond. — Chcecie, żebym ułagodził Johna Mountjoya. Ale skoro to ja go wsadziłem, nie sędzę, żeby to był dobry pomysł na początek.

-

Zażądał konkretnie ciebie.

-
Jakież to wzruszające! Spójrzmy prawdzie w oczy, chce zrobić sobie przyjemność i sprzątnąć mnie. Jaką będę miał ochronę? Żadną. Widzę to w twoich oczach.

-
Nie wiemy, czy jest uzbrojony - zauważył Wigfull.

Tott uznał najwyraźniej, że w ten sposób niczego się nie zwojuje.

-
Chłopie, nie zaprzeczam, że jest ryzyko. Oczywiście, że jest. Nie wiem, czy przypadkiem nie jest pan ojcem...

-
Nie - rzekł Diamond.

Tott nie był na to przygotowany. Próba zastosowania perswazji spaliła na panewce.

Wtedy cicho odezwała się Julie Hargreaves.

-
Uratowanie tej młodej dziewczyny będzie aktem odwagi. Diamond nie był ostentacyjnym bohaterem, ale żywił staromodną niechęć do okazywania się tchórzem, szczególnie w obecności kobiet.

Zamiast całkowicie się wycofać, powiedział:

-
Czy ktoś w okolicy widział Mountjoja? Jeśli jego zdjęcie było w gazetach, ktoś musiał go zauważyć.

-
Nie w Bath - powiedział Wigfull. - W każdym innym mieście w kraju tak, ale wiesz, jakie jest Bath.

Diamond chrząknął potwierdzająco. Nie wiedział, czy to architektura miasta rozpraszała uwagę, ale faktem było, że ludzie utracili tu zdolność rozpoznawania twarzy. Członkowie rodziny królewskiej czasem robili zakupy na Milsom Street i rzadko ktoś się za nimi oglądał.

-
Nie dostaniecie pomocy od mieszkańców, wprowadziliście to embargo prasowe. Nie pomyśleliście o tym, żeby je znieść?

Tott kurczowo zacisnął dłonie na oparciach fotela.

-

Nie sędę, żeby to było wskazane.

-

Z rozmaitych powodów wolimy nie ujawniać sprawy - dodał

Wigfull.

-

Na przykład ze względu na reputację wydziału kryminalnego Avon i Somerset?

Wigfull był zbyt gładkim dyplomata, żeby zaprzeczyć. Popatrzył na Diamonda, ale jego spojrzenie wyrażało raczej ból niż wściekłość.

-

Najważniejsze to nie dać Mountjoyowi okazji do manipulowania mediami. Nie jest głupi.

-

Nie chcemy też, żeby prasa albo ludzie przeszkadzali w tej operacji

- dodał Tott.

-

Więc to operacja? - zapytał Diamond.

-

Powiedzmy, dochodzenie. Niech pan to nazywa, jak pan chce.

-

Nie obchodzi mnie terminologia, panie Tott. Po prostu zwracam uwagę, że jeśli chcecie mojego udziału, mam prawo gruntownie poznać plan.

-

Oczywiście - zgodził się Tott, prostując się w fotelu. Chwycił się tych słów, jak koła ratunkowego.

-

Co zdarzyło się do tej pory?

Tott machnięciem prawej ręki pozwolił Wigfullowi na odpowiedź.

-

Stosujemy normalną procedurę, jak przy porwaniach. Prowadzimy rozległe przeszukiwania podejrzanych miejsc w promieniu dziesięciu kilometrów od centrum miasta.

-

To ogromny teren.

-

Rzuciliśmy do akcji mnóstwo ludzi. Oczywiście ponownie sprawdzamy wszelkie zgłoszone włamania i kradzieże pojazdów.

-

Uważa pan, że jest nadal w mieście?

-

Musiał tu przybyć, żeby złapać Samanthę. Grała na Stall Street.

-

Co to znaczy, że ją złapał? Nie łapie się dziewczyny na Stall Street w sobotnie popołudnie. Roi się tam od kupujących i turystów. Występowała sama?

-

Tak.

-

Na pewno ją tam widziano? Wigfull kiwnął głową.

-

Jedna z jej przyjaciółek widziała ją, jak grała jakiś kwadrans po czwartej. To Una Moon, ta sama młoda kobieta, która w poniedziałek zgłosiła nam jej zniknięcie. Panna Tott mieszka z pewną liczbą młodych ludzi w domu w Widcombe.

-

Ma pan na myśli squat? Tott poruszył się niepewnie.

-
Tak, to nieruchomość zajmowana przez bezrobotnych młodych ludzi.

Opuściła dom prawie rok temu. Wbrew naszej woli, przykro mi to mówić.

Jeśli Samantha zbuntowała się przeciwko panu Tottowi, to była w dobrym towarzystwie, co całkiem zrozumiałe.

-
Zapewne ekipy poszukiwawcze mają jej zdjęcie.

Julie Hargreaves wyjęła z teczki czarno-biały wydruk rozmiarów pięć na siedem i przesunęła do niego po stole. Oryginał musiał pochodzić z rodzinnego albumu Tortów, gdyż ukazywał dziewczynę w sukni wieczorowej z tafty, ze staromodnymi, bufiastymi rękawami, ulubionymi przez młode skrzypaczki występujące na koncertach. Przy lewej nodze trzymała skrzypce, przy prawej smyczek. Wyrzista twarz o wielkich ciemnych oczach i pięknie wykrojonych ustach. Lekko uniesione koniuszki warg przeczyły oficjalnej pozie. Włosy miała niesamowite -

sterty naturalnych loków w triumfalnej wersji afro. Były tym bardziej niesamowite, jeśli porównało się z krótko przyściętym wianuszkiem włosów jej ojca.

-
Zapewne nie była tak ubrana w sobotę?

-
Bluzka z czarnej dzianiny, niebieskie džinsy i czarne rajstopy -

wyrecytowała Julie Hargreaves. - Do tego długie, czarne skarpetki. Na ulicach robi się zimno. I mocno znoszona para butów Reebok. Miała ze sobą skrzypce i futerał.

-
Skrzypiec nie znaleziono?

-
Nie.

Diamond sięgnął po kanapkę. Czy to przez przypadek, czy specjalnie zrzucił na stół dwie kolejne i też położył je na swoim talerzu. Kiedy inni obserwowali jego manewry, zapytał od niechcienia.

No to jaki jest plan?

To było jak piorun z jasnego nieba. Wigfull wykonał kilka nieskoordynowanych ruchów, przejechał dłonią po policzku, zaszurał

butami, mocno odchrząknął.

-

To zależy od tego, czy będziesz z nami współpracował - powiedział

w końcu.

-

Nie - odparł Diamond. - Słuchaj, nie targujmy się, jak na egipskim bazarze. Wy macie jakiś plan, a ja mam prawo go poznać.

-

To prawda.

-

No więc?

-

Hm...

-

Tak?

-

My, no cóż, my uważamy, że powinieneś zastosować się do tego, czego zażądał Mountjoy. Damy ci samochód wyposażony w urządzenie monitorujące.

-

Mountjoy widzi to inaczej. Zabronił tego. Położył na to szczególny nacisk.

Wigfull pokiwał głową.

-

Ale pluskwy, których używamy, są tak niewiarygodnie małe, że nie będzie w stanie ich znaleźć,

chyba że rozłożyłby samochód na części.

Możemy śledzić twoje położenie i prowadzić dyskretny nadzór.

Podkreślam, dyskretny. Wykluczone, żebyśmy wkroczyli, kiedy z nim będziesz. Celem podstawowym jest śledzenie go potem.

-

Do miejsca, w którym przetrzymywana jest Samantha?

-

Miejmy nadzieję, że tak.

-

Cieszę się, że wspomniałeś o nadziei - rzucił Diamond. - Nie wyobrażam sobie, żeby Mountjoy tak ułatwił wam zadanie. Nie jest aż tak naiwny, żeby uwierzyć, że nie zamontujecie pluskiew, bo o to poprosił.

Domyślam się, że na spotkanie przyjedzie skradzionym wożem, żeby wywieźć mnie w jakieś odległe miejsce, gdzie mnie załatwi, zanim zdążycie podnieść alarm.

Wigfull pokręcił głową.

-

Jemu nie chodzi o to, żeby cię zabić.

-

Skąd wiesz, co mu chodzi po głowie?

-

To zniweczyłoby jego plan. Twierdzi, że został wrobiony.

-

Nie wrobiłem go. Czy chcesz zasugerować, że jestem skorumpowanym draniem?

-

Spokojnie, panie Diamond - ostrzegł go Tott.

-

Wycofuję słowo „wrobiony” - rzekł Wigfull. - Twierdzi, że dośzło do pomyłki sądowej, że w rzeczywistości nie był winny morderstwa.

Twierdził tak konsekwentnie, odkąd został skazany. Za pośrednictwem swojego adwokata trzykrotnie występował z wnioskiem o apelację.

Dyrektor z Albany powiedział nam, że uparcie mówił o swojej niewinności. To nie jest oprych, który chce zabić funkcjonariusza za to, że go wsadził.

-

Mountjoy to zabójca - powiedział Diamond. - Wszyscy o tym wiemy, prawda?

-

Ale poza tym...

-

Żartujesz sobie!

Wigfull nie dał się zniechęcić.

-

Uważa, że ma podstawy do apelacji. Wszystkie jego wnioski zostały oddalone. Sądzymy, że zabiega o twoje poparcie. Wiem, że chodzi z głową w chmurach. Wszyscy pamiętamy sprawę Britt Strand, wtedy nie było wątpliwości. Ale Mountjoy wiąże wszystkie swoje nadzieje z rewizją wyroku. Spotkanie z tobą ma temu służyć.

-

Jest zabójcą.

-

I dlatego życie Samantha jest zagrożone - zauważyła Julie Hargreaves.

Diamond obrzucił ją spojrzeniem, które w większym stopniu wyrażało zaskoczenie niż wyrzut. Nie spodziewał się, że i ona się w to włączy. Ona też uległa presji. Nie należy bagatelizować siostrzanej więzi łączącej kobiety, kiedy jedna z nich znalazła się w kłopotach.

Tott próbował nadać sprzeczce właściwy kontekst.

-

Wszystkie te werdykty obalone po latach miały ogromny rozgłos!

Każdy więzień widzi w tym zachętę.

-

Mountjoy nie ma najmniejszej szansy.

-

Zgoda, ale nie o to chodzi - powiedział Wigfull. - On uważa, że ma podstawy do rewizji. Kilka lat w Albany każdego przekonają, że zasługuje na ponowny proces. We wszystkim widzą swoją szansę. Słuchaj, po co przyjechałby do Bath, gdzie się to zdarzyło? Mógł znaleźć sobie kryjówkę albo wyjechać z kraju. A on przyjechał tutaj.

-

To absurd - zaprzeczył Diamond. - Nie wiesz, co mu chodzi po głowie.

-

Interpretuję jego działania. Później dowiemy się, co mu chodzi po głowie.

-

Mogę ci to powiedzieć już teraz - odparł Diamond. - Przemoc.

-

Zgoda. Jeśli nie dojdzie do jego spotkania z tobą, urządzi Samancie piekło. - Wigfull położył rękę na ramieniu Totta. - Przepraszam. Nie powinienem tego powiedzieć.

Tott odezwał się, nie patrząc na Wigfulla.

-

To trwa już za długo. Panie Diamond, czy pomoże pan uratować moją córkę? Może pan ustalić swoje warunki. Jesteśmy w sytuacji, w której nie możemy zgłaszać obiekcji.

Diamond podniósł talerz z kanapkami i podsunął go Julie Hargreaves.

Pokręciła głową, a on wziął sobie kolejne dwie.

-

Czy nadal macie tu pokój z łóżkiem? Chciałbym się zdrzemnąć kilka godzin. Pobudka, powiedzmy, o ósmej, herbata i coś gorącego na śniadanie? Jak tylko dostaniemy wiadomość od Mountjoja, powiem, co postanowiłem.

Rozdział 4

KIEDY MOUNTJOY WRÓCIŁ Z ZAKUPÓW W SUPERMARKECIE, Samantha Tott leżała bez ruchu pod kocem w szkocką kratę. Martwa?

Widać było tylko kilka rudych loków, złowieszco znieruchomiałych na poduszce. Stał w drzwiach, wiedział, że dziewczyna mogła się udusić.

Zeby ją zakneblować, zamiast taśmy samoprzylepnej użył kawałka płótna oddartego z prześcieradła. Gdyby knebel zatkał jej nozdrza, nie mogłaby go odciągnąć, bo miała związane ręce.

Już miał odrzucić koc i zerwać knebel, kiedy się poruszyła.

Nie ma co panikować.

Gwałtownie zmienił taktykę. Powiedział sobie w duchu, że powinien dać sobie spokój. Niech śpi. Po wizycie w supermarkecie nerwy miał w strzępach. Potrzebował czasu dla siebie, zanim rozpocznie kolejną słowną potyczkę.

Zdjął buty, bo podłoga była jak skóra na bębnie. Ostrożnie postawił torbę na zakupy, którą z sobą przyniósł. Już dawno nie jadł, ale zaczeka.

Czekanie stało się teraz jedną z jego specjalności, głównym talentem, który opanował w Albany.

Pomieszczenie z podnoszonymi meblami niezbyt różniło się od celi. Było nawet mniejsze. Naprzeciwko łóżka stała wąska ława opuszczana ze ściany. Zwolnił haczyk i otworzył ją, uważając, żeby nie za-skrzypiała, kiedy się na niej sadowił.

Siedział sztywno, w milczeniu. Wiedział, że jest bezpieczny. Zakupy były wyzwaniem. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo był spięty.

Starał się wyglądać na zajętego swoimi sprawami, jak wszyscy w supermarkecie. Za każdym razem, kiedy ktoś się zbliżał, odwracał twarz w stronę ułożonych w stosy towarów. Był tam bezpieczniejszy, niż gdyby poszedł do sklepu na rogu, jedyne większe ryzyko wiązało się z uiszczeniem należności w kasie. Rozejrzał się wzdłuż stanowisk kasowych. Przy żadnym nie było kolejki. Wybrał młodą kobietę, która przesuwając towary nad czytnikiem, gawędziła z koleżanką z sąsiedniego stanowiska. Przeszedł, nie zamieniając z nią słowa. Był pewien, że jego twarz nie wpadła kasjerce w oko. Okrężną drogą wrócił na parking dla przyczep turystycznych, co wiązało się z koniecznością pchania motocykla po polu. Ciężka harówka, ale niezbędna.

Dziwna to była wolność. Ciągle powracała myśl, że zamienił jedną celę na inną. Jedyne różnica polegała na tym, że w tej znajdował się razem z kobietą. Gdyby ci z Albany o tym wiedzieli, większość powie-działaby: źle ci z tym, cholerny szczęściarzu? Kto ty jesteś, ciota? Nie, nie jestem ciotą. Ale na seks nie ma miejsca w moim planie. Wierście albo nie, lubieżni, starzy recydywiści, gra idzie o coś znacznie ważniejszego, coś, co zmusza mnie do szacunku dla Samantha Tott. Walczę o sprawiedliwość, wszystko inne może poczekać.

Było zimno, zimniej niż w Albany. Dlatego dał jej koc. Może zrobiłoby się im cieplej, gdyby coś zjedli. Kusiło go, żeby kupić wódkę albo whiskey, ale to byłoby niepoważne, wydałby wszystkie

pieniądze. Miał

tylko nieco ponad dwadzieścia funtów. Pięć zarobił w ciężkim trudzie w Albany, piętnaście wyjął z tylnej kieszeni dzinsów Samantha. W końcu dawał jej jeść. Przez następne dwa dni będą musieli żywić się puszkowaną wołowiną, chlebem, zupą w proszku, bananami, czekoladą i herbatą.

Kupił mleko i cukier. Znalazła się też paczka herbatników imbirowych, dawno przeterminowanych, leżały w kredensie, w kuchni. Przyczepa wyposażona była w czajnik i rondel z pokrywką, a w butli, dzięki Bogu, został jeszcze gaz. Wiedział też, skąd wziąć wodę. Jak powiedział mu pewien stary recydywa, wszyscy jedziemy na bananach, bez czaju, łóżka i kibla.

Tak, to była niezła meta na kilka dni, pod warunkiem że zachowa czujność. Zapamiętał to miejsce sprzed lat, kiedy farma sprzedawała truskawki, które samemu się zebrało. Przyczepy kempingowe - żadna nie była zamieszкана - stały w rzędzie na polu, obok grządek z owocami.

Właściciele płacili farmerowi czynsz za możliwość parkowania ich tutaj.

W czasie, który Mountjoy spędził w Albany, pole mogło być wykorzystane w inny sposób, przyjechał więc tutaj, żeby sprawdzić, czy wszystko jest jak dawniej, zanim złapał Samentę.

Łapanie Samantha, cóż to za ryzykowna operacja, patrolowanie Stall Street, jednej z najruchliwszych ulic w Bath, śledzenie ludzi, którzy grali na skrzypcach w kwartetach, duetach, a czasem solo, z podkładem orkiestry z odtwarzacza. Miasto roiło się od wykonawców muzyki klasycznej. Zmieniali się co dwie godziny na najlepszych stanowiskach wzdłuż chodnika. Już pierwszego ranka nasłuchiwał się dość Vivaldiego, żeby starczyło mu na całe życie. Właściwie stracił już nadzieję, kiedy kobitka nie pojawiła się przez pierwsze dwa dni. Zauważył ją w sobotnie popołudnie. Nie było wątpliwości: wyglądała tak samo, jak na zdjęciu w

„Expressie”. Błada, uduchowiona twarz, która rozjaśniała się uśmiechem, ilekroć ktoś wrzucił monetę do futerału na skrzypce. Nietypowe włosy -

wielka kędzierzawa sterta, ognisto-ruda, o czym nie wiedział, zdjęcie w gazecie było czarno-białe. Wiele razy wysłuchał kawałków, które grała na skrzypcach, ocenił najlepszą chwilę, żeby do niej podejść, właśnie wtedy, kiedy miała się już spać. Zrobił to z przekonaniem, powiedział jej, że jest właścicielem nowej restauracji w Bathaston i jest gotów zapłacić dwanaście funtów za godzinę, jeśli zgodzi się tam grywać. Może to nie tyle, ile zarabia, grając na ulicy w dobry dzień (doskonale to ocenił), ale w październiku pod dachem będzie cieplej i wygodniej. Dostanie też napiwki od klientów, jeśli będzie grała na zamówienie. Swojemu mitycznemu bistro nadał z francuska brzmiącą nazwę, powiedział, że wszystkie kelnerki są studentkami, i zaprosił ją, żeby zaraz to sobie obejrzała. Ujęta jego sympatyczną gadką poszła z nim do Orange Grove, wsiadła na tylne siedelko motocykla i została odwieziona do swojego więzienia.

Teraz znowu się poruszyła, odwróciła głowę na poduszce, uwalniając masę rudych włosów spod koca. Otworzyła oczy, wielkie, nie-biesko-zielone oczy, pociemniałe nie od makijażu, ale z nerwów i wyczerpania.

-
Tak, wróciłem - powiedział Mountjoy. - Zrobię herbatę. - Kiedy odpowiedziała jęknięciem, co było jasną prośbą o usunięcie knebla, odpowiedział. - Nie teraz.

Wziął parę rzeczy do kuchni, kambuza czy jak nazywa się maleńka wnęka z czajnikiem i kubkami.

-
To jest świeże mleko - poinformował ją. - Powinno smakować lepiej niż puszkowane. Gdybyś chciała kanapkę, mogę ci zaproponować chleb z wołowiną.

To nie złośliwość ani sadyzm sprawiały, że zwlekał z usunięciem knebla.

To był jego odruch warunkowy. Nie był przyzwyczajony do tego, żeby ludzie z nim rozmawiali. Samantha była prawdopodobnie nie mniej gadatliwa niż inne młode kobiety w jej wieku. Po prostu trudno było mu myśleć, gdy ktoś mówił.

Kiedy herbata była już w imbryku, podszedł do niej i usunął knebel.

Trzymał się na odległość ramienia, unikał kontaktu fizycznego innego niż niezbędnie konieczny. Poprzysiągł sobie, że tego dotrzyma. Po prawie pięciu latach celibatu ryzyko niechcianego incydentu krzyżującego mu plany było oczywiste. Uleganie pokusie na tym etapie byłoby szaleństwem.

Samantha potarła twarz o ramię. Tam gdzie był knebel, miała różowe otarcie.

-
Nie rozwiążesz mi rąk?

-
No to się odwróć.

-
Nie rozumiem, po co mnie zakneblowałeś - powiedziała, leżąc twarzą na poduszce. - W okolicy nie ma nikogo, kto mógłby usłyszeć mój krzyk. Kto zamieszkałby w przyczepie w pałdzierniku?

To była próba, sondowanie informacji. Nie odpowiedział. Bezustannie go sprawdzała, próbowała ustalić, gdzie są. Chyba minęły jej już strach i gniew, zrozumiałe reakcje, kiedy się jest porwanym, i teraz zwracała się do niego nieomal po przyjacielsku. To był kolejny powód, dla którego rozmowa tak go męczyła. Lepiej dawałby sobie radę, gdyby traktowała go przez cały czas z wrogością. Ale ona była mądra, rozbrajała go wieloma na pozór spontanicznymi uwagami.

Nalał jej herbaty. Usiadła i wzięła kubek w obie dłonie, żeby je ogrzać.

-
Nie kupiłeś gazety?

-
W supermarkecie? Spojrzała na niego bystro.

-
Teraz sprzedają je w supermarketach. Nie chodzisz nigdy na zakupy?

Nie wiedziała - przynajmniej nie powinna wiedzieć — że uciekł z więzienia. Parokrotnie mało brakowało, a złapałaby go w pułapkę.

-
Nie interesują mnie wiadomości - uciął dyskusję.

-
Powinny, jeśli dotyczą ciebie. W gazecie mogłoby się znaleźć moje zdjęcie. „Poszukiwania zaginionej studentki”.

-
Łudzisz się - mruknął Mountjoy.

-
Mój tata o to zadba. Jest zastępcą komendanta policji. W każdym razie to ktoś z branży.

-
Wiem.

-
Myślisz, że skoro jest szycią w policji, to ma kupę pieniędzy, ale mylisz się. Nie płaci się im dużo. Z czego żyjesz? Co robisz, nie licząc porwania bezbronnych kobiet?

-
Robię im kanapki, o ile nie są, do kurwy nędzy, zbyt ciekawskie -

odparł Mountjoy.

-

W porządku. - Odrzuciła koc. - I chcę, żeby rozwiązano mi nogi.

-

Po co?

-

Nie bądź tępy.

-

Znowu?

Funkcje fizjologiczne krępowały ich oboje. Co więcej, rozwiązanie jej sprowadzało dodatkowe niebezpieczeństwo. Była silną młodą kobietą. Za każdym razem, kiedy korzystała z toalety, istniało ryzyko, że to pretekst do próby ucieczki, a zatem drzwi musiały pozostawać otwarte.

Pozwolił jej rozluźnić przewód elektryczny zawiązany wokół jej kostek.

-

Myślisz, że co bym zrobiła, gdybyś mnie nie związał? Nie zajdę daleko bez butów, prawda?

Nie odpowiedział. Otworzył tylko drzwi do toalety i włożył między nie stopę, żeby nie można ich było zamknąć. W planach ta wielka przyczepa wydawała się idealna dla jego celów. Nawet luksusowa. Nie miał zamiaru zadawać niepotrzebnych cierpień. Nie lubił ograniczeń fizycznych. Teraz coraz bardziej dawały mu się we znaki.

-

Jak długo to jeszcze potrwa? - zapytała.

-

To zależy.

-

Od mojego ojca?

-

Dla mnie to już za długo.

-

Ale ma się skończyć tak, jak byś chciał?

-
Oczywiście.

-
Kiedyś, w przeszłości - powiedziała - wyobrażałam sobie, że zostałam porwana, ale przez kogoś takiego, jak Harrison Ford, i nie brakowało tam koców, i nawet nie pomyślałam o zmianie bielizny albo o gorącej kolacji. Bycie zakładnikiem jest wstrętne i poniżające.

Rozmawiałaś z moim ojcem przez telefon?

-
Nie.

-
To jak się z nim skontaktowałaś? Listownie? Jak ma się dowiedzieć, że zostałam porwana?

-
Czuwam nad wszystkim.

-
Przekazałaś przez kogoś informację?

-
Coś takiego.

-
I jesteś pewien, że wie?

-
Jestem pewien.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę.

-
Niewiele to powie moim rodzicom, gdyby byli oporni, prawda?

Żądasz jakiegoś kolosalnego okupu?

-
Chcesz kanapkę z wołowiną czy nie? - mruknął.

-
Powiedziałam już, że chcę. Nie słuchałeś. Może chcesz mnie teraz przekupić? Mam przestać zadawać pytania, zanim dostanę jeść? Mogę sobie sama przygotować, jeśli mi pozwolisz.

Nie wpuścił jej do kuchni. Kazał wrócić na łóżko. Kiedy okręcał jej kabel elektryczny wokół kostek, wyjęła z kieszeni grzebień i zaczęła rozczesywać włosy, rozdzielać kosmyki i czochrać je kokieteryjnie, żeby przywrócić bujne kędziory.

Mountjoy chciał powiedzieć coś uprzejmego, kiedy ją wiązał, co raczej nie było dżentelmeńskim czynem.

-
Od dawna nosisz takie włosy?

-
Od jakiegoś pół roku. Powinny być bardziej miękkie. Muszę je umyć.

-
Wyglądają świetnie.

-
Są tłuste, splątane i czuję się w nich okropnie.

-
Naturalne?

-
Oczywiście, że nie. Musiałam spędzić u fryzjera całe wieki.

-
Miałem na myśli kolor.

-
A, to. Tak. Z tym się urodziłam. Nie znosiłam tego, kiedy byłam mała. Przez cały czas mnie przezywali.

-
Skoro chcesz być jedną z wielu, czemu je tak stylizujesz?

-
Teraz to nie ma dla mnie takiego znaczenia. To wielki plus, kiedy jest się zauważanym.

-
Chodzi ci o mężczyzn?

Poczerwieniała i spojrzała na niego speszona pytaniem. Poczucie zagrożenia seksualnego, które prawie całkiem odegnała od siebie, znów się pojawiło. Odpowiedziała sztywno i pospiesznie.

-
Chodzi mi o to, że jestem muzykiem. W muzyce klasycznej też pojawiła się konkurencja wyglądu, tak jak w muzyce pop. Trzeba sprzedać siebie, tak jak sprzedaje się swój talent. Wybrałam styl, który coś mówi.

Odezwał się niedbałym tonem, który miał przywrócić zaufanie.

-
Ty mówisz, a ja robię kanapkę.

Nie było to trudne zadanie - kwadratowy plaster wołowiny z puszciki między dwoma kawałkami krojonego chleba. Bez masła, bez majonezu.

Niezbyt wyrafinowana kuchnia.

Nadal czesała włosy. Zajmowała się nimi jak kot, odkąd ją tutaj przywiózł.

-
Co będzie zjedzeniem, kiedy skończą się pieniądze? - zapytała. -

Większość musiałeś już wydać.

Nie odpowiedział.

-
Będziesz musiał wziąć moje skrzypce i pójść na ulicę -

powiedziała. - Umiesz grać? Jeśli nie, powinnam udzielić ci lekcji.

Będzie można jakoś zabić czas.

Wręczył jej kanapkę na talerzu i zapytał, czy chce jeszcze herbaty. Trochę zostało w imbryku.

Powiedziała, że napiłaby się jeszcze.

-

Dziwi mnie, że kupiłeś herbatę sypaną. Torebki są praktyczniej-sze.

Ja tylko to kupuję. Można je teraz dostać we wszelkich odmianach -

orange pekoe, earl grey, lapsang souchong.

To „teraz” było kolejnym szturchańcem. Domyśliła się, że uciekł z więzienia. Właściwie był tego całkowicie pewien. Uspokajał się, że nie powinien się tym przejmować. Teraz nie miało to wielkiego zna-czenia.

Tylko na początku nie chciał, żeby wpadła w panikę.

-

Co masz jeszcze w torbie? - zapytała. - Przyniosłeś coś naprawdę smacznego?

-

Czekoladę.

-

Dostaję od niej wysypki, ale zjem trochę, kiedy naprawdę zgłod-nieję. Mogę ją zobaczyć? - Rzuciła grzebień i wyciągnęła rękę do tor-by, która nieopróżniona do końca nadal stała na podłodze.

-

Nie.

-

Dlaczego? - Wydawała się urażona. - Nic się nie stanie, jak zo-baczę. Nie mam zamiaru ugryźć ani kawałka twojej cennej czekolady, jeśli tego się obawiasz.

Wziął torbę i zaniósł ją do kuchni.

-

To były moje pieniądze - zauważyła. - Mam prawo wiedzieć, co za nie kupiłeś.

W kuchni zaczął przekładać zakupy do małej szafki. Nie chciał

provokować jej bardziej.

-

Dwa krojone chleby, cztery paczki bulionu z kury, pół litra mleka, trochę herbaty, trochę cukru. Zadowolona? - zapytał.

-

A czekolada?

-

I czekolada.

-

Nie rozumiem, dlaczego traktujesz torbę z zakupami jak tajemnicę państwową - powiedziała.

-

To już robi się nudne. - Poza zasięgiem jej wzroku wyjął z torby ostatni zakup i położył go tam, gdzie nie było go widać, na szczycie szafki.

Była to paczka farby do włosów z etykietką „Mocha”.

Rozdział 5

ZAPACH SMAŻONEGO BOCZKU ROZSZEDŁ SIĘ W POWIETRZU.

Z głębi łóżka wydobyły się ledwie zrozumiałe słowa.

-

Możesz zgarnąć moje ubranie z krzesła i tam zostawić tacę.

-

Jest pięć po ósmej, proszę pana - oznajmił kadet, wychodząc.

Diamond usiadł.

Śniadanie to był genialny pomysł. Mniej przekonany był do snu. Trzy godziny nie wystarczyło. Został mu pulsujący ból głowy i posmak w ustach, jakby odkurzał nimi dywan. Sięgnął po kubek na tacy.

Herbata była smaczna. Nie z termosu. Prawie jak w domu.

Z ciekawości nachylił się nad tacą i podniósł pokrywę. Jakiś anioł w kantynie miał dobrą pamięć: dwa jaja pokrywały bladą różowość na grubym, przysmażonym chlebie z kilkoma pasemkami kruche-go, prążkowanego bekonu, kiełbaską, grzybami, pomidorami i kupką frytek.

Potem przyszło mu do głowy, że ostatni posiłek skazańca przygotowuje się dokładnie według jego życzenia. Czy chcieli mu przez to coś powiedzieć?

Przez drzwi zajrzał Keith Halliwell.

-

Jak się masz, szefie?

-

Potrzebuję aspiryny. Zaraz, zanim po nią pójdziesz, co nowego?

-

Nic o Mountjoyu ani o dziewczynie. Samochód czeka, na wypadek, gdybyś...

-

...gdybym chciał zwiąć?

Halliwell uśmiechnął się tak, jakby i jemu przydały się ze dwie aspiryny.

-

Tott nadal jest w okolicy? - zapytał Diamond.

-

Tak. I przyjechał Farr-Jones.

-

Defilada w galowych strojach, co?

-

Pójdę po aspirynę.

-

Dzięki. Keith...

-

Tak?

-

Trzymaj ich z dala ode mnie, jeśli dasz radę. Chcę zjeść w spokoju.

Tuż PO ÓSMEJ CZTERDZIEŚCI, z jaśniejszą głową i sytym brzuchem, zajrzał do najbliższej szatni.

-

Mógłby mi kto pożyczyć żyletkę?

Chciał się ogolić na mokro, ale jeden z nowych sierżantów uparł się, żeby pożyczyć mu maszynkę elektryczną, nie wiedząc, że Diamond obłożył

klątwą wszystko, co mechaniczne.

-

Ładne to jest. Jak to działa... tak?

Otworzył wieczko z boku. Jedna z baterii wypadła i potoczyła się pod szafkę.

-

A to? Tu, na boku jest coś jakby strzałka. Co ma się z tym robić?

-

Naciska się przełącznik.

-

Jaki przełącznik?

-

Z boku, proszę pana.

-

Nie działa.

-

I nie zadziała. Brakuje teraz baterii.

-

Nie robicie sobie przypadkiem głupich dowcipów, sierżancie?

-

Nie, proszę pana.

-

No, to jak to jest... i co się stanie, jeśli naciśnie się z tej strony?

-

O, nie!

Za późno. Pstryknął kciukiem w osłonę głowicy, która strzeliła przez pokój.

-

Psiakrew! - Oddał to, co zostało z golarki. - Czy ktoś ma coś nadającego się do użytku?

BYŁA ZA DZIESIĘĆ DZIEWIĄTA, kiedy dzięki uprzejmości Keitha Halliwella dokończył golenie na mokro, włożył koszulę, krawat i wyszedł, żeby odwiedzić starte kąty. W sali głównej poczuł się nieswojo, bo trzech z czterech policjantów, których zapamiętał sprzed dwóch lat, uniosło głowy i się uśmiechnęło. Uśmiechnęło. Chłopcy z Man-vers Street zazwyczaj nisko pochylali głowy, kiedy się pojawiał, i robili wszystko, żeby ich nie zauważył. W spojrzeniach, którymi go teraz obrzucono, było coś głęboko niepokojącego. Prawie jak uwielbienie. Przeszło mu przez myśl, że cały komisariat wie o prośbie, z którą się do niego zwrócono.

Traktowano go teraz jak Gary'ego Coopera w filmie W samo południe, a on przecież nawet nie wyraził jeszcze zgody na udział w strzelaninie.

Wrócił na górę, gdzie czekał nadinspektor. Farr-Jones z pewnością nie był

postacią z westernu. Niski i elegancki, z pączkiem róży w kłapie, mógłby dublować Johna Millsa w roli angielskiego dżentelmena ze wsi. Podał mu rękę, jakby naciskał klamkę.

-

Bohater chwili, co? To rozsądne, że się pan trochę przespał.

-

Nie sądzę, żeby miało to cokolwiek wspólnego z rozsądkiem - odparł

Diamond. - Byłem bardzo zmęczony. - Nie przeoczył tego „bohatera chwili”, ale darował mu to.

-

Tak, Tott też niedługo pójdzie spać. Nie można bez końca trzymać się na nogach dzięki czarnej kawie.

Tott oparł głowę o ścianę, mniej więcej na wysokości wykresu przestępczości, rzeczywiście wyglądał na wyczerpanego, ale nalegał, że zostanie, żeby zobaczyć, czy Mountjoy przyśle obiecane instrukcje.

-

Nie sądzę, żeby spotkał pan już kiedyś komendanta Warrilowa z Hampshire - powiedział Farr-Jones do Diamonda. - Mamy zaszczyt gościć go tutaj.

Stojący obok niego srebrnowłosa mężczyzna, który wyglądał na prezesa klubu golfowego, skinął głową.

-

Dowodzę operacją schwytania uciekiniera. Myślenie pozytywne.

Schwytanie, nie upolowanie.

-

Sprawa Mountjoya wydarzyła się, zanim objąłem stanowisko -

zwrócił się Farr-Jones do Diamonda. - Ale zajrzałem do teczki. Sędzia udzielił panu pochwały.

-

Wyróżniono pracę policji, nie mnie - przypomniał skromnie Diamond. - To była praca zespołowa.

Komendant odwrócił się do Wigfulla, któremu mimo całonocnego zarostu udało się zachować rzeński wygląd.

-

Byłeś w tym zespole?

-

Nie. Wtedy pracowałem w administracji wydziału kryminalnego.

-

Niezbyt ciekawe, ale też nie bez znaczenia. - Farr-Jones był

najwyraźniej wielbicielem psychologii. Rozumiał korzyści płynące z faktu, że ludzie czują się ważni.

-
W każdym razie było to pożyteczne doświadczenie - rzekł Wig-full. -

Ale wolę linię frontu.

Począł na tej linii, aż się pogrążyłem, pomyślał Diamond.

-
Czy poza oficjalnymi informacjami wiemy, z jakim typem człowieka mamy do czynienia? - zapytał Farr-Jones.

Diamond zrozumiał, że to pytanie skierowano do niego.

-
Mountjoy? Niezła głowa. Ukończył uniwersytet. Otworzył na wet własny college. Nieźle gada, przystojniak. Kobiety brały się na to. Silny fizycznie. A pod tym blichтром kryje się typ gwałtownika. Około 1980

roku został skazany za pobicie swojej dziewczyny. Poważne. Musiała iść do szpitala. Lekarze postąpili rozsądnie, zgłaszając sprawę, ale jakiś zidiociały sędzia odpuścił mu. Dostał grzywnę i rok w zawieszeniu.

-
O ile wiem, pobił również żonę.

-
Kilkakrotnie. Małżeństwo przetrwało tylko pół roku. Potem była żona musiała postarać się o nakaz, żeby trzymał się od niej z dala. Sophie Mountjoy niewiele miała do powiedzenia na jego obronę, kiedy z nią rozmawiałem. Zgłosiła skargę o okrutne traktowanie. Często całkiem banalne sprawy wywoływały u niego wściekłość i wtedy bił ją.

-
Czyli zasadniczo nie był sadystą? - zauważył Farr-Jones. Diamond spojrział na niego zdumiony.

-
O co panu chodzi?

-
O to, że nie robił tego na podłożu seksualnym.

-
Czy to go usprawiedliwia?

-
Chyba pan nie rozumie - powiedział Farr-Jones, dyskretnie wskazując oczami Totta.

Diamond pojął. Uwaga ta miała ukoić najgorsze obawy Totta, a nie wybielić Mountjoya. Rzucił okiem, żeby sprawdzić, jakie wrażenie zrobiło jego sprawozdanie na zastępcy komendanta. Na pozór niewielkie -

o ile cokolwiek do niego dotarło.

-
Nie, nie sędzę, żeby chodziło o seks. Tracił panowanie i wpadał w szal. W ten sposób nieszczęsna Britt Strand pożegnała się z życiem.

-
Jak się zachowywał podczas przesłuchania?

-
Wszystkiemu zaprzeczał.

-
Stracił kontrolę nad sobą?

-
Zrobił awanturę, kiedy powiedziałem mu, że wiemy o jego byłej żonie i dziewczynie. Wtedy zobaczyłem sam, jak traci nad sobą panowanie. Ale muszę być sprawiedliwy, przez dziewięćdziesiąt pięć procent czasu nie było z nim problemów.

-
Powiedziałby pan, że łączyły was dobre stosunki? Diamond spojrział

na nadinspektora ze zmarszczonymi brwiami,

ale złagodził tę minę uśmiechem i nic nie odpowiedział. Farr-Jones kiwnął

głową.

W porządku, to raczej oczywiste. Już sobie idę. Która godzina?

-

Pięć po - odparł Wigfull.

-

Ma ktoś ochotę się założyć?

-

Daję mu jeszcze pięć minut - powiedział Diamond. - Ani chwili dłużej.

Farr-Jones popatrzył na innych.

-

Czemu nie siadamy? Stawiam na wpół do dziesiątej. Każe nam pocierpieć trochę dłużej.

-

Skoro powiedział dziewiąta, to skontaktuje się o dziewiątej - upierał

się Diamond. - Zwłoka nie wynika z jego winy. Przyczyną jest sposób, w jaki się kontaktuje.

Zadzwoił telefon na biurku.

-

Rzeczywiście masz z nim dobre stosunki - mruknął Farr-Jones, odbierając. - Farr-Jones... Dobrze. Połączyć. - Zakrył mikrofon i powiedział. - Jest pomysły. Tym razem to krajowa informacja kołlejowa.

Wszyscy czekali na odpowiedź.

-

Tak?... O której?... Dokładnie o dziewiątej? Jeśli można prosić.

Dokładnie tak jak zostało przekazane. - Chwycił długopis i zaczął pisać.

Po chwili powiedział. - Dziękuję. Przeczytam to i byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan dokładnie sprawdzić każde słowo. „J.M. do Diamonda.

Natychmiast weź taksówkę do Grenville Monument i zabierz instrukcje.

Sam. Bez broni, telefonu, radiostacji albo pluskwy. Jeśli zastawisz na mnie pułapkę, dziewczyna

umrze powoli, uważaj". Zgadza się? Telefonował

mężczyzna czy kobieta?... Mężczyzna?... Dziękuję. Jeszcze jedno - to ważne - czy zechciałby pan zniszczyć kartkę i nie mówić o tym prasie ani w ogóle nikomu? - Odłożył słuchawkę i rozpostarł ręce.

-
Co to jest Grenville Monument? - zapytał Warrilow.

-
Nie potrafię powiedzieć tak od razu - przyznał Farr-Jones. Wigfull dostrzegł szansę, żeby zabłysnąć.

-
Czy to nie jest w Lansdown? Tam gdzie podczas wojny domowej stoczono bitwę? Grenville był jednym z przywódców rojalistów. Postawili kamienny słupek tam, gdzie zginął.

-
Lansdown, mówisz? - Warrilow odwrócił się do mapy na ścianie.

-
Tak. To jeden z najwyższych położonych punktów w okolicy toru wyścigowego za Lansdown Road. - Wigfull przesunął palcem wzdłuż drogi. - Kiedyś spacerowałem po Cotswold Way i przechodziłem obok niego. O, pomnik jest nawet zaznaczony. Tutaj, na wschód od Hanging Hill.

-
To otwarta przestrzeń?

-
Pamiętam jakieś drzewa czy krzaki niedaleko od tego miejsca, ale niewiele więcej. Nadal okolica wygląda na pole bitwy. Po jednej stronie drogi widać ziemne wały, które usypali jako szańce.

-
Dość głębokie, żeby dać jakąś osłonę?

-
Ale nie w tym miejscu, gdzie stoi pomnik.

-

Zasadniczo na taką operację wysłałbym helikopter - zauważył

Warrilow - ale wygląda na to, że musimy być ostrożni.

Tott poczerwieniał.

-

Nie chcę patrzeć, jak jest narażane życie mojej córki.

-

Nawet nie ma o tym mowy, Harry - zapewnił Farr-Jones. -

Bezpieczeństwo Samantha to priorytet naszego planu.

-

I dlatego zalecam bardzo ostrożną obserwację - dodał gładko Warrilow.

-

Obserwację czego? - zapytał Diamond.

-

Pańskiego spotkania z Mountjoyem.

-

Nie zgodziłem się na to spotkanie.

-

Ale z pewnością...

-

Nic nie jest pewne - odparł Diamond. - Nic nie zostało uzgodnione.

Jestem cywilem. Pamiętajcie o tym?

Zapadła nieprzyjemna cisza.

Coś trapiło Johna Wigfulla, odezwał się więc niepewnym głosem.

-

W obu informacjach od Mountjoya jest jakaś niespójność, prawda?

Wczoraj chciał, żebyśmy przygotowali samochód. Dzisiaj każe nam skorzystać z taksówki.

-

A samochód jest gotowy? - zapytał Diamond.

-

Oczywiście, mówiłem ci.

-

Ma zainstalowane pluskwy, wprowadzie niewidoczne, ale jednak?

-

Tak.

Diamond się uśmiechnął.

-

Nie będzie wam potrzebny. To był podstęp. Mountjoy wyprzedza nas w tej grze. Miał całe lata, żeby ją zaplanować.

Warrilow z sykiem wciągnął powietrze i skrzyżował ramiona, jakby chciał powiedzieć, że i on przejrzał tę pułapkę.

-

Będzie pan musiał wziąć coś ze sobą.

Nadeszła chwila, w której Diamond mógł wyłożyć karty.

-

Panowie, jeśli chcecie mojej współpracy, dobrze, ale na moich warunkach. A moje warunki są dokładnie takie jak Mountjoya. Żadnych pluskiew, żadnego radia, żadnej broni, czy... - spojrzał w oczy Warrilowa -

...obserwacji. Pojadę do Lansdown sam, żeby zorientować się, o co chodzi.

To ja jestem waszą całą obserwacją, w porządku? Jeśli wrócę żywy, a zamierzam tak zrobić, będę miał wam wiele do powiedzenia.

-

Chłopie, daj spokój, byłeś policjantem - wtrącił brutalnie Warrilow.

- Jesteśmy zawodowcami, a nie harcerzykami. Mountjoy to uciekinier, bandyta skazany na dożywocie. Nasze zadanie polega na schwytaniu go.

Nie możemy pozwolić, żeby taka okazja przeszła nam koło nosa.

-

A jeśli go złapiecie, to co stanie się z córką pana Totta?

-

Powie nam, gdzie ona jest.

-

Tak zakładacie?

-

Nie jest idiotą. To człowiek wykształcony. Będzie wiedział, że gra się skończyła.

Diamond popatrzył na innych, jakby zachęcał ich do poparcia stanowiska Warrilowa. Milczeli. Odezwał się obojętnym tonem, dodającym wagi jego słowom.

-

Kilka lat temu był taki genialny bandzior, który napadał na małe urzędy pocztowe w Midlands. Zamordował trzech pocztarzy. Nazywali go Czarną Panterą, bo nosił kominiarkę. Pamiętacie?

Warrilow niechętnie skinął głową. Przypadek był powszechnie znany i często przywoływany na kursach dla policjantów, ale nikt nie zamierzał

powstrzymać Diamonda przed wykazaniem jego ważności.

-

Był coraz bardziej ambitny. W Kidderminster porwał nastolatkę, córkę dobrze sytuowanych rodziców i zażądał okupu w wysokości pięćdziesięciu patyków. Zaplanował to jak operację wojskową. Znalazł

dobrze ukryte miejsce, żeby trzymać tam swoją ofiarę. Informacje przysyłał na kawałkach taśmy klejącej. Na początku policja miała szczęście. Znalaziono skradziony samochód z pantoflami domowymi dziewczyny i nagraniem, na którym zwracała się do rodziny o współpracę.

Badań kryminalistyczne ustaliły związek z Czarną Panterą, wiadomo już było, że chodzi o

mordercę. Do poszukiwań skierowano ogromne siły.

Dziewczyny poszukiwano przez prawie osiem tygodni. Kiedy wreszcie ją odnaleziono, było za późno. Wisiała naga na sznurze elektrycznym w podziemnym tunelu odwadniającym. Cholerny sadysta. Złapano go przypadkiem, dziewięć miesięcy później. Pytanie, dlaczego dziewczyna zginęła? Odpowiedź jest taka, że facet już był zabójcą. Cóż to takiego dla niego jedna śmierć więcej? Gdyby Czarną Panterę schwytano, zanim znaleziono dziewczynę, sądzicie, że powiedziałby, gdzie ją schował?

-

To inny przypadek - powiedział Warrilow.

-

Oczywiście, ma pan rację - odparł Diamond. A potem łagodnie dodał: - Zastanawiam się, gdzie przetrzymuje córkę pana Totta.

Znów zaległa nieprzyjemna cisza. Tott opuścił głowę. Nie można było zobaczyć wyrazu jego twarzy. Nagle odezwał się Farr-Jones.

-

W naszej operacji, jak sądzę, musimy odrzucić pomysł aresztowania tego człowieka.

Warrilow butnie wrócił do swojego pomysłu.

-

Nie mówię, że musimy zatrzymać go natychmiast, ale mamy obowiązek wobec społeczeństwa, żeby wykorzystać tę okazję do prześledzenia jego ruchów. Panie Diamond, niech pan będzie spokojny, nie domyśli się niczego.

-

Doskonale - powiedział spokojnie Diamond. - Siedźcie jego ruchy. A ja, jak pan to ujął, będę spokojny... w pierwszym pociągu powrotnym do Londynu.

-

Niech pan tego nie robi! - zaniepokoił się Tott.

-

Nie robi tego - uspokoił go Warrilow. - Żałowałby przez resztę życia.

Mówił, jakby ukończył kurs asertywności, ale to nie on miał ryzykować życie na pierwszej linii. Nie był też wśród obecnych najstarszy stopniem.

Farr-Jones odchrząknął.

-
Panowie, to sytuacja nadzwyczajna i byłoby rozsądne, gdybyśmy ustalili parę priorytetów. Panie Warrilow, pańskim zadaniem jest schwytanie Mountjoya, a my zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby panu pomóc. Najważniejsze jest jednak bezpieczeństwo panny Tott.

-
Dziękuję panu — szepnął Tott. A Diamond pokiwał tylko głową, bo ani słowem nie wspomniano o jego bezpieczeństwie.

-
Słyszałem, że pan Diamond, kiedy tutaj służył, miał duże osiągnięcia - mówił dalej Farr-Jones.

-
Lepsze niż ktokolwiek inny - wtrącił gorliwie Tott.

-
Nie zawsze postępował podręcznikowo, ale osiągał dobre rezultaty

- wyjaśnił Farr-Jones, zapewne ze względu na to, co znalazł w aktach personalnych. - Zna Mountjoya. Aresztował go. W tej nadzwyczajnej sytuacji jest naszą największą nadzieją. Jestem skłonny poprzeć go w stu procentach.

-
Bez obserwacji? - zapytał Diamond.

-
Tak.

-
Bez pluskiew?

-
Bez pluskiew.

-
Chciałbym, żeby mój sprzeciw został zaprotokołowany - obraził
się Warrilow.

-
Oczywiście - odparł Farr-Jones, nie patrząc na niego. - Jest pan gotów od razu wyruszyć, panie
Diamond?

Czas na podjęcie decyzji. Przemówił policjantom do rozsądku, ale czy był
teraz gotów, żeby dobrać się do Mountjoya?

-
Może ktoś wezwie taksówkę? Przepraszam za ten samochód, który przygotowałeś, John. A jaki to
samochód, przy okazji?

Wigfull się nachmurzył.

-
Chodzi ci o markę? Vauxhall cavalier. Diamond się uśmiechnął.

-
Też mi pomysł, żeby na pole bitwy w Lansdown zabierać kawalera.

Przecież przegrali wojnę domową?

WYSŁUŻONA TAKSÓWKA KORPORACJI ABBEY RADIO wlokła się w powoli posuwającym
się sznurze samochodów, obok znajomych punktów orientacyjnych, jak Moon, Sixpence, Muzeum
Poczty. Peter Diamond siedział obok kierowcy i oceniał zmiany. Usunięto szpetnego świętego
Michała z kamienia, odsłaniając niespodziewanie ładny kościół.

Rossiter's, gdzie Steph zawsze kupowała kartki okolicznościowe, pozostał, ale zniknęła mała
kawiarenka dwa domy dalej, w której gromadzili się studenci. Mieli tu tanią, zdrową zupę
jarzynową.

Antykwariatowi z książkami jakoś udało się przetrwać recesję. Nadal wystawiano tam stare książki i
wabiące klientów ręcznie pisane streszczenia; kiedyś znalazł tam piękny egzemplarz Fabiana ze
Scotland Yardu, książki, którą bardzo cenił. Sklepy w tym mieście zmieniły się, ale praca
detektywów jeszcze bardziej, zdaniem Diamonda, nie na lepsze.

Władzę przejęli biurokraci i technicy od komputerów. Dziwne, że rano, w centralnym komisariacie,

przypominającym koszary budynku przy Manvers Street, poczuł się jak w drugim domu.

Dobrze, że Farr-Jones i inni nie wiedzieli, co mu chodzi po głowie. Nie chciał, żeby podejrzewali, że stęsknił się za tą pracą. Lepiej, żeby sądzili, że znalazł swoje powołanie w zbieraniu wózków sklepowych z parkingów supermarketu.

Niebezpieczeństwo tej jednoosobowej misji było realne. Mount-joy mógł

po prostu wyciągnąć pistolet i zabić go. Ale kiedy puls mu przyspieszył i przeszły go ciarki, zrozumiał, że przez ostatnie dwa lata tęsknił za takim niebezpieczeństwem.

-

Gdzie pana podrzucić? - zapytał taksówkarz. Wyjechali z miasta, między domami rozciągały się niezabudowane tereny. Po prawej pojawiły się otoczone płotem budynki wojskowe, po lewej Beckford's Tower.

-

Mógłby pan trochę zwolnić? To tylko pół kilometra za torem wyścigowym - powiedział Diamond. Kiedy zobaczył otwarte pole, pomyślał, że Mountjoy dobrze wybrał. Każdy podejrzany samochód byłoby tu widać z daleka.

Za nimi zaczęła się tworzyć kolumna samochodów. Poza dniami wyścigów, kierowcy szybko przejeżdżali odcinek prowadzący do M4, ale wyprzedzanie było tutaj trudne. Jakiś rajdowiec z tyłu zaczął błyskać raz za razem światłami.

-

Przed nami jest drogowskaz. Mógłby pan jechać trochę wolniej?

-

Koleś, jak jeszcze zwolnię, to będziesz mógł przespacerować się przede mną z czerwoną flagą.

Drogowskaz wskazywał drogę do Cotswold Way.

-

Po prawej jest wolne miejsce. Mógłby się pan tam zatrzymać? -

Diamond rzucił udręczone spojrzenie na kamienną strukturę, odległą nie więcej niż dwieście metrów od drogi.

Oczywiście stała po przeciwnej stronie i oczywiście musieli zatrzymać się co najmniej na minutę, żeby poczekać na lukę między przejeżdżającymi samochodami. Procesja za nimi robiła się coraz dłuższa i kiedy taksówka dotarła wreszcie bezpiecznie do placyku pod drogowskazem na Cotswold

Way, parada wściekłych twarzy obrzuciła ich złymi spojrzeniami spoza szyb samochodów. Gdyby w ciągu najbliższych kilku minut wydarzyło się coś złego, nie zabrakłoby świadków, którzy jako ostatni widzieli Petera Diamonda żywego.

Zignorował to, zapłacił i spojrzął na przełaz, który musiał pokonać, żeby dojść do Grenville Monument. Mężczyzna jego rozmiarów musiał uważać, żeby nie puściły mu szwy. Przeszedł bez przykrych niespodzianek i ruszył

wydeptaną w trawie ścieżką w kierunku kamiennego pomnika. Nikogo nie było widać.

Pomnik Bevila Grenville'a miał siedem i pół metra wysokości i prawdopodobnie nie był brzydszy od przeciętnego pomnika wojennego, ale trudno byłoby powiedzieć, że dodawał wdzięku okolicy. Składał się z czterech szarych, czworobocznych kamieni na szarym, czworobocznym cokole. Na szczycie stała rzeźba przedstawiająca gryfa. Całość otoczona była dwupółmetrowym ogrodzeniem. Diamond obszedł pomnik, nie wiedząc, czego powinien szukać. Napis z XVIII wieku na tym boku, do którego podszedł, był pochwałą kawalera zabitego nieopodal tego miejsca w lipcowy dzień 1643 roku. Jeśli zawierał jakąś zaszyfowaną informację, Diamond nie był w stanie jej odczytać. Zgodnie z opisem szlachetny sir Bevil niewiele miał wspólnego z Johnem Mountjoyem:

„Był doprawdy postacią wspaniałą... jego Usposobienie i Afekt tak były oczywiste, że żadna Przygoda, która zdarzyć się mogła, nie robiła na nim wrażenia, a jego Przykład wstrzymywał innych od złego, a przynajmniej taki pozór dawał. Słowem bardziej Świetlana Odwaga i Szlachetniejsza Dyspozycja nigdy nie szły pospółtu w radośniejszej i bardziej niewinnej spójności". Nie, nie wyglądał na damskiego boksera i mordercę.

Pod napisem znajdowała się współczesna metalowa plakietka ze szczegółowym opisem bohaterskiej roli, jaką sir Bevil odegrał w bitwie pod Lansdown. Plakietka została tu umieszczona przez organizację pod nazwą „Armia Króla”, jedną z tych grup, które odtwarzają dawne bitwy.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, ludzie, organizujący przedstawienia wojenne, byli także odpowiedzialni za cętkowane chryzantemy i zwiędły wieniec, który musieli przecisnąć między prętami ogrodzenia, żeby położyć go u stóp pomnika. Tusza nie pozwałała Diamondowi schylać się ani kucać. Ucieszył się, bo wystarczyło przytrzymać się pręta i dokładniej spojrzeć, żeby dostrzec kawałek białej czystej kartki. Był to rachunek sklepowy wetknięty pod doniczkę z kwiatem. Włożył rękę między pręty i podniósł go. Na jednej stronie znajdowała się lista produktów żywnościowych zakupionych w Sains-bury poprzedniego dnia. Na drugiej informacja zapisana starannie ołówkiem:

„D. przejdź się, żeby stracić trochę na wadze. Idź ścieżką przez pole. M.”

Drwina rozzłościła Diamonda, przede wszystkim dlatego że Mountjoy wiedział, iż na tym etapie obraza osobista nie spowoduje przerwania misji.

Schował rachunek do kieszeni i obejrzał się w prawo, żeby zobaczyć, którędy ma pójść. Nieuchronny będzie kolejny przełaz. W chwilach załamania, które czasem trapiły jego sumienie, kiedy schodził z wagi lekarskiej, nigdy nie rozważał czegoś tak drażniącego, jak spacerować po bezdrożach. Teoretycznie wspierał kampanię Stowarzyszenia Turystycznego o udostępnienie ścieżek

polnych publiczności. Łożył

przecież także na Stowarzyszenie Ratowników Morskich, ale nie wypływał na morze podczas sztormu.

Żałując każdego kroku, szedł powoli w stronę przełazu. Mogło być gorzej, próbował się przekonać. Nie padało. Istotnie, jak na październik, był to całkiem znośny poranek, bladobłękitne niebo, lekki wietrzyk. Gdyby powiał ostry wiatr ze wschodu, byłoby tutaj - jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów nad poziomem morza - zimno jak cholera. Proszę, jaki ze mnie szczęściarz, myślał, idę przez ten wspaniały krajobraz, żeby spotkać się z mordercą, którego wsadziłem za kratki. Szczęściarz, naprawdę.

Wgramolił się na przełaz, zszedł i ruszył przez zagajnik pod górę lekkiego wzniesienia; między drzewami widać było samochody pędzące po Lansdown Road. Zdrowy rozsądek mówił mu, że Mountjoy będzie chciał

go zobaczyć samego na otwartym polu, zanim zaryzykuje i wyjdzie z ukrycia. Czekало go co najmniej dwadzieścia minut wędrówki.

Nie było ryzyka, że zmylił drogę. Liczne drogowskazy i strzałki znaczące Cotswold Way prowadziły go coraz wyżej, do miejsca, w którym wyszedł z lasu i zaczął iść dróżką wzdłuż murku z ułożonych bez zaprawy kamieni, upstrzonych żółtymi porostami. Droga prowadziła przez cały czas lekko pod górę, co sprawiało, że zaczęły go boleć nogi.

Krajobraz się zmienił. Darń, nieporośnięta drzewami ani krzakami, wyglądała jak wstążka ciemnej zieleni, która przecinając pole jego widzenia, łączyła się z niezbyt odległym horyzontem. Szedł jeszcze jakieś trzy minuty, kiedy po jego prawej odsłonił się imponujący widok na pola, na Lam Valley, aż po Charny Down. Na razie wspinaczka się skończyła. W zasięgu wzroku nie było widać żywego ducha.

Pozostawała niewielka nadzieja, że w którymś momencie spoza ciągnącego się w dal kamiennego muru rozlegnie się jakiś głos. Mur sięgał

ponad głowę, ale tu i ówdzie były w nim małe otwory, które mógłby wykorzystać Mountjoy, przede wszystkim, żeby przez nie pa-trzeć, a po drugie jak kratę konfesjonału - tyle że zbiegły przestępca nie miał chyba ochoty na spowiedź. Z drugiej strony muru wleciała sroka; Diamond zatrzymał się, podkradł bliżej i czekał, z uchem przy murze, gotówjednak odegrać rolę księdza. Bez powodzenia. Zniechęcony znowu podjął

wędrówkę i dotarł do dziury w murze. Wspiął się, żeby sprawdzić, co jest po drugiej stronie, i stwierdził, że naprawdę jest jedyną żywą duszą na tej ogromnej przestrzeni.

Potem trzeba było zejść ze wzgórza drogą, którą część wojska uciekała z pola bitwy, toczącej się tu trzysta pięćdziesiąt lat temu. W latach szkolnych historia ta nie wywarła na Diamondzie wielkiego wrażenia, a i teraz niezbyt mocno ją przeżywał, ale solidaryzował się zdecydowanie z każdym, kto nie poddawał się dyscyplinie. Myśli miał bardzo przyziemne.

Bolały go stopy. Teraz szło mu się trudniej niż podczas podchodzenia pod górę. Zaczął się zastanawiać, czyby nie zrezygnować i zawrócić. Nie miał zamiaru bez końca iść tą ścieżką, bez względu na piękne widoki.

W dolinie widać było zabudowania gospodarskie, musiała tu więc być jakaś ścieżka czy dróżka prowadząca do drogi, od której zaczął wędrówkę.

Nie spodobała mu się myśl, że będzie musiał w trudzie wspiąć się z powrotem do pomnika.

W pewnej chwili, idąc w dół wzgórza, przypomniał sobie, co obiecał.

Miał zadzwonić do Stephanie. Westchnie i machnie na to ręką: po prostu kolejny raz zapomniał. Przez lata zebrała się całkiem spora kupka niedotrzymanych obietnic. W większości wypadków miał mocne argumenty, teraz jednak powinien pamiętać. Dlaczego musiał sobie o tym przypomnieć właśnie w tak uciążliwym miejscu?

Kiedy zbliżył się do dna doliny, zejście zrobiło się mniej strome. Przed nim płynął strumień z brodem. Ku uldze Diamonda właśnie tamtędy prowadziła ścieżka. Dobra wiadomość: przejście znajdowało się tuż ponad poziomem wody, nie zamoczy nóg. Kolejną przeszkodą była kratownica umieszczona nad rowem - przeszkoda dla bydła. Przeszedł i nie skręcił sobie kostki. Potem zatrzymał się, żeby pomyśleć; musiał już przewędrować ponad trzy kilometry. Trzeba podjąć jakąś decyzję.

Drogowskaz przy brodzie zachęcał go do wybrania drogi po drugiej stronie, wzdłuż Cotswold Way, ale to mogło oznaczać wielokilometrowy marsz po wzgórzach Cotswoldu.

Jego dobroduszość ma swoje granice. Właśnie do nich dotarł.

Oparł się o furtkę z pięciu sztachet i przyglądał scenerii. Trasa, która wiała się wzdłuż doliny, nie była najpiękniejszym widokiem, jaki napotkał

podczas tej wyprawy, ale za to najbardziej pożądanym. Podjęto pewne próby, żeby pokryć nawierzchnię asfaltem, zapewne dla samochodów, bo z jednej strony trawa została skoszona i przykryta warstwą żwiru. Dostrzegł

też znak pokazujący podejście do stanowisk wędkarskich. Tego dnia jednak nie było ani samochodów, ani wędkarzy. Całość stanowiła krótką odnogę od drogi głównej.

Pomyślał, że chce mu się pić, i właśnie zastanawiał się, czy woda w strumieniu jest czysta, kiedy uświadomił sobie, że słyszy dźwięk wydawany przez silnik, gdzieś od strony farmy znajdującej się po jego lewej stronie. Dźwięk był zbyt wysoki jak na traktor czy ciężarówkę.

Przez nieprzyjemną chwilę zastanawiał się, czy nie jest to helikopter Warrilowa. Potem zobaczył motocykl, szybko nadjeżdżający połą drogą.

Motocyklista nosił czarny, skórzany kombinezon i czerwony kask z czarną przyłbicą.

Kaskada myśli napłynęła mu do głowy. Motocykl zatrzymał się z poślizgiem kilka metrów od niego.

Motocyklista, nie podnosząc przyłbicy, odwrócił się i odpiął drugi kask przymocowany do siedzenia dla pasażera. Rzucił go Diamondowi pod nogi.

Diamond zignorował to. Nie było sensu coś mówić. Silnik zagłuszał wszystko.

Motocyklista energicznie skinął ręką. Naprawdę spodziewał się, że stukilogramowy mężczyzna włoży kask i wsiądzie na tylne siodełko.

Diamond skrzyżował ręce na piersi i spojrzał w inną stronę.

Rozdział 6

WEZWANIE DIAMONDA NA POLE BITWY było dobrym zagranem Mount-joya. Strategia, która za tym się kryła, była godna feldmarszałka.

Nie mniej - o czym dobrze wiedzą feldmarszałkowie - plany bitew muszą być czasem zmieniane w miarę rozwoju wydarzeń.

Diamondowi nie chodziło o przechytrzenie przeciwnika. Nie miał własnej strategii. Po prostu odmówił zajęcia miejsca na tylnym siodełku.

W końcu wygrał tę potyczkę, bo trzeba było uciszyć motocykl.

Motocyklista wyłączył silnik i podniósł przyłbicę. Cztery lata w Albany nadały jego twarzy mizerny wygląd, ale rysy miała takie, jakie zapamiętał Diamond, bardziej słowiańskie niż anglosaskie, z ciemnobrązowymi, głęboko osadzonymi oczami, wystającymi, wysokimi kośćmi policzkowymi, stanowczym wyrazem ust.

Diamond obojętnie skinął głową pod adresem Mountjoya, jak do nieznanomych, siedzących obok niego w barze. Miał ochotę zadać mu wiele pytań, ale dopiero wtedy, kiedy nadarzy się okazja. To przedstawię Mountjoya; niech sobie z nim radzi.

-

Nie będziemy tutaj rozmawiać - zawołał Mountjoy, nie podchodząc bliżej.

Diamond zdawał się podzielać to zdanie i milczał.

-

Podnieś kask i siadaj na ten cholerny motocykl! - krzyknął Mountjoy.

Diamond pokręcił głową.

-

Co powiedziałeś? - zapytał Mountjoy.

-

Nic. Nic nie powiedziałem. Byłoby łatwiej, gdybyś zjął kask.

-

Co?

-

Powiedziałem... E, tam, daj spokój. - To oczywiste, że Mountjoy nie słyszy ani słowa.

Teraz Mountjoy spróbował perswazji.

-

Nie zabiorę cię daleko.

-

Nigdzie mnie nie zabierzesz - odparł Diamond, ale mówił do siebie.

-

Grasz na czas, czekasz, aż dotrze tu banda z pistoletami i tarczami?

Diamond wzruszył ramionami i rozłożył ręce na znak bezradności.

-

Słuchaj, glino, mówię do ciebie, do cholery. Możesz spisać dziewczynę na straty, jeśli mnie zgarniesz.

Dziwny był ten kulturalny głos, starający się mówić słowami twarździela.

Więzienie mogło zahartować Mountjoya, ale przecież zaledwie cztery lata temu był dyrektorem college'u i to nie dawało się ukryć. Był okrutny, ale przemoc stosował w domowych pieleszach, a jego ofiarami padały kobiety. Nigdy nie używał jej na ulicy.

Diamond ziewnął demonstracyjnie i odwrócił wzrok, popatrzył z nieuzasadnionym zainteresowaniem na kłaki wełny, które jakaś owca zostawiła na płocie z drutu kolczastego.

Chyba udało mu się przekazać aluzję, bo Mountjoy rozejrzał się po okolicy, żeby upewnić się, czy nie ma zasadzki, i postawił motocykl na nóżki. Potem zjął kask i położył go na baku.

Więzienie dodało kilka siwych kosmyków do jego ciemnych włosów.

Przejechał po nich wolną ręką.

-

No dobrze, porozmawiajmy tutaj.

-

Rób, jak uważasz - odparł Diamond, jakby decyzja należała wyłącznie do Mountjoya.

Mountjoy, co rozumiałe, odczuwał potrzebę umocnienia swojego stanowiska.

-

Słyszysz mnie dobrze? Jeśli mnie zgarniesz, to koniec dla dziewczyny.

-

Moje zadanie nie polega na zgarnięciu ciebie.

-

Jak to?

Diamond już miał ochotę powiedzieć, że nie jest na policyjnej liście płac.

Powstrzymał się. Nie wydobyłby nic z Mountjoya, gdyby po-grzebał jego nadzieje.

-

Nie jesteś moim problemem - powiedział. - Albany należy do Hampshire. To tamci chłopcy chcą cię znaleźć.

-

Poprawka, nadinspektorze - zripostował Mountjoy. - Nadal jestem twoim problemem. Wsadziłeś mnie w 1990 za morderstwo, którego nie popełniłem.

-

Zostaw tę starą śpiewkę - odparł z pogardą Diamond, jakby się tego nie spodziewał. - Wymyśl coś lepszego, John.

Szczęki Mountjoya drgnęły złowieszczo.

-

Diamond, nie zabiłem Britt Strand. Nie jestem świętym, ale nikogo nie zabiłem... przynajmniej na

razie.

-

To groźba, prawda?

-

Nie pozwolą mi na wznowienie procesu. Co mam zrobić, żeby dobić się sprawiedliwości?

-

Jeśli skrzywdzisz Samanthę Tott, już po tobie. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Mountjoy nie odpowiedział i wrócił do swojej sprawy.

-

Pomyśl, wyrwałem się z Albany. Mógłbym gdzieś się zaszyć, ale wróciłem do Bath. Dlaczego? Dlaczego miałbym ryzykować, gdybym był

winny?

Istotnie, Diamond też zastanawiał się nad tym faktem.

-

Nie wiem, ale dam ci za darmo radę. Jeżeli naprawdę myślisz, że masz jakieś szanse, idź do jednego z tych kanałów telewizyjnych, gdzie robią programy ukazujące niekompetencję policji. Albo jej stronni-czość.

To oni obalają wyroki.

-

Nie mówię, że byłeś stronnicy. Gdybym tak uważał, nie rozmawiałbym z tobą. Pomyliłeś się, tragicznie się pomyliłeś i nie mogę ci tego wybaczyć, ale sądzę, że byłeś uczciwy, myląc się. Jesteś moją nadzieją. Muszę doprowadzić do tego, żebyś przyznał, że schrzaniłeś sprawę.

-

Groźbą?

-

Czy ci groziłem?

-

Samantha Tott jest zagrożona.

-

Przeżyje, jeżeli zrobisz to, co ci powiem.

-

To jest groźba.

Mountjoy popatrzył na niego z wściekłością.

-

Może zaproponujesz jakiś inny sposób, żeby oddano mi sprawiedliwość? - Najwyraźniej nie przyjął sugestii na temat telewizji albo nie usłyszał, co Diamond mówi. - Nie wiem, kto zamordował tę, Strand. To było twoje zadanie.

-

Nie było innych podejrzanych.

-

Wiem. Wszystko wskazywało na mnie. Miałem motyw. Chciała mnie obsmarować.

-

Przypomnij mi szczegóły - zagadnął uprzejmie Diamond. Chciał

zrobić cokolwiek, żeby Mountjoy trochę się odprężył i zaczął być bardziej gadatliwy. - Od tamtej pory miałem inne sprawy. Była dziennikarką, wolnym strzelcem, prawda?

-

Grzecznościowa nazwa. Na litość boską, przecież pamiętasz! Żeby zebrać materiały do artykułu, zapisała się do mojej szkoły językowej, udawała studentkę. Nędzne oszustwo. Nie sądzę, żeby ktokolwiek to podważał.

Diamond wzruszył ramionami.

-

Afera, którą ty zorganizowałaś, była nędzniejszym draństwem.

-

Jaka afera?

-
Daj spokój. Werbowaleś młodych Irakijczyków na tak zwane kursy angielskiego, latem, kiedy wszyscy wiedzieli, że zanosi się na wojnę.

-
No tak. Niektórzy chcieli uniknąć wojska. A niektórzy byli prawdziwymi studentami.

-
A niektórzy szpiegami. Świetnie wiesz, że dziewięćdziesiąt procent z nich zapisało się, bo chcieli mieć papiery, że są studentami kursów dziennych. A dla ciebie wszyscy byli bardzo dochodowi.

-
Mówisz, że to afery, a ja mógłbym wymienić wiele college'ów, w których dzieje się to od lat. - Mountjoy zmienił temat. - Zapisują ich na piętnaście godzin nauki w tygodniu, wiedząc, że więcej ich nie zobaczą. I nie są to studenci wyłącznie z krajów Bliskiego Wschodu. Jakies siedemdziesiąt pięć procent różnych krajów wydaje wizy na podstawie takiego kawałka papieru. Nie bronię tego procederu, mówię tylko, że nie wiem, dlaczego ta kobieta dobrała się właśnie do mnie.

-
Bo byłeś na miejscu, w Bath, gdzie ona mieszkała - powiedział

Diamond. - Chodziło też o czas. Saddam najechał Kuwejt w sierpniu. Britt Strand była bystrą dziennikarką. Widziała, że nadchodzi wojna w Zatoce.

Artykuł o twoim college'u można było sprzedać tabloidom jako ogólnokrajowy skandal: szkoła prywatna daje osłonę potencjalnym szpiegom.

-
To by mnie wykończyło. No i tak się stało, kiedy sprawa wyszła na jaw - stwierdził Mountjoy. - Proces nie dotyczył tylko sprawy zabójstwa Britt Strand, to była konsekwencja szpiegomanii, która zniszczyła moją szkołę.

-
No, dalej, proszę - zachęcał go Diamond. - Powiedz mi, że nie miałeś sprawiedliwego procesu. Byłeś u Britt Strand wieczorem tego dnia, kiedy zginęła, to fakt. Nabierała cię, udawała szwedzką opiekunkę do dzieci, a tymczasem mieszkała w Wielkiej Brytanii od lat i na tyle dobrze posługiwała się językiem, żeby zarabiać na życie jako dziennikarka.

Zrobiła cię na szaro. Zbierała informacje. Dostała się do twoich archiwów.

Miała fotokopie formularzy zgłoszeniowych, korespondencji, dzienników klasowych, zbiorczych arkuszy frekwencji i Bóg wie, co jeszcze. Chciała zniszczyć twoją opinię. Trudno mi znaleźć lepszy motyw morderstwa.

-

Ale ja jej nie zabiłem. Diamond nie ustąpił ani na krok.

-

Wiemy obaj, że w przeszłości stosowałeś przemoc wobec kobiet.

Twoja była dziewczyna, twoja żona. Gdyby coś z tego zostało dopuszczone w postaci dowodu...

-

Ty o tym wiedziałeś - wtrącił Mountjoy. - To przesądzało o twoim stosunku do sprawy.

-

Owszem, ale miałem jeszcze jedną przewagę nad przysięgłymi -

powiedział Diamond. - Widziałem ciało. Widziałem, jak je okaleczyłeś, przepraszam, powiedzmy, jak okaleczył je morderca. Tego nie można nazwać zabójstwem z zimną krwią. Popołniono je w afekcie. Było w koszmarnym stanie.

Mountjoy patrzył w niebo. Nad Bath przelatywał samolot, za daleko, żeby mógł dokonywać obserwacji. Znowu spojrzał na Diamonda.

-

Odmawiasz ponownego przyjrzenia się sprawie?

-

Dlaczego ci na tym zależy? - zapytał Diamond. - Jestem ostatnią osobą, którą warto o to prosić.

Mountjoy nie ustępował.

-

Nie. Pracowałeś nad tym. Znasz akta sprawy. Zapisy przesłuchań.

Listy podejrzanych.

-

Jakich podejrzanych? Podejrzany byłeś tylko ty.

-
Uparłeś się na mnie - odparł Mountjoy. - Nie szukałeś nikogo innego.

Diamond westchnął.

-
Ile czasu zajęło przysięgłym uzgodnienie werdyktu? Dziesięć minut, piętnaście?

Jakby nie słyszał.

-
Jeśli ktokolwiek może znaleźć zabójcę, to tylko ty.

-
Prosisz mnie nie tylko o to, żebym odrzucił wnioski ze śledztwa i udowodnił twoją niewinność. Oczekujesz, że przypiszę to przestępstwo komuś innemu?

-
To jedyna pewna droga do obalenia wyroku. Diamond nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

-
Nie spotkałem większego optymisty od ciebie. Pomyślałeś, czym dla mnie jest udowadnianie, że w 1990 roku wszystko, co zrobiłem, było złe?

-
Jesteś uczciwy, inaczej nie chciałbym skorzystać z twojej pomocy -

rzekł Mountjoy.

Diamond zauważył, że Mountjoy powiedział „skorzystać”, a nie

„poprosić”. Zeby tak mówić, musiał mieć jakieś podstawy.

-
Czy jest coś, co mógłbyś mi dać, choćby jeden nowy dowód, który zmieniłby moje zdanie sprzed czterech lat?

-
Nie.

Diamond rozłożył ręce, jakby to kończyło sprawę.

-

Musisz w tym pogrzebać. - Mountjoy zareagował z pasją na negatywną odpowiedź. - Jak miałem znaleźć coś nowego, skoro byłem zapuszkowany w Albany? Ktoś zabił tę kobietę. I nadal jest na wolności, śmieje się z ciebie w kułak. Nie irytuje cię to? - A gdy nie otrzymał

odpowiedzi, dodał: - Musiał jej nienawidzić, chyba że to był jakiś kompletny świr. Musiała mieć jakichś kochanków, których rzuciła, jakichś rywali w pracy, ludzi, pod którymi kopała dołki.

-

W swoim czasie brałiśmy to pod uwagę - powiedział Diamond.

-

Tak, ale gdy już uznałeś mnie za podejrzanego, czy z tą samą energią prowadziłeś dochodzenie w innych kierunkach? Jasne, że nie.

Przez chwilę słychać było tylko plusk wody na kamieniach. Mountjoy nie podał niczego istotnego, co wsparłoby jego twierdzenie. Na jego korzyść świadczyło tylko to, że tak się natrudził, by zorganizować to dziwaczne spotkanie, chociaż zdrowy rozsądek nakazywałby, żeby siedział w ukryciu.

No cóż, skoro miał młodą kobietę jako zakładnika, trzeba było się z nim dogadać.

-

Załóżmy, że znowu otworzę śledztwo, tak jak chcesz, i nadal nie znajdę winnego zabójstwa?

-

To by znaczyło, że nie nadajesz się do swojego zawodu - skwitował

Mountjoy. W jego szeroko otwartych oczach odbijało się szare październikowe niebo.

-

Jak myślisz, długo pozostaniesz na wolności? Nie możesz się spodziewać, że przerwiemy poszukiwania.

-

Nie poddam się. Diamond sondował dalej.

-

Z dziewczyną w charakterze zakładnika? To, co robisz teraz - bo przetrzymujesz ją wbrew jej woli - jest przestępstwem.

-

Nie opowiadaj mi bzdur. Żądam od ciebie działania, Diamond.

Lepiej, żebyś powiedział mi o jakichś postępach, kiedy znów się spotkamy. Łatwo się denerwuję.

-

Wiem. Jak mam się z tobą kontaktować?

-

Nie musisz. Znajdę cię. - Złożył nóżki motocykla, odwrócił maszynę i podprowadził bliżej Diamonda. - Przyjacielu, mieszkałem w Bath dłużej niż ty. Znam boczne uliczki i zaułki. Nikt nie znajdzie panny Kudłatej, zanim nie wykonasz zadania. - Schylił się i podniósł kask. - Do roboty!

Włączył silnik, włożył kask na głowę i odjechał w stronę Bath.

Rozdział 7

ANI JEDNA z GRUBYCH RYB PRZY MANVERS STREET nie okazała nawet cieńnięcia wdzięczności.

-

Dowiedział się pan czegokolwiek o mojej córce? - zapytał Tott, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie widzi potrzeby, by prosić Diamonda o współpracę. Przespał się kilka godzin i znów był szukającym dziury w całym przełożonym. - Wydawało mi się, że do tego sprawa-dza się to zadanie.

-

A mnie się wydawało, że chodziło o poznanie żądań Mountjoja -
odparł Diamond.

Natychmiast włączył się Farr-Jones.

-

Te żądania w ogóle mnie nie obchodzą. - Mówił, jakby to Diamond zgłaszał jakieś paskudne żądania. - Facet został sprawiedliwie osądzony.

Nie możemy obalać werdyktu, tylko dlatego że nie podoba mu się w więzieniu.

Komendant Warrilow, szychy z Hampshire, dorzucił trzy grosze.

-
Straciliśmy fantastyczną okazję. Diamond nie powiedział nam nic poza tym, że Mountjoy jest teraz w posiadaniu motocykla.

-
I kombinezonu - dorzucił John Wigfull z końca pokoju, żeby nie stracić szansy na zademonstrowanie swojej spostrzegawczości. -Skąd miał

kombinezon?

-
Jeśli udało mu się wydostać z Albany - odparł opryskliwie Farr--

Jones - z pewnością potrafi zwędzić motocykl i skórę.

Parszywe małe Hitlerki, co do jednego, pomyślał Diamond. Jak w dzisiejszych czasach podejmuje się decyzje? Może na rozkaz gor-szych Hitlerów, takich jak ja.

Warrilow dogadywał dalej.

-
Jeśli prasa dowie się o tej sprawie, będą mieli swój wielki dzień.

Podał nam się jak na talerzu, a my pozwoliliśmy mu odejść.

Stereotypowym narzekaniom nie było końca, ani jeden promy-czek nie rozświetlał mroku. To odpowiadało Diamondowi. Podczas długiej wędrówki znad brodu do Lansdown Road (gdzie złapał okazję - kierowcą był student, miła odmiana) obmyślił strategię. Znał psy-chologię narad policyjnych. Farr-Jones i jego poplecznicy przez jakiś czas będą rozpaczali. Muszą wpaść w kompletną desperację, żeby zgo-dzić się na jego warunki. Na razie niczego im nie proponował.

W końcu Warrilow uderzył w nieco bardziej optymistyczną nutę, kreśląc plan schwywania zbiega. Rutynowa sprawa: sprawdzanie sa-mochodów na drogach, kampania plakatowa, przeszukiwanie niezamieszka-nych budynków i leżących na uboczu gospodarstw. Narzekał, że potrzeba mu do tej operacji więcej ludzi, niż Avon i Somerset chcą mu dać, i żądał

powiadomienia mediów.

Do znudzenia walczyli dylemat, jaki powstał w związku z em-bargo nałożonym na informację o porwaniu. Czy wystarczy poinformować opinię, że Mountjoya widziano w okolicy i operacja mająca na celu jego schwywanie skoncentrowana jest tutaj? Warrilow chciał, żeby natychmiast zniesiono embargo. Uważał, że pełna jawność jest największą szansą dla Samantha, nie mówiąc już o nim samym. Farr--Jones i Tott upierali się, że podanie informacji o porwaniu może zahamować

delikatny proces negocjacji o uwolnienie zakładniczki. Argumentowali, że Mountjoy w przeszłości był agresywny wobec kobiet. Nie chcieli, żeby porwanie skończyło się tragedią z winy mediów, które przeprowadzą jakąś pochopną akcję.

-

A jak, waszym zdaniem, możemy osiągnąć jakiegokolwiek postępy? -

ostrym tonem zapytał Warrilow. — Mówicie o negocjacjach, ale mamy tylko paranoiczne żądanie, żeby ponownie zbadać jego sprawę. Nie oczekujecie przecież, że otworzymy jego teczkę, żeby go zadowolić?

Jaki w tym sens, skoro sprawa jest jednoznaczna?

-

Nie jesteśmy idiotami - skarcił go Farr-Jones. - Oczywistym sposobem na tego faceta jest współdziałanie. Niech myśli, że nad tym pracujemy.

-

Po co?

-

Zeby ustalić kolejne spotkania, zyskać jego współpracę.

- I...?

-

I wysledzić jego kryjówkę.

-

Mogliśmy to zrobić dzisiaj rano.

-

Za pomocą helikoptera? - zapytał Farr-Jones, trzęsąc się z gniewu. -

Nie, to wymaga subtelności, panie Warrilow, i jest oczywiste, że pan Diamond powinien brać w tym udział. Najwyraźniej Mountjoy mu ufa.

Dobrze, centrum zainteresowania przeniosło się na niego. Warrilow zapatrzył się w okno, jakby przestał liczyć na zdrowy rozsądek kogokolwiek w tym pomieszczeniu. Poza nim oczy wszystkich zwróciły się na Diamonda, który na własny sposób też wyglądał na rozczarowanego.

Farr-Jones przyłożył rękę do elegancko przystrzyżonych włosów, jakby chciał sprawdzić, czy nadal są w nienagannym stanie. Nigdy jeszcze nie miał do czynienia z Diamondem, ale pewnie przestrzegał go przed jego kąśliwym charakterem.

-

Zabieramy panu czas - zwrócił się do Diamonda. - To z pewnością uciążliwe.

Diamond odegrał Budę.

-

Nie możemy nalegać, żeby nam pan pomógł. Będziemy mieli kłopoty, jeśli pan tego nie zrobi, skoro Mountjoy sądzi, że nadal służy pan w policji i uważa pana za jedyne gline, któremu może zaufać. -

Przełrwał, żeby obdarzyć Diamonda przymilnym uśmiechem. Ręce miał

złożone jak do modlitwy, brwi uniesione wysoko. - Co pan na to?

-

Chciałbym zadzwonić.

Nawet najłagodniejsza prośba może zabrzmieć jak pogrożka, kiedy wypowiada ją człowiek o reputacji twardziela. Farr-Jones zeszywniał.

-

Do żony.

-

Nie odpowiedział pan na pytanie.

-

Odpowiem... po rozmowie z żoną. - Diamond uprzejmie skinął

głową i opuścił pokój.

Steph powinna już wrócić z porannych zakupów. Po lunchu pojedzie do sklepu dobroczynnego Oxfam, teraz był właśnie idealny czas na to, żeby zastać ją w domu.

Skorzystał z telefonu wiszącego na ścianie na parterze.

-

Chyba spędzę tu kilka dni - powiedział, kiedy już ją przeprosił, że nie zadzwonił wcześniej. - Dasz

sobie radę?

-

Mów konkretnie - odparła Steph, która nigdy nie gderwała, ale regularnie psuła Diamondowi samoocenę. - Nie spakowałeś się na dłuższy pobyt.

-

Kupię sobie szczoteczkę do zębów

-

I mocny płyn po goleniu. Dobrze ci radzę, bo przecież nie będziesz prał koszuli. W co cię wrobili?

-

Wyszła jedna sprawa z przeszłości. Uważają, że sami sobie z nią nie poradzą.

-

Niezakończony interes?

-

Myślałem, że zakończony. Ale ktoś ma inne zdanie.

-

Zdaje się, że nie chciałeś mieć z nimi nic do czynienia.

-

Ten „ktoś” to nie jest glina. Kochanie, nie mogę wchodzić w szczegóły.

-

Nie musisz. Mówisz o Mountjoyu, prawda? Tym dyrektorze szkoły, który zadźgał dziennikarkę. Przejrzałam gazety, czekając rano na telefon, którego nie było. Peter, pamiętaj, że teraz jesteś cywilem. To ich sprawa, żeby go złapać.

-

Będę pamiętał. Zapadła cisza.

-

Nie powiesz mi, żebym trzymała wszystkie okna i drzwi zamknięte i spała z gwizdkiem policyjnym

pod poduszką? - zapytała w końcu.

-

Nie wejdzie ci w drogę.

-

I będę mogła zapraszać obcych mężczyzn do domu z całym zaufaniem?

Stephanie wiedziała, jak nakłuć jego grubą skórę.

-

Co? - zapytał.

-

Cóż innego może zrobić dama, skoro zabrano jej pocieszyciela?

Opuściłeś mnie dość nagle, pamiętasz?

-

To nie potrwa długo. Roześmiała się ironicznie.

-

Gdzie będziesz mieszkać?

Ucieszył się, że o to zapytała. Do tej pory o tym nie pomyślał.

-

W hotelu Francis.

-

A już miałam powiedzieć: „Uważaj na siebie”.

Kiedy wrócił na zebranie, odbyło się to tak, jakby weszła gwiazda filmowa. Rozmowy gwałtownie się urwały.

-

Chcę przedstawić moje warunki - powiedział, zajmując krzesło naprzeciwko Farra-Jonesa. Nachylił się, opierając głowę o zaciśnięte pięści. - Jestem gotów tu zostać do czasu uwolnienia panny Tott.

-
Porządny facet - odparł miękko Farr-Jones. - Wiedziałem, że możemy na panu polegać.

-
Warunki są następujące. - Diamond nie zwrócił na niego uwagi. -

Po pierwsze, chcę mieć wgląd do akt dotyczących zabójstwa Britt Strand.

Farr-Jones, Tott i Wigfull wymienili zaniepokojone spojrzenia. Warrilow wznosił oczy do góry.

-
Pan nie mówi tego serio? - zapytał Farr-Jones. - Sam pan nam powiedział, że facet był winny jak wszyscy diabli.

-
Jeśli mam z nim utrzymać jakiś rozumny kontakt, muszę być na bieżąco ze sprawą.

Przy drugim końcu stołu rozległo się szuranie.

-
Nie wiem, czy mogę na to pozwolić. Już nie służy pan w policji.

-
To świetnie, jeśli weźmie się pod uwagę to, o co prosiliście mnie dziś rano. A skoro znalazłem się już w Bath, a nie mam innych obowiązków, jak zabiję czas? Nad kawą w Sally Lunn's?

To była prowokacja, proste stwierdzenie, że nikomu w tym pokoju nie musi okazywać przesadnego szacunku.

Farr-Jones poczerwieniał i spuścił wzrok, jakby nagle zdał sobie sprawę, że ma rozpięty rozporek.

-
No dobrze. Jeśli trzeba będzie przejrzeć akta, może pan to zrobić.

-
Bez Jeśli", panie nadinspektorze. Dziś, po południu - upierał się Diamond. - Muszę wkuć je na pamięć jeszcze dzisiaj. A to prowadzi do warunku numer dwa. Potrzebny mi pomocnik.

Pomocnik? Ma pan na myśli kogoś, z kim będzie pan pracował?

Może pan ściśle współpracować z Johnem. Robiliście to już wcześniej.

Diamond uniknął kontaktu wzrokowego z tym przeklętym karierowiczem Wigfullem.

-

Funkcjonariusz, którego miałem na myśli, to detektyw Har-greaves.

-

Kobieta? - odezwał się nadinspektor. Naruszenie ustawy o zakazie dyskryminacji ze względu na płeć było tuż-tuż. - Z jakiego powodu?

-

To mój wybór.

-

Ale...

-

Nie ma w tym niczego osobistego, ale inspektor Wigfull należy teraz do kierownictwa komendy. Potrzebna mi pełna władza, żeby działać niezależnie, jeśli to będzie potrzebne.

-

Może pan to robić.

-

Nie tylko przejrzę akta. Jeśli w teczce znajdę coś interesującego, chcę mieć swobodę w prowadzeniu śledztwa.

-

Przez pana wszystko się komplikuje.

-

Nie prosiłem się tutaj.

Farr-Jones odwrócił się do Totta, odbyła się krótka, mrukliwa konsultacja. W założeniu Diamond miał nic nie słyszeć, ale wiedział, że chodzi o ograniczenie szkód. Jeśli znajdą sposób, żeby spełnić jego zażycianki i nie pozwolić na mieszanie się w sprawy policyjne, przystaną na jego warunki.

-
No dobrze - zgodził się wreszcie Farr-Jones. - Przydzielimy panu inspektor Hargreaves. I będzie pan miał własny gabinet.

Na pewno daleko od centrum operacyjnego. Dadzą mu jakąś komórkę.

Nie odrzucił propozycji. Trzymanie się na uboczu też ma swoje zalety.

-
I samochód.

-
Jeśli zechce pan, żeby pana gdzieś podwieziono, wystarczy, że powie pan o tym na dole.

-
Mam na myśli samochód do mojego wyłącznego użytku. Twarz komendanta przybrała umęczony wyraz.

-
Doskonale. Czy to wyczerpuje pańskie warunki?

-
Niezupełnie. Chcę jasnej pozycji w hierarchii. Odpowiadam osobiście przed panem, panie nadinspektorze, przed nikim innym.

-
Panie Diamond, nie jesteśmy organizacją monolityczną. Przekazuję sporą część moich kompetencji innym. Pan Tott...

-
Pan Tott jest w to zaangażowany osobiście.

-
Wiemy o tym.

-
Lepiej uporządkować to teraz niż później - upierał się Diamond. -

Może się okazać, że trzeba będzie bardzo szybko podejmować decyzje.

Nie proszę o dowodzenie całą operacją.

-

Dzięki Bogu - mruknął Warrilow.

-

Co pan proponuje? - zapytał cierpko Farr-Jones, dając do zrozumienia, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. - Musimy koordynować wszystkie podejmowane działania.

-

Myślę z wyprzedzeniem. Jeśli w teczce Britt Strand znajdzie się coś, co spowoduje konieczność przeprowadzenia nowego śledztwa, chcę, żeby mi w tym nie przeszkadzano.

Farr-Jones wciągnął z sykiem powietrze.

-

To niebezpieczne.

-

Znam prawo. Nie będę udawał funkcjonariusza policji. Kiedy potrzebna będzie legitymacja, mam detektyw Hargreaves.

Farr-Jones milczał.

Diamond posunął się do granic.

-

Jeśli chcecie mojej współpracy, nie ma nad czym deliberować.

-

Doskonale. Jeśli chodzi o, hm... Co do...

-

I wreszcie, muszę gdzieś nocować.

-

Z tym nie powinno być problemu - powiedział z pewną ulgą Farr-Jones, myśląc zapewne, że pokoje

gościnne będą wolne.

-

W hotelu Francis.

-

Dlaczego?

-

Podoba mi się tam.

KIEDY JULIE FIARGREAVES ZAMELDOWAŁA SIE U DIAMONDA w jego nożnym gabinecie na parterze, ubrana była w czarny sweter i białe dżinsy. Blond włosy miała krótko przycięte z tyłu i po bokach. Był to wybór młodej dziewczyny pewnej swojej kobiecości.

-

Może pójdę gdzieś poszukać kilku krzeseł? - zaproponowała.

-

Dobry pomysł.

Centrum operacyjne Diamonda mieściło się w składziku. Nie w przerobionym składziku; nawet nie próbowano go przerobić. Setki ryz papieru i pudeł z kopertami leżało wzdłuż ścian na drewnianych regałach.

Stół i szafka na dokumenty stały wciśnięte w kąt tuż przy drzwiach.

-

Nie bardzo wiem, dlaczego mnie pan wybrał - powiedziała Julie, kiedy wróciła z dwoma składanymi krzesłami i pomogła je ustawić. -

Słabo znam tę sprawę.

-

Sama sobie odpowiedziałas. Sprawa wymaga świeżego umysłu.

Mogę ci podać moją wersję, ale to byłoby stronicze. Chcę, żebyś sama przeczytała akta i przedstawiła mi swoje zdanie.

-

Przecież sprawa była prowadzona bez zarzutu?

-

Nigdy tak nie jest. Szukaj dziur w całym, Julie. Spotkamy się koło trzeciej.

POSZEDŁ NA ZAKUPY NA STALL STREET: dwie koszule, paczka z trzema parami majtek ze znakiem XL oraz przybory do mycia i golenia.

Pożałował, że zapomniał powiedzieć Farr-Jonesowi o wydatkach. Kiedy doszedł do Queen Square, miał już zapytać o swój pokój w hotelu Francis, ale przypomniała mu się księgarnia położona zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej, przy Chapel Row. Nie rozczarowała go.

Wyszedł z białym krukiem do czytania w łóżku, książką, której jeszcze nie znał, wydanym w 1947 roku dziełkiem, zatytułowanym Hor-well z Yardu. Miał już Cherrilla z Yardu, Kornwalijczyka z Yardu i Fabiana z Yardu - nie dlatego, że był kolekcjonerem, ale z tęsknoty za tymi wspólnymi dniami, kiedy najlepsi detektywi mieli jeszcze coś do powieżenia.

Zameldował się w hotelu, umył się, a potem odświeżył znajomość z barem Roman. Kwaterka piwka z lokalnego browaru i z powrotem do roboty.

-

No i co, JULIE?

-

To trudne, proszę pana.

-

Trudne, bo niczego nie możesz znaleźć, czy trudne, bo możesz i nie wiesz, jak to znieść?

Zrobiła unik.

-

Na pozór prosta sprawa. Mountjoy zainwestował oszczędności swojego życia w prywatny college przy Gay Street.

-

Wybrał świetne miejsce. - Diamond ostrożnie usadowił swoją masę na plastikowym, składanym krzeselku. - W centrum Bath, georgiański budynek wpisany na listę zabytków. To pozwala zrozumieć, dlaczego kantował, zapisując studentów, którzy potrzebowali tylko pa-pierka dla swojej ambasady.

Pokiwiała głową.

-

Według akt, kiedy został aresztowany, na liście było prawie dwustu studentów kursów dziennych, płacących czesne w wysokości trzech patyków rocznie. Tymczasem szkoła mogła zmieścić najwyżej osiemdziesięciu.

-

I właśnie wtedy pojawia się młoda szwedzka dama z rozmówkami angielskimi w ręku i soczystym artykułikiem w perspektywie.

Julie gładko wrzuciła Britt Strand do swojego sprawozdania.

-

Zapisała się na wieczorowy kurs angielskiego, twierdząc, że jest opiekunką do dziecka. Mountjoy ją przyjął.

-

Był bardzo zadowolony - znowu wtrącił się Diamond. - W końcu potrzebował kilku prawdziwych studentów. Dowiedziałem się 0

Britt, że była niezwykle inteligentna i bardzo sprawna zawodowo.

Młoda cudzoziemka pracująca jako wolny strzelec w Bath i pisująca do prasy międzynarodowej to nie byle co.

-

Nie musiała mieszkać w Londynie. Technologia ułatwia życie. - Julie rzuciła okiem na leżącą przed nią kartkę. - Miała kontakty we właściwych miejscach. „Paris Match”, „Oggi”, „Stern”.

-

Tu też miała mnóstwo kontaktów. I wątpię, czy większość z tych ludzi wiedziała, że ich wykorzystuje. Była czarującą kobietą, świetnie dawała sobie radę w każdym towarzystwie. Masz to tam, w zeznaniach.

Dla jednego ze swoich chłopaków była fanką rocka w skórze 1

kabaretkach; inny facet miał ją za przedstawicielkę z wyższych sfer, która ledwie nadąza z randkami między jedną a drugą trydniową imprezą; dla przyjaciół z college'u była ubogą opiekunką do dziecka, łączącą studia z uciążliwymi obowiązkami domowymi u jakiejś mitycznej angielskiej rodziny.

Julie zaryzykowała obronę zmarłej.

-

Wszyscy pokazujemy różne strony naszego Ja" wobec różnych środowisk, w których się obracamy.

Diamond był innego zdania.

-

Britt Strand robiła znacznie więcej. To było oszustwo, profesjonalne oszustwo, a to jest niebezpieczne. W jej przypadku okazało się śmiertelnie niebezpieczne.

-

Być może.

-

Masz jakieś inne wyjaśnienie? - zapytał ostrym tonem.

-

A co, już się go pan nie spodziewa po świeżym umyśle? Przez moment patrzył na nią z gniewem, ale rozpoznał własne słowa i złagodził wyraz twarzy.

-

Przepraszam. To ty masz opowiadać. Nie pozwól mi sobie prze-rywać - powiedział, jakby miało to cokolwiek zmienić.

Julie podjęła wątek.

-

Udało się jej przekonać wszystkich, że jest cudzoziemką, która ma kłopoty ze słownictwem.

-

A naprawdę mówiła równie płynnie, jak ty czyja - powiedział, nie widząc w tym ironii, skoro Julie bez skutku próbowała zachować płynność własnej wypowiedzi.

Ale się nie zniechęciła.

-

Nauczyciele uwierzyli jej, podobnie jak studenci. Tymczasem ona w tajemnicy zbierała materiały do swojego artykułu. Zaprzyjaźniła się z sekretarką, mogła więc pojawiać się w biurze, nie

wzbudzając podejrzeń.

Wiemy, że zrobiła fotokopie mnóstwa dokumentów, bo po jej śmierci znaleziono je w zamkniętej szafce w jej mieszkaniu. Podrywała Mountjoya, owinęła go sobie wokół palca i pozwoliła mu wierzyć, że go pragnie. Tymczasem chciała go tylko zmiękczyć i uzyskać obciążające go wypowiedzi.

Podsumowania raportu dokonał sam Diamond. Uznał, że to nie-złe, ale z pochwałami się nie spieszył.

-

Przejdźmy do wieczoru, kiedy dokonano zabójstwa - wtrącił

szorstko.

-

Zaprosił ją na miasto, na wspólną kolację.

-

Po raz pierwszy wyszli razem.

-

Tak. Do francuskiej restauracji Le Beaujolais.

-

Tej na Chapel Row z tysiącami korków od butelek, które leżą w stosach pod oknami. Przechodziłem tamtędy dziś po południu.

Julie odczekała chwilę, akurat tyle, żeby wiedział, że sama da sobie radę.

-

Według zeznań kelnera dobrze się czuli we własnym towarzystwie.

Żadnych kłótni. Mountjoy zapłacił rachunek i wyszli koło wpół do dziesiątej. Odprowadził ją do jej mieszkania w Larkhall. Zaprosiła go na kawę. Miała mieszkanie na samej górze dwupiętrowego domu przy willowej ulicy. Ludzie mieszkający na dole wyjechali na Teneryfę, Mountjoy i Strand byli sami. Nie ma wątpliwości, że Mountjoy wszedł, bo znaleziono odciski palców i pasujące włosy. Poza tym nie zaprzeczał temu.

Twierdził, że po kawie wszedł. Ona zadała mu kilka uszczypliwych pytań o sposób prowadzenia szkoły językowej i nie miał ochoty zostawać.

-
Jeśli uwierzysz w to, uwierzysz we wszystko.

-
Mam mówić dalej? - zapytała Julie, nie zmieniając spokojnego tonu.

-
Tak. - Wsunął ręce pod uda, jakby miało go to zdyscyplinować. -

Dokończ historię.

-
Dwa dni później Billingtonowie, ci ludzie z dołu, wrócili z wakacji i stwierdzili, że nikt nie odbierał mleka z progu i poczty do Britt ze słomianki. Nie było od niej żadnej informacji. Zaniepokoiło ich to. Nie mogli spać ze zmartwienia. Tego samego wieczoru sprawdzili jej mieszkanie i znaleźli ciało na łóżku, ubrane w niebieską piżamę, z czternastoma ranami kłutymi. I te róże, dzięki którym prasa miała tytuły.

-
A, te róże.

Doskonale pamiętał ten obraz. Cienkie purpurowe płatki z gatunku, który kwiaciarze sprowadzają z zagranicy. Co najmniej sześć pączków wepchniętych w otwarte szeroko usta blondynki. Ich intensywny kolor kontrastował z bladością warg i policzków. Pozostałych sześć rozsypano na włoskach. Dwanaście czerwonych róż. Wspomnienie było tak żywe, że chociaż nie chciał przerywać Julie, ponownie przejął pałeczkę.

-
Kwiaty musiały już być w pokoju. Na podłodze znaleźliśmy odcięte łodygi. Ale nie było wizytówki ani papieru z bukietu. Nie miała ze sobą róż, kiedy siedziała z Mountjoyem w restauracji. Sprawdziliśmy wszystkie kwiaciarnie w Bath i w Bristolu. Tamtego dnia i poprzedniego kupiono ponad dwadzieścia wiązanek czerwonych róż. Człowiek nie pomyślałby nawet, że po okolicy krąży tylu romantyków.

-
Czerwone róże to także sposób na przeprosiny - poinformowała go Julie.

Nie wyglądało na to, żeby uznał to za istotną informację.

-

Około połowy zakupionych wiązanek zostało dostarczonych przez kwiaciarzy, ale żadna do Larkhall. Najlepsze wyjaśnienie jest takie, że Mountjoy miał je z sobą, kiedy podrywał ją u niej w domu. Nie wiemy, gdzie je kupił.

-

Jaki sens miało pakowanie ich w jej usta? - Julie zadała ważne pytanie.

Pokręcił głową.

-

Tylko psycholog mógłby na to odpowiedzieć. Prawdopodobnie wszystkie te dźgnięcia nie zadowolily go. To było ostatnie.

-

W czerwonych różach jest taka silna symbolika - zastanawiała się Julie. - Coś takiego mógł zrobić odrzucony kochanek.

-

Mógł być sfrustrowany, bo najpierw go zaprosiła pod koniec wspólnego wieczoru, a potem odmówiła wyrównania długu.

-

Ale nie tym motywem posługiwało się oskarżenie.

-

Nie, to nie był podstawowy motyw - musiał przyznać. - Ale popatrz na to z punktu widzenia Mountjoya. Przyjął zachętę ze strony atrakcyjnej studentki. Kupuje jej róże i zabiera do restauracji. Wracają do niej i zamiast tego, czego oczekiwał, napotyka całą masę pytań dotyczących podejrzanego systemu rekrutacyjnego. Wścieka się, robi się agresywny i zabijają. Spogląda na czerwone róże, które w swojej naiwności kupił, odrywa kwiaty od łodyg i wpycha w jej usta. Julia zamyśliła się nad tym scenariuszem.

-

Tak, to mogło być coś takiego, ale chyba zadźgnięcie jej powinno mu wystarczyć.

-

Skąd wiadomo, co wystarczy? John Mountjoy nie ma opinii człowieka, który potrafi panować nad sobą.

Wyciągnęła raport anatomopatologa ze sterty papierów leżących przed nią.

Dał jej wyobrażenie o przebiegu zabójstwa. Liczył piętnaście stron wypełnionych szczegółami, z załączonymi wykresami i fotografiami: wstęp z informacją o identyfikacji zwłok dokonanej przez Winstona Billingtona, datą i miejscem autopsji, tożsamością obecnych, długim opisem badania zewnętrznego i wewnętrznego. Dalej były wnioski co do przyczyny śmierci. Gdyby Diamond zapytał Julie, musiałaby przyznać, że większość raportu przejrzała bardzo pobieżnie. Brakowało jej wiedzy na temat anatomii klinicznej i cierpliwości, żeby w pełni zapoznać się z opisami. Rany zostały drobiazgowo opisane, naszkicowane i zmierzone.

Niektóre, mówił raport, były płytkie. Owszem, ofiara została ugodzona czternaście razy, ale to mogłoby zwieść tylko kogoś niezaznajomionego z tego rodzaju atakami. Tylko trzy rany pozostały po głębokiej penetracji.

Inne napotkały opór bądź ciosy zostały odbite podczas walki, bo było jasne, że Britt Strand próbowała walczyć z napastnikiem. Znalezione rany obronne na palcach obu dłoni i na lewym nadgarstku. Nie było śladów przemocy seksualnej. Napaść została zaliczona do gatunku typowych ataków nożem, a za przyczynę śmierci uznano przecięcie aorty czy też głównej arterii ciała. Rany zadano szpiczastym, ostrym narzędziem długości kilkunastu centymetrów.

Zdjęcie zrobione z góry, przed sekcją, ukazywało skupienie ran onad lewą piersią i wokół niej. Nie można było żywić wątpliwości co do intencji mordercy. Jeden z ciosów pozostawił ohydne nacięcie na szyi, ale twarz była czysta, nadal piękna, nawet z rozdziawionymi uszami, otwartymi siłą, z pączkami róży wepchniętymi do środka. Julie spojrzała na swoje dłonie i stwierdziła, że zdiera sobie skórki paznokci.

-
To nie będzie dla mnie łatwe.

-
Co masz na myśli?

-
Rozpracowanie tej sprawy. On nie budzi współczucia.

-
To gówniarz.

-
Po chwili niezręcznego milczenia Julie dodała.

-
To dlaczego to robimy? Zeby uratować życie Samantha?

-
Nie.

Ta odpowiedź zdumiała ją.

Diamond wstał i podszedł do jednego z małych okien w składzi-ku. Na Mavers Street ludzie chodzili pod parasolami.

-
Według mnie ten człowiek jest winny morderstwa. Jestem tego pewien na dziewięćdziesiąt pięć procent. Wątpliwość wynika z wybo-ru, którego dokonał. Mógł stąd uciec, a przynajmniej próbować. Tym-czasem on kładzie wszystko na jedną szalę i chce, żebym przyznał, że się myliłem.

- Odwrócił się do Julie. - Może zamierza zburzyć moje przekonanie.

-
Zeby zmusić pana do poszukania jakiejś furtki?

-
Właśnie. Jest winny, a jednak chce, żebym znalazł dla niego ja-kiś usprawiedliwienie. W tej pracy nic nie jest całkowicie pewne. Jeśli zasieje się ziarno wątpliwości, to można uwierzyć, że Crippen, który zabił i poćwiartował żonę, był niewinny. Albo Christie, seryjny zabójca.

-
Nabrałby się pan na taką sztuczkę? - zapytała.

Patrzył na nią przez chwilę, odwrócił wzrok i znów spojrzał.

-
Nie wiem. Mam nadzieję, że nie.

-
Ale nadal pan myśli, że warto ponownie przyjrzeć się sprawie?

-
Twoi zwierzchnicy byliby zachwyceni, gdybyśmy przysiedli na tyłkach i przez cały dzień grali w domino. Wolę spożytkować mój i twój czas, badając ten jeden procent niepewności. Nie mogę powie-dzieć, że to zmieni choćby o jotę sytuację Samantha. Jej szansą jest Warrilow z drużynami poszukiwawczymi. To szablonowe śledztwo, układanka intelektualna. Jeśli zgodzimy się wejść do

gry, musimy za-grać poważnie.

Zgoda?

Julie przetrwała propozycję.

-

Zgoda - potwierdziła po chwili.

W ciągu kilku minut zaufał tej dziewczynie tak bardzo, jak ni-komu, z kim zdarzyło mu się pracować, ale też nigdy nie proszono go o pracę w nienaturalnej izolacji, z tak małym poparciem ze strony zwierzchników i z tak niewielkimi szansami na sukces. Sam pokój, ciasne, surowe pomieszczenie, zdawał się wysysać duszę.

-

No dobrze. Zastanówmy się, tylko teoretycznie, czy można do tego włączyć kogoś innego - powiedział. - Załóżmy, że Britt napraw-dę żyła, kiedy Mountjoy wyszedł tamtego wieczoru z jej domu, i że po nim wszedł

ktoś inny i zabił ją.

-

Ktoś, kogo sama wpuściła - dodała Julie. - Nie było śladów włamania.

Skinął głową.

-

Morderstwa dokonano niedługo przed północą albo we wczes-nych godzinach porannych. Anatomopatolog, jak zwykle, nie był w sta-nie podać dokładnego czasu śmierci. Mamy więc kogoś, komu ufała na tyle, żeby wpuścić go wkrótce po wyjściu Mountjoya. Kiedy to było?

-

Około wpół do jedenastej.

-

Była już w piżamie albo włożyła ją, kiedy zabójca był u niej.

Wspomniałaś ojej chłopakach. Co wiemy na temat jej życia uczucio-wego?

-

Tych dwóch mężczyzn, o których pan mówił, zostało przesłu-chanych. Żaden nie miał z nią randki w

czasie, kiedy dokonano morderstwa.

-

To ich słowa, co innego mieliby powiedzieć?

-

To słowa z jej dziennika. Ostatni raz widziała faceta od koni ósmego października w jego szkółce jeździeckiej, ale, jak sądzę, poszła tam tylko po to, żeby sobie pojeździć.

-

Konno?

Nie raczyła się uśmiechnąć na tę sprośność. Podjął wątek.

-

A morderstwa dokonano...?

-

Osiemnastego października.

-

A muzyk rockowy?

-

Jake Pinkerton? O nim w ogóle nie ma wzmianki. Żeby go znaleźć, trzeba zajrzeć do jej dziennika z 1988 roku.

-

To nie był dziennik osobisty, o ile pamiętam, tylko spis umówionych spotkań.

-

Tak. Chce pan to zobaczyć? - Julie zagłębiła się w pudle z aktami i wręczyła mu laminowaną książkę z reprodukcją Matisse'a na okładce.

-

Chodzi mi o to, że zapisałaby tutaj randki ze swoimi chłopakami -

powiedział, otwierając dziennik.

-
Tak też robiła.

-
Aż kusi przyjąć założenie, że tylko wtedy się z nimi widywała.

Rozumiesz, do czego zmierzam? Gdyby spotykała kogoś na przyjęciu albo na ulicy nie zapisała by jego nazwiska. - Przerzucił kartki do października. Pamiętał wpis z dnia morderstwa, nazwisko Johna Mountjoya i czas, wpół do ósmej, nakreślone mocnymi, okrągłymi literami, niebieskozielonym atramentem. Nie był to ostatni wpis w dzienniku, bo spotkania były tam uszeregowane aż do grudnia, ale i tak widok tego nazwiska wpisanego fatalnego dnia dodawał nam pewności. Podczas procesu sama moc dowodów na papierze - włączając w to dzieńnik -

wywarła wstrząsające wrażenie... wszystkie te fotokopie z teczek w college'u, każda w przezroczywej koszulce.

Przekartkował kilka stron do tyłu i stwierdził, że nazwisko Marcus pojawia się regularnie w sierpniu. Marcus Martin, jeździec.

-
Osobiście przesłuchiwałem tego typowego dżentelmena. Doskonałe kontakty, stylowe życie w dworku, po drugiej stronie Frome.

-
Pańskie notatki są w tej teczce. Powiedział, że się rozstali.

-
Kiedy go zobaczyłem, według mnie nie wyglądał na gwałtownika zdolnego do zbrodni. Nie cierpiał na ataki zazdrości. Jakaś inna młoda kobieta przygotowywała mu w domu naleśniki.

-
Raczej crepes.

Diamond spojrział na nią zaskoczony. Zaskoczyła go jej niechęć.

-
Nie wiem. Mnie nie poczęstowali. - Nie potrafił dociec, dlaczego Julie tak bezwzględnie potępiła umiejętności kucharskie innej kobiety. -

Rzecz w tym, że Marcus prowadził uregulowane życie.

-
I miał alibi na wieczór morderstwa.

-
Niewiele warte.

-
Nie uwierzył pan w nie?

-
Twój komentarz wyjaśnia sprawę. Alibi dostarczyła dama od na-leśników. Twierdziła, że tamtą noc spędził w jej mieszkaniu.

Znów zaczął kartkować terminarz, jakby uznał, że ta sprawa zo-stała załatwiona.

Julie uprzedziła go.

-
Ten drugi chłopak to muzyk rockowy, Jake Pinkerton.

-
Nie spotkałem się z nim. Ktoś inny dostąpił tego zaszczytu. Chyba nie cenię go zbyt wysoko.

-
Jako muzyka? - zapytała i szeroko otworzyła oczy jak nastolatka. -

Był kimś niezwykłym. Jego pierwszy album solowy od razu trafił na pierwsze miejsce brytyjskiej listy przebojów.

-
Nie, jako podejrzanego.

-
Nie lubi pan jego muzyki?

-
Wolę madrygały - powiedział zgodnie z prawdą, chociaż nie-wiele wiedział o madrygałach. -
Rewolucja muzyczna mnie ominęła.

Ograniczmy się do innych aspektów jego aktywności.

-

Parę lat temu był, jak się zdaje, w bliskich stosunkach z Britt.

Według jego zeznania stosunki te ochłodziły się w 1989 roku.

-

Teraz przypominam sobie, że istniała jakaś głupia teoria na temat narkotyków, którą ogłoszono podczas jednej z narad. Pinkerton miał

kilka wyroków za posiadanie trawki i pomysł polegał na tym, że Britt miała na niego haki i groziła, że je opublikuje. Nie sądzę, żeby to bardzo zaszkodziło jego reputacji.

-

Eliminuje go pan?

-

Na tym etapie eliminuję tylko motyw. Nadal pozostaje na tapecie jako były chłopak. Tylko tyle. Gdzie był w wieczór morderstwa?

-

W domu, w Monkton Coombe.

-

Monkton Coombe? Musiał już wyrosnąć, Julie. Wypalił się. Ma kogoś, kto potwierdziłby alibi?

-

Tamtego wieczoru widziano go w miejscowym pubie. Wszedł około wpół do jedenastej.

-

Mnóstwo czasu, żeby dojechać do Larkhall. To wszystko? Żadnych innych podejrzanych? Dobrze byłoby, gdybyś dokładnie przejrzała dziennik. Zrób notatkę na temat każdej osoby, o której wspomniała.

-

W komputerze?

-

Żartujesz. Kiedy mówię notatki, mam na myśli coś, co można wziąć do ręki, kawałki kartek, a nie tańczące punkciki, od których dośtaje się zeza.

Za dobrze znała jego uprzedzenia, żeby się upierać.

Miałaś też poszukać luk w dowodach, na podstawie których skazano Mountjoya. Znalazłaś coś?

Popatrzyła na niego wielkimi niebieskimi oczami. Cokolwiek powie, zabrzmiałoby to jak koszmarna krytyka sposobu, w jaki prowadził sprawę.

Jestem pewna, że przez cały czas doskonale zdawał pan sobie z tego sprawę - powiedziała tytułem wstępu - ale zaskoczyło mnie, że na ubraniu Mountjoya nie znaleziono krwi.

To nie dlatego, że nie sprawdziliśmy. Każdą cholerną koszulę posłaliśmy do laboratorium. W dzisiejszych czasach kryminaliści oglądają telewizję. Praktycznie co wieczór mógł słyszeć o analizach DNA i testach na ultrafiolet. Jeśli nie znajdzie się tego w filmach dokumentalnych, to wypłynie w informacjach albo w filmie fabularnym. Nie możemy im już zaimponować nauką.

Pozwoliła mu pohulać na ulubionym koniku.

Nie znaleziono broni, za pomocą której dokonano zabójstwa -

powiedziała w końcu.

Musiał się jej pozbyć, podobnie jak pokrwawionej odzieży, prawda?

Chyba tak.

Naprawdę?

Powtórzyła, że tak. Nie była w stanie znaleźć niczego, co świadczyłoby za Mountjoyem.

No to sprawdźmy, co jest w dzienniku.

Rozdział 8

NA DZIESIĘĆ DNI PRZED MORDERSTWEM Britt Strand zapisała w dzienniku nazwę jednej z ulic Bath. Bez numeru domu, co utrudniało sprawę, ale jeśli Peter Diamond dobrze pamiętał, Trim Street była krótka.

Nie mogło tam być więcej niż dwadzieścia numerów, pod kilkoma mieściły się sklepy albo biura. Była to jedna z leżących na uboczu, brukowanych uliczek na wschód od Queen Square. Diamond, idąc tam, pomyślał, że w najgorszym razie odświeży wspomnienia, krążąc tam w gasnącym świetle październikowego wieczoru. W Bath, jak w większości prowincjonalnych miast, wszystko zamykano wcześniej, a ulice szybko pustoszały.

Podszedł od strony Upper Borough Walls, fragmentu starych murów obronnych, które za czasów wiktoriańskich przyozdobiono blankami, żeby nadać im bardziej średniowieczny charakter. W cieniu muru, poniżej powierzchni chodnika, znajdowało się jedno z tajemnych miejsc Bath, małe podwórze z kamienną tablicą, która informowała przechodniów, że pogrzebano tam dwustu trzydziestu ośmiu pacjentów ze szpitala Bath General. W roku 1849 cmentarz zamknięto „ze względu na zdrowie żywych”. Była to zawoalowana aluzja do epidemii cholery, która szalała w owym roku. Rzucił okiem na tablicę i poszedł dalej. Nie z braku szacunku. Zdrowie żywych niewiele go interesowało.

Kilka kroków dalej zaczynała się Trim Street, której nazwa pochodziła nie od tego, że ulica była krótka, ale po prostu dlatego, że ziemia należała niegdyś do George'a Trima. Wąska uliczka była architektoniczną mieszaniną XVIII-wiecznych budynków neoklasycystycznych i tak zwanych rekonstrukcji z lat sześćdziesiątych XX stulecia. Dysharmonie pogłębiał sposób, w jaki potraktowano fasady oryginalnych budynków.

Jedną pomalowano na różowo, inną, sąsiednią, oczyszczono, żeby odsłonić kremowy kamień z Bath, kolejną zostawiono obrosniętą dwustuletnią warstwą sadzy i brudu.

Diamond zawahał się na początku Trim Street. W tej części nie było rekonstrukcji z lat sześćdziesiątych: z jednej strony znajdowały się dwa sklepy, jeden z przyborami dla artystów i butik. Tylne wejścia do nich znajdowały się od strony cmentarzyka pod murem miejskim.

Na przeciwko nich, aż prosząc się o renowację, stał dom z klasycystyczną fasadą i kolejną tablicą, która wyjaśniała, dlaczego uniknął

przekształcenia w kawiarnię albo winiarnię: kiedyś mieszkał tutaj generał

Wolfe, bohater Quebecu. Jego wątłe zdrowie wymagało codziennych wizyt u źródeł leczniczych. Były tam także dwie firmy których istnienie pozwalało sądzić, że Trim Street jest ośrodkiem zdrowego życia: studio fitness i tańca oraz budynek z intrygującym napisem „Warsztaty pomysłów”. Może komisariat na Manvers Street należałoby nazwać

„Warsztaty śledcze”. Wypróbujcie to na Johnie Wigfullu i zobaczcie, jaka będzie reakcja.

Ciekawe, co sprowadziło tutaj Britt Strand. Najbardziej pasowałyby ćwiczenia w klubie fitness. Szwedzi to naród sportowców. Diamond kilka razy nacisnął dzwonek u drzwi i musiał uznać, że fitness i tańce dzisiaj już się skończyły. Stał pod starą lampą uliczną i zaczął się rozglądać na wszystkie strony, szukając natchnienia. Trochę dalej, tam gdzie ulica skręcała w prawo, był warsztat elektryczny, nadal otwarty.

Może to zepsuty czajnik sprawił, że ulica została wpisana do dziennika.

Ale wtedy Britt zanotowałaby nazwę warsztatu, a nie ulicy.

Ten sam argument dotyczył butików. Właśnie ktoś ryglował w nim drzwi od środka. Musiał działać szybko. Przeszedł przez brukowaną jezdnię i zastukał w szybę. Dwie kobiety, które były w środku, przeprowadziły błyskawiczną naradę. W płaszczu przeciwdeszczowym i brązowym kapeluszu filcowym Diamond nie wyglądał na klienta tej klasy, dla której warto ponownie otwierać sklep, ale któż może wiedzieć, a nuż ten człowiek podjął śmiałą decyzję, że kupi coś szykownego i drogiego dla swojej pani?

Jedna z nich odryglowała drzwi.

Nie udało mu się stwierdzić, czy wysoka, opalona kobieta w czerni to sama Kimberly czy ktoś z jej zespołu. Ojej profesjonalizmie świadczył

fakt, że nawet nie mrugnęła, kiedy wyjaśnił, że sprawa jest natury policyjnej, i pokazał zdjęcie Britt Strand. Nie trzeba było też opowiadać jej o morderstwie, które cztery lata temu stanowiło w mieście taką sensację. Była zupełnie pewna, że nigdy nie spotkała Britt Strand. Mógł ją jednak obsługiwać ktoś inny i gdybyś, kochany, zechciał na chwilę usiąść, to przejrzy listę zamówień.

Kochany spoczął na przepastnej kanapie obok georgiańskiego kołminka, rozmyślając o tym, jak nędznie jego buty wyglądają na tle różowego dywanu i ile kosztują tutaj ubrania. Materiał wystawiony w witrynie wyglądał na francuski lub włoski. Właśnie do tego typu miejsc Stephanie podążała najkrótszą drogą (w czasach, kiedy dostawał miesięczne wynagrodzenie) podczas w założeniu dziesięciominutowej wyprawy na zakupy. Kiedyś przyszła do domu z żakiem wyszywającym cekinami i stwierdziła, że hamburger na obiad to też jedzenie.

Pomocna ekspedientka wróciła z informacją, że żadnej panny Strand nie ma na listach klientów. Zapytana, jakie inne sklepy działały tutaj przed czterema laty, wymieniła Minerve, sklep z artykułami dla artystów i Nixey's, warsztat elektryczny. Potem zapytała, czy ma to coś wspólnego z punkami.

Diamond uniósł się na kanapie.

-
Punkami?

-

Wie pan, o co mi chodzi?

-

Oczywiście, że wiem, o co pani chodzi. - Nie spodziewał się takiego tematu w eleganckim butik. Punkci to byli brudni osobnicy, nosili dredy i gromadzili się w centrum miasta, wywołując trwogę i przygnębienie wśród urzędników z ratusza odpowiadających za turystykę.

-

Mówię o nich tylko dlatego, że mniej więcej w tamtym czasie bardzo się ich baliśmy. Zajęli jeden z domów na komunę. Zgłoszono to na policję.

Rzecz w tym, że to przeszkadzało wszystkim, którzy próbują prowadzić tu interesy. Może pan pamiętać?

-

Siedziałem po uszy w śledztwie dotyczącym morderstwa - wyznał

Diamond. -1 co się stało?

-

Na szczęście dla nas nie zostali tu na długo, ale słyszałam, że zostawili dom w koszmarnym stanie i narobili niezliczonych szkód.

-

Myśli pani, że tu może być jakiś związek? - zapytał.

-

Była dziennikarką, prawda?

-

Tak, ale pierwszoligową - powiedział, w elegancki sposób odrzucając jej sugestię. - Sprzedawała swoje teksty za granicę, do paru ważnych czasopism. Nie sądzę, żeby banda punków siedząca w komunie przy Trim Street zainteresowała kogokolwiek we Francji czy we Włoszech. A może, przypadkiem, pisała coś o pani sklepie?

-

Gdyby tak było, to z pewnością zareagowałabym na jej zdjęcie, bo o morderstwie było we wszystkich gazetach.

Dziewięćdziesiąt pięć procent wywiadów z ludźmi mieszkającymi lub pracującymi w okolicy prowadzi donikąd, ale w tej grze trzeba być wytrwałym, pocieszał się, kiedy wychodził z butiku. Potem spróbował

szczęścia w Nixey's, potem w Trim Bridge Galleries, na końcu ulicy.

-

ŻADNYCH SUKCESÓW - POWIEDZIAŁ JULIE, kiedy wrócił na komiśariat. - Myślałem, że poszczęści mi się w klubie fitness, ale chyba nie istniał jeszcze, kiedy ją zamordowano. Nikt przy Trim Street nie pamięta Britt.

-

To było mało prawdopodobne.

-

Ale spodobała mi się przechadzka. Jak ci idzie z dziennikiem?

Julie umieściła wszystkie wpisy do dziennika na siatce narysowanej na wielkim arkuszu. Nazwiska i miejsca były uszeregowane po lewej stronie, a u góry tygodnie, od stycznia do grudnia. Ptaszek na skrzyżowaniu linii oznaczał każdą wzmiankę. W ten sposób można było jasno określić regularne spotkania.

Diamond przyjrzał się jej dziełu z pewną rezerwą. Było to maksimum technologii, jakie potrafił udźwignąć. Dokładnie przestudiował wykres.

-

Prawdopodobnie w tych dniach płaciła czynsz. To szkółka jeździecka. To są randki z Marcusem Martinem. Tu są imiona jakichś kobiet. Kto to była May? Jej imię występuje dość często.

-

May Tan, fryzjerka.

-

To wyjaśniałoby sprawę. Britt dbała o wygląd.

-

A Hilary Mudd?

-

Kosmetyczka, robiła jej twarz.

-

Dlaczego sam się nie domyśliłem? - Przejechał palcem po liście. -

Zatem Prue Shorter - nic mi nie mów - musiała być jej manikiu-rzystką.

Jeśli miał to być sprośny dowcip, to trzeba było zareagować. Julie skrzywiła się, żeby zadowolić Diamonda.

-

Naprawdę była fotoreporterką, z którą czasem pracowała Britt.

Znowu spoważniał.

-

Koleżanka po fachu? Prawdopodobnie wtedy zebraliśmy od niej zeznania. Bądź tak miła i znajdź ją. Chciałbym wiedzieć, nad jakimi re-portażami pracowała Britt. Nie wszyscy lubią dziennikarzy śledczych.

Możliwe że narobiła sobie wrogów, zanim poznała Mountjoya.

-

Sprawdzę, czy pani Shorter jest w książce telefonicznej.

-

Zatem ona należy do ciebie - powiedział w swoim starym, władczym stylu. - Idź i spotkaj się z nią dziś wieczorem.

Nie protestowała. Każdy, kto pracował z Diamondem, mógł się spodziewać nadgodzin. Po chwili detektyw dodał:

-

Mam zamiar sprawdzić, co da się wydobyć z tego muzyka rocko-wego. - Miała ochotę zgłosić sprzeciw, ale rozsądnie przemilczała.

Diamond znów zaczął działać jak wysoki rangą detektyw i to było w porządku. Jeszcze bardziej w porządku byłoby, gdyby miał większy samochód niż ford escort, który oddano do jego dyspozycji. Na szczęście Monkton Coombe położone było zaledwie o kwadrans jazdy. Jake Pinkerton, jeśli dane były aktualne, mieszkał w domku niedaleko prywatnej szkoły.

RUSTYKALNA LAMPA ZAPALIŁA SIĘ AUTOMATYCZNIE, kiedy Diamond podchodził; przystrzyżone trawniki i przycięte szeregi drzew owocowych nie pasowały do wizerunku palącego trawkę heavymetalowe-go świra. A mężczyzna, który otworzył drzwi, okazał się elegantem w purpurowej koszuli od projektanta mody zapiętej pod szyją, spodniach koloru kawy i miękkich, wysokich skórzanych butach. Zostało mu za mało włosów, żeby warto je było zapuszczać. Koło czterdziestki, opanowany, szczupły, wysoki, o czujnych, brązowych oczach. Nie spieszył go niespodziewany gość.

-
Przepraszam, że się narzucam, panie...?

Mężczyzna odpowiedział spojrzeniem. Nie był zachwycony.

-
Pan Jake Pinkerton? Niechętne skinienie głowy.

-
Był pan tak łaskawy, że pomógł pan policji przy dochodzeniu w sprawie morderstwa, cztery lata temu. Pamięta pan sprawę Szwedki, która została zasztytowana? Sprawa znowu wyszła na wierzch i rozmawiamy z głównymi świadkami. - Można powiedzieć, że Diamond przedstawił się, nie ujawniając swojego cywilnego statusu.

Oczy Pinkertona przybrały szklisty wyraz człowieka zanudzanego przez wędrownego kaznodzieję.

Diamond brnął dalej.

-
Powie mi pan, że skazano już kogoś i że powinienem o tym wiedzieć, bo to ja kierowałem śledztwem. Nazywam się Peter Diamond.

Nie sądzę, żebyśmy się wcześniej spotkali.

-
Ten facet uciekł - uzupełnił Pinkerton. - Było o tym we wszystkich gazetach.

-
Mówiąc w zaufaniu, proszę pana, uważamy, że jest gdzieś w tej okolicy. - Diamond rozejrzał się dyskretnie, jakby spodziewał się, że Mountjoy wyjdzie zza rogu domku, z młotem kowalskim w dłoniach. -

Pozwoli pan, że wejdę?

Wnętrze było prosto z „Homes & Gardens”, umeblowane pięknymi antykami, które musiały wymagać sporych poszukiwań i dużych funduszy. We wnęce wisały trzy oprawione w ramy złote płyty. Gdzie ślady niedopałków i plamy po winie, pomyślał Diamond, oznaki heavymetalowych orgii?

Pinkerton podprowadził go do białej skórzanej sofy, a sam usiadł

naprzeciwko niego, na ławeczce pod oknem.

-

Pozwoli pan, że przetrawię te słowa - powiedział. - Ponownie otwieracie sprawę Britt Strand... i dlatego pan do mnie przyszedł?

-

Nie ująłbym tak tego. To postępowanie rutynowe, na wypadek, gdyby Mountjoy chciał się z kimkolwiek skontaktować. Twierdzi, że został niewinnie skazany.

-

A kto w dzisiejszych czasach twierdzi inaczej?

-

Nie chciałbym, żeby pan pomyślał, że jest jakikolwiek powód do paniki - zapewnił Diamond, chociaż Pinkerton był całkowicie opałowany. - Zna pan Mountjoya?

-

Nigdy go nie spotkałem.

-

Ale byliście bliskimi przyjaciółmi ofiary?

Pinkerton nie zaprzeczył wprost, choć ton, którego użył, jasno wskazywał, że wolałby, by było inaczej.

-

Między Britt a mną coś tam wtedy było. Skończyło się, zanim została zabita. To było parę lat później.

-

Zupełnie przestaliście się spotykać?

-
Każde z nas kogoś sobie znalazło, ale pozostawaliśmy w kontakcie.

Lubiłem ją.

-
Wcześniej mieliście romans?

Pinkerton przemyślał odpowiedź. Zachowywał się w sposób lekceważący.

-
Jeśli musi pan to tak nazywać.

-
Kiedy?

-
Gdzieś od 1987 roku, przez cały rok 1988.

-
Jaka ona była? - Diamond poprawił się i zapytał jeszcze raz, grzeczniej. - Chodzi mi o to, jakim była człowiekiem.

-
Britt? Była bystra.

-
Lubiła być modna?

-
Lubiła też myśleć. Wiedziała, czego chce i jak to osiągnąć. Była asem reportażu, prawda? Widziałem tylko jedną rzecz, jaką napisała. O

mnie. Kosmicznie odległe od tych bzdur, które wypisywano.

-
Gdzie się spotkaliście?

-
WConkwell.

Zagadkowa sprawa. Pinkerton wymienił wioskę położoną głęboko w Limpley Stoke Valley, na południowy wschód od Bath.

-
Miał pan tam występ?

-
Niech pan da spokój.

-
Myślałem, że może to pub.

-
Nie występuję już, a w pubach nigdy nie występowałem -

po-wiedział Pinkerton spokojnym głosem. - Jestem producentem.

-
Menedżerem innych muzyków?

-
Nie menedżerem, producentem. - Diamond nacisnął na boles-ne miejsce.

-
Proszę wybaczyć moją ignorancję. Na czy polega różnica?

-
W Conkwell jestem właścicielem kawałka ziemi. To spory frag-ment lasu, jeśli naprawdę chce pan wiedzieć. Zbudowałem tam stu-dio. Jest... -

przerwał - ...dość znane w biznesie muzycznym. Zespo-ły przybywają ze wszystkich stron, a ja tworzę dla nich unikatowe brzmienia.

-
Rozumiem. I Britt przyjechała do Conkwell, żeby zobaczyć stu-dio z zamiarem napisania o nim.

-
Zgadł pan.

-
I jedno prowadziło do drugiego... - dodał obojętnie Diamond, jakby jego własne życie pełne było erotycznych doświadczeń ze ślicznymi szwedzkimi dziennikarkami.

-
Tak.

-
Ale to nie przetrwało?

-
Nie przetrwało.

-
Czy zechciałby pan mi o niej opowiedzieć?

Pinkerton spojrzał na zegarek.

-
Była bardzo zorganizowana. Za jeden artykuł dostawała czasem tyle, że przez całe miesiące potrafiła utrzymać swój styl życia, pracując nad następnym tekstem. Nie chodziło tylko o zebranie materiału, w tym była dobra. Zawsze wiedziała, co jest hitem. Pewnego razu przejrzała magazyn informacyjny i pokazała mi, ile dobrych tekstów i wspaniałych tematów można by zrobić, gdyby odpowiednio przedstawić materiał.

Jego słowa pełne były zachwytu, ale nie ciepła. Diamondowi przyszło na myśl, że to jedna, dobrze ustawiona osoba chwali zdolność innej do robienia kariery. Cokolwiek Pinkerton robił w swoim studiu w Conkwell Woods, nie był lekkoduchem. Inteligentnie wykorzystywał swoje znajomości.

-
Czy kiedykolwiek wspominała o college'u?

-
Nie wiedziałem, że poszła do szkoły. Między nami ochłodziło się na długo przed tym wszystkim.

-

Rozstaliście się, chciał pan powiedzieć?

Pinkertonowi najwyraźniej nie spodobała się taka interpretacja.

-

Ochłodziło się, tak powiedziałem. Byliśmy dorosłymi ludźmi.

Pozostaliśmy przyjaciółmi. Czemu pan chce to wszystko wiedzieć?

-

Próbuję popatrzeć na to oczami Mountjoja - stwierdził Diamond jednym tchem, żeby zabrzmiało to wiarygodnie. - Jeśli jest gdzieś w okolicy, to albo chce załatwić stare porachunki, albo coś znać. Należy go traktować poważnie.

-

Nie będzie mnie zaczepiał. Po co miałby to robić? Diamond nie odpowiedział.

-

Chciałbym uzyskać pełniejszy obraz Britt Strand. Co jeszcze zapamiętał pan na jej temat?

Pinkerton uniósł wzrok, jakby na suficie namalowany był obraz Britt.

-

Głównie wygląd. Była nieskazitelną, prawdziwą blondynką o cudownej skórze. Piękny uśmiech. Najprawdopodobniej kazała sobie kiedyś tam zrobić zęby. W jej zawodzie trzeba być pewnym siebie. To z niej emanowało, seks i pewność siebie. Fantastyczna laska. Typowa Szwedka, bez zahamowań. Ma pan ochotę na drinka? - powiedział, kończąc tę część rozmowy.

Diamond pokręcił głową.

-

Britt lubiła whisky bez wody i lodu - dodał Pinkerton. - Potrafiła sobie łyknąć.

-

Myślałem, że jest abstynentką.

-

Była dziennikarką. - Najwyraźniej to miało mówić samo za siebie. -

Gorzała jest cholernie droga w Szwecji. Wariują, kiedy tutaj przyjeżdżają.

Skoro pan o tym wspomniał, kiedy spotkaliśmy się po raz ostatni, poprosiła o tonik z cytryną i lodem. Jeden kac za dużo, jak sędzę.

-

Może piła alkohol, żeby wprawić się w nastrój.

-

I tonik, żeby zwalczyć kaca? Może.

-

Była romantyczką?

-

Jak to?

-

Mówi pan o wprawianiu się w nastrój.

-

Romantyczką? - Podszedł do tego słowa, jakby pochodziło z innego języka.

-

No?

-

Zasadniczo nie. Nie przepadała za skrzypcami i różami. O, Boże -

przerwał. - Wiem, do czego pan zmierza. Róże. Nie, nigdy jej nie dawałem róż. Czerwone róże nie odgrywały roli w naszym związku. Nie wierzę, żeby ktokolwiek, kto ją znał, pomyślał, że lubi takie gównno.

-

Ten związek...

-

Nie mieszkaliśmy razem.

-

Przychodziła tutaj?

-

Chodzi panu o to, czy robiliśmy to u niej, czy u mnie? Zawsze u mnie. Tutaj albo w studiu. Marnuje pan ze mną czas.

Jakże często Diamond słyszał tę radę od podejrzanego, który chciał, żeby się od niego odczepił. Teraz też nie miał ochoty jej przyjąć.

-

Przecież może mi pan powiedzieć wszystko o Britt. Pinkerton wstał i podszedł do biurka z drewna różanego, które po otwarciu zamieniło się w barek z alkoholami. Wyjął pusty kieliszek.

-

Na pewno pan nie chce? - Nalał sobie brandy. - Co mogę panu jeszcze powiedzieć, czego bym już nie powiedział?

-

Wspominała, że czegoś się boi?

-

Boi?

-

Innych mężczyzn, którzy ją molestują. Była niezwykle piękna, sam pan powiedział.

-

Britt dałaby sobie z tym radę.

-

Nie dała sobie rady z kimś, kto miał w ręku nóż i bukiet róż. Zapadła cisza, ale Pinkerton nie wyglądał na skrępowanego.

-

Zechce mi pan powiedzieć, dlaczego... związek między panem a Britt ochłodził się, jak pan to ujął? - zapytał Diamond.

-

Bez powodu - odparł Pinkerton.

-

Proszę pana! Pan z nią sypiał. Taka wspaniała blondynka, która wkładała całą siebie w seks. Rzuciła pana? Tak to się mówi? - Może uda mu się dokąś zajść, jeśli podręczy Pinkertona.

Ale jego opanowanie było nieskazitelne.

-

Nawzajem się rzuciliśmy, może pan tak to ująć. Nie walczyliśmy.

Nie było żadnych scen. Nawet niczego nie powiedzieliśmy. Po prostu przestaliśmy się pieprzyć. Jeśli trudno panu w to uwierzyć, pańie Diamond, nic na to nie poradzę.

-

Nie przyszło panu na myśl, że może chciała napisać coś niepo-chlebnego o pańskiej przeszłości?

Brązowe oczy Pinkertona wpatrywały się spokojnie w Diamonda.

-

O mojej przeszłości? Kilka przygód z nasączonymi żywicą pa-pierosami to według dzisiejszych standardów nie jest materiał na ostry temat. Napisała studium sylwetki, które najpierw skonsultowała ze mną.

Sprzedła to do kilku magazynów. Wszystko o moim nowoczesnym studiu w dzikich ostępach Wiltshire, w lesie, gdzie śpiewają sło-wiki.

Żadnych brudów, które dotyczyłyby mnie czy moich współpra-cowników.

W tym tekście to nie było potrzebne. Proszę pana, nie mam innych tajemnic. Nie umawiam się na randki z nikim z rodziny kró-lewskiej i nie potrafię przewidzieć, kto wygra Derby. Zadowolony?

Po tej małej ofensywie Diamond zdał sobie sprawę, że wyszedł na dupka.

Był zadowolony, że nikt z wydziału zabójstw tego nie słyszał.

-

Poszedł pan na pogrzeb? - rzucił na koniec, znając odpowiedź.

-

Tak.

-
Dlaczego, skoro panu na niej nie zależało?

-
Wyszedłbym na niezłego dziwoląga, gdybym się tam nie zjawił. We wszystkich gazetach pisali, że byłem jej chłopakiem. Poszedłem z czysto samolubnych względów, jeśli chce pan wiedzieć.

Diamond przyjął to skinieniem głowy. I wtedy Pinkerton dorzucił coś ekstra.

-
I nie ja byłem tym gnojkiem, który wysłał na pogrzeb bukiet czerwonych róż.

I

T» 1 • 1 r>

Rozdział 9

BYŁO OCZYWISTE, ŻE DZIEJE SIĘ COŚ DRAMATYCZNEGO, kiedy koło wpół do dziesiątej, tego samego wieczoru Diamond zajrzał na komisariat przy Manvers Street. W pokoju, z którego koordynowano obławę na Mountjoya, zespół trzech sierżantów i podlegających im urzędników cywilnych przerwał pracę. Mieli zbierać raporty od umundurowanych policjantów, zdających sprawę z wyników wieczornego obchodu okolic miasta w poszukiwaniu potencjalnych kryjówek. Wszyscy -włączając w to małą grupkę czekających na swoją kolej do raportu -patrzyli na komendanta Warrilowa, który prowadził pilną rozmowę telefoniczną. Skinął z głębi pokoju na Diamonda.

Kiedy Warrilow odłożył słuchawkę, na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia.

-
Przyszedł pan w samą porę, żeby wziąć udział w akcji - zwrócił się do Diamonda. - Wkrótce będziemy mieli Mountjoya. Zaszył się na parkingu dla przyczep mieszkalnych na farmie za Atworth. Mam już tam samochód szybkiego reagowania, dwa kolejne są w drodze, wysyłamy też drużynę strzelców wyborowych.

-
Kiedy to się stało?

-
Kiedy go zauważono? Dwadzieścia minut temu. Chce pan być przy złapaniu zbiega?

Diamond zrezygnował z obojętnego wyrazu twarzy.

-
Dobrze.

-
No to lepiej niech pan się spieszy — powiedział Warrilow. - Po drodze przedstawię panu aktualny stan rzeczy.

Szli szybko korytarzem, a Warrilow przekazywał informacje tak głośno, że całe pierwsze piętro mogło go usłyszeć.

-
Pierwsza wiadomość, że coś jest, przyszła dzisiaj wieczorem, koło wpół do siódmej. Jakiś robotnik rolny zobaczył światełko poruszające się w jednej z przyczep, jakby ktoś zapalił latarkę. Podkrał się bliżej i w środku usłyszał głosy. Powiedział o tym farmerowi, który nic nie zrobił w tej sprawie. Był za bardzo zajęty przy krowach czy czymś tam. Później farmer wrócił do domu na kolację. Wtedy usłyszał, że ścieżką jedzie motocykl. Wszedł, żeby to sprawdzić. Nikt nie miał interesu, żeby tamtędy jeździć. To dróżka należąca do farmy. W przyczepach ni-kogo nie powinno być. Są zamknięte i zaparkowane na zimę. Jest ich ponad sto.

Farmer poszedł, żeby rzucić okiem, i stwierdził, że ktoś zerwał kłódkę z jednej z przyczep. Już chciał wejść, kiedy Mountjoy poja-wił się w drzwiach, uderzył go w klatkę piersiową i powalił na ziemię.

-
Jesteśmy pewni, że to Mountjoy?

-
Tak. Farmerowi dopiero co pokazano zdjęcie policyjne. W każdym razie nie zwlekał dłużej, tylko pognął do domu i wykręcił 999.

-
Do tej pory Mountjoy pewnie uciekł.

-
Dopadniemy go - powiedział Warrilow pewnym siebie tonem. -To daleko, na wsi. Otwarte pola, bardzo mało miejsc, gdzie można by się schować. Uszczelniliśmy całą okolicę, wszędzie są blokady na drogach.

Czy są jakieś informacje o Samancie?

-

Jeszcze nie. Nie chcę, żeby ktokolwiek podchodził do przyczepy, zanim ją sprawdzimy.

Sznur samochodów czekał z włączonymi kogutami. Wsiadli do pierwszego i popędzili na północ przez centrum miasta. Diamond przypominał sobie, że Atworth to wieś na zachód od Melksham. Droga była litościwie krótka: nie znosił szybkiej jazdy, szczególnie kiedy prowadził ktoś inny. I nie była mu dana szansa, że zajmie uwagę rozmową, bo Warrilow był całkowicie pochłonięty wydawaniem rozkazów przez radio. Brzmiało to tak, jakby zjednoczone siły policji hrabstw Avon, Somerset i Wiltshire gromadziły się na parkingu dla przyczep kempingowych.

Na wysokości Bathford wjechali na London Road i przemknęli pod wiaduktem kolejowym, gdzie stała już zapora policyjna. Drogi zrobiły się węższe i z tylnego siedzenia wydawało się, że nie da się wyminąć nadjeżdżających samochodów. Żadne prawo natury nie gwarantuje, że pędzący samochód policyjny jest mniej podatny na zderzenie niż inny wóz, statystyki wskazują, że jest raczej na odwrót. Więcej niż raz, kiedy brali ostry zakręt, zapierał się i zamykał oczy.

-

To chyba będzie z lewej - zawyrokował Warrilow.

Kolejna, błyskająca na niebiesko lampa radiowozu przywitała ich przy wjeździe na farmę. Funkcjonariusz stojący przy wozie szybkiego reagowania skierował ich połą drogą do wiejskiego domu.

Warrilow wysiadł pierwszy, żeby wykorzystać swoje pięć minut.

Diamond nie ruszył się z miejsca. Nie odgrywał tu żadnej oficjalnej roli, a gdyby użyto broni, w samochodzie byłby nieco bezpieczniejszy. Nie podzielał radości Warrilowa. Po prostu chciał wiedzieć, jak się to skończy.

Jeśli odniosą sukces, to operacja policyjna przedwcześnie zakończy wznowione przez niego śledztwo w sprawie morderstwa Britt Strand.

Farr-Jones i Tott będą szczęśliwi, wydając mu rozkaz do odmarszu.

Frustrujące. Dopiero co znowu podjął pracę detektywa. Nie miał wielkich postępów, ale coś mogło się zdarzyć. Nikt przekonywająco nie wytłumaczył, dlaczego ofiara miała róże w ustach. I ten tuzin czerwonych róż wysłanych bezimiennie na pogrzeb. Chciałby, żeby w sprawie pojawiła się kolejna rysa, choćby po to, żeby usunąć wszelkie wątpliwości.

Za nimi zatrzymał się prywatny samochód. To John Wigfull. Musiał już być po służbie, prawdopodobnie odpoczywał w domu, bawiąc się kolejką.

Diamond był bezlitosny. Patrzył, jak Wigfull idzie w stronę pola, na którym stały zaparkowane

przyczepy.

-

Nie tak wyobrażam sobie wakacje, wlec coś takiego do Devonu i narażać się na przekleństwa innych kierowców - powiedział swobodnym tonem do kierowcy. - Idę o zakład, że też ich nie znosisz. Warto wyjeżdżać, ale pod warunkiem że będzie się mieszkało w jakimś przyzwoitym miejscu, z ładnymi widokami i że będzie można zjeść coś porządnego, prawda? Kupisz sobie coś takiego i grzęzniesz na polu z widokiem na inne takie szkaradzieństwa, a jesz kluski z rondelka.

Wynająłbym raczej domek albo pojechałbym do dobrego hotelu, gdybym mógł sobie na to pozwolić.

Kierowca nie odpowiedział. Może należał do klubu właścicieli przyczep kempingowych.

Niewygodna na tylnym siedzeniu w końcu zmusiła Diamonda do wyjścia z samochodu. Przeszedł się dróżką i dołączył do grupy, która najwyraźniej znalazła sobie bezpieczne miejsce widokowe. Był wśród nich farmer.

Diamond od razu poznał go po tym, co mówił. Chłop martwił się, że może zostać zniszczone dobro, które oddano mu pod opiekę. Nie chciał, żeby właściciele, którzy przyjadą wiosną, znaleźli dziury po kulach w ścianach swoich przyczep.

-

Ten człowiek w przyczepie... jest pan pewny, że właśnie jego szukamy? - zapytał Diamond.

-

Na sto procent, proszę pana.

-

Dobrze się pan przyjrzał jego twarzy?

-

Byłem w tej odległości od niego, co teraz od pana.

-

Tak, ale było ciemno.

-

Widzę w ciemności.

-
Na czym polega pański sekret? Je pan marchewkę?

-
Co się pan ze mnie śmieje? Rozmawia pan z człowiekiem, którego ten gnojek pobił.

-
I to pomaga w identyfikacji?

Diamond miał ostatnie słowo, bo na polu, przed nimi, włączono reflektory i wszyscy skupili uwagę na białej przyczepie kempingowej, stojącej w rzędzie jakichś dwudziestu podobnych przyczep. Na dwóch okienkach widocznych z tego miejsca zaciągnięte były zasłonki.

Z głośnika rozległ się głos Warrilowa.

-
Mountjoy, posłuchaj uważnie. Tu policja. Jesteś otoczony, a my mamy broń. Rób dokładnie to, co powiem, a nikomu nie stanie się krzywda. Po pierwsze, wypuść pannę Tott. Potem wyjdź sam z rękami za głową. Jasne? Najpierw panna Tott. Wypuść ją już teraz.

Kolejny słup światła przeciął przestrzeń przed przyczepami i zatrzymał się na drzwiach. Wyraźnie widać było wyłamany zamek. Wszyscy oczekiwali jakiegoś ruchu, ale nic się nie wydarzyło.

-
Mountjoy, wszystko skończone - powiedział Warrilow. - Wypuść dziewczynę, ale już.

-
Postępujesz bardzo nierozsądnie. Daję ci jeszcze dwadzieścia sekund

- dodał chwilę później.

Diamond był przekonany, że Warrilow postępuje nierozsądnie. Określanie limitu czasu podczas oblężenia niczemu nie służy, chyba że uzgodnią to obie strony.

Minęła co najmniej minuta. Wtedy ktoś z grupy, w której stał Diamond, dostrzegł dwie zamaskowane postacie w czerni zbliżające się do przyczepy od nieoświetlonej strony. Szybko przekradły się i podeszły do drzwi. Jedna otworzyła je uderzeniem ręki, druga wrzuciła coś do środka.

Gaz łzawiący-mruknął jakiś głos. Nadal nikt nie wychodził.

-

Co będzie, jeżeli ich tam nie ma? - zapytał ktoś.

-

Pozostaje dziewięćdziesiąt dziewięć przyczep do przeszukania -

odparł Diamond, ziewając.

-

On był tam na pewno - upierał się farmer. Nikt się nie odezwał, ale napięcie zelzało.

Do przyczepy wszedł mężczyzna w masce gazowej, uzbrojony w pistolet, pobył w środku kilka sekund, wyszedł i rozłożył ręce, że nikogo tam nie ma. Poszukiwania będą musiały objąć większy obszar. Warrilow zaczął

wydawać nowe rozkazy.

Diamond trzymał się z tyłu, wolał poszwendać się wokół budynków gospodarskich. Nie spodziewał się, że cokolwiek znajdzie. Był pewien, że Mountjoy opuścił okolicę natychmiast po bójce z farmierem. Jeśli człowiekiem w przyczepie istotnie był Mountjoy.

Odniosł wrażenie, że farma ledwie zasługuje na to miano. Domyślił się, że farmer - musiał mieć ponad sześćdziesiątkę - żył głównie z opłat parkingowych. Zwierząt nie było, nie licząc kilku kurcząt. Park maszynowy farmy składał się z nieużywanego traktora, którego koła obrastały pleśnią. Może strategia zmniejszania areału pól uprawnych miała z tym jakiś związek. Diamond niezbyt dobrze rozumiał politykę gospodarczą polegającą na płaceniu farmerom za ograniczanie produkcji, ale obserwowanie jej skutków przygnębiało go.

Zakończył zwiedzanie i kiedy znów wszedł na drózkę, zauważył

człowieka, który był w przyczepie. Teraz nie miał już maski gazowej.

-

Co było w środku? - zapytał Diamond.

-

W przyczepie? Jednoznaczne ślady intruza, proszę pana. Do połowy zjedzona kromka chleba, kilka oryżków jabłek, karton mleka, kawałek liny Nie mógł daleko uciec.

-

Dlaczego tak uważasz?

-

Za żywoplotem znaleźliśmy motocykl, nie ma teraz kółek.

-

Nie liczyłbym na to.

-

Co pan powiedział, panie Diamond? - Warrilow we własnej osobie wtrącił się do rozmowy.

-

Nie liczyłbym na to, że Mountjoy nie ma kółek. Za domem na farmie jest garaż z podnoszonymi drzwiami. Teraz są otwarte. Garaż jest pusty. Na pańskim miejscu zapytałbym farmera jakiej marki wozem jeździ.

-

Gordonem benettem!

-

Tak? Myślałem, że stara cortina byłaby bardziej w jego stylu.

Rozdział 10

OBUDZIŁ SIĘ Z GŁĘBOKIEGO SNU, LEŻAŁ TWARZĄ DO GÓRY.

Po jakimś czasie stwierdził, że na suficie nie ma rys. To nie może być jego mieszkanie przy Addison Road. Po dłuższej chwili przypomniał

sobie, że jest w Bath, w hotelu Francis. W perspektywie czekało go hotelowe śniadanie - „talerz tradycyjny”, jak firma Trusthouse Forte nazywała jajka na bekonie z wszystkimi przystawkami. Nie miał

problemów ze wstaniem z łóżka. Wydarzenia z wczorajszego wieczoru wyłoniły się z pamięci. Odczuł cichą satysfakcję na myśl o upokorzeniu, jakie spotkało Warrilowa. To było nielojalne, ale Peter Diamond uśmiechnął się - w jego przypadku rzadkość na rozpoczęcie dnia.

Przeciągnął się, po-drapał, ziewnął i poczłapał po dywanie do okna.

Sięgnął do zasłony -i natychmiast pożałował tego, bo w kciuku poczuł

ostry jak igła ból. Był zamroczony snem, wstrząs sprawił, że ciarki przeszły mu przez całe prawe

ramię.

Najpierw pomyślał, że musiał ukłuć się igłą albo szpilką zostawioną w zasłonie przez jakąś niedbałą szwaczkę. Ale ból nie ustępował. Co więcej, nasilał się. Przy zaciągniętych zasłonach niewiele widział. Machając ręką, pobiegł do łazienki i włożył dłoń pod zimną wodę. Obejrzał kciuk w lepszym świetle. Zrobił się biały wokół miejsca, które bolało najbardziej.

Krwi nie było widać.

Coś go ukąsiło.

Pokoje hotelowe były zawsze za bardzo ogrzane jak na jego upodobania, poprzedniego wieczoru uchylił trochę okno. Musiała wlecieć osa. O tej porze roku nadal sieje spotykało.

Może wciąż czai się w pokoju, czeka, by uderzyć ponownie.

Nigdy się nie wie, jakie przykrości niesie dla nas życie, pomyślał, zwracając się do swojego zgorzkniałego ja". Stał w łazience, zamknął

drzwi za sobą i próbował się ubrać, używając tylko jednej ręki. Wstaje człowiek zadowolony z wygód dobrego hotelu, gotowy na „talerz tradycyjny" i poranną gazetę i proszę, co się dzieje.

Na dole, w recepcji, zapytał, czy mają coś na ukąszenia os.

-

Jak pan to zrobił? - zapytała młoda recepcjonistka.

-

To nie ja zrobiłem. To mi zrobiono.

-

Jest pan pewien, że to osa? - Wyglądało na to, że jego słowa przyjęła jako krytykę. Być może w czterogwiazdkowym hotelu bardziej na miejscu byłaby królowa pszczół.

-

Wiem, że zostałem ukąszony, prawda?

-

Widział pan tę osę?

Teraz poczuł, że traktuje się go jak niewiarygodnego świadka.

-

Nie wierzy mi pani? Czego pani chce - opisu?

-

W apteczce mamy trochę antyhistaminy. Pozwoli pan, że najpierw to obejrzę.

Pokazał kciuk. Jacyś ludzie, którzy czekali, żeby zapłacić za hotel, zbliżyli się i przyłączyli do badania.

-

To nie jest ukąszenie osy - zawyrokował niski mężczyzna w dresach. - To musiała być pszczoła. Spójrzcie, żądło nadal tutaj jest.

-

Tak - dodała jakaś Amerykanka. - To musiała być pszczoła. Tak wyglądają ich żądła, jak małe strzałki.

-

Z haczykami - powiedział niski mężczyzna.

-

Teraz sama to widzę - rzekła recepcjonistka.

-

Aja nie. - Diamond był wściekły jak diabli.

-

To bez wątplenia pszczoła - stwierdziła recepcjonistka, żeby wzmocnić argument.

-

Może potrzebne panu okulary - zasugerował Diamondowi niski mężczyzna. - W pańskim wieku wzrok słabnie. Mam to wyjąć? Wie pan, zaraz muszę wyjść.

-

Z żądłem pszczoły trzeba ostrożnie - powiedziała Amerykanka.

-

Chwileczkę. Wezmę pincetkę - ostrzegła recepcjonistka. Operacja została przeprowadzona dziesięć po ósmej, pacjent przez cały czas był przytomny. Każdy proponował inną terapię na czas

re-konwalescencji: torbę z lodem, węglan sodu, jodynę, zimną wodę i świeże powietrze.

-

Niech pan skorzysta z mojej rady i zbada sobie wzrok - powiedział

na pożegnanie niewysoki.

-

Dziękuję.

Nie myślał już z upodobaniem o „talerzu tradycyjnym”. Chciał tylko napić się mocnej herbaty i zjeść grzanekę. Kciuk nadal go bolał, choć pokryty był

warstwą maści antyhistaminowej. Przylepiło się jej trochę do „Daily Mail”, zostawiając plamę obok reportażu o wielkiej akcji policyjnej mającej na celu złapanie Johna Mountjoya. Zasadzka na parking dla przyczep została zastawiona za późno, żeby trafić na łamy porannej prasy.

Dokąd przeniósł się Mountjoy? Zadał sobie to pytanie, próbując zignorować pulsujący ból. Skradziony samochód nie wystarczy mu na długo. Do tej pory każdy glina w West Country ma już jego numer.

Mountjoy ma na pewno jakąś nową kryjówkę. Mieszkał w tej okolicy tak długo, że zdążył ją poznać na wylot. Kolejny parking dla przyczep byłby zbyt ryzykowny. A zatem gdzie?

U przyjaciela? Nieprawdopodobne, żeby ktokolwiek zaryzykował udział w porwaniu i ukrywaniu zbiegłego więźnia. Mało jest równie lojalnych przyjaciół.

Problemem Mountjoya była Samantha. Sam mógłby rozejrzeć się za dobrymi miejscami albo postanowić, że będzie spał na dworze. Z młodą kobietą jako zakładnikiem nie zaszedłby daleko, nie budząc podejrzeń.

Najlepszym wyjściem byłby pusty dom. W samym mieście i wokół niego było ich mnóstwo, z tablicami pośredników przed frontem.

Julie Hargreaves była już w biurze, kiedy Diamond dotarł tam tuż po dziewiątej. W jego zmęczonych oczach wyglądała przygnębiająco radośnie.

-

No to nadal mamy robotę? - zapytała radośnie.

-

Oczywiście - odparł mężnie. - Trochę pulsuje, ale antyhistami-na na pewno stłumi objawy.

-
Chyba się nie zrozumieliśmy. Chodzi mi o to, że wczoraj wieczorem Mountjoy wyrwał się z sieci w Atworth. Coś panu jest?

No tak, w tym kontekście słowa Diamonda zabrzmiały jakby domagał się współczucia. Powiedział, że został użądłony, a Julie wyraziła umiarkowane ubolewanie.

-
Jak tam spotkanie z Pinkertonem? - zapytała, kiedy było już jasne, że Diamond chce porozmawiać o czymś innym niż obolały kciuk.

Przedstawił krótko sprawę.

-
Po prostu potwierdził to, co już wiemy: rozstali się z Britt ponad rok przed morderstwem. Uważa, że za zgodą obu stron. Bez nienawiści. A ona nie miała interesu w oblewaniu go pomyjami, bo zrobili to już inni, kiedy Jake był młodszy. Jedyną interesującą rzeczą było to, że przyszedł na pogrzeb i zapamiętał bukiet czerwonych róż wśród innych kwiatów.

-
Od kogo?

-
Nie było napisów. To trochę niesmaczne w takich okolicznościach, nie sądzisz?

-
Powiedziałabym, że obrzydliwe.

-
No, a co u ciebie? - zapytał. - Poszłaś na spotkanie z panią fotograf?

-
Z Prue Shorter, tak. Mieszka w Steeple Ashton. Na pewno warto było do niej pojechać. Robiła zdjęcia - albo zdjętka, jak je nazywała

-
do trzech artykułów Britt. A właściwie do jednego. Ostatnie dwa nie zostały ukończone.

-
Jeden z nich dotyczył college'u?

-
Tak. Zrobiła zdjęcia budynku i przy nadarzającej się okazji miała sfotografować Mountjoya, ale Britt chciała, żeby wstrzymała się do zakończenia dziennikarskiego śledztwa. Miała zamiar przedstawić Mountjoyowi swoje materiały w wieczór, kiedy została zabita.

-
Zawsze tak zakładałem, ale dobrze, że zostało to potwierdzone

-
przyznał Diamond. Sprawa Mountjoya nie zachwiała się. Została wzmocniona. - Jaki to tekst ukazał się drukiem?

-
Zrobiła rozkładówkę o Longleat House i wicehrabim Wey-mouth. To ten, który teraz jest lordem Bath. Podstawą tekstu była galeria portretów jego kochanek, „żonek”, jak je nazywa, wszystkich pięćdziesięciu czterech.

Diamond się uśmiechnął.

-
Kiedyś byłem na zebraniu poświęconym bezpieczeństwu w Longleat i zaproszono nas do pokoju Kamasutry, w którym stało łóżko z baldachimem na czterech słupach i rysunkami naściennymi autorstwa wicehrabiego. Rzekomo erotycznymi.

-
Rzekomo? Widziałam fotografie — powiedziała Julie.

-
Skoro uważasz, że są erotyczne, to dobrze. Poczzerwieniła.

-
Widać tylko to ci w głowie, co? - Diamond drażnił się z nią.

Twardo wróciła do swojej relacji.

-

Rodzina była niezwykle uczynna. Prue Shorter zrobiła tyle zdjęć, ile chciała, a Britt przeprowadziła wywiad z wicehrabią i napisała artykuł.

Prasa zrobiła z tego wielką sensację. Britt zawarła parę naprawdę niezłych kontraktów z magazynami na kontynencie. Wszystko, co niezwykle i co dotyczy brytyjskiej arystokracji w Europie, dobrze się sprzedaje.

-

Wszystko co niezwykle? Tak. To chyba dobre określenie. -

Oso-biście sądził, że artykuł z Longleat nie miał wpływu na morderstwo. -

Powiedziałaś, że były trzy artykuły, do których Prue Shorter robiła dla Britt zdjęcia. Portrety z Longleat, skandal u Mountjoja i co jeszcze?

-

Jeszcze Trim Street.

-

Naprawdę? - Nachylił się.

-

Hm, sam pan tam coś znalazł - powiedziała Julie. - Punki we-szły do jednego z pustych domów i ogłosiły prawo zasiedlenia. Britt przypadkiem ich znała i udało się jej wprowadzić Prue do środka, żeby zrobiła zdjęcia wewnątrz.

-

Kiedy?

-

Nie pamiętała dokładnej daty, ale było to na jakiś tydzień przed morderstwem. Britt nigdy nie napisała swojego artykułu. Prue Shorter ma doskonałe ujęcia punków siedzących w okupowanym domu. Pokazywała mi je.

Diamond znowu przyjrzał się swojemu kciukowi. Co chwila czuł rwanie.

Twarz przebiegał mu dreszcz, jakby siedział w przeciągu.

-

Nie wiem, jakie nadzieje wiązała z tym tekstem. Bezdomni okupują puste domy w całej Europie. -

Przypominając sobie uwagę Pinkertona, zapytał: - Czy powiedziała, jak miał zostać przedstawiony materiał?

-

Jak przedstawiony?

-

O co chodziło w tekście.

-

Nie pytałam.

-

Może powinienem spotkać się z tą kobietą. Mówisz, że to Steeple Ashton? Jak sądzisz, będzie tam teraz, rano?

Julie myślała, że tak. Według jej informacji, Prue Shorter pracowała teraz głównie w domu. Zrzuciła fotografowanie.

Pojechali razem, za kierownicą escorta siedziała Julie. Jak do tej pory nie żałował, że poprosił o jej pomoc. Decyzja nie wynikała z jakiegoś silnego przekonania, że kobiety powinny odgrywać większą rolę w policji. Sądził

ludzi po zasługach, a Julie była dobrym detektywem. John Wigfull też był dobrym detektywem, znacznie bardziej doświadczonym niż Julie, ale praca z nim stanowiła dopust Boży.

Steeple Ashton leży na wschód od Bath, w Wiltshire. Według przepisów powinien poinformować policję z Wiltshire, że prowadzi śledztwo w ich parafii i Wigfull przypomniałby mu o tym obowiązku, ale Julie rozsądnie nie powiedziała nic.

Domek Prue Shorter, zbudowany z kamienia i pokryty strzechą, stał u końca dróżki, z której korzystały głównie krowy. W ogrodzie rośnię kilka starych jabłoni.

-

Jest nastawiona pozytywnie? - zapytał Diamond.

-

Myślę, że dobrze pana przyjmie. Z tym obolałym kciukiem nie podawałabym jej ręki. Jest duża.

-

I silna?

-

Tak.

Z komina wydobywał się dym, obiecujący sygnał. Krzepka lokatorka musiała usłyszeć samochód, bo otworzyła drzwi, zanim do nich dotarli.

-

Znowu ty, kochanie?

-

To jest pan Diamond, mój szef - przedstawiła go Julie, obchodząc bagatelny kwestię stopnia służbowego. - Nie poda ręki, bo dziś rano użądliła go pszczoła.

-

Biedna sierotka! - powiedziała Prue Shorter. - Nałożył pan coś na to?

Nie chciał zaczynać wszystkiego od początku.

-

Wszystko w porządku, dziękuję. Chciałem się z panią spotkać, bo pracowała pani z Britt Strand, kobietą, którą zamordowano. Nie wiem, co powiedziała pani detektyw Hargreaves.

-

Wiem, że Mountjoy uciekł - zaczęła Shorter. - Jestem spokojna.

Nigdy się ze mną nie spotkał. Nawet nie wie o moim istnieniu.

Wchodzicie? Postawię czajnik na ogniu.

Kiedy szerzej otworzyła drzwi i odwróciła się, Diamond poczuł się bardzo malutki, jak holownik wobec oceanicznego liniowca. Rzadko zdarzają się takie spotkania. Musiała pójść do kuchni, gdzie piekło się coś aromatycznego.

Diamond został w salonie, który zajmował większą część parteru.

Rozejrzał się, żeby stwierdzić, czym pani Shorter zajmuje się zawodowo w domu, i nie znalazł żadnych śladów, które by to zdradzały. Może miała gabinet na piętrze, bo salon przeznaczony był niewątpliwie do odpoczynku. Umebłowanie stanowiły perkalowa kanapa i fotele, zestaw stereo i telewizor. Był tam także kamienny kominek, w którym płonęły polana. Oprawione w ramy róże

autorstwa Pierre'a Josepha Redoute'a, wazony, ozdoby i cięte chryzantemy w szkle były ustawione w sposób, który wskazywał na rozwinięty zmysł dekoratorski. Prue Shorter nie brakowało smaku. W białej wnęce elegancko wystawiono skrzypce.

-

Jak widzę, jest pani muzykiem? - zapytał towarzyskim tonem, kiedy wróciła z zastawioną tacą.

-

Dlaczego pan tak sądzi? Ach... skrzypce. To nie jest instrument dla dorosłych. Należały do mojej córki. Umarła.

-

Przepraszam, nie pytałbym...

-

W porządku. Mam grubą skórę. I lubię słuchać muzyki. Ciągłe coś sobie gram, oczywiście z płyt CD. Odtwarzacz to jedyny instrument, jaki opanowałam, ale nie daje wiele satysfakcji.

-

Muzyka to przyjemne tło, jeśli nie przeszkadza w pracy -

zaryzykował. Sprawa była delikatna, miał nadzieję, że Julie robi notatki.

-

Tak, to w sam raz do mojej pracy - przyznała Prue Shorter. - Piekę i dekoruję torty. Jeden właśnie dopieka się w piekarniku.

-

Pachnie zniewalająco. Nie zajmuje się już pani fotografowaniem?

-

Tylko fotki tortów. - Postawiła tacę. - Może pan spróbuje. Zrobiłam dla siebie.

-

Z miłą chęcią.

-

Takich mężczyzn lubię - powiedziała, unosząc pięść na znak uznania.

- Pieprzyć kalorie, niech żyją ciasta. - "wycięła porządny kałwał

lukrowanego tortu owocowego i wręczyła mu. - A pani detektyw? Pójdzie pani na zdrowie.

-
Dziękuję, ale jest jeszcze za wcześnie - odparła Julie.

-
A wczoraj wieczorem było za późno. Kiedy pani jada? W porządku, kochanie. - Wykonała manewr siadania, ostatnich kilkadziesiąt centymetrów było wolnym opadaniem, poważnym testem dla wytrzymałości ram kanapy, nie mówiąc o sprężynach. - Tak, fotografia prasowa ucierpiała w wyniku recesji. I bez Britt. Wdziecie, zawsze byłam wolnym strzelcem. Nie chciałam mieszkać w Londynie, gdzie jest dobrze płatna praca. Wróciłam więc do pieczenia ciast. Nauczyłam się tego wiele lat temu. Wygrałam konkurs na lukier dekoracyjny. Ogromna zaleta

— nie mówię tu o swojej figurze - że nawet podczas recesji ludzie pobierają się i chcą mieć torty weselne. Czego nie zrobiłby cholerny rząd, żeby zniszczyć gospodarkę, niemowlęta trzeba chrzczyć, a to oznacza jeszcze więcej tortów. I co rok jest Boże Narodzenie i kolejne wypieki.

-
Dla mnie to ma sens - powiedział Diamond.

-
Wy też jesteście szczęściarzami, złociutcy - dodała. - Przesłupstwa zawsze będą popełniane. Nigdy nie zabraknie wam pracy.

Puścił to mimo uszu.

-
Chciałbym zapytać panią o kilka spraw, które mogłyby nam pomóc, nie wracając do tego, co przerobiłyście z detektyw Hargreaves. Chodzi o Mountjoya. Ile opowiedziała pani Britt na temat tego, co odkryła w college'u?

-
Mniej więcej tyle, ile musiałam wiedzieć, kochany i tyle. Była sprytna.

-
Musiała podziwiać pani pracę.

Byłam dość kompetentna - przyznała Prue Shorter. - Nie - po co ta skromność? Jestem cholernie dobra z aparatem w rękę. Kiedy pokazałam jej swój album, zatrudniła mnie.

-

Tak się spotkałyście?

-

W tym interesie trzeba uganiać się za pracą, kochany. Usłyszałam, że dziennikarka z górnej półki mieszka w Bath. Pewnego ranka stanęłam przed jej drzwiami i pokazałam, co zrobiłam. Sprowadzanie fotografa z Londynu za każdym razem, kiedy trzeba było zrobić zdjęcia do artykułu, to katonga, skoro więc byłam na miejscu, dała mi na próbę artykuł o Longleat. Zrobiłam parę fajnych zdjętek i trafione! Sprzedały się na całym świecie.

-

Wracając do Mountjoya...

-

Chce pan wiedzieć, ile Britt powiedziała mi o swoim śledztwie dziennikarskim? Wiedziałam, że wpisała się tam na listę studentów, żeby trochę powęszyć, ale nie miałam zielonego pojęcia, że chodzi o irackich szpiegów. Po prostu chciała, żebym zrobiła zdjęcia szkoły z zewnątrz.

Zrobiłam. Powiedziała, że kiedy nadejdzie właściwy czas, będzie chciała parę zdjęć dyrektora. Pomyślałam sobie, że stary cap załkochał się w księżniczce z jakiegoś europejskiego kraiku, która przyjechała, żeby nauczyć się angielskiego. Nieprzyzwoitych czasowników, jeśli mogę tak powiedzieć. - Wepchnęła sobie do ust wielki kęs tortu owocowego.

-

Była pani w bliskich stosunkach z Britt w ostatnich dniach jej życia?

Przeżuła szybko ciasto.

-

Nie, chyba że uważa pan rozmowy telefoniczne za bliskie stosunki.

Rozmawialiśmy w przeddzień jej śmierci, omawialiśmy ostatnie szczegóły projektu, który dla niej robiłam. Powiedziała, że są duże postępy w śledztwie dotyczącym college'u i żebym była przygotowana, bo będę robić fotki dyrektorowi, kiedy tylko da mi znak.

-

Mówiła takim samym głosem, jak zazwyczaj?

-
Jak najbardziej. Bardzo spokojnie, z tą precyzją, z jaką Szwedzi mówią po angielsku. Przy niej zawsze wychodziłam na bełkoczącą od rzeczy idiotkę.

-
Wspomniała kogoś, z kim miała się spotkać?

-
Nie.

-
Wspomniała o kolacji z Mountjoyem?

-
Nie. To nie był typ plotkarki. Z Britt robiło się wyłącznie inte- resy.

-
Czyżbym wyczuwał, że jej pani nie lubiła? Prue Shorter zastanowiła się nad pytaniem.

-
Nie za bardzo ją lubiła? - naciskał Diamond.

-
Lubiłam pieniądze, które mi płaciła. Pod względem zawodo- wym miałyśmy dla siebie szacunek. Jeśli chodzi o przyjaźń, była kró- lową lodu. Może interesowała się tylko mężczyznami. Potrafiła okrę- cić ich sobie wokół palca. Obserwowałam ją w działaniu.

-
W jej tonie pojawiła się dezaprobata. Diamondowi przemknę- ło przez myśl, że może to jakiś rodzaj zazdrości. Gdyby nie usłyszał o zmarłej córce, mógłby pomyśleć, że Prue Shorter jest lesbijką, ziry- towaną zabieganiem o względy Britt. Oczywiście, nie można wyklu- czyć, że kiedyś była lesbijką albo że nią została.

-
Czy posunęłaby się pani do tego, żeby powiedzieć, że wykorzy- stywała swój wygląd do wspierania swojej kariery?

-
Wykipiła to, wybuchając śmiechem.

Co to za owijanie w bawełnę. „Czy posunęłaby się pani do tego, żeby powiedzieć”? Oczywiście, że wygrywała swoje aktywa, i dobrze. -

Odwróciła się do Julie i zapytała: - Zgodzi się pani ze mną?

Julie poczerwieniała i powiedziała niejasno:

-

Cóż...

Diamonda kusilo, żeby powiedzieć, że to „wygrywanie aktywów” też było owijaniem w bawełnę, ale nie przyszedł tutaj, żeby się kłócić.

-

Chciałbym zapytać o pracę na jej zlecenie przy Trim Street. O tę komunę.

-

A co z tym znowu?

-

Jak ich namówiła, żeby wpuścili panią do środka z aparatem? Prue Shorter rozłożyła ręce, żeby pokazać, jak oczywista jest odpowiedź.

-

Jak mówiłam, kochany, użyła swoich wdzięków. Mieli przywódcę.

Nazywali go G.B. Niech pan nie pyta, dlaczego. Wszystkie punki mają wymyślone imiona, jak Bucior, Czołg. Nawet dziewczyny. G.B. zwykł się włóczyć po Abbey Churchyard - wie pan, przed opactwem, w samym centrum Bath, i to właśnie tam Britt nawiązała z nim kontakt. Nie wiem, jak się do tego zmusiła. Ci ludzie śmierdzą jak capy. Miał psa na sznurku, narowiste bydlę, a ona kupiła dla niego mięso. Zeby zdobyć zaufanie G.B.

Wiedziała, że jak z nim się upora, to da radę całej reszcie przy Trim Street.

-

Ale dlaczego? Wjakim celu?

-

Zeby wejść do środka i zrobić parę fotek.

-

To wiem - powiedział Diamond. - Chodzi mi o to, że paru zapuszczonych ludzi w zapuszczonym domu nie jest sensacją. W

dziennikarstwie to nie da się porównać z reportażem, który przygotowywała

0

Mountjoyu.

Prue Shorter kiwnęła głową.

-

Musiałoby w tym coś być, o czym mi nie powiedziała. Britt strzegła swoich tajemnic. Pamiętam, jak zastanawiałam się, czy warto to będzie wszystkich tych wszy i pcheł, ale bardzo nalegała. Weszliśmy

1

zużyłam pięć rolek filmu.

-

Było tam coś interesującego?

-

Może pan zobaczyć odbitki, skoro pan tylko chce. Artystycznie fotki są cholernie dobre, ale nie wiem, gdzie bym je teraz sprzedała. Młodzi ludzie z kólkami w nosie, tatuażami i fryzurami w stylu punk leżą wokół

ładnego georgiańskiego kominka i popijają piwo albo cydr. Raczej nudne.

-

Były jakieś obiekcje?

-

Chodzi panu o punków? Zdaje się, że parę dziewczyn powiedziało mi, że bym się odchrzaniła, ale G.B. dał im opieprz i się podpo-rządowały. Nie, w tym domu poruszałyśmy się swobodnie.

-

A ten G.B. Nadal gdzieś tu się kręci? Pokręciła głową.

-

Skoro już pani o tym wspomniała. Chciałbym zobaczyć zdjęcia, które pani zrobiła punkom.

-

W porządku. Pomoże mi pan, co?

Chciała, żeby dosłownie pomógł jej wstać z kanapy. Podał jej rękę i zdał

sobie sprawę, jaki ciężar muszą nosić jej nogi. Już miał wziąć kolejny kawałek tortu, ale zostawił go na talerzu.

Gospodyni musiała pójść po zdjęcia na górę. Diamond odstawił filiżanki na tacę i zaniósł ją do kuchni. Julie próbowała go wyręczyć, ale pokręcił

głową. Chciał zobaczyć kuchnię. Była czysta i dobrze wyposażona, z solidnym kwadratowym stołem, niemieckim piecem i zestawem francuskich rondli. Korkowa tablica na wiadomości, wisząca nad jednym z blatów, pokryta była tego rodzaju drobnostkami, które ludzie często przechowują przez dłuższy czas z sentymentu albo potrzeby: wyblakły rysunek dziecka, przedstawiający najwyraźniej kobiecą postać z kreską włosów i dłońmi jak widelce do grillowania, pocztówki z Hiszpanii i Florydy, dwa wycinki z gazet z opisem lokalnych ślubów i dwie wizytówki. Był tam także dziennik zamówień, w którym każda sobota miesiąca zaznaczona była jako dzień wesela.

Wrócił do salonu, kiedy Prue Shorter zeszła na dół, niosąc szarą teczkę.

Wyjęła fotografie i rozłożyła je na stoliku.

-

Częstujcie się, ludzie. Ja lepiej pójdę sprawdzić, co z tym tortem.

Były to odbitki osiem na dziesięć, w czerni i bieli, przedstawiające głównie punków w grupkach, rozwalonych po pokoju. Jedni obejmowali się, a ich złączone dredy przywodziły na myśl owce po ciężkiej zimie na wzgórzach. Inni w nonszalanckich pozach siedzieli na fotelach, albo leżeli rozciągnięci na podłodze. Było też kilka świetnych portretów typów gapiących się w obiektyw. Wynędzniałe twarze i po-nure spojrzenia dawały świadectwo trudów ulicznego życia.

-

Który z nich to G.B.? - zapytał Diamond, kiedy Prue Shorter wróciła do pokoju.

Wybrała jedno ze zdjęć leżących na stole.

-

Jak można było razem z takim jeść lody? A Britt jadła. Żałuję, że nie miałam wtedy ze sobą aparatu.

G.B. miał ogoloną głowę i opadające powieki. Jego zęby wyglądały tak, jakby dopiero co jadł czarne porzeczki. Nie można było oszacować jego wieku. Nosił wojskowy płaszcz i skórzaną obrożę z zaostrozonymi metalowymi ćwiekami taką, jaką ludzie zwykli zakładać psom obronnym.

Na zdjęciu w obu rękach trzymał po puszcze z piwem.

-
Ile ma wzrostu?

-
Jakieś metr dziewięćdziesiąt. Wspaniałe ramiona. Musiał uprawiać kulturystykę.

-
Dowiedziała się pani czegoś o nim, to znaczy o jego pochodzeniu?

-
Britt pewnie tak. Ja powiedziałabym, że sądząc z akcentu, był londyńczykiem. Właściwie miał całkiem kulturalny głos.

-
Inteligentny?

-
Inteligentniejszy od większości całej tej zapijaczonej bandy. Im mózgi gniją od towaru, którym się szpikują.

-
Powiedziała pani, że Britt go oczarowała. Czy daleko to zaszło?

-
Chodzi panu o to, czy to z nim robiła? Co za odrażająca myśl!

-
Pytała ją pani o to?

-
Nie chciałam jej obrazić.

-
Całowali się, obejmowali, w ogóle dotykali? Rozumie pani, do czego zmierzam? Chcę wiedzieć, czy G.B. mógł ją uważać za swoją dziewczynę.

-
Słodziutki, nie mam pojęcia, co sobie myślał, ale byłabym bardzo zdziwiona, gdyby Britt pozwoliła mu na cokolwiek. Miała do wyboru tylu atrakcyjnych mężczyzn, ilu tylko chciała.

Diamond nie dał się zbić z tropu.

-
Kiedy byliście w domu przy Trim Street, jak się do siebie odnosili?

-
Chodzi o to, czy poszli na górę na małe bara-bara? Gdyby tak było, poszłabym za nimi. Czułam się bardzo nieswojo wśród tych dziwaków.

Nie, dzięki Bogu, Britt nadzorowała moją pracę. Prosiła G.B. za każdym razem, kiedy mieliśmy przenieść się do innego pokoju albo przesunąć jakieś meble, żeby mieć lepsze ujęcie, a on był bardzo uczynny, bardzo chętny, żeby ją zadowolić. Zrobiliśmy wszystko w niecałą godzinę.

-
Jakieś pieniądze przeszły z rąk do rąk?

-
Jeśli tak, to nie przy mnie.

-
Mógłbym zachować to zdjęcie G.B.?

-
Proszę je sobie wziąć. Nadal mam negatywy, gdybym chciała sobie przypomnieć tę wstrętną mordę. Może jeszcze tortu?

Wyszli, nie korzystając z zaproszenia.

W samochodzie Julie włożyła kluczyk do stacyjki i powiedziała:

-
Wolno mi będzie o coś zapytać?

-
O co?

-
Kto dostanie zadanie odszukania G.B.?

-
Nigdy nie przestanie mnie to zadziwiać - stwierdził.

-
Co takiego?

-
Kobieca intuicja.

Rozdział 11

OTWORZYŁ SZEROKO DRZWI. I zatrzymał się.

Właśnie wrócił do składziku, który mu przydzielono. Na biurku leżała pszczoła wielkości orzecha włoskiego.

Było jasne, że to nie żywa pszczoła.

Poczuł się jak idiota, że na jej widok tak zareagował, wściekał się na siebie, że ramiona pokryła mu gęsia skórka. Zgrzytając zębami, podniósł

pszczołę.

Była zrobiona z czarnej i żółtej wełny, miała czułki z drutu, skrzydła z gazy i oczy z pleksiglasu z ruchomymi czarnymi źrenicami. Zasadniczo była to pluszowa zabawka. Śmieszna rzecz. Czyjś marny dowcip. Czy Julie Hargreaves podłożyłaby to tutaj? To nie Julie, uznał, nareszcie zatrudniając swoje zdolności śledcze przy czymś przynajmniej namacalnym. Nie miałyby okazji. Była z nim, odkąd usłyszała, że pszczoła ucięła go w kciuk, a teraz jest - albo powinna być - na Ab-bey Churchyard, szukając punka G.B.

Komu mogło się to wydawać zabawne? Każdemu z bandy, z którą pracował w dawnych czasach. Kiedy przyszedł dziś rano, wspomniął o swoim pechu sierżantowi dyżurnemu - kardynalny błąd. Historia musiała się rozejść po komisariacie.

Usłyszał czyjeś kroki, otworzył górną szufladę, wcisnął pszczołę do środka, usiadł i spojrzał na drzwi, czekając jak urzeczony, kto wejdzie.

Doskonale wiadomo, że pierwsza osoba na scenie po popełnieniu zbrodni okazuje się sprawcą.

John Wigfull.

To z pewnością nie był Wigfull! Był za wielkim ponurakiem, żeby zniżyć się do czegoś równie dzieciennego.

-

Jak idzie? - zapytał niewinnym głosem Diamond.

-

Zależy, co rozumiesz pod słowem „idzie”. Niewiele się dzieje.

-

To dobrze.

-

Może.

-

Mam na myśli, że sprawa jest pewna. Wszyscy mówią, że wsadziłeś właściwego człowieka.

-

Dziękuję.

-

No, dla ciebie to tylko podróż ścieżką wspomnień.

-

Ponowne sprawdzanie - powiedział Diamond.

W Johnie Wigfullu było coś z lekka komicznego. Węszył jak mały gryzoń z trzęsącymi się wąsikami.

-

Pojawiło się coś nowego?

-

Spotkaliśmy się z paroma ludźmi. Nie miałem czasu, żeby przepytać wszystkich.

-

Jakieś wyniki?

-
Nic ekscytującego.

Jeśli Wigfull nie przyszedł po to, żeby zobaczyć, jakie wrażenie wywarła sztuczna pszczoła, widać chciał się dowiedzieć czegoś innego. Nie traciłby czasu na towarzyską pogawędkę. Przysunął krzesło Julie, ale nie zdobył się na to, żeby usiąść. Złapał tylko za oparcie.

-
Ta beczynność musi być dla ciebie nudna. Wkrótce złapiemy Mountjoya.

Diamond zgodził się z tym, chociaż prywatnie uważał, że to zależy od wydajności poszukujących.

-
Wczoraj byliśmy cholernie blisko - stwierdził Wigfull.

-
Byłem przy tym.

-
Zintensyfikowaliśmy poszukiwania. Bardzo by nam pomogło, gdyby Mountjoy znowu nawiązał kontakt. Powiedział, że będzie się chciał

jeszcze raz spotkać, żeby dowiedzieć się, co udało ci się znaleźć. Prawda?

Diamond ostrożnie skinął głową.

-
Powiedziałbyś nam, gdyby skontaktował się z tobą osobiście? A więc o to mu chodziło. Nie mogli znaleźć tropu i ogarniała ich desperacja.

-
Znasz mnie, John.

-
Tak. - Wigfull popatrzył na półki z materiałami piśmienniczymi, jakby tam mógł znaleźć informację nie gorszą od tej, jaką przedstawił mu Diamond. I pewnie tak było.

-
Gdyby już bardzo ci się nudziło, może zechciałbyś się zająć profilowaniem kryminalnym.

-
Tak?

W głosie Wigfulla pojawiły się triumfalne nutki.

-
Słyszałeś o profilowaniu kryminalnym? Zaczęto się tym zajmować, zanim, hm, przeprowadziłeś się do Londynu. Polega na wykorzystywaniu statystyki do budowania profilu przestępcy.

-
Za pomocą komputera? Twarz Wigfulla się rozświeciła.

-
Tak, to program, który nazywa się MAMGO.

-
Jak się nazywa?

-
MAMGO. To skrót od Modelowanie Analityczno-Matematyczne Generowane Operacyjnie. Inicjały wymawia się jak „mam go”.

Diamond zmrużył oczy. Twarz mu poczerwieniała. Wełniana pszczoła nie odniosła może pożądanego skutku, ale tym razem Wigfull dotknął

bolesnego miejsca. Słowa Diamonda aż ociekały pogardą.

-
Za kogo oni nas uważają? Wigfull zamrugął nerwowo.

-
Zapytałem, za kogo oni nas uważają, za cholernych siedmiolatków?

Co to za ludzie wymyślili taką nazwę? Chyba wydaje im się, że głupcy tacy jak ty i ja zacząć kochać komputery, jeśli nadadzą im nazwy.

Jesteśmy dorośli, John. Jesteśmy policjantami, a nie przedszkolakami.

-

Ja nie mam z tym problemów - powiedział Wigfull. Diamond rzucił

mu spojrzenie, które mówiło, że nie był to mile widziany komentarz.

-

Obmyślają te milisie nazwy, a potem stają na głowie, żeby znaleźć odpowiednie słowa, które by je usprawiedliwiały Są komputery policyjne, które noszą nazwę HOLMES.

-

Historycznie Opisana Lista Możliwych Ewentualności Śledczych.

Co w tym złego?

Diamond z trudem stłumił chętkę, żeby złapać Wigfulla za krawat i przyciągnąć go nad biurkiem.

-

Czy nie widzisz w tym oczywistej dziecinady? Po co używać razem słów takich jak „możliwe” i „ewentualności”, skoro znaczą to samo?

Powiem ci, dlaczego. Bo jakiś geniusz zatarł ręce i powiedział:

„Nazwiemy to Holmes - łatwo to zapamiętają”. Hm, ty chyba w tym nie widzisz robienia z ludzi głupków, aleja tak.

Zakłopotany Wigfull wzruszył ramionami.

-

Widzisz czy nie? - zapytał Diamond.

-

Powiedziałem, to dla mnie nie jest problem. Wspomniałem o

MAMGO na wypadek, gdybyś chciał zobaczyć, jak wyglądała sprawa Strand.

-

Mam go!

-

Przepraszam, że o tym wspomniałem. - Wigfull puścił krzesło i

odsunął się o krok. - Lepiej wróć do centrum operacyjnego.

-
PICO.

-
Słucham?

-
Pieprzyć ich centrum operacyjne. Spokojnie, John. Wracaj tam.

Jestem pewien, że mnóstwo tam się dzieje.

Kiedy znów został sam, nałożył więcej maści na swędzący kciuk. Wigfull go zdenerwował. Trzeba było przejrzeć akta, ale teraz trudno było mu się skupić. Sięgnął po teczkę, otworzył ją, przewrócił kilka kartek i się zatrzymał. Podniósł słuchawkę i wystukał numer.

-
Czy rozmawiam z panią Violet Billington? Przepraszam, że panią fatyguję. Dzwonię z komendy w Bath. Nazywam się Diamond. Czy pani mąż jest w domu?... Nie? A mógłbym do państwa wpaść? Jest parę pytań związanych ze zmarłą panią Britt Strand. To nie zajmie dużo czasu.

Pozwoli pani, że wpadnę za, powiedzmy, dwadzieścia minut. To miło z pani strony.

W korytarzu natknął się na komendanta Warrilowa zatopionego w rozmowie ze szczupłą, młodą kobietą, której włosy zebrane były w gruby, ciemny warkocz. Prawie się nie ruszała, kiedy szła, tak płynne miała ruchy. Mógłby ją wziąć za baletnicę, gdyby nie wojskowy płaszcz i buty.

Widok od tyłu zaintrygował go do tego stopnia, że poszedł za nimi do głównej sali komputerowej, mając nadzieję, że zobaczy jej twarz.

Na szczęście dla Diamonda jeden z operatorów miał coś do zakomunikowania i Warrilow przeszedł po przekątnej przez salę, żeby spojrzeć na ekran. Młoda kobieta, którą zostawił samą, niepewnie pałtrzyła w ślad za nim. Była blada, oczy miała podkrążone ze zmęczenia. Jej twarz nie była piękna według potocznych standardów, ale miło było na nią popatrzeć - wąska, z małymi, cienkimi ustami i długim podbródkiem.

-
Wiesz, kto to jest? - zapytał Charliego Stilesa, starego kumpla, który z jakichś tajemniczych powodów znalazł się wśród komputerowych gryzpiórków.

-
Pani kapral? Czy to nie ta sama, która zgłosiła zaginięcie panny Tott?

Mieszkają w jakimś sąuacie, w Widcombe.

-

W takim razie to Una Moon. Ciekawe, co tutaj robi?

-

Chyba utrzymuje Warrilowa w formie. Jest jednoosobową, ko-biecą grupą nacisku.

-

W takim razie nie chcę, żeby mnie jej przedstawiono.

BYŁ TO JEDEN Z WĄSKICH, JEDNOKIERUNKOWYCH ZAULKÓW

W Lark-hall, gdzie samochody parkowały po jednej stronie wzdłuż całej uli-cy. Diamond zostawił escorta na żółtym pasie przed pocztą i zawrócił

kawałek.

Na furtce wisiała tabliczka z napisem: „Na sprzedaż”. Domy, w których popełniono morderstwo, zdarzają się w dzisiejszych cza-sach zbyt często, żeby je burzyć albo zmieniać nazwę całej ulicy, jak to czasem zdarzało się w przeszłości. Ale ciekawe, co się z nimi po-tem dzieje. Cena rynkowa może trochę spaść, ale na pięćdziesięciu potencjalnych nabywców, których odstraszy historia nieruchomości (o ile zostanie ujawniona przed podpisaniem umowy), zazwyczaj znaj-dzie się jeden niewrażliwy. Na nieszczęście dla Billingtonów ten jeden jeszcze się nie pojawił i nadal mieszkali w swoim domu.

Pani Billington wyznała Diamondowi, że nadal przeżywa to tra-giczne wydarzenie. W każdym razie zachowywała się nerwowo. Niska, pulchna, z srebrnymi włosami z lekką trwałą i o niebieskich oczach tak jasnych, że nie licząc kotów, nie można ich sobie wyobrazić u żadnego innego stworzenia, otworzyła drzwi, zanim Diamond dotknął dzwon-ka, i zaprosiła go do środka ponagającym szeptem.

-

Zapraszam do pokoju na tyłach domu. Tam porozmawiamy. Kiedy gościł tu poprzednim razem, korytarz był pomalowany na ciemniejszy odcień. Teraz pokryto go jasnoróżową emulsją. Schody były białe. Podczas poprzednich wizyt wchodził na górę, na pierw-sze piętro, gdzie Britt Strand wynajmowała mieszkanie, w którym zo-stała zasztyletowana. Tego ranka zaprowadzono go szybko do kuch-ni jadalni Billingtonów na parterze. Było to przytulne pomieszczenie z piecem na drwa, ścianami w kolorze owsianki i ciemnobrązowym dywanem. Przed piecem spał biały kot. Zbiór laleczek w strojach lu-dowych stał na półkach kredensu z drzewa tekowego.

-

Proszę wybaczyć, że tak pana poganiam - powiedziała pani Bil-lington uprzejmym tonem, kiedy już

zamknęła drzwi. - Moja nowa lokatorka, studentka, jest na górze. Wolałabym, żeby nie poznała historii tego domu.

-

Pochodzi stąd? - zapytał Diamond.

-

Z Nottingham. Studiuje chemię na uniwersytecie. Jest na pierwszym roku. Nie wiem, czy to nieuczciwe nie mówić jej o tej sprawie, czy raczej rozsądne.

-

Studenci, jak sądzę, są realistami - zapewnił Diamond. -

Szczerze mówiąc, jeśli czynsz jest realistyczny. Nie mam po co wchodzić na górę. Wpadłem tylko, żeby pani powiedzieć, że Mountjoy, niestety, jest na wolności.

Spojrzała na niego bez wdzięczności.

-

Wiem.

-

Szczerze mówiąc, to ostatnie miejsce, do którego mógłby wrócić -

powiedział. - Ale ostrzegamy wszystkich, którzy mieli jakikolwiek związek ze sprawą. Ma pani łańcuch w drzwiach? Lepiej niech pani robi z niego użytek, zanim Mountjoy znów znajdzie się za kratkami, co nie powinno potrwać długo. Spotkała się z nim pani kiedykolwiek?

-

Nie. Tylko raz odwiedził dom, ale ja byłam wtedy na Tene-ryfie.

-

Pamiętam. To był straszny wstrząs dla pani po powrocie.

-

Potworny.

-

To pani mąż znalazł ciało, prawda?

-
Tak. Winston do dzisiaj ma w związku z tym koszmary. Od tamtej pory używa środków uspokajających.

-
Niech mi pani przypomni, co wydało się wtedy państwu podejrzane?

-
Kiedy wróciliśmy z Teneryfy, tak? - Pani Billington złożyła ręce na liliowej bluzce i zatarła je, jakby jej było zimno. Udawała srebrno-włosą starszą panią, chociaż była zaledwie dziesięć lat starsza od Diamonda. -

Miała zamówione mleko i na progu stały dwie butelki. I nie zabrała poczty z dołu. Najpierw pomyśleliśmy, że to nie powód, żeby zaglądać do jej pokoju. Zastukaliśmy do drzwi, ale nie było odpowiedzi. Mogła wyjechać na kilka dni w jakiejś zawodowej, dziennikarskiej sprawie.

Pisywała do czasopism.

-
Wiem.

-
Pierwszego wieczoru wstawiliśmy mleko do naszej lodówki. Potem, w nocy, zaczęłam się zastanawiać, czy nie leży chora na górze, nie mogąc podejść do drzwi. To byłoby straszne, gdybyśmy niczego nie zrobili, żeby jej pomóc. Poprosiłam Winstona, żeby tam zajrzał. Wrócił blady jak prześcieradło i powiedział, że bym zadzwoniła na policję i zawiadomiła ich, że Britt nie żyje. Tamtej nocy już nie zasnęliśmy.

-
Ja też. Od dawna tutaj mieszkała?

-
Sporo czasu. Co najmniej trzy lata. Była doskonałą lokatorką. Bardzo sumienną, jeśli chodzi o czynsz. Byliśmy z niej zadowoleni. - Te słowa równie dużo mówiły o Billingtonach i o Britt Strand.

-
Miała własny klucz?

O, tak. Do drzwi frontowych i oddzielny do jej pokoju. Jak pan wie, wchodziło się przez naszą część domu i kiedy wracała późno, skradała się na górę jak myszka.

-

Musiałem już pytać o to panią poprzednim razem. Czy jeszcze ktoś miał klucze do domu?

-

Poza nami i Britt? Nie.

-

Miewała gości?

-

Od czasu do czasu. Czasem przychodziła ta wielka kobieta, która robiła dla niej zdjęcia.

-

Jacyś mężczyźni? Jestem pewien, że już to przerabialiśmy, proszę pani, ale mam dziurawą pamięć.

-

Nie dawała nam powodów do narzekań. Nie przypominam sobie, żeby ktoś zostawał na noc. Nie jestem staroświecka, jeśli chodzi o moralność, ale każdy właściciel żyje w strachu, że partner wprowadzi się do pokoju, który wynajęto dla jednej osoby.

Diamond wyjaśnił, że nie pyta tylko o tych, którzy zostawaliby na noc.

-

Tak, od czasu do czasu ktoś wpadał. Dziwne, gdyby tak nie było.

Była nadzwyczaj piękną dziewczyną.

-

Proszę spróbować przypomnieć sobie szczególnie tych, którzy przychodzili pod koniec jej życia.

Minęły cztery lata i to wystawiło panią Billington na ciężką próbę. Udało się jej wyłowić z pamięci gościa, którego Diamond uznał za Martina Marcusa, jeźdźca. Zaglądał tu dwa, trzy razy. Pani Billington była pewna -

bo pytano ją o to już poprzednio - że John Mountjoy nigdy nie przychodził

w czasie jej obecności.

-
Czy ktoś przysyłał jej kiedykolwiek kwiaty? Zmarszczyła brwi.

-
Nie pamiętam, żeby jakieś przynoszono.

-
Bardzo lubiła róże?

-
Nie mam pojęcia.

-
Widzę, że w ogrodzie macie państwo krzewy różane. Poczzerwieniała i wyszła z roli starszej pani, żeby go skarcić.

-
Najwyraźniej nie jest pan ogrodnikiem. W pałacu nie znajdzie pan dwunastu pączków róż ani w moim, ani w jakimkolwiek innym ogrodzie. Te, które znaleziono w pokoju, musiały być z kwiatarni.

Zapytał, czy Britt kiedykolwiek rozmawiała o swoich sprawach dziennikarskich, i uzyskał odpowiedź, której się spodziewał: nie.

Diamond, w przeciwieństwie do większości ludzi, wiedział, kiedy przestaje być mile widzianym gościem. Nagle odebrał sygnał, że Violet Billington chce, żeby wyszedł jak najszybciej i to nie tylko ze względu na nową lokatorkę. Pytanie o róże zaniepokoiło ją. To sprawiło, że jeszcze bardziej zaczęło mu zależeć na przedłużeniu rozmowy.

-
Musi pani sporo wiedzieć o stosunkach panny Strand z mężczyznami.

-
Nic. - Krótko i nieustępliwie.

-
Ależ proszę pani - zaczął jej schlebiać. - Nikt nie oskarża pani o wtykanie nosa w jej życie. Była pani lokatorką przez trzy lata. W tym czasie musiała pani widzieć, kto przychodzi i wychodzi, i

przypuszczam, że musiała pani zastanawiać się nad jej życiem uczuciowym. To ludzkie.

-

Powiedziałam panu wszystko, o czym ma pan prawo wiedzieć.

-

My tu nie opowiadamy sobie plotek - naciskał. - Zamordowano ją.

-

Nie mam nic więcej do powiedzenia na ten temat. Sprawa skończona. Postawiliście człowieka przed sądem i uznano go za winnego.

Nie powiedziała po prostu, że Mountjoy ją zamordował. Jakby w wyrafinowany sposób chciała powiedzieć: dałeś mu popalić i teraz twój tyłek jest w opałach, kolego. Co ona wie?

-

Mógłbym porozmawiać z pani mężem? Może jemu łatwiej byłoby się ze mną dogadać.

-

Od Winstona niczego się pan nie dowie.

Tym razem za bardzo się odsłoniła. W jej słowach było ukryte przekonanie, że Winston coś wie, ale jej o tym nie powiedział, choć bardzo się starała.

-

Jest w pracy, jeśli się nie mylę.

-

Tak.

-

Czy nie przychodzi do domu na lunch?

-

Nie.

-

A o której godzinie spodziewa się go pani?

-
Nie wiem powiedzieć. Różnie. - Zacisnęła usta, w bladych oczach tlił się opór.

Diamond zgłębiał swoją pamięć, żeby przypomnieć sobie, ja-kie wrażenie zrobił na nim ten człowiek. W zeznaniach przed sądem Winston Billington ograniczył się do opisanego, jak znalazł ciało. Nie uważano go za ewentualnego podejrzanego, bo wakacje na Teneryfie dawały mu alibi.

Wyglądał młodziej od żony, miał chyba pod pięćdziesiątkę, był szczupły, elegancki, nosił prążkowany garnitur.

-
Gdzie pracuje? Rozumiem, że ma pracę.

-
Jest przedstawicielem handlowym.

-
Co sprzedaje?

-
Kartki okolicznościowe.

-
Dla jakiejś miejscowej firmy?

-
Nie.

-
Gdzie mają centralę, w Londynie?

-
Tak.

-
A on jest reprezentantem terenowym?

Tak.

-

Odwiedza sklepy i próbuje zainteresować je nowymi wzorami, prawda? Ma pani jakieś próbki w domu?

Odwróciła się i zaczęła zajmować się naczyniami.

-

Nie trzyma ich tutaj. Brakowałoby nam miejsca.

-

Ma jakieś biuro?

-

Coś w tym stylu. Miejsce, w którym przechowywane są kartki.

-

A pani nie ma ani jednej kartki, żeby mi pokazać? Spojrzała na niego z wściekłością.

-

Chyba jasno to powiedziałam. Jego zaciekawienie wzrastało.

-

Co to za kartki, proszę pani?

-

Co pan chciał przez to powiedzieć, że niby jakie? To karty okołilicznosciowe.

-

Takie, które mógłbym wybrać dla żony?

-

Nie mam pojęcia. - Zrobiła się o ton bardziej różowa.

-

No to dam pani takie pojęcie. Moja żona lubi wiejskie krajobrazy albo zwierzęta. Niezbyt

sentymtalne. Koszyk z perskimi kocietami byly zbyt naiwny dla mojej Stephanie. Nie przeszkadzalbylej kon patrzacy na wrota.

-

Powiedzialam, ze nie mam pojecia, bo nie widzialam tych przeklętych kart - stwierdzila, przykrywajac rumieniec zjadliwoscia. -

Sko-ro pan skonczył, mam pare spraw do załatwienie. Nie chce rozmawiac o sprawach zawodowych mojego meza.

-

Ma pani racje - powiedzial uprzejmie Diamond. - Lepiej udam sie do zrodla. Kiedy na pewno bede mogl go zastac w domu?

Cale jej ciało sie napięło.

-

Myslalam, ze przyszedl pan, zeby ostrzec nas przed Mountjoy-em -

powiedziala. - Winston wie, ze on uciekl. Nie widze powodu, zeby pan nas wiecej nachodzil. W swoim czasie dosyc nacierpeliśmy sie z powodu tego morderstwa.

-

I tak bede chcial z nim porozmawiac.

-

On nie ma nic do powiedzenia.

-

Ktora godzine pani proponuje?

-

Po osmej, jesli pan musi.

-

Oczywiscie, ze musze. - Wzial kapelusz ze stołu. Nie bylo jej za co dziękowac.

-

SAME POPLUCZYNY, JULIE. - Slova dezaprobaty pod adresem pani Billington wypowiedzial nad

lunchem składającym się z kanapki w barze Roman, w hotelu Francis. - Potraktowała mnie, jakbym był czymś, co kot przyniósł do domu.

-

Tam jest kot?

-

Tak, zignorował mnie. No to byłem gorszy niż coś, co kot przyniósł do domu.

-

Jak do tej pory nie bardzo udał się panu dzień. Myśli pan, że ta Billington coś ukrywa?

Podniósł talerz z kanapką.

-

Odlóż coś dla siebie, bo zmiotę wszystko. Taki już jestem. To nie obżarstwo, to kwestia koncentracji. Tak się kończą lunche robocze.

Owszem, idę o zakład, że ukrywała jakąś informację i że to dotyczy męża. Oczywiście, może się okazać, że on po prostu rozprowadza sprośne pocztówki, a ona wstydzi się za niego.

-

A rozprowadza?

-

Nie jestem pewien. Odniosłem wrażenie, że takich kartek nie wysyła się do cioci. W sklepach jest ich pełno. Pani Billington pewnie nie chce, żeby ludzie się o tym dowiedzieli, ale skoro z tego żyją i nie przekracza to granic prawa, nie potępiam Winstona.

-

Figlarny Winnie. Zachichotał.

-

Pamiętam czasy, kiedy reprezentantów handlowych nazywano komiwojażerami i były na ich temat tysiące sprośnych dowcipów.

Ciekaw jestem, czy Winston pasuje do tego obrazka.

-
To znaczy? - zapytała Julie.

-
To znaczy, czy sypiał z lokatorką. Julie uniosła wysoko brwi.

-
To nic nowego - dodał pogodnym tonem. - Mężczyzna w średnim wieku pożądamy pięknej dziewczyny, mieszkającej na piętrze. Kiedy dzisiaj rano przyjrzałem się pani Billington...

-
Niech pan da spokój, panie Diamond - przerwała ostro Julie. - Nie jestem jednym z pańskich kumpli od piwa.

Zawahał się. Kiedyś brnąłby dalej, ale cenił wsparcie Julie i chciał je zachować.

Po mistrzowsku naprawiła sytuację.

-
Jeśli było coś między nim a Britt, byłoby ciekawe dowiedzieć się o tym, ale dokąd by to nas zaprowadziło, skoro wiemy, że był na Tene-ryfie, kiedy dokonano morderstwa?

-
Gadam, co mi przyjdzie do głowy - powiedział Diamond. - Ale to mogłoby dostarczyć motyw, którego wtedy nie braliśmy pod uwagę. Jeśli Billington sypiał z Britt i ktoś o tym usłyszał, moglibyśmy mówić o zazdrosnym kochanku jako zabójcy.

-
Marcus Martin?

-
Twierdzi, że zerwał z Britt, ale na to mamy tylko jego słowa.

-
Ma alibi na wieczór morderstwa, prawda?

-
A czy wszyscy go nie mają?

Julie zaczęła się uodparniać na cynizm wielkiego człowieka.

-

Był na przyjęciu w Warminster aż do pierwszej w nocy.

-

Czas śmierci nie jest pewien.

-

Tak, ale kobieta, z którą był, jest pewna. Powiedziała, że resztę nocy spędził w jej mieszkaniu, przy Walcot Street.

-

Czy zostało to potwierdzone?

-

Nie.

Diamond upił długi łyk piwa.

-

Nie za bardzo bym temu ufał. Po południu, jeśli zdołamy, porozmawiamy z panem Martinem.

Zaskoczona podniosła na niego wzrok.

-

Chce pan, żebym tam poszła? Pokiwał głową.

-

Chyba że potrzeba ci więcej czasu na punków. Jak ci idzie? Kierując kciuk w dół, pokazała, że rano nie odniosła sukcesu.

-

Mają się na baczności przed rozmowami z takimi jak ja, chyba że chodzi o wyzwiska. Jest ich dziewięcioro czy dziesięcioro, siedzą wokół

Abbey Churchyard ze swoimi psami. Zeby jakoś się z nimi dogadać, musiałabym zgolić wszystkie włosy i mieć na sobie jakiś mundur polowy.

-
I warstwę brudu - dodał Diamond.

-
Tatuaże.

-
Kółka w nosie.

Julie przerwała i popatrzyła na niego, coraz szerzej otwierając oczy.

Zaczęło jej świtać, że to, o czym mówią, wygląda na instrukcję.

-
W porządku - powiedział Diamond. - Darujemy sobie kółka w nosie.

Rozdział 12

JEST LODOWATO - POWIEDZIAŁA SAMANTHA TOTT.

-
Wcale nie - odparł John Mountjoy. - Tu, na dole, nie ma szronu.

-
To mnie naprawdę pociesza! Myślałam, że przyczepa to najzimniejsze miejsce, w jakim w życiu spałam. Bardzo się myliłam!

-
To tylko tymczasowe.

-
Do jakiego stopnia tymczasowe? Nie wytrzymam tu kolejnej nocy.

Podniesiony głos odbijał się echem od ścian z wapienia.

Wzgórza na wschód od Bath pocięte są wyrobiskami po kamieniołomach. Na obszarze Box i Corsham Down kopalnie kruszywa porzucono pół wieku temu i zablokowano główne wejścia, ale do wnętrza prowadzi mnóstwo innych dróg. Od czasu do czasu przeprowadzane są akcje, żeby ratować lekkomyślnych i naiwnych, którzy dostali się do środka i zabłądzili w labiryncie tuneli. Mountjoy nie był ani lekkomyślny, ani naiwny. W jego przypadku nad ryzykiem, że się zgubi,

przeważała potrzeba znalezienia kryjówki.

Przywiózł Samanthę do Quarry Hill w noc po opuszczeniu przy-czepy.

Wlekli się przez krzaki, szukając jakiegoś wejścia. Przy świetle latarki zeszli po nierówno wyrąbanych stopniach w skośnym szybie. Łączył się on z tunelem, w którym mogli bez trudu się wyprostować. Była to jedna z głównych arterii. Kawałek dalej odkryli w ścianie tune-lu głębokie na jakieś dwa metry zagłębienie. Prawdopodobnie był to przodek, który z jakichś względów okazał się nieprzydatny. W oczach Mountjoya wyglądał

bezpiecznie i zacisznie, i lepiej nadawał się na miejsce odpoczynku niż główny tunel. Wprowadził tam Samanthę z zapalem pośrednika oprowadzającego klienta po nieruchomości. Po-wiedział, że jak się ma latarkę, parę zapasowych baterii, jedzenie i koc, miejsce doskonale nadaje się do zamieszkania. I zasnęła. Oboje trochę sobie pospali.

Ale rano zaczęła okropnie narzekać na zimno. Tolerancja Mount-joya na kobiece narzekania była ograniczona nawet w bardziej sprzy-jających okolicznościach. Coraz mniej podobało mu się zachowanie Samanthy.

Jego zdaniem przez dwie pierwsze noce w przyczepie było zimniej niż tutaj, na dole. Wtedy za bardzo się bała, że jest gwałci-cielem, żeby mówić o zimnie - a może uznała, że Mountjoy zinter-pretuje to jako zachętę. Teraz, kiedy przetrwała kilka nocy bez jego molestowania, protesty przeciwko nieludzkim warunkom przybrały na sile.

Żeby ją uspokoić, powtórzył kilka słów pociechy, której ktoś mu kiedyś udzielił w Albany.

-

Na dworze jest dużo zimniej.

-

Według ciebie tutaj to nie jest na dworze? Nie możemy wrócić na parking dla przyczep? Nie spodziewają się, że wrócimy.

-

Farmer się spodziewa. Teraz będzie pilnował swojej działki.

-

No to w jakieś inne miejsce.

-

Mam coś na myśli. Ucieszyła się.

-
To chodźmy. Nigdzie nie może być gorzej niż tutaj.

-
Muszę najpierw sprawdzić.

-
Zrobisz to sam?

-
Bądź rozsądna. Czego się spodziewałaś?

-
Nie zostawiaj mnie tutaj. Proszę, nie zostawiaj mnie. Nienawidzę ciemności. - Głos znów niebezpiecznie się podniósł.

-
Może znajdę dla ciebie coś cieplejszego do ubrania.

-
Nie masz pieniędzy.

-
Nie powiedziałem, że kupię.

-
Nie zostawiaj mnie tutaj.

-
Muszę.

-
Dlaczego? Nikt mnie nie rozpozna. Wymasowałeś mi tym świństwem włosy i powiedziałaś, że zmienię wygląd. W takim stanie nikt na mnie nie popatrzy. - Nadąsana odrzuciła kosmyk z twarzy. Istotnie, brązowa farba bardzo ją zmieniła i włosy opadły, zamiast wyglądać jak rudy dmuchawiec. Jeśli już nie narzekała na zimno, wypominała mu, że popsuł jej fryzurę.

-
Nie wyjdiesz stąd, chyba że to będzie konieczne - powiedział. - Idę tylko na zwiady.

-
Nie będę krzyczeć, przyrzekam.

-
Nie. Zrobię to sam.

-
Okrutny drań.

-
Jeśli chcesz tu zostać na zawsze, doskonale, nie pójdę. Będziemy tu siedzieli i gnili.

-
Jak długo cię nie będzie? - zapytała po chwili oburzonego milczenia.

-
Nie wychodzę teraz.

-
Chodzi mi o to, czy to drugie miejsce jest daleko?

-
Niedaleko.

-
To kolejna jaskinia, tak? - spytała podejrzliwie.

-
To nie jaskinia, ale kopalnia, a dokładniej kamieniołom. Nie, miejsce, do którego idę, nie leży pod ziemią, przeciwnie.

-
Mogłabym z tobą pójść?

-
No nie bądź głupia.

-
Umrę ze strachu.

-
Jeśli się nie zamkniesz, znowu cię zaknebluję. Ale ona drążyła dalej:

-
A jak znowu cię złapią, a ja zostanę tutaj?

-
Przecież im powiem, nie?

Przyjrzała mu się, szukając w jego twarzy najmniejszych śladów zdrady czy nieszczerości.

-
Miałeś od nich jakieś nowe wieści?

-
Nie. Dałem im czas. - Widząc, z jakim przerażeniem na niego spojrzała, dodał: - Mają do wykonania pewną pracę, przynajmniej jeden z nich. Czy twój ojciec wspominał kiedyś o detektywie Dia-mondzie?

-
Tatuś nie rozmawia ze mną o pracy. Prawdę mówiąc, w ogóle o niczym ze mną nie rozmawia. Niewiele mamy ze sobą wspólnego.

-
Pewnie nie podoba mu się, że grywasz na ulicy

-
To znacznie więcej. Co mi chcesz powiedzieć o tym detektywie?

Zyskał jej zainteresowanie. Wobec perspektywy, że zostanie sama, co ją przerażało, jedynym realnym sposobem, żeby się z tym uporać, było odwrócenie jej uwagi. Mógł to zignorować i odejść. Nikt nie usłyszałby krzyków. Ale wiedział, co to znaczy, kiedy brutalna obojętność więziennego

strażnika sprawia, że człowiekowi zostaje tylko rozpacz. Sprawianie tej nieszczęsnej istocie cierpienia nie dawało mu przyjemności, nie było też rozwiązaniem. Przestaliby być ludźmi. Zeby ją pocieszyć, powiedział jej o paru sprawach.

-

Diamond to jeden z najlepszych detektywów twojego ojca, co nie świadczy źle o innych. Cztery lata temu prowadził śledztwo, śledztwo w sprawie morderstwa i spieprzył je. Wsadził niewłaściwego człowieka. Na pewno o tym nie słyszałaś?

Pokręciła głową. To było małe zwycięstwo Mountjoya - przestała narzekać.

-

Są skorumpowani policjanci i są policjanci tacy jak Diamond, którzy wierzą, że mają rację - kontynuował. - On nie jest skorumpowany. Tak mi się wydaje. Naprawdę wierzy, że rozgryzł sprawę. To typowy uparty glina, apodyktyczny, z klapkami na oczach, ale coś w tym człowieku jest.

Nie ma uroku, jakoś tego nie zauważyłem, ani dobrego stylu przesłuchań, brakuje tylko, żeby wyrywał paznokcie, ani zdolności przywódczych, bo ludzie, którzy z nim pracują, nienawidzą go serdecznie. Jedyne jego dodatnie cechy to uczciwość. Myli się, ale jest uczciwy. A ja daję mu szansę, żeby to udowodnił.

-

To ty jesteś człowiekiem, którego wsadził do więzienia.

Dwa dni temu, żeby jej nie przestraszyć, Mountjoy zaprzeczyłby, że jest zbiegłym więźniem. Teraz, jakby paradoksalnie, przyznanie się do tego było sposobem na wzbudzenie zaufania.

-

Pieniądze na twoje wykształcenie nie poszły na marne - odparł z przelotnym uśmiechem.

-

Możesz sobie darować ten sarkazm. Nie chciał być sarkastyczny.

-

Poświęcałem wiele czasu studentom. - O mały włos nie dodał, że był dyrektorem własnego college'u, ale nie chciał za wcześnie powiedzieć za dużo. - No ale wróćmy do tego cholernego detektywa Diamonda.

Pomylił się, a jak kazałem mu coś z tym zrobić.

-

Po tylu latach?

-

Po tylu latach.

-

Co on może zrobić? Wiesz, kto naprawdę popełnił morderstwo?

Powiedziałeś mu?

-

Wiem tylko tyle, że Diamond się pomylił. Tak mu powiedziałem.

Czy uwierzył, to dość niepewna sprawa.

-

Masz chyba jakieś pomysły. Musiałeś o tym myśleć, kiedy się działo.

-

Bez ustanku. Do niczego nie doszedłem, bo nie dysponowałem wszystkimi faktami. Myślenie nie pomoże w rozwiązaniu zagadki kryminalnej, jeśli nie ma się pełnego obrazu.

-

A ten Diamond?

-

Co Diamond?

-

On ma pełny obraz?

-

Jak do tej pory nie, ale tylko on może dojść prawdy. Ma wszystkie oryginalne zeznania i wie...

Samantha przerwała mu. Zatrzymała oddech, a potem zapytała:

-

Co to takiego?

-
Co?

-
Ten dźwięk, szuranie.

-
Nie słyszę.

Nasłuchiwali razem. Mountjoy pomyślał, że gdyby drużyna poszukiwawcza weszła do kamieniołomu, słysząc byłoby głosy i kroki, ale trudno byłoby stwierdzić, z której strony nadchodzą, bo do labiryntu prowadziło wiele wejść. Wybór drogi ucieczki przypominałby loterię.

-
O, znowu! - powiedziała.

To nie człowiek. Cichy dźwięk, łopot, gdzieś blisko.

-
I znowu!

-
To kurz opada. Czuję go na szyi. - Poświecił latarką do góry i ciemny kształt przeleciał przez promień światła.

-
Nietoperz. To tylko nietoperz.

-
O Boże!

-
Nie zbliżaj się do ciebie.

-
Boję się nietoperzy.

-

One się nami nie interesują. To ich dom. Widzisz tę półkę na górze?

- Wskazał latarką. - Stamtąd wyleciał. Zrzucił kawałki wapienia.

Mocno zamknęła oczy, objęła się ramionami, zaczęła się kołysać i wydawać jęczący, piskliwy dźwięk. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie słyszał. Strach sprawił, że wyglądała jakby dostała ataku epilepsji. Czy jest epilepticzką? Jak sobie z tym poradzi? W swoich planach nie przewidział niczego takiego.

Zrezygnował z narzuconego na siebie ograniczenia, że jej nie dotknie, położył jej dłoń na ramieniu i potrząsnął nią.

-

Przestań natychmiast. Nie bądź śmieszna. Otworzyła oczy.

-

Zabij mnie wreszcie, żeby to się skończyło. Zabij mnie. Wolę umrzeć. Zabij mnie, ty morderco!

Powalił ją na ziemię, wykręcił jej ręce za plecy i związał.

Rozdział 13

TRZYMAŁ JULIE W NIEPEWNOŚCI przez całą drogę do Manvers Street. Była na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że nie mówił

poważnie o przeobrażeniu jej w punka, ale jego bawiło rozpracowywanie tego jednego procentu. Peruka z dreadami zdałaby egzamin, a jeśli w garderobie wydziału kryminalnego nie ma wojskowych spodni, wystarczyłyby jej legginsy z mnóstwem dziur. Był pewien, że Królewskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami pożyczycyoby jej jakiegoś naro-wistego kundla. Koniecznie powinna mieć psa. Szedł

powolnym krokiem i przez całą drogę dokuczał jej z prawdziwą przyjemnością. Ale pod twarzą pokerzysty nastrój coraz bardziej mu się poprawiał i nie sprawiło tego piwo wypite w barze Roman.

Nie darował Julie, póki nie dotarli do komisariatu. Przechodzili przez recepcję, kiedy Diamond zobaczył coś za szybą ochronną na stanowisku przyjmowania zgłoszeń.

-

Nie wierzę - powiedział, ale jednak podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć.

Kolejna wełniana pszczoła leżała tuż za szybą, wpatrując się w niego śmiesznymi ślepiami.

Zastukał w okno, do szyby podszedł sierżant dyżurny.

-
Kto to tutaj położył?

-
Co takiego, panie Diamond?

-
Tę pszczołę.

-
To trzmiel, proszę pana.

-
Wszystko jedno. Kto jest za to odpowiedzialny? Konstabl ściągnął
brwi.

Diamond poczerwieniał.

-
Kto ma takie poczucie humoru? Tylko to chciałbym wiedzieć.

-
To nie jest żart, proszę pana.

-
Co ty mi pieprzysz, chłopcze? Kiedy go znajdę, nie będzie mu do śmiechu.

Zapadła cisza, wreszcie konstabl zebrał się na odwagę i powiedział.

-
Czy pan nie dostał pszczoły, proszę pana? Uprzejme pytanie pozostało bez odpowiedzi.

-
Wszyscy powinni ją dostać dziś rano. Rusza operacja „Trzmiel”.

Oczy Diamonda wyglądały jak dwie kreski w alfabecie Morse'a.

Julie Hargreaves, która stała za nim, schyliła głowę i skrzyżowała ręce na brzuchu, rozpaczliwie próbując zachować powagę.

-

Może pan wziąć tego trzmiela, jeśli pan sobie życzy. - Nieszczęsny sierżant dyżurny dodał kolejny punkt do listy zniewag. - Mamy ich całe pudło na zapleczu. Razem z nimi przyszły plakaty.

Coś trzeba było zrobić, i to szybko.

Nie ufając swoim słowom, Julie dotknęła ramienia Diamonda i pokazała mu wielki plakat na tablicy ogłoszeń, wiszącej po prawej stronie dyżurki.

Wyobrażał on ogromnego trzmiela w policyjnym hełmie i butach. Napis głosił: „Supertrzmiel mówi, zwalczajcie włamywaczy. Potrzebujemy waszej pomocy. Zabrzęczcie na trzmieli telefon, rozmowa bezpłatna. 0800

555 111".

Diamond przyglądał się temu w milczeniu.

W końcu Julie wydusiła z siebie dwa słowa.

-

Public relations.

-

Za przeproszeniem, pani inspektor - odezwał się konstabl - to nie są po prostu public relations. Od rozpoczęcia akcji „Trzmiel” w ubiegłym roku włamania zostały drastycznie ograniczone. Pięciu ludzi pracuje w zespole sierżanta Wooda, policjanta Trzmiela.

-

Co takiego? - zapytał Diamond.

-

Każde zgłoszenie włamania kierowane jest do centralnego gniazda trzmieli - to, oczywiście, komputer. Kiedy będzie pan szedł na górę, usłyszycie pan, jak brzęczy.

-

Chryste Panie! - wymamrotał Diamond.

-

A potem dranie zostają uządleni. Życzy pan sobie trzmiela, pro-szę pana?

Diamond pokręcił głową i dał się Julie odprowadzić.

-

CZTERY LATA TO MNÓSTWO CZASU - oświadczył Marcus Martin z eleganckim akcentem nabytym w prywatnej szkole.

I mnóstwo kobiet, pomyślał Diamond. Ostatniego z kochanków Britt Strand znaleźli w padoku, za elżbietańskim dworkiem, niewątpliwie jednym z nielicznych ceglanych dworów w kraju. W popołudniowym słońcu z trójdzielnej fasady bił jaskrawopomarańczowy blask. Tam, gdzie cień dębu padał na ścianę, cegły nabierały krwisto-czerwonych tonów.

Marcus Martin towarzyszył młodej kobiecie do-siadającej czarnej klaczy na kolistym wybiegu szkoleniowym, wysypa-nym trocinami, z przeszkodami do trenowania skoków. Nieskazitelnie ubranej amazonce, w czarnej aksamitnej dżokejce, czarnej kurtce, bia-łych sztylpach i płowych bryczesach nie udało się zmusić konia do biegu. Chyba nawet się nie starała. Można było z tego wywniosko-wać, że lekcje jazdy nie były głównym powodem, dla którego się tu-taj znalazła. Sposób, w jaki Martin pomógł jej zsiąść, przytrzymując ją obiema rękami za uda, wzmacniał to wrażenie. Wziął od niej wo-dze i klepnął w pośladek, zanim skierowała się do stajni. Nie zapro-testowała.

-

Ale mnie pan pamięta, mam nadzieję? - zapytał Diamond.

-

Aż za dobrze, przyjacielu, aż za dobrze.

Diamond przedstawił Julie, która została nagrodzona wątpliwym komplementem. Martin obrzucił ją wzrokiem od stóp do głów.

-

Trudno uwierzyć - powiedział.

-

W co? - zapytał Diamond.

-

Ze to inspektor Hargreaves.

-

Nie byłoby to takie trudne, gdyby próbował pan uniknąć za-trzymania - stwierdził Diamond. Ta pochwała nieomal kompenso-wała wcześniejsze złośliwości. - Na pewno słyszał pan, że Mountjoy uciekł z Albany?

-

Słyszałem, ale nie rozumiem, co to ma ze mną wspólnego.

-

Nic - odparł Diamond. - Ale ze mną ma. To ja jestem tym fraje-rem, który być może będzie z nim rozmawiać. On, oczywiście, twier-dzi, że jest niewinny.

-

Czego chce ten podlec: ponownego procesu?

-

Tego nie uzyska.

Martin dał klaczy kilka kawałków cukru i skinął na stajennego, żeby zabrał ją do boksu. Potem zaproponował, żeby weszli do domu, bo tam będzie cieplej.

-

Próbuję przypomnieć sobie sprawę - powiedział Diamond, jak-by zapomniał wszystkie fakty. Choć raz zachowywał się przyjacielsko, jak telewizyjny detektyw Columbo, którego styl prowadzenia przesłu-chań starał się naśladować, ale rzadko mu się to udawało. - Pan pierw-szy przychodzi na myśl jako ktoś, kogo można by zapytać o Britt.

-

Nic nie wiem - odparł Martin. - Nasz romans był krótki i kon-kretny.

To były raczej tygodnie niż miesiące.

-

Pozwoli pan, że o tym porozmawiamy?

-

Oczywiście, ale nie widzę związku.

W domu, przed migoczącym ogniem z drewno-łożonych w zagłębio-nym w ścianę kominka, prawie tak dużym jak biuro, które Diamond i Ju-lie zajmowali na komendzie, Marcus zaczął rozwodzić się nad

sprawą.

-

Szanowałem Britt. Miała klasę. Nadzwyczaj piękna i znacznie inteligentniejsza ode mnie. I cholernie dobrze jeździła konno. - W jego głosie brzmiał prawdziwy podziw. - Jeździła regularnie. W Szwecji poważnie podchodzą do jazdy konnej. W każdym razie Britt chciała sobie poskakać i ktoś ze stajni zaproponował, że ją tutaj przyprowadzi. Mam tu parkur do konkursów jeździeckich - nie ten, który widzieliście, ale pełny tor - najlepszy w okolicy. Może go zauważyliście, kiedy jechaliście tutaj.

Tak się spotkaliśmy. Kiedy pojeździła na moim najlepszym ogierze i ochłodziła się perrierem - wiecie, była abstygentką - powiedziała, że chce zadzwonić po taksówkę. Nie miała samochodu. Oczywiście, zaproponowałem, że podwiozę ją do domu i tak zrobiłem. - Przerwał i mrugnął do Julie. - Następnego dnia rano.

-

Kiedy to było: we wrześniu?

-

Jakoś wtedy. Może w sierpniu. Jak mówiłem, to było wieki temu.

Cała sprawa nie trwała dłużej niż trzy szalone i gorące tygodnie.

Skończyło się co najmniej na tydzień przed zabójstwem.

-

W swoim czasie powiedział mi pan, że rozeszliście się - przypomniał

sobie Diamond. - Trudno to pogodzić z tymi szalonymi i gorącymi tygodniami.

-

Tak powiedziałem? Czyli że to prawda. Tak, przerobiłem swój repertuar, można powiedzieć. Nie powiem, żebyśmy się nawzajem sobą znudzili w tygodniu numer trzy, ale łączyło nas tylko jedno.

-

Ma pan na myśli jeździectwo? Uśmiechnął się.

-

Wkrótce zaczynała szkołę, a ja wyjeżdżałem na weekend do Belgii, jako rezerwowy w brytyjskiej drużynie konia wierzchowego i nie umówiliśmy się na kolejną randkę. Proste. Nie było kłótni, dzięki

Bogu, bo później mógłbym mieć wyrzuty sumienia. Kiedy wróciłem z Brukseli związałem się z kimś innym.

-

Z tą młodą damą, która dostarczyła panu alibi.

-

Tak, z nią. Wie pan, umarła. Zapalenie opon mózgowych.

-

Pańskie dziewczyny nie mają szczęścia. O ile pamiętam, tę drugą spotkał pan na przyjęciu i poszedł z nią do domu.

-

Tak, na Walcot Street. Koszmarny slums, ale nie miałem wiele czasu, żeby mu się przyglądać. Praktycznie wciągnęła mnie do swojego legowiska i zgwałciła. Wielokrotnie.

Diamond pociągnął łyk sherry, którą poczęstował go młody człowiek.

Podejrzewał, że te seksualne przechwałki były skierowane do Julie. Nie pamiętał, żeby cztery lata temu były aż takie niedwuznaczne. Te pełne pasji romanse były dla Diamonda czymś niezrozumiałym. Widział w Martinie Marcusie niskiego, nudnego faceta z włosami koloru marchewki i pożyczką pasemek przez łysinę, ale nigdy nie rozwikłał tajemniczy działania kobiecego libido. Może jazda konna miała coś z tym wspólnego.

Albo duży dom na wsi.

-

Może wróćmy do Britt Strand? Romans rozwijał się głównie tutaj, prawda?

-

Wyłącznie. Jej mieszkanie nie nadawało się do tego. Ci ludzie na parterze... Zapomniałem jak się nazywają...

-

Billingtonowie.

-

Zgadza się. Nie spodobałoby się im to. Bardzo purytańscy. Po-bożni, jak sędzę. Starsza pani

obserwowała gości z dołu schodów, jak paryska konsjerżka.

-

Więc spotkał się pan z nimi?

-

Parę razy. Zwykle wpadałem do Britt i przywoziłem ją tutaj moim land roverem.

-

Ale pan nie...

-

Nie tam. Tutaj, we dworze, byłem znacznie bardziej odprężony.

-

Billingtonowie wyjechali na trzy tygodnie na Teneryfę. Odwieździał

ją pan, kiedy dom był pusty?

Ściągnął brwi, w zamyśleniu postukał jednym palcem w ramię fotela.

-

Skoro pan o tym wspomniał, to tak parę razy z dołu nikt się nie gapił

oczkami jak paciorki. Domyśliłem się, że na krótko wyjechali.

Britt nic nie mówiła, że mają wakacje. Zapewne wolą przyjeżdżać tutaj.

-

Rozmawiała z panem kiedykolwiek o Billingtonach?

-

Niewiele. Niezbyt ich lubiła, ale miejsce jej odpowiadało. Była pewna, że zaglądają do jej pokoju, kiedy czasem wychodzi. Zeby po-węszyć. O ile wiem, to się często zdarza w wynajmowanych pokojach.

Powiedziała mi też, że gospodarz troszkę się do niej umizguje. Śmiała się z tego. Większość mężczyzn troszkę się do niej umizgiwała, jeśli by mnie pan zapytał.

-

Jak to okazywał? - zapytała Julie.

-

Dawał jej drobne upominki, kiedy jego żona była zajęta czymś innym, telefonowała, kąpała się. Czekoladki, kwiaty z ogrodu, rzeczy, które kobiety doceniają. Britt mówiła, że zawsze znajdował jakąś wymówkę, a to, że nie lubi czekolady, a to, że właśnie przycinał róże czy coś takiego.

Diamond natychmiast wyostrzył uwagę.

-

Róże?

-

Albo żonkile, albo groszek pachnący. Nie wiem.

-

Powiedział pan: róże.

-

Pierwszy kwiat, jaki przyszedł mi na myśl.

-

Wie pan, dlaczego tak mnie to zainteresowało?

-

Oczywiście i pewnie dlatego wspomniałem o różach. Nie przywiązywałbym do tego wagi.

-

Pamięta pan, co panu dokładnie powiedziała?

-

Po tylu latach? Nie.

Diamond znał z doświadczenia zniechęcenie towarzyszące rozmowom z ludźmi, którzy mieli nieprecyzyjną pamięć. Oddalenie w czasie sprawiało, że szanse na dowiedzenie się od nich czegoś nowego były przygnębiająco małe.

-

Czy kiedykolwiek rozmawiał pan z panem Billingtonem?

-

Tylko, żeby zabić czas.

-

Czy Britt mówiła coś panu na jego temat?

-

Uważała, że chętnie przebywa poza domem. Był przedstawicielem handlowym, wie pan, kartki okolicznościowe, raczej wulgarne, jak sędzę. I myślę, że lubił pożartować sobie z ekspedientkami, które odwiedzał.

Czemu tak się pan interesuje starym Billingtonem?

Diamond zignorował pytanie.

-

Skąd pan wie o kartach?

-

Widziałem go raz we Frome, jak załatwiał interesy. W jednym z kiosków na ulicy. Kobieta aż spociała się ze śmiechu, oglądając kartki, które chciał jej sprzedać.

-

Wróćmy do Britt. Rozmawiała z panem o swojej pracy?

-

O dziennikarstwie? Bardzo mało. Nic nie wiedziałem o tym wszystkim, co wyszło na procesie. O irackich powiązaniach. Kiedy zaczął się semestr, powiedziała mi, że zapisała się do college'u. To wszystko. Nawet nie zapytałem, jaki przedmiot chce studiować.

-

Czy wspominała Mountjoja w jakimkolwiek kontekście?

-

W ogóle o nim nie mówiła.

-

Spotkał go pan?

-

Nigdy.

Znów głową w mur.

-

Kiedy bywał pan w Larkhall, w domu, w którym popełniono morderstwo, wchodził pan na górę, do jej pokoju?

-

Oczywiście.

-

Czy przynosił jej pan kiedykolwiek kwiaty? Martin uniósł ręce w geście zaprzeczenia.

-

Hej, co pan sugeruje? No nie.

-

Czy wysłał pan jej kwiaty potem, kiedy przyjaźń osłabła? Może po prostu z kurtuazji?

-

Czego?

-

Zauważył pan jakieś kwiaty w jej pokoju?

-

Róże? Nie.

-

Wysłał pan kwiaty na pogrzeb?

-

Oczywiście nie.

Martin wymownie popatrzył na zegarek. Julie spontanicznie podjęła przesłuchanie.

-

Sądzymy, że mogła przygotowywać jakiś artykuł o punkach w Bath.

Czy wspominała o tym panu?

Ściągnął brwi, spojrzał w kominek i strzelił palcami.

-

Faktycznie, wspominała. Pewnego popołudnia poszliśmy na herbatę do Canary, tej dość eleganckiej kawiarni na Queen Street, gdzie do earl greya dają muzykę klasyczną z taśmy. Zawsze prowadzą gości do stolików. Nas wyróżniono. Dostaliśmy miejsca przy oknie, na parterze.

Można się przyglądać przechodzącym ludziom. Robiłem wszystko, żeby rozbawić Britt, wymyślałem historyjki na ich temat, jakbym ich wszystkich znał. Ten pozował dla Picassa, tamten jest entuzjastą kolei, a to jest zakonnica, która uciekła z klasztoru i tak dalej. Głupio brzmi, kiedy teraz o tym mówię, ale wtedy wydawało się zabawne. Potem przeszedł

tamten wielki człowiek w płaszczu wojskowym, najwyraźniej punk, i ku mojemu zdumieniu Britt pomachała do niego ręką i zastukała w okno.

Zatrzymał się i popatrzył. Przez chwilę myślałem, że ma zamiar go zaprosić. Podobnie myślała kierowniczka sali. Rzecz w tym, że facet nie wyglądał odpowiednio jak na tę herbaciarnię. Dredy, tatuaże, kolczyki, podkute buciory. Ale Britt wstała i wyszła do niego, zabierając z sobą do połowy zjedzone ciasteczko. Przez jakiś czas stali na zewnątrz i rozmawiali. Przykuli uwagę całej klienteli Canary. Robił niesamowite wrażenie.

-

To musi być G.B. - powiedziała Julie do Diamonda.

-

Wreszcie poszedł w swoją stronę, a ona wróciła i zaczęła mnie przeproszać. Powiedziała, że to tylko kontakt, a ja pamiętam, że zastanawiałem się, do jakiego stopnia intymny był ten kontakt. I zapytałem ją o to. Czy wie, na jakie ryzyko się naraża, rozumiecie, o co mi chodzi. Ale Britt twierdziła, że to czysto zawodowa sprawa. Zbierała materiał do artykułu o punkach, coś, co miało się okazać prawdziwą sensacją. Była miła dla tego wielkiego faceta, dopóki nie zgromadziła wszystkich faktów.

-

Canary to jest tuż za rogiem Trim Street, prawda? - Diamond zwrócił

się do Julie.

Skinęła głową.

-

Coś jeszcze panu powiedziała? - zapytał Martina.

-

O punkach? Nie.

-

Nie bała się tego człowieka?

-

Z całą pewnością nie robiła takiego wrażenia.

-

Widział go pan od tamtej pory?

-

Nie. Sądzę, że musiał się wynieść z okolicy.

W DRODZE POWROTNEJ DO BATH PROWADZIŁA JULIE. Diamond dokończywał podsumowania.

-

Nieźle. Zaczęliśmy z dwoma ludźmi na celowniku, Jakiem Pinkertonem i Marcusem Martinem, a teraz mamy jeszcze dwóch: figlarnego Winniego, jak go nazwałaś, i G.B., kimkolwiek jest.

-

Winston Billington na pewno ma alibi? - zapytała Julie. -W czasie, kiedy dokonano morderstwa był na Teneryfie.

-

Ciekawe, czy ktoś to sprawdził.

-

Pewnie my.

-
Mówisz „my”, ale przecież nie brałaś w tym udziału. Jeśli zdarzyło się jakieś przeoczenie, to z mojej winy. Billington nie grał wielkiej roli w śledztwie, to pewne. - Poczekał, aż Julie przejedzie przez skrzyżowanie, i dokończył. - Zdaje się, że próbował z nią szczęścia. Te prezenty. Te róże.

-
Albo pachnący groszek - przypomniała.

-
W porządku, ale dawał jej kwiaty. A jako gospodarz miał klucze do jej mieszkania. Jeśli będzie najmniejsza wątpliwość co do alibi, Winston Billington odpowie nam na kilka pytań.

-
Te wakacje na Teneryfie można sprawdzić w biurze podróży, prawda?

-
Po czterech latach? Wątpię, żeby tak długo przechowywali archiwa.

Wszystko mają w komputerze, zgadza się? Dziecinnie łatwo to wymazać.

Julie się uśmiechnęła. Diamond nigdy nie przepuścił okazji, żeby dać kukuśniaka komputerom.

-
To samo dotyczy linii lotniczych - dodał. - Dawniej mogliśmy przejrzeć listę pasażerów. Wszystko było na papierze. Stewardesa miała tekturkę z nazwiskami. Teraz już tak nie jest.

-
To było wtedy, kiedy Lindbergh przeleciał przez Atlantyk? -

zapytała Julie, nie odwracając wzroku od drogi.

Zerknął na nią z ukosa.

-
Jeśli dobrze przemyśleć sprawę - powiedział - parę kółek w nosie mogłoby wiele zdziałać.

Nie odpowiedziała.

Na Manvers Street dyżur pełnił ten sam konstabl. Zawołał do Diamonda po nazwisku.

-
Co jest tym razem?

-
Ma pan na górze gościa.

-
Jednego z twoich trzmieli?

Konstabl nie był pewien, czy ma się uśmiechnąć.

-
Nie, proszę pana. Punka.

Rozdział 14

Po DRODZE NA GÓRĘ JULIE HARGREAVES ZAPYTAŁA DIAMONDA, CZY chce, żeby była przy rozmowie.

-
Oczywiście - odpowiedział obcesowo. - Przyszedł tutaj tylko dzięki tobie.

-
Ja go nie umawiałam.

-
Rozsiałaś ziarna. - To nie był komplement. Zbierał myśli przed przesłuchaniem, a ona mu przeszkodziła.

Szybko o tym zapomniał. W prowizorycznym gabinecie czekała ich naprawdę zabawna scena. Punk spał z nogami na biurku, głową odrzuconą do tyłu i otwartymi ustami. Ani Julie, ani Diamond nie wypowiedzieli tego na głos, ale oczekiwali kogoś, kto pasowałby do opisu G.B. A ten punk był najwyraźniej kobietą.

Poruszyła się na odgłos zamykanych drzwi, ziewnęła i zapytała.

-
Kim jesteście?

-
My tu pracujemy - odparł Diamond.

Oświadczenie zostało przyjęte z niedowierzającym wyrazem twarzy.

Najwyraźniej nie wyglądali na policjantów, jakich zwykle widywała. Na dole przyjął ją jeden umundurowany funkcjonariusz, drugi przyprowadził

na górę.

-
Jesteśmy tajniakami - dodał Diamond. - A ty?

-
Po prostu wpadłam.

Unik w zamian za unik. Postanowił podać swoje nazwisko oraz nazwisko i stopień Julie.

Dziewczyna przedstawiła się jednym słowem.

-
Shirl.

Shirl nosiła coś, co wyglądało jak kurtka lotnicza z czasów wojny, z wypłowiałej brązowej skóry z wełnianym kołnierzem. Miała czarną podkoszulkę i skózaną minispódniczkę z frędzlami, rajstopy ka-baretki i koszmarne starte buty, które nie wykazywały skłonności do opuszczenia biurka. Czarne włosy nosiła przycięte krócej niż Julie, a po obu stronach głowy miała wygolonego „Union Jacka”. Wielkie, srebrne koła ozdabiały jej uszy, ale nie miała kolczyka w nosie i żadnych widocznych tatuaży.

Była dość konserwatywnym punkiem.

-
Co możemy dla ciebie zrobić, Shirl. Kawy? Zrobiła gest, jakby przykladała do ust papierosa. Diamond wymienił spojrzenia z Julie, która wyszła, żeby napaść

na kogoś palącego.

-
Co cię tu sprowadza?

Spojrzała nieufnie na Diamonda, nadal trzymając nogi na jego biurku.

Ponieważ były odkryte, nie sposób było nie zauważyć, że są krótkie i grube. Ani buty, ani rajstopy, ani minispódniczka nie były w stanie zmienić ich wyglądu. Prawdopodobnie, kiedy stała, nikt nie zwracał

uwagi na nogi, bo powyżej talii była szczerze obdarzona. Uznała w końcu, że powinna jakoś wyjaśnić swoją obecność w biurze i powiedziała:

-

Jakiś glina był dzisiaj na Stall Street i wypytywał o G.B.

-

Znasz go?

-

Jasne, że znam. Inaczej bym tu nie przyszła, prawda? Po co on wam potrzebny?

-

Tylko po to, żeby pomóc nam w śledztwie. - Znajome słowa zostały wypowiedziane, zanim Diamond w pełni zdał sobie sprawę, ak złowieszczo zabrzmiały. Szybko użył innego zwrotu. - Chcę z nim porozmawiać o kimś, kogo spotkał dawno temu.

-

W Bath?

Uśmiechnął się, starając się być miły.

-

Właściwie przy Trim Street.

-

Nie wiem, gdzie to jest.

-

Wiesz, przy Milsom Street, tam gdzie są telefony i ten sklep z ekspresem do kawy - Carwardine's?

-

Już go nie ma - mruknęła Shirl.

-

Nie ma Carwardine's? - zmarszczył brwi.

-

Zamknęli.

-

O Boże.

-

Ale wiem, gdzie był - powiedziała uczynnie.

-

No więc to jest dalej. Cztery lata temu G.B. mieszkał w kołonie przy Trim Street. Ta kobieta była dziennikarką. Umówiła się z nim, że odwiedzi dom i zrobi parę zdjęć dla czasopisma.

-

To ta szwedzka reporterka, co ją zabili, zgadza się?

-

Zgadza się. - Zachęcony tym, że dziewczyna wie, nadal starał się utrzymać przyjacielski ton. -
Pamiętasz ją?

-

Wtedy mnie tam nie było. Chodziłam jeszcze do szkoły.

-

Ale słyszałaś o morderstwie?

-

Tylko tyle, ile mi powiedzieli.

-

I możesz mnie zaprowadzić do G.B.?

To sprawiło, że ze strachem zaczerpnęła powietrza.

-

Nie ma mowy! Tego nie powiedziałam.

-

To po co tu przysłaś? On cię przysłał? Odpowiedziała tylko na pierwsze pytanie.

-

To mój facet.

Wróciła Julie z trzema papierosami i z zapalnikami. Shirl chwyciła wszystkie i zapaliła jednego. Resztę włożyła do kieszonki na piersi.

Diamond opowiedział Julie, czego się do tej pory dowiedział, i dał jej znak, żeby przejęła przesłuchanie.

-

Gdzie mieszkasz, kochana? - zapytała Julie.

-

Wszędzie, jestem podróżniczką, nie?

-

W furgonetce?

-

Coś w tym stylu.

-

Blisko Bath?

-

Co ci do tego?

-

Możemy cię podrzucić do domu.

-

Odchrząń się.

Diamond mężnie uznał, że to koniec rozmowy z Julie i że nade-
szła jego kolej.

-

Chcielibyśmy spotkać się z G.B. Chcemy tylko, żeby powie-
dział, co pamięta o tej sprawie sprzed czterech lat. Myślisz, że zgodzi się z nami spotkać?

-

Dlaczego mnie pytacie?

-

Zapytalibyśmy jego, gdyby tu był, ale ty jesteś druga w kolejno-
ści, skoro jego tu nie ma.

Przeniosła uwagę na papierosa, jakby wygrała tę potyczkę.

-

Powiedziałaś, że to twój facet. Wie, że tu przyszedł? Jeśli chcesz, możemy cię w to nie mieszać.

-

Nie boję się go - powiedziała Shirl, ale zabrzmiało to raczej jak brawura niż prawda.

-

Czy to on cię przysłał? Cisza.

Tym razem Diamond pozwolił, żeby dziewczyna dojrzała. Nie da-
wała po sobie znać, że chce wyjść, a musiała być jakaś przyczyna, że przysła.

Punki nie mają obyczaju odwiedzania komisariatów w celu pogawędki z glinami.

Julie znała tę taktykę. Nie odwracając wzroku, patrzyła na stertę materiałów piśmiennych, leżącą naprzeciwko niej, jakby jej prawdzi-
wym powołaniem było liczenie kopert.

Shirl wytrzymała tę obojętność kilka minut, potem zaczęła się krę-
cić, parę razy zaciągnęła się i wypuściła dym. W końcu uskubała za-
rzący się koniuszek i położyła papierosa na skraju biurka, żeby ostygł. Postawiła nogi na podłodze i pochyliła się w krześle.

-

Myślicie, że to G.B. ją ukatrupił, prawda? - obwiedzione czarną kreską oczy wwiercały się w Diamonda. - Prawda?

Powstrzymał reakcję. Patrzył nad jej głową na stare ogłoszenie do-
tyczące stonki ziemniaczanej. Shirl wyrzuciła to z siebie.

-
Wsadziliście nie tego faceta, co trzeba, a teraz on uciekł. Ten nauczyciel, Mountjoy czy jak mu tam. To nie on zabił tę kobietę. Tak mówi G.B.

-
Powiedział ci to? - Diamond zareagował żywiołowo, łamiąc ślub milczenia. - Co jeszcze mówił?

Wchodzenie jej w słowo było taktycznym błędem. Wstrząs sprawił, że znów zamilkła. Co gorsza, wstała i ruszyła ku drzwiom. Zatrzymała się tylko po to, żeby wziąć peta ze skraju biurka.

Julie położyła siostrzaną dłoń na jej ramieniu i powiedziała:

-
Kochana, będziesz musiała gdzieś się przespać. Nie możesz do niego wrócić.

-
Nie boję się go - stwierdziła po raz drugi Shirl, odpychając rękę Julie. - On nic nie zrobił... no, nic poważnego.

Trzeba było szybko coś powiedzieć i Diamond się odezwał. Najpierw było to rzeczowe stwierdzenie faktu, które szybko ustąpiło wezwaniu, a potem rozpaczliwej prośbie o pomoc.

-
To oczywiste, że wysłał cię G.B. Bez wątpienia chce wiedzieć, co mamy zamiar zrobić. Czy przekażesz mu moje słowa? Powiedz, że chcę się z nim spotkać i porozmawiać o Britt Strand. Może zostać istotnym świadkiem. Powiedz mu, że interesuje mnie tylko to, co zdarzyło się cztery lata temu, kiedy był w komunie przy Trim Street. Pójdę, gdzie tylko zechcę, żeby po przyjacielsku porozmawiać. Gdzie tylko zechce. -

Zanim skończył, Shirl była już za drzwiami i schodziła po schodach na ulicę. Nie było wątpiwości, że usłyszała propozycję spotkania.

-
Wziąć samochód? - zaproponowała Julie.

-
Nie ma sensu. Łatwo nas zgubi w Bath. Mam zamiar zorganizować ogon. Na piechotę.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

-
Musisz się pan z tym pośpieszyć.

-
Ty musisz.

-
Ale ona mnie zna. Skinął głową.

-
Będzie się spodziewać, że ktoś za nią pójdzie, no więc równie dobrze możesz to być ty. Daj znać przez krótkofalówkę, kiedy będzie okazja. -

Zarządzanie ludźmi nigdy nie było mocną stroną Diamonda. Jeśli zaś chodzi o zarządzanie kobietami... lepiej dać spokój.

Julie wstała i wyszła nie patrząc Diamondowi w oczy.

KIEDY WYSZŁA, ROZPARŁ SIĘ W KRZEŚLE i zaczął zastanawiać się nad celem wizyty Shirl. Chyba chodziło o to, żeby coś przekazać. Po oświadczeniu, że Mountjoy jest niewinny, Shirl już im nie ucieknie. Czy G.B. naprawdę myślał, że przestaną mu deptać po piętach, jeśli prześle tak kuszącą informację? Jeśli ten człowiek naprawdę wiedział coś, czego wcześniej nie ujawniono, może to być przełomowym momentem w sprawie. Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem było to, że Shirl została przysłana wyłącznie po to, żeby dowiedzieć się, dlaczego policja interesuje się G.B., wpętany prawdopodobnie w inne, niepowiązane z morderstwem przestępstwa. Nie kazano jej mówić o Mountjoyu. To był

dodatkowy punkt.

Poszedł korytarzem, żeby sprawdzić, jak przebiega polowanie na Mountjoya. Komendant Warrilow stał między komputerami, przy których siedzieli cywilni pracownicy policji i bez ustanku stukali w klawiatury.

Popatrzył posępnie na Diamonda.

-
Jakieś postępy? - zapytał Diamond.

-
Same postępy.

-
Pozytywne nastawienie.

-
Właśnie mieliśmy zgłoszenie, że go widziano.

-
Dobra robota!

-
Być może. Mężczyzna odpowiadający jego opisowi widziany był niecałą godzinę temu w Cyrku.

-
Chodził po linie? - zapytał Diamond, chociaż doskonale wiedział, że mowa była o kręgu tarasów, jednym z klejnotów architektonicznych Bath.

Warrilow zignorował tę uwagę.

-
Tam pracują ludzie z wodociągów, kontrolują studzienki ściekowe.

Niektóre włązy kontrolne były otwarte przez cały tydzień.

Diamond szeroko otworzył oczy.

-
I podejrzewa pan...? Warrilow skinął głową.

-
Oryginalne kanały ściekowe przechodzą tuż pod budowlą. Są duże.

W niektórych można stanąć. Sądzymy, że tam się ukrywa. Wyślełem zespół poszukiwawczy, zaraz tam wejdą.

Peter Diamond zaczął pogwizdywać temat z The Third Man. Warrilow cmoknął i się odwrócił.

Diamond przeszedł do pokoju łączności i powiedział sierżantowi na służbie, żeby go poinformowano, kiedy zgłosi się Julie Har-greaves.

-
Powinna to zrobić już niedługo - powiedział z przekonaniem. - Mogę pożyczyć słuchawki?

Kilka minut później usłyszał, jak zgłasza się Julie. Szła za Shirl do dziedzińca stacji kolejowej. Tam dziewczyna zatrzymała się i zaczęła rozmawiać z grupą punków, z których żaden nie pasował do opisu G.B.

-
Teraz odeszła od nich, idzie w stronę tunelu pod torami, gdzie stoją taksówki. Idę za nią.

Diamond zwrócił się do sierżanta.

-
Czy nadal mamy zespół monitorujący podróżnych i punków? Kiedyś latem zdarzył się bardzo nagłośniony incydent na autostradzie M5, gdzie grupa punków zatrzymała swoje pojazdy i zablokowała ruch na ponad godzinę, protestując przeciwko temu, co nazwali nękańciem przez policję.

-
Tylko w miesiącach letnich, proszę pana. Teraz punki nie stanowią już takiego problemu.

-
Jak muchy? Zimą o nich zapominamy?

-
Brakuje nam ludzi, żeby monitorować ich przez cały rok. Diamond coś mrużąc, zdjął słuchawki. Julie nie kontaktowała się przez następnych dwadzieścia minut. Potem zameldowała, że właśnie dotarła do A36, Warminster Road. Shirl stała na poboczu i próbowała złapać okazję.

-
Co mam zrobić, jak się jej uda? - zapytała.

-
Widzę, że będę musiał cię podwieźć - rzucił nieuprzejmie Diamond.

- Gdzie dokładnie jesteś?

-
Już podaję panu pozycję. - Oburzenie Julie z trudem przebijało się przez eter.

Nie przeprosił. Niezbyt dobrze znał nazwy ulic i rozbijanie się samochodem nie było jego ulubioną rozrywką. Sierżant z pokoju łączności pokazał palcem właściwe miejsce na planie miasta wiszącym na ścianie. Z miną męczennika Diamond poszedł do samochodu.

Jechał przez centrum Bath i przez Pulteney Bridge. Rozwijał najniższą szybkość, na jaką pozwalał ruch uliczny.

Julie nadal czekała przy budynkach rządowych naprzeciwko Minister Way Zamachała energicznie.

-

No i co? Zgubiłaś ją? - zapytał.

-

Jeszcze nie, jak weźmiemy się do roboty - powiedziała, wsiadając. -

Jedzie wielką ciężarówką budowlaną, z żółtą kabiną. Zabrała ją jakieś dwie minuty temu. Powinniśmy ich dogonić.

-

Możemy spróbować - zgodził się bez przekonania. - Nie tak łatwo wyprzedzić na tej drodze. Chodzi mi o tego starego gruchota. - Powiedział

to tak, jakby potrzeba mu było tylko parę dodatkowych koni mechanicznych. Włączając się do ruchu, zajechał drogę bmw, który musiał

gwałtownie zahamować.

-

Poradziłbym sobie nieźle - rzucił, przekrzykując dźwięk klaksonu bmw - gdybym miał zdejmowaną niebieską lampę taką, jakiej używał

Kojak. Wystawiasz ramię przez okno, trzaskasz nią o dach i dalej, jazda!

Wszyscy wiedzą, że sytuacja jest awaryjna.

Droga zrobiła się szersza i Diamondowi udało się wyprzedzić małą białą furgonetkę.

-

Wiedziała, że za nią idziesz? - zapytał Julie.

-

Nie sądzę. Było parę nerwowych momentów, kiedy się obejrzała, ale wmieszałam się między ludzi

na chodniku.

Droga przed nimi schodziła w dół, mieli więc dalszą perspektywę.

-

Widzisz coś? - zapytał Diamond.

-

Nie wiem... chwileczkę, tak! Zaraz zniknie nam z oczu. Widzi pan?

Kiedy próbował coś dojrzeć, biała furgonetka - jedyny wóz, który udało mu się do tej pory wyprzedzić - znowu przejechała obok niego. Przez następnych kilka kilometrów pojazdy nadjeżdżające z przeciwnej strony nie pozwalały mu na jakiegokolwiek manewry. Światła przy pubie Viaduct jeszcze bardziej go przyhamowały, ale Julie pokazała, że zbliżają się do spadzistego stoku wzgórza, gdzie wszyscy muszą dostosować się do tempa najwolniejszych.

Na szczycie czekała ich nagroda: na poboczu zobaczyli żółtą ciężarówkę i Shirl wyskakującą z kabiny. Ten odcinek drogi był po obu stronach porośnięty drzewami.

-

Patrz, dokąd idzie - rozkazał Diamond, ponownie wchodząc w rolę dowodzącego. - Przejadę obok.

Jechał w żółtym tempie - ku białej furii kierowcy bmw jadącego go za nim -

aż sto metrów dalej znalazł kawałek równej murawy, na której zatrzymał

samochód. W lusterku zobaczył, jak ciężarówka miga kierunkowskazem, żeby znów włączyć się do ruchu.

-

Została po tej stronie drogi - powiedziała Julie, kiedy wysiedli. Ale Shirl nie było widać. Musiała pójść prosto do lasu, gęstego pasa, który rozszerzając się, pokrywał spory obszar. Zawrócili i tuż przy drodze znaleźli ścieżkę dojazdy konnej. Tylko tamtędy mogli przedrzeć się przez gąszcz.

Ruszyli w pościg. Szybki marsz po zmarzniętych liściach doprowadził

ich na polanę, na której stało kilkanaście pojazdów w różnym stadium zniszczenia. Dymiące ognisko i para ujadających psów potwierdzały, że mieszkają tu ludzie.

Jakaś kobieta - nie Shirl - wyszła ze starego, piętrowego autobusu.

Diamond zapytał ją, czy znajdzie tu G.B.

Miała koło trzydziestki, bladą, inteligentną twarz i krótko przystrzyżone włosy. Przenosiła wzrok z Diamonda na Julie i z powrotem, oceniając potencjał kłopotów, jakie z sobą nieśli.

-

Kto go potrzebuje? - zapytała.

-

Nazywam się Peter Diamond. A to Julie Hargreaves. Przyjaciele Shirl. - Przesadził, ale warto było spróbować.

-

Shirl?

-

Shirl. Musisz znać Shirl. Ale my chcieliśmy zobaczyć się z G.B.

Rozmowę przerwał nagły wrzask.

-

Nie! Nie dotykaj mnie, draniu! Odczep się! - Doszło ich z wnętrza wielkiej, czarnej furgonetki, stojącej obok nich. Drzwi w boku furgonetki otworzyły się szeroko i wypadła z nich młoda kobieta, w podkoszulce i figach. Podniosła się i, szlochając, pobiegła przez polanę do przyczepy mieszkalnej. W drzwiach furgonetki, które została otwarte, stanął

mężczyzna. W ręce trzymał szeroki, skórzany pas. Zatrzęsął drzwiami.

-

To on? - zapytał Diamond.

-

G.B.? - Ich rozmówczyni bardziej była zaskoczona pytaniem niż incydentem. - Nie. Chodźcie za mną.

Obeszli autobus i znowu zagłębili się w las, ale tylko na chwilę, bo krótka ścieżka doprowadziła ich do kolejnej polany, gdzie z dala od innych parkował wielki, wąski samochód kempingowy, okazały dom na kołach, według tablic rejestracyjnych, zaledwie dwuletni. Z boku widać było telewizyjną antenę satelitarną.

-

Zaczekajcie - powiedziała kobieta i zastukała do drzwi. Otworzyła Shirl. Popatrzyła nad głowę

kobiety, zobaczyła Diamonda i Julie i przyłożyła dłonie do gardła. Odwróciła się i rzuciła coś niezrozumiałego do wnętrza wozu. Po krótkiej wymianie zdań wyszła.

-

Macie wejść - rzuciła obrażonym głosem. Jej, zdaje się, kazano wyjść.

G.B. uprzejmie wstał, żeby przywitać gości. Nie był stworzony do życia w furgonetkach: musiał pochylić głowę, chociaż Diamond, też nie ułomek, stał prosto bez trudu. Jego akcent również nie kojarzył się z życiem włóczęgi, raczej inteligenta.

-

Proszę sobie coś znaleźć do siedzenia. Rozumiem, że chcecie ja-kichś informacji na temat Szwedki, którą zamordowano w Bath.

Była to asekuracja, której G.B. najwyraźniej potrzebował. Nie wspominajmy o innych sprawach. Najpierw trzeba uściślić temat rozmowy.

Diamond skinął głową.

-

Shirl świetnie się spisała. Miałaby przyszłość w wydziale zabójstw, gdyby tylko zechciała.

-

Ale wyszła przed orkiestrę. Nie wysyłałem jej do was.

-

Działała na własną rękę?

-

Kobiety! — powiedział G.B.

Zmienił się, bez wątpienia. Na zdjęciach, które widział Diamond, G.B.

miał ogoloną głowę, teraz nosił krótką fryzurę, która nie wyglądała-by źle nawet w reklamach martini. Czarny sweter, dzinsy i modne buty pochodziły wprost z „Gentleman's Quarterly”. Nowy G.B. był elegan-tem o ujmującym uśmiechu. Groźna postawa i ubiór punka zniknęły. Tylko jeden rys nie uległ zmianie, „leniwe” lewe oko, które uchwycił aparat Prue Shorter. W stosunku do fotografii i relacji Martina Marcusa o punku w wojskowym płaszczu, który wywołał sensację pod oknami kawiarni Canary, wyglądało to tak, jakby z larwy wykluł się motyl.

Furgonetka także wyposażona była luksusowo; zasłonki, poduszki, osłony na siedzenia wykonane z

dobranego materiału, mogły z powodzeniem pochodzić z Liberty's. G.B. awansował na górną półkę, ale dlaczego? Diamond szybko doszedł do wniosku, że być może został

dilerem narkotyków, który właśnie zaczął się dystansować od swojej frajerskiej klienteli. Pospolity scenariusz. Diler najpierw określa rynek, miesza się z potencjalnymi nabywcami, ubiera się tak jak oni. Z czasem bogaci się i przestaje udawać. To punki były teraz uzależnione od G.B.

Gdyby przyszedł w meloniku i garniturze w prążki, nadal by od niego kupowały.

-

Czy G.B. to pańskie inicjały? - zapytał Diamond, kiedy z godnością grubasa usadowił się na ławie. Był na swój sposób uprzejmy wobec G.B.

Narkotyki, jeśli to o nie chodzi, to nie jego działka.

-

Nie, to tylko pseudonim patriotycznie nastawionego gościa, który hoduje buldoga ubranego w kubraczek w barwach narodowych -

powiedział G.B. - Herbaty czy kawy?

Nie spodziewali się poczęstunku, ale zdaje się była to część nowego wizerunku.

-

Dla mnie herbata.

-

Dla mnie też - powiedziała Julie.

-

To jak się pan naprawdę nazywa?

-

G.B. Reaguję na G.B. - odparł gładko. - Gorzej już mnie nazywano w swoim czasie, zostałem więc przy tym.

Diamond przeszedł do istotniejszych spraw.

-

Nie spotkaliśmy się, gdy zamordowano Britt Strand.

-
Nie było powodu - odparł G.B. Był odwrócony tyłem, zajmował się czajnikiem.

-
Poza tym, że podobno spotykał się pan z Britt Strand na kilka tygodni przed jej śmiercią, a my próbowaliśmy przesłuchać wszystkich.

-
Tak, spotykałem się z nią - przyznał G.B., odwracając się do nich przodem. - Podobnie jak setki innych ludzi, jeśli się nie mylę. Kiedy pomyśleć o wszystkich tych kontaktach, które Britt miała tygo-dniowo...

-
Nasze zadanie polegało na zidentyfikowaniu ich - powiedział

Diamond, przerywając mu. - Przeoczyliśmy pana.

G.B. uśmiechnął się ze współczuciem.

-
Musiałem być niezłym problemem. Nigdy nie namierzycie wszystkich, szczególnie po tylu latach.

-
Robimy, co w naszej mocy.

-
Pamięć jest słaba.

-
Zmobilizujemy ją.

-
Życzę szczęścia.

Podczas tej rozmowy Diamond myślał, że G.B. troszkę za bardzo się stara, żeby przedstawić się jako sympatyczny swobodny gospodarz. Było bardziej niż prawdopodobne, że narkotyki schowane są gdzieś w samochodzie, co mogło wpływać na jego zachowanie. Ale zawsze istniała szansa, że to przez coś bardziej istotnego dla jego śledztwa.

-
Zechciałby pan opowiedzieć, jak doszło do spotkania z Britt Strand?

-
Szukała mnie - odpowiedział bez wahania. - To było latem przed jej śmiercią. Usłyszałem, że jakaś blondynka zagadywała punków sprzed stacji pomp, pytała o mnie. Byłem całkowicie pewien, że to szpieg z ubezpieczeń społecznych i starałem się nie zwracać na siebie uwagi. Ale w końcu mnie znalazła. Mieszkałem w komunie przy Trim Street, a ona czekała na rogu. Zaszła mi drogę. Pamiętam, że byłem wobec niej ordynarny, ale ona nie popuszczała.

-
Powiedziała, o co jej chodzi?

-
Natychmiast. Mówiła, że jest dziennikarką zbierającą materiał do artykułu o Trim Street. Machnęła legitymacją prasową. Zapewniłem pana, że to nie robi na mnie wrażenia. Nie chciałem, żeby opisano mnie w tabloidach.

-
Ale ona nie była z tabloidów.

-
Uwierzyłby pan słowom reportera? - powiedział G.B. wrzucając saszetki z herbatą do trzech kubków. - Twierdziła, że nie chodzi o mnie, że interesuje ją squat, co sprawiło, że stałem się jeszcze bardziej podejrzliwy. Kiedy mieszka się w komunie, popularność jest człowiekowi równie potrzebna jak Custerowi Indianie. Właśnie tak jej powiedziałem, a ona zaproponowała mi pięćdziesiąt funtów za wywiad na wyłączność, ze zdjęciami squatu. Miało nie być żadnych nazwisk. Powiedziała, że tekst pojawi się dopiero za pół roku i tylko w magazynach z górnej półki, sprzedawanych zagranicą. Byłem zdumiony, naprawdę. Czemu, do diabła, ktoś we Francji czy w Ameryce chciałby czytać o bandzie punków w Bath?

Diamond też bardzo chciał się tego dowiedzieć.

-
Zapytał pan?

-
Właściwie nie.

-
Nie chciał pan mówić o sobie za pięćdziesiąt funciaków? G.B. się uśmiechnął.

-
Wystarczyło, żebym zrobił się miły. Ta paniusia była nadziana.

Eleganckie ciuchy, za bardzo odłotowa jak na pracownika socjalnego, jak z początku sądziłem. Kiedy dała mi dziesiątaka tylko dlatego, że bym przyszedł na następne spotkanie, nie odmówiłem.

-
Rozpoczęliście negocjacje?

-
Nie ująłbym tego tak jednoznacznie. Spotkaliśmy się parę razy w Victoria Park.

-
Po umówieniu spotkania?

-
Oczywiście.

-
Dlaczego w parku? Czemu nie na Abbey Churchyard, gdzie zbierają się pańscy ludzie?

Uśmiechnął się przebiegle.

-
W parku jest więcej prywatności, prawda?

-
Nie chciał pan, żeby koledzy dowiedzieli się o interesie, który pan ubija?

-
Tego nie powiedziałem.

-
Ale to miał pan na myśli.

Nagle G.B. zaczął się bardziej interesować czajnikiem niż gośćmi.

Diamond nie odpuszczał.

-

To było latem 1990 roku?

-

We wrześniu czy jakoś tak - odpowiedział G.B., nie podnosząc wzroku. - Pogoda nadal była przyzwrotna. Siedzieliśmy na trawie i rozmawialiśmy.

-

Britt usiadła z panem? Podobała się jej natura?

Puste spojrzenie. Nawet Diamond uznał, że to nietaktowna uwaga.

Trochę dlatego, żeby to złagodzić, zwrócił się do Julie.

-

Mam nadzieję, że niejesteś feministką. - Apotem do G.B. -

Spójrzmy prawdzie w oczy, była atrakcyjna i chciała od pana przysługi.

Chce mi pan powiedzieć, że w Victoria Park tylko siedzieliście i rozmawialiście? Dopiero co powiedział pan, że w parku było więcej intymności.

-

Tak, w porównaniu z Abbey Churchyard. Coś mi chce pan wmówić, panie Diamond? Nie byliśmy kochankami. No dobrze, raz, dwa razy weszliśmy w zwarcie, podobała mi się, ale w Victoria Park nie ma aż tyle intymności.

-

Nie wiedziałem, że jest pan nieśmiały.

-

Do tego trzeba dwojga.

-

Ona też była nieśmiała?

-
Ona miała klasę.

Diamond odezwał się po chwili milczenia.

-
Wniosek z tego taki, że Britt wiedziała, czego chce, a pan nie, prawda?

G.B. się roześmiał.

-
Chce pan powiedzieć, że mnie nabrała? Właściwie do tego się to sprowadza. Dostała to, czego chciała.

-
Nie powiedziałbym, że pana nabrała, skoro dała za to pięćdziesiąt funtów.

-
Zasłużyłem na te pieniądze. Musiałem namówić kumpli z Trim Street, żeby pozwali do pedziowatych fotografii. To nie było proste.

Podzieliłem się z nimi tymi pieniędzmi - dodał szybko G.B.

-
A co było dalej?

-
Pojawiła się pewnego wieczoru ze swoją grubą fotografką i zrobiła masę zdjęć.

-
Widzieliśmy niektóre z nich - powiedział Diamond.

-
To widzieliście więcej niż ja. Po sesji zdjęciowej rzuciła mnie jak peta. Z mlekiem czy bez?

Nalał herbatę i podał im.

-

Nie mylę się, sądząc, że chciał pan się z nią jeszcze spotykać? -

Diamond podjął wątek.

-

Britt Strand była flirtiarą - rzucił nonszalancko G.B. - Nabrała mnie, a sędzę, że w swoim czasie nabrała wielu innych.

-

Próbował się pan z nią znowu spotkać? - naciskał Diamond, coraz bardziej przekonany, że może wyciągnąć znacznie więcej. Choc G.B.

bardzo się starał umniejszyć znaczenie sprawy, Britt Strand mocno uraziła jego próżność.

Przez jakiś czas zastanawiał się nad odpowiedzią.

-

Tak, próbowałem parę razy - powiedział w końcu. - Dowiedziałem się, że mieszka w Larkhall. Znalazłem ją w książce telefonicznej.

Dziennikarze muszą mieć telefony, prawda? Kilka razy próbowałem się dodzwonić i za każdym razem odpowiadała mi automatyczna sekretarka.

-

Zostawił pan jakąś informację?

-

Nie. Chciałem porozmawiać z nią osobiście.

-

Bo był pan zły?

-

Nie, bo jestem idiotą. Ciągle mi się wydawało, że zrobiłem na niej wrażenie. Dopiero po jej śmierci wyszło na jaw, że nabrała mnóstwo facetów - tego od muzyki pop i tego od koni, i tego nieszczęsnego sukinsyna Mountjoya.

Diamond przez chwilę zwalczał pokusę, żeby zapytać o Mountjoya.

-

A jak nie mógł się pan do niej dodzwonić, to co pan zrobił?

-

Chodziłem parę razy do niej do domu, ale jej nie było albo nie otwierała. Nikt nie otwierał.

-

Kiedy dokładnie to było? Wzruszył ramionami.

-

Czy można zapamiętać sprawy sprzed czterech lat?

-

Sesja fotograficzna przy Trim Street odbyła się na dziesięć dni przed jej śmiercią - naciskał Diamond. - Powiedział pan, że poszedł pan do niej do domu parę razy. Za dnia?

-

Dwa razy. Raz w nocy.

-

W nocy?

Westchnął, jakby opowiadanie o tym nudziło go.

-

Pewnego wieczoru jeden punk z komuny był na Queen Square z kumplami i butelką cydru. Przypadkiem zobaczyli Britt z jakimś mężczyzną, jak wchodziła do tej francuskiej restauracji Le Beaujolais.

Pomyśleli, że będzie niezły kawał, bo wiedzieli, że mam na nią oko, wrócili do squatu i zaczęli mi dokuczać.

-

To musiało być... - zaczęła Julie, ale Diamond uciszył ją spojrzeniem.

G.B. dokończył za nią.

-

- .tej nocy, kiedy ją załatwiono. Zgadza się. Na randce był z nią Mountjoy

Skąd pan wiedział, że to Mountjoy? - zapytał Diamond.

-

Nie skończyłem, prawda? Jak mówiłem, ci faceci z komuny ro-bili sobie ze mnie jaja, mówili, że gość, który z nią był, to sztywniak w średnim wieku i tak dalej. Wyszedłem trochę później. Powiedziałem, że idę z psem na spacer. Oczywiście wiecie, dokąd poszedłem. Restauracja to tylko kawałek drogi od Trim Street. Chciałem zobaczyć, czy to prawda.

Byłem w paskudnym nastroju, miałem ochotę zrobić awanturę, poszedłem prosto tam, razem z psem, i rozejrzałem się, ale jej nie było. Chyba był już wieczór. Minęło parę godzin, odkąd moi tak zwani kumple widzieli, jak wchodziła z tym facetem. Zobaczyłem, że uprzątają stoły. Czułem się oszukany. Chciałem mieć pewność, że teraz chodzi z kimś innym.

Poszedłem więc do Larkhall, gdzie mieszkała. Tylko żeby się upewnić, rozumie pan?

-

Rozumiem - odparł Diamond. - I co się stało?

-

Tam się idzie jakieś dwa kilometry, po drodze trochę ochłonałem, ale nadal byłem ciekawy i nie zawróciłem. Doszedłem do tamtej ulicy.

-

O której godzinie?

-

Nie mam pojęcia. Wtedy nie nosiłem zegarka.

-

Przed północą?

-

Raczej około jedenastej. Na górze paliło się światło, ale nie byłem pewien, czy to mieszkanie Britt. Znałem tylko numer domu. Usiadłem na murku po drugiej stronie ulicy i patrzyłem. Po chwili na dole zapaliło się światło, otworzyły się drzwi i wyszedł jakiś facet. Jestem pewien, że to był Mountjoy. Widziałem jego zdjęcie w gazetach.

Jeśli mówił prawdę, to była sensacja i Diamond nie ukrywał pod-niecenia.

-

Czy ktoś podszedł z nim do drzwi?

-

Tak, ona. Widziałem dokładnie.

-

Ma pan na myśli Britt?

-

A kto inny?

-

Jest pan tego pewien?

-

Na sto procent.

-

Jak była ubrana?

-

W sukienkę i bluzkę zapiętą pod szyję. Jeśli to dla pana zaskoczenie, to nic w porównaniu z tym, jak mnie to zaskoczyło. Więcej, nie było żadnego obejmowania się, nawet paru uprzejmych słów. Szybko zamknęła drzwi, zanim zdążył dotrzeć do furtki. On też się nie obejrzał.

Wyszedł na ulicę. I na tym koniec. On jej nie zabił. Zapuszkował pan niewinnego, panie Diamond.

-

A pan zataił przed policją ważne informacje - odparł Diamond. - To delikatnie powiedziane, jeśli weźmie się pod uwagę znaczenie tego, co przed chwilą usłyszał. - Czemu pan z tym nie przyszedł do nas?

-

Pan żartuje. Na pewno zwałilibyście to na mnie, punka. To ja byłbym tym nieszczęsnym, głupim sukinsynem, który odbębnił cztery lata w Albany. Chodzi o to, że byłem w Larkhall, miałem motyw i sposobność.

-

A teraz coś się zmieniło? Dlaczego pan teraz o tym mówi? G.B.

zręcznie odbił piłeczkę.

-

To się zmieniło, panie Diamond, że teraz siedzi pan w moim domu na kółkach i pyta o morderstwo. Muszę się bronić.

-

Słusznie. Skąd mamy wiedzieć... że nie wszedł pan do jej mieszkania, żeby ją zabić?

-

Ktoś inny to zrobił.

-

Łatwo powiedzieć.

-

Widziałem go. Diamondowi przyspieszył puls.

G.B. nie spieszył się z odpowiedzią. Prawdopodobnie wyczuł, że musi starannie dobierać słowa.

-

Kiedy Mountjoy wyszedł, pomyślałem, że do niej wpadnę. Na-dal byłem na nią wkurzony za to, że najpierw mnie wykorzystała, a potem rzuciła. Chciałem po prostu porozmawiać.

Nie zabrzmiało to wiarygodnie, ale Diamond taktownie nie po-wiedział

nic.

-

Wstrząsnęło mną to - kontynuował G.B. - co zobaczyłem. Sposób, w jaki pokazała drzwi swojemu chłopakowi. Jakby obraził jej matkę albo kopnął kota, albo coś takiego. Przez chwilę stałem, nie wiedziałem, czy podejść i zapukać do drzwi, czy zostawić to na inny dzień. Musiałem być bardzo zamyślony, bo nie zauważyłem, jak ten drugi stary gość idzie ulicą.

Nie wiem, skąd przyszedł. Nagle się po-jawił, otworzył furtkę i podszedł

do drzwi, jakby był u siebie. Wyjął klucz z kieszeni i wszedł.

-

Miał klucz do drzwi? Jak ten człowiek wyglądał?

-

Widziałem go tylko z tyłu. Chudy. Średniego wzrostu. Nosił cyklistówkę i płaszcz. W średnim wieku, sądząc po tym, jak się poruśszał.

Widziałem go przez jakieś dziesięć sekund. To wszystko.

-

Czy to mógł być Mountjoy? Może wrócił?

-

Wykluczone. Mountjoy jest większy i był inaczej ubrany.

-

Miał coś ze sobą? Na przykład bukiet?

-

Nie widziałem żadnych kwiatów.

-

Chodzi mi konkretnie o róże. G.B. pokręcił głową.

-

Co było potem?

-

Odszedłem. Kiedy go zobaczyłem, podjąłem decyzję. Gdybym zapukał, otworzyłby na pewno on, a ja nie chciałem problemów.

-

Uznał pan, że to właściciel domu?

-

Tak.

-

Co pan miał na myśli, mówiąc, że nie chciał pan problemów? G.B.

uśmiechnął się dobrodusznie.

-

Mógłbym mu dowalić.

-

I wtedy uprzejma rozmowa z Britt byłaby niemożliwa?

-

Właśnie. Dopiero potem, kiedy przeczytałem w gazetach o morderstwie, dowiedziałem się, że właściciele byli na Kanarach. Wrócili i odkryli zwłoki. Zrozumiałem, że to nie mógł być właściciel, prawda?

Diamond uznał, że to pytanie retoryczne. Myślni był już gdzie indziej, zadawał pytania komu innemu. Zapytał jeszcze G.B., czy tam-tej nocy od razu wrócił na Trim Street. Chciał też uzyskać dokładniejszy opis tajemniczego gościa, ale niczego nowego się nie dowiedział. G.B.

wszystko już powiedział.

Diamond wyszedł z wozu wcześniej niż Julie. Bolał go brzuch. To, co przed chwilą usłyszał, jeśli to prawda, było druzgoczące: potwierdzało, że wtedy, w 1990 roku, pomylił się i zamknął niewłaściwego człowieka.

-

Lepiej ty prowadź - powiedział do Julie.

Rozdział 15

FRANK WIGGS, TECHNIK TELEWIZYJNY mieszkający przy Morford Street, na jednym z ostatnich tarasów w niższej części stoku Lansdown Hill, zawołał do żony, Niny, że niedługo wróci. Nina odkrzyknęła, że gdy-by zabawił dłużej, to zastanie drzwi zamknięte, co stanowiło typową wymianę czułości przed wyjściem Franka do pubu Pig and Fiddle przy Saracen Street, gdzie podawano ash vine, „gorzkie dla znawców”. Nina dawno przestała tam z nim chodzić.

Frank sprawdził, czy ma gotówkę i papierosy, zamknął za sobą drzwi i rażno ruszył w dół wzgórza.

Nina, pozostawiona na wieczór sama sobie, nie wpadła w przygnę-bienie.

Sięgnęła po pilota i wyciszyła głupią grę panelową w telewizji. Otworzyła szufladę kredensu i wyjęła pudełko z belgijskimi czekoladkami, które kupiła po południu w sklepiku przy Pulteney Bridge. Wepchnęła trufkę do ust, zmiażdżyła ją gwałtownie zębami, szybko po-łknęła i wzięła

następną. Poprawiła to pomadką z kremem fiołkowym. Musiała czymś zwilżyć gardło, otworzyła dolną część kredensu i sięgnęła w głąb pod tylną ściankę, gdzie trzymała brandy - Frank nigdy tam nie zaglądał, poza Bożym Narodzeniem, kiedy przychodziła rodzina. Pijał tylko piwo. Nalała sobie na oko pół miarki - połowę kieliszka do koniaku - postawiła na tacy razem z czekoladkami i przenośnym telefonem i zniosła wszystko na górę, do łazienki, w której zbiornik nad toaletą zamieniła w prywatny ołtarzyk. Puściła wodę i dołała trochę płynu do kąpieli. Potem rozebrała się, obcięła paznokcie u nóg, weszła na wagę i zjadła kolejne trzy trufle.

Woda była odpowiednia, weszła do wanny i zanurzyła się po ramiona.

Rozkosz. Sięgnęła po brandy i telefon.

Dwadzieścia minut później, podczas żywej rozmowy z przyjaciółką Molly z Aldershot, usłyszała na dole jakiś dźwięk, jakby rozbijanej szyby. Natychmiast pomyślała, że zostawiła otwarte drzwiczki kredensu i kot, który wlaź do środka, przewrócił kilka kieliszków do wina. Głupie zwierzę już raz tam się dostało i złamało nóżkę ostatniego kryształowego pucharka waterforda, które ciocia Maeve dała im jako prezent ślubny.

Szkody nie da się już naprawić, a kot uciekł i Nina załedwie na jeden moment przerwała opowiadanie o francuskim filmie, który oglądała na wideo. Jak bogata kobieta wynajmowała młodych mężczyzn jako służących i uwodziła ich.

Wkrótce potem usłyszała trzeszczenie schodów, ale centralne ogrzewanie sprawiało, że drewno się kurczyło, nie było więc powodów do niepokoju.

Potem drzwi do łazienki otworzyły się i zajrzał jakiś mężczyzna.

Nina przycisnęła telefon do piersi. Zdobyła się na odwagę, żeby powiedzieć:

-

Wyjdź stąd!

-

Spokojnie - odparł. - Nie dotknę cię.

-

Chyba są przebicia na linii - zawołała Molly z Aldershot. - Słyszę jeszcze kogoś.

Nina zanurzyła w wodzie wszystko poza głową, a w Aldershot Molly usłyszała dziwne hałasy, zanim połączenie zostało przerwane. Miała spędzić kolejnych dwadzieścia minut, próbując ponownie się dodzwonić.

-

Zadzwoń na policję - powiedziała Nina, a ponieważ telefon leżał

teraz głęboko pod wodą, była to groźba bez pokrycia. Powinna powiedzieć: „Właśnie dzwoniłam na policję”.

Mężczyzna spojrział brązowymi oczami w oczy Niny. Nie był

nastolatkiem, nie miał też dwudziestu paru lat, co podobno dotyczy większości gwałcicieli. Oceniała, że ma pod czterdziestkę. Miał ciemne, przerażające oczy i wychudłą twarz. Ale nie wszedł do łazienki.

-

Lepiej będzie, jeśli pani stąd wyjdzie - powiedział. Akurat, pomyślała Nina.

Na drzwiach wisiał frotowy szlafrok. Zdjął go i powiesił na kurczkach.

-

Niech pani to włoży. Mam mało czasu. Nazywam się John Mountjoy i potrzebuję pomocy.

-

Mountjoy, ten, który uciekł?

-

ZAlbany.

Nina gwałtownie wciągnęła powietrze.

-

Teraz pani wie, dlaczego tu jestem - powiedział.

-

Danny? - szepnęła. Myślami cofnęła się o dziesięć lat, do wieczoru, kiedy po raz ostatni widziała Danny'ego Boona. Rano zgarnęli go za zastrzelenie kierownika poczty. Przez prawie rok razem z Dannym napadali na małe urzędy pocztowe w West Country. W prasie nazywano ich Bonnie z Bristolu i Clyde z Clifton. W tamtych dniach nerwy miała jak ze stali, nosiła przy sobie pistolet i była gotowa go użyć, chociaż prawdopodobnie nie po to, żeby zabić. Zgarnęli wspólnie dużą sumę. Za swój udział kupiła ten dom. To Danny zastrzelił kierownika poczty w Warminster, który postanowił „zaryzykować”. Danny nie chciał go zabić, ale jak wytłumaczyć to sądowi? Ktoś wystarczająco długo mu się przyglądał, żeby dać policji dobry portret pamięciowy. Znaleźli go w swoich archiwach. Cała prasa i telewizja podały już jego nazwisko, kiedy umówił się z Niną na ostatnie spotkanie w zimny, wilgotny lutowy wieczór pod Sham Castle. Obiecał, że nic o niej nie

powie policji, i dotrzymał słowa. Ona zaś dotrzymała danego mu przyrzeczenia, że na przyszłość nie będzie tego robić. Ani razu nie odwiedziła go w więzieniu.

Ich współpraca stanowiła zamkniętą sprawę.

Od tamtego wieczoru Nina stała się wzorową obywatelką, nawet kiedy chłodne zimy dłużyły się i ani ona, ani Frank nie byli w pracy. Wyszła za Franka w chwili słabości, z żalu za Dannym, a także - trzeba to powiedzieć - żeby zmylić policję, która nie przestała jej szukać. Frank nie odróżniłby pistoletu automatycznego od banana, ale pojawił się w jej życiu w krytycznej chwili. Nic mu nie powiedziała o swojej przeszłości.

-
Danny to dobry człowiek - zauważył Mountjoy.

-
Znasz go? - szepnęła Nina.

-
Trochę. Chodziliśmy na zajęcia z rysunków. Tam, w Albany. Słuchaj, musisz mi pomóc. Potrzebuję jedzenia, ubrań, koców, pieśniędzy I chcę pożyczyć twój samochód. Powiem ci, gdzie go później znajdziesz. No co, wyjdiesz z kąpieli, żeby mi pomóc?

Była wstrząśnięta do głębi. Nie wierzyła mu.

-
Danny cię tu nie przysłał. Nie zrobiłby tego. Nie on. Wszedł do środka.

-
Nie. Nikomu o niczym nie powiedział. Ale jestem tutaj, rozpracowałem to.

Nachylił się nad wanną i pociągnął za dźwignię, która podnosiła korek.

Woda zaczęła spływać. Wziął szlafrok i podał go jej.

Nina zarzuciła szlafrok na ramiona dla osłony i z trudem wstała. Miała nadzieję, że zrobiła to z zachowaniem przyzwoitości, a może i godności.

Wysiliła się, żeby jej głos brzmiał normalnie.

-
Jakie ubrania?

-

Dla kobiety.

-

Kobiety?

-
Coś ciepłego. Spodnie, swetry, bielizna.

-
Czy ktoś z tobą?

-
Przynieś je teraz. Ale szybko.

-
Może nie jest mojego rozmiaru.

-
Będziemy musieli się tym zadowolić.

Przewiązała pasek i przeszła do małej sypialni, którą dzieliła z Fran-kiem.

Otworzyła szafę.

-
Najlepiej weź dzinsy ze stretchu i sweter, ten z górnej półki. -

Otworzyła szufladę komody i wyjęła paczkę z rajstopami, której jeszcze nie otworzyła. -Jeżeli ucieka razem z tobą, musi jej być bardzo źle.

Możesz wziąć, co chcesz.

Próbowała powiedzieć to tak, żeby miał wrażenie, że z nim współpracuje. Chętnie oddałaby mu wszystkie swoje ubrania, byle tylko kupić jego życzliwość. Nie obawiała się już tak bardzo fizycznej napaści, ale paraliżujący strach jej nie opuszczał. Ten człowiek wiedział o jej związku z Dannym. Mógł ją sprzedać policji, a oni wsadzają za mord-derstwo. Z gorliwością pracownika opieki społecznej przekopała szafę, żeby znaleźć dużą torbę i zaczęła wpychać do niej rzeczy.

Wszystko, żeby go tylko zadowolić.

-
Czy to wystarczy? Mogę zapakować jeszcze jedną torbę. Wziął dwa zapasowe koce, które trzymała w skrzyni pod oknem.

Ten gość, który przed chwilą wyszedł... dokąd poszedł?

-

Do pubu. - Zastanawiała się, czy nie zabezpieczyć się dodatkowo i nie powiedzieć, że Frank zostanie tam do zamknięcia lokalu, a potem będzie szedł Broad Street powolnym, rozkołysanym krokiem, ale powstrzymała się. Chciała, żeby Mountjoy zniknął jak najszybciej.

Popatrzył przez okno.

-

Gdzie postawiłaś samochód?

Na Morford Street parkowanie było zabronione.

-

W garażu, z tyłu. Powinien być otwarty.

-

Co to jest?

-

Stary renault osiem. Zielony.

-

Kluczyki?

-

Na dole. Mam je przynieść?

-

Nieś torbę. I nie próbuj niczego. Będę szedł tuż za tobą. Schodząc, zobaczyła wybitą szybę w tylnych drzwiach i kawałki szkła na wycieraczcze. Po prostu przełożył rękę i otworzył drzwi. Ile razy mówiła Frankowi, że tu nie jest bezpiecznie?

-

Kluczyki do samochodu - przynaglił. Poszła do pokoju od tyłu i wzięła swoją torbę.

-

Teraz jakieś jedzenie.

W kuchni załadowali dwie torby na zakupy, opróżnili lodówkę z wszystkiego, co można było zjeść bez przygotowywania. Potem wzięli puszki z kredensu, herbatniki i chleb.

-

Ten facet, który poszedł do pubu, to twój mąż czy kto?

-

Tak - odpowiedziała.

-

Mąż?

-

Tak. -1 dodała uspokajająco: - Nie powiem mu o tobie. On nic nie wie o mojej przeszłości.

-

A Danny pewnie nic nie wie o nim. - Mountjoy patrzył na nią oskarżycielsko, a Nina, która stanowiła ucieleśnienie obaw więźniów, że kobiety cynicznie ich porzuca, pożałowała, że nie zachowała milczenia.

-

Będziesz musiała wyjaśnić, dlaczego nie ma samochodu -

przypomniał Mountjoy.

-

Nawet tego nie zauważy. - Kiedy pomogła mu postawić torby na zakupy, sakwojaż i koce przy tylnych drzwiach, dodała. - Jak sobie daje radę Danny?

-

W porządku, jest silny.

-

Mówiłeś przed chwilą, że ci o mnie nie mówił.

-

Pisano o tym w gazetach, prawda? Mieszkałem tu, kiedy mówiono o tobie w wiadomościach. To ciebie nazwali Bonnie z Bris-tolu.

-

Ale nikt nie zna mojego nazwiska.

-

Ja też nie znam. Wiem, gdzie mieszkasz. To wszystko.

-

Skąd? Skoro Danny ci nie powiedział.

Długo zastanawiał się, czy odpowiedzieć, jakby nie był pewien, czy powinien, czy zasługuje na to, żeby się dowiedzieć.

-

Stawiają tam teraz na kursy. Wykształcenie. Poszedłem na kurs plastyki, on też. Namalował tylko jeden obraz, akrylowymi farbami.

Pracował nad nim miesiącami, aż skończył. To była ulica, widziana na wprost, bez perspektywy, żeby się nad tym nie męczyć. Parę domów na tarasach stromego zbocza. Na zewnątrz miały balustrady i widać było okienka do piwnicy. Szczegóły były bardzo wyraźne. W dwóch domach były weneckie okna, środkowe zwieńczone łukiem, z kwadratowymi oknami po obu stronach, z małymi szybkami. Przez jedno z okien wyglądała kobieta. Miała smutne oczy. Ale Danny nie bardzo potrafi malować ludzi.

-

To ja? - Wciągnęła policzki i przygryzła je od wewnątrz. Bała się, że zacznie płakać.

-

To musiałaś być ty - odparł. - Prawda? Poznałem, że to ty. Danny działał gdzieś w tych okolicach. A ja znam ulice Bath. Malował, jak to się określa w malarskim świątku, naiwnie, ale starał się, żeby wszystko było jak trzeba, strome zbocze, okna i balustrady przed piwnicami, i zaczepy z kutego żelaza do okiennic w sąsiednim domu, w którym nie ma weneckich okien. Musi mieć fotograficzną pamięć. Oczywiście, mogła to być każda z kilkunastu ulic, ale był jeden szczegół: drzwi. Namalował je bez klamek, zamków, skrzynek na listy. A jest tylko jedna ulica, gdzie drzwi frontowe się nie otwierają. To dolna część Morford Street. Macie wejścia od tyłu, od arkad wzdłuż tarasu.

Nie pogratulowała mu spostrzegawczości. Nie wyglądał na kogoś, komu trzeba poprawiać humor.

-

Zdawało mi się, że chcesz mi pomóc - dodał. Skinęła głową. Z całej mocy pragnęła, żeby już poszedł. Zagrzechotał kluczykami.

-

Postawię samochód na parkingu dla przyczep. Będziesz mogła go zabrać rano. Jeszcze jedno.

-

Tak?

-

Kiedy z Dannym robiliście te urzędy pocztowe, mieliście pistolety.

Co się stało z twoim?

-

Pozbyłam się go. Rysy mu stwardniały.

-

Nie sądzę. Pewnie go schowałaś. Nie pozbyłabyś się go.

-

Naprawdę.

-

Nie bądź kłamliwą dziwką. Miałem żonę, która mnie okłamywała.

Chcesz wiedzieć, co jej zrobiłem?

Pokręciła głową.

Nie mylił się. Pistolet był schowany pod luzną deską podłogową w dużym pokoju. Na podłodze leżał dywan i stał stół z wazonem z brązu. Oceniała, że bezpieczniej będzie trzymać pistolet przez wszystkie te lata niż ryzykować, że zostanie gdzieś znaleziony i pozwoli policji wpaść na jej trop. Aż do tej chwili miała rację.

-

Wrzuciłam go do rzeki - powiedziała.

-

Chodź no tutaj - odparł Mountjoy.

Rozdział 16

PETER DIAMOND MIAŁ WADY - może więcej niż inni - ale małow-ność nie była jedną z nich. Musiał pogadać. W tej chwili jego samo-ocena sięgnęła dna. Naprawdę schrzanił sprawę w 1990 roku, chyba że G.B.

wymyślił tę historyjkę o przyjsciu kolejnego gościa do domu, w którym popełniono morderstwo. Zabójca uciekł przez jego nie-kompetentne śledztwo.

Kiedy więc w milczeniu wracał z Julie przez las do drogi, przerwa w rozmowie nie wynikała z jego wyboru. Aż palił się, żeby coś powie-dzieć, ale wystąpiła pewna niedogodność - szybko zbliżał się wieczór i musieli koncentrować się na ścieżce. Wszelkie spekulacje na temat tożsamości mężczyzny, którego G.B. widział wchodzącego do miesz-kania Britt w wieczór morderstwa, musiały poczekać, aż wsiądą do samochodu.

-

Winston Billington - odezwał się wreszcie, próbując przeciąg-nąć nad brzuchem sprzączkę pasa bezpieczeństwa. - Kto inny mógł wejść o tej porze?

-

Zasłania mi pan widok - powiedziała Julie. - Chcę zawrócić.

-

Droga wolna. - Pozwolił jej skupić się na manewrze. Kiedy już jechali we właściwym kierunku, nachylił się tak blisko, że rondem ka-pelusza dotykał jej włosów. - Co o tym sądzisz?

-

Wydawało mi się, że pan Billington miał alibi. Był na Teneryfie z żoną. Wrócili po morderstwie.

-

Ale czy to sprawdziliśmy? Zebraliśmy zeznania, że Billinto-nowie wrócili — kiedy to było? - dwa dni później i znaleźli zwłoki. Cały kram zaczął się od tego. Czy sprawdzałem ich obecność na liście pasażerów?

Albo w rejestracji hotelowej? Prawdę mówiąc, nie sędzę. Powiesz, że to zaniedbanie. Dziś powiedziałbym to samo. Ale Billing-tona nigdy nie braliśmy na poważnie pod uwagę.

-

Jako podejrzanego, chciał pan powiedzieć?

-
Fuszerka.

-
Dlaczego miałby ją zabić?

-
Ze złości, bo nie dała się poderwać. Od Marcusa Martina usłyszeliśmy, że Britt bardzo pociągała Billingtona.

-
Pod byle pretekstem robił jej prezenty z kwiatów i czekoladek

-
dodała Julie.

Skinął głową.

-
Rozumiesz, z tym wiążą się kwiaty.

-
Pani Billington twierdzi, że róże nie mogły pochodzić z ich ogrodu -
zauważyła Julie.

-
To oczywiste dla każdego, kto kiedykolwiek hodował róże -

stwierdził Diamond, jakby zawsze nosił w kieszeni nożyce do przycinania krzewów. Julie nie musiała wiedzieć, że wiedzę ogrodniczą nabył dzięki pani Billington. - To były z całą pewnością importowane róże z kwiaciarni. Istotne, że to jedyny z jej adoratorów, który lubił wyrażać uczucie kwiatami.

Skręcili w lewo, na wiadukt do Brassknocker. Escort z trudem wspinał się po stoku. Julie odezwała się, przekrzykując hałas silnika.

Trochę trudno w to uwierzyć. Czy Billington mógł zabić ją we własnym domu i w dodatku sam zgłosić to policji?

-

Tak, bo to sprytne - powiedział Diamond. - Głupie byłoby, gdyby gdzieś wyrzucił ciało. Zwłok cholernie trudno jest się pozbyć. Nie chcą się dobrze palić, nie zostają długo pod wodą, a wykopanie grobu to robota dla zawodowca. Nie, wygląda na to, że Billington cztery lata temu cynicznie skłamał, a ja mu uwierzyłem.

-

Zdaje mi się, że pan już podjął decyzję.

-

Wcale nie. - Spojrzał na nią ostro. - Rozważam możliwości. -

Rozważał je jeszcze trochę, zanim dodał, już z mniejszą pewnością.

-

Zachowanie żony wiele mi powiedziało. Szkoda, że cię tam nie było: Co wtedy robiłaś?

-

Gadałam z punkami.

Żartem próbował pokryć przygnębienie.

-

Cóż, skoro ci zależy na tego rodzaju towarzystwie... Samochód zaczął nabierać szybkości.

-

Pani Billington nie chciała, żebym przesłuchał jej męża. Osłaniała go, ale wyczułem, że nie robi tego ze względu na lojalność czy uczucie.

Mówiła o nim z dystansem, prawie z pogardą. „Niczego nie dowie się pan od Winstona”, ale powiedziała to takim tonem, jakby to ona niczego nie mogła się od niego dowiedzieć.

-

Jaki jest pan Billington? - zapytała Julie chwilę później. -

Prześłuchiwał go pan po morderstwie?

-
Spotkałem się wtedy z obojgiem. Najwięcej mówiła ona. On był
uprzejmy, uległy, cichy, ale oni często tacy są.

-
To jak pan to teraz widzi? - ciągnęła Julie, kiedy zaczęli długi zjazd w dół, do Bath.

-
Gdyby założyć, że zrobił to Billington? Mężczyzna w średnim wieku, pożądamy pięknej, młodej
lokatorce, która najwyraźniej hojnie szafuje swoimi wdziękami, ale jego odtrąca mimo wszystkich
jego starań ze słodyczami i z kwiatami. Wrócił wcześniej z wakacji na Teneryfie -

może jakaś pilna sprawa rodzinna albo kłopoty w pracy -w każdym razie przygotował jakąś
wymówkę - a żona przyleciała za nim dzień albo dwa dni później. Na taką okazję czekał. Noc
spędzona w domu sam na sam z Britt. Na lotnisku kupuje dwanaście czerwonych róż i dociera do
domu około jedenastej.

-
Na lotnisku?

-
Na lotniskach zawsze są kwiaty.

-
GB. nie wspominał, żeby mężczyzna, którego widział, niósł kwiaty -

powiedziała Julie.

-
Mógł je schować pod płaszczem. Nie chciał, żeby je zobaczyli sąsiedzi i Britt, póki nie będzie
gotów, żeby zrobić jej niespodziankę.

-
I miała zmięknąć na widok tuzina róż? - zapytała sceptycznie Julie.

-
Są takie kobiety.

-
Mówi pan z doświadczenia?

-
Rozmawiamy o Billingtonie - odparł kąśliwie. - Wchodzi do jej pokoju, zostaje splawiony i wścieka się. Dźga ją raz za razem. Potem wpycha jej kwiaty w usta.

-
I tak ją zostawia? Na dwa dni?

-
Oczywiście. Nie zostaje w domu. Szybko gdzieś się zmywa, go-tów przysiąc, co też zresztą uczynił, że wracał z żoną z Teneryfy i był na miejscu dwa dni po morderstwie. Musiał ją jeszcze przekonać, żeby go wsparła.

-
Pomogła ukryć morderstwo?

-
To wcale nie jest takie rzadkie. - Teraz uraczył ją wiedzą, którą zebrał przez lata służby w wydziale zabójstw. - Julie, żona, która sprzedaje męża, to naprawdę rzadkość. Z jej punktu widzenia zawsze jest jakiś element wątpliwości. Morderca nie przyznaje się żonie, że odebrał komuś życie, ona zaś ma żywotny interes w tym, żeby wie-rzyć w jego niewinność. Będzie się chwycić brzytwy. W końcu to, że podobały mu się inne kobiety, źle świadczy o niej. Poza tym być żoną zabójcy na oczach ludzi i prasy, to nie jest przyjemna perspektywa. No i pani Billington stanęła przy nim murem i potwierdziła jego alibi. Z początku mogła sądzić, że jest niewinny, ale odniosłem wrażenie, że przez te cztery lata zmieniła zdanie. Nie wskaże na niego teraz palcem, ale nie potrafi ukryć pogardy, którą do niego czuje. Szkoda, że się z nią nie spotkałaś.

-
Spotkanie z nim byłoby bardziej interesujące - zauważyła Julie.

-
No cóż, zostało ustalone na dzisiejszy wieczór.

-
O której?

-
Nie martw się - powiedział. - Najpierw coś przekąsimy. Jeśli te-raz skręcisz w pierwszą w prawo, to tam jest wiejski pub, gdzie zawsze dobrze mnie obsługiwano.

Ten wieczór jednak był wyjątkowy. Pub nie był taki, jakim go za-pamiętał. Pojawiły się w nim rzędy stołów pokrytych czerwonymi obrusami, z zastawą obiadową i sztucznymi kwiatami. Barmanka -a może kelnerka - zapytała, czy rezerwowali miejsce.

-
To podobno jest pub, prawda? - zapytał wojowniczo. - Może-my napić się i coś przekąsić.

-
Oczywiście, możecie się napić. Ale wieczorem nie ma przeką-sek, nie licząc chipsów. I orzeszków ziemnych.

Powiedział jej, co myśli o chipsach i orzeszkach ziemnych, a po-tem pojechali do pubu, który знаła Julie. Był tam kominek z płoną-cymi bierwionami i stoły, przy których można było usiąść bez obawy, że młoda kobieta w białym fartuszk ciśnie przed nos kartę dań. Przy barze zamówili nadziewane kartofle w mundurkach.

Kiedy siadali, Diamond nadal coś mruczał na temat chipsów i orzeszków ziemnych.

-
Nigdy już mnie tam nie zobaczą. Zdrowie.

-
Puby zmieniają wieczorem klientelę - zauważyła Julie. - W ten sposób można zarobić więcej, niż gdyby prowadziło się restaurację.

-
Wszystko się zmienia. - Diamond dosiadł ulubionego konika. -

Popatrz na Bath. Carwardine's nie ma, a to była kawiarnia z charakterem.

Owen. Owen, ten ładny, duży dom handlowy na Stall Street, w któ-rym kupowałem skarpetki i koszule. I co ja tam teraz widzę? Sklep Walta Disneya. To Amerykanin. Trochę dalej był Woolworth's. Nie ma. Moje najwcześniejsze wspomnienia wiążą się z Woolworth's. To nie jest Bath.

To inne miasto. Julie, „Woolie” to część naszego dziedzictwa.

-
Też amerykański. Woolworth był Amerykaninem.

-
Nie musisz mi tego mówić - odparł arogancko. Pomyślał o czym innym, co dla niego było całkiem zrozumiałe, ale nie oczekiwał, że dla Julie też. - Czy tu jest telefon? Zadzwoń do żony, kiedy będziemy czekać na jedzenie.

W SUTERENIE, w WEST KENSINGTON, Steph oglądała australijską operę mydlaną. W tle słychać było temat muzyczny filmu.

-
Zastanawiałam się, czy w ogóle jeszcze rozmawiamy - powiedziała.

-Jak się rzeczy mają? Zobaczę cię wieczorem?

-
Wątpliwe - odpowiedział. - Bardziej prawdopodobne, że jutro.

Chociaż, wydaje mi się, że niedługo dopnę sprawę.

-
Chyba na agrafki.

Nie mogła wiedzieć, jak zraniła go ta uwaga.

-
Nadal tam jesteś? - zapytała. - Mam nadzieję, że doceniają to, co dla nich robisz.

Roześmiał się cynicznie.

-
Też mam taką nadzieję!

-
Aleja nie jestem pewna, czyją podzielam - odparła. - Wieczorem dzwoniли do mnie z supermarketu. Chcą wiedzieć, dlaczego od dwóch dni nie ma cię w pracy. Co miałam powiedzieć poza tym, że dostałeś nagle wezwanie?

Mogłaś powiedzieć, że przyjechała po mnie policja.

-

Naprawdę?

-

Żartowałem.

-

Skoro tak sobie żartujemy - zauważyła - to myślę, że jednak mógłbyś podjąć tę pracę modela dla studentów szkoły artystycznej.

Tym razem jego śmiech nie był już taki radosny. Zrozumiał w końcu, o ile lepiej się czuł wykonując znowu pracę policjanta, choć polegała ona na obnażaniu jego starych błędów.

Steph od dawna doskonale potrafiła czytać w jego myślach.

-

Dlaczego nie zostaniesz tam dłużej, skoro cię potrzebują? -

po-wiedziała poważnie. - Może pójdą po rozum do głowy i będą chcieli przyjąć cię z powrotem? Mimo że pokłóciłeś się z Tottem?

-

Dziś rano zostałem ukąszony — oznajmił.

-

Przez Totta?

-

Przez pszczołę. W rękę.

-

No to w porządku.

-

Co?

-

Powiedziałam, że w porządku. Posmarowałeś to czymś?

-

Tak. Będę żył.

-

Zacznij wreszcie uważać, gdzie wsadzasz łapy. Wykorzystał to, żeby powiedzieć coś osobistego, co może nie do

końca tłumaczyło to, że tak zwlekał z telefonem, ale bez wątpienia zadowolilo Steph. Zanim odložył słuchawkę, wymienili jeszcze parę frywolnych uwag.

W znacznie pogodniejszym stanie, niż był do tej pory, wrócił do Julie.

-

A ty nie musisz nigdzie zadzwonić? - zainteresował się. Pokręciła głową.

Zrobiło mu się przykro, bo nosiła obrączkę ślubną.

-

Jesteś w separacji? Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

-

Będzie teraz w pracy. Jest policjantem.

Przyniesiono ziemniaki w mundurkach i Diamond spróbował swojego, ryzykując, że poparzy sobie koniuszki palców, dotykając chrupiącej skórki.

-

Lubię pieczone według starej receptury, a nie takie brejowate z mikrofalówki - wyjaśnił. - Te będą dobre. Porządnie upieczony ziemniak bije na głowę makaron, ryż czy co tam jeszcze. Kiedyś do-wiedziałem się, że gdyby człowiek miał jeść tylko jedną rzecz, to najle-piej wybrać ziemniaki; zawierają po trochu wszystkich substancji od-żywczych, których potrzebujemy. Co więcej, nie tuczą.

-

Ale masło tuczy - powiedziała Julie, patrząc, jak kładzie wielki kawał między połówki ziemniaka.

-

Nie rób mi wykładu na temat diety - oburzył się, jakby to ona opowiadała o kartoflach. - To mi lepiej posłuży niż chipsy. Kiedy by-łem młodszy, jadłem właściwie tylko chipsy, ale wtedy spalałem

kalorie, grając w rugby.

-

Był pan zawodnikiem?

-

Grałem jako filar.

-

Gdzie?

-

U Metsów.

-

Metropolitan Police. To dobra drużyna, prawda?

-

Była. Teraz dogorywają w piątej lidze. - Posypał ziemniak siekaną szynką i ugryzł kawałek. - To mi było potrzebne. Chcesz posłuchać opowiadań o rugby? W połowie lat siedemdziesiątych graliśmy w pułcharze z walijską drużyną. To było chyba w Swansea. W drugiej linii grał dla nas człowiek z Afryki Południowej. Był u Metsów na półrocznej umowie, przechodził jakieś kursy z psami policyjnymi. Ogromne chłopisko. Właściwie to był z niego samochwał. Grywał często w rugby w Afryce Południowej. Na imię miał Bruce. Nie pamiętam nazwiska. Coś po afrykanersku, co czytało się inaczej niż pisało. Mniejsza o to, we czterech jechaliśmy do Walii fordem anglią. Nie było wtedy autobusów dla drużyny.

-

Bruce też?

-

Bruce też. Był nie do wytrzymania z tym swoim rugby. Twierdził, że standardy gry są znacznie wyższe w Afryce Południowej i że nie może się już doczekać meczu. Pokaże nam, jaki z niego talent. No, ale chłopcy z naszej drużyny to byli straszni kawalarze i kiedy zbliżaliśmy się do Walii szosą M4, jeden z nich wpadł na pomysł, żeby zapytać Bruce'a, czy wzięł

z sobą paszport. Szkoda, że nie widziałaś jego miny. Mówił, że nie wiedział, że będzie potrzebny. Oczywiście, napędziliśmy mu stracha.

Powiedzieliśmy, jacy ci Walijszczyki na punkcie granicznym są ostrzy, i żeby zapomniał o popołudniowym meczu. Lepiej będzie, jak wyrzucimy go po angielskiej stronie Severn Bridge i zabierzemy w drodze powrotnej. Cholernie był roztrzęsiony, tak go wzięło. Potem ktoś zaproponował, żeby wsadzić Bruce'a do bagażnika, nakryć go spodenkami i koszulkami i tak przewieźć przez most. Był wzruszająco wdzięczny.

Zatrzymaliśmy się przy stacji benzynowej w Aust, po angielskiej stronie i patrzyliśmy jak ten wielki Afrykaner wchodzi do bagażnika i udaje, że go nie ma.

-

Szachraje!

-

Zamknęliśmy klapy, przejechaliśmy na drugą stronę, zatrzymaliśmy samochód tuż przed budką z opłatami. Obeszliśmy wóz i ostukaliśmy karoserię, udając, że jesteśmy patrolem granicznym.

-

Potem go wypuściliście?

-

Dopiero jak przejechaliśmy ze dwadzieścia kilometrów. I nikt nie puścił pary. Po meczu, kiedy wracaliśmy, powtórzyliśmy to wszystko. -

Zatrząsał się ze śmiechu. - No, załapał parę punktów.

-

Ależ to podłe! - oburzyła się Julie. - Męskie poczucie humoru to dla mnie zagadka.

JEDNYM Z PIERWSZYCH LUDZI, jakich zobaczyli po powrocie na Man-vers Street, był inspektor John Wigfull. Jak zwykle nadgorliwy, wydawał na korytarzu polecenia jakiejś nieszczęsnej urzędniczce, która lekomyślnie wyszła z pokoju.

-

O, jesteście - powiedział, kiedy z nią skończył, pokazując palcem na Diamonda i Julie, jakby musieli się z czegoś tłumaczyć. - Można na słówko?

-

A o co chodzi? - zapytał Diamond.

-

O panią Violet Billington. O ile wiem, przesłuchiwałeś ją dziś rano. -

Ton był zdecydowanie oskarżycielski.

-

Tak.

-

Sam?

-

Tak - przyznał Diamond, udając spokój, ale jego umysł pracował na pełnych obrotach, szukając jakichś niepokojących okoliczności. Stara kwoka z pewnością nie złożyła skargi. Potraktował ją grzecznie, na litość boską. Kiedyś, tutaj, gdzie przepisy są Pismem Świętym, wezwano go na dywanik pod zarzutem napaści. Właśnie przy tej okazji zrezygnował z pracy.

-

I co z nią? - zapytał Wigfulla.

-

Z kim?

-

Z panią Billington. Pytam, co z nią? Diamond wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

-

W porządku.

-

Bo mamy ją tu na dole - odparł Wigfull. - Zbiła męża do nieprzytomności. Może wiesz za co?

Diamond pokręcił głową. Zabrakło mu słów.

Wigfull wyjaśnił, że niecałą godzinę temu dzwoniło na policję z domu w Larkhall. Lokatorka, studentka, wróciła z college'u i w korytarzu znalazła właściciela, Winstona Billingtona. Leżał nieprzytomny, krwawiąc z ran głowy. Uznała, że ktoś się włamał, pobiegła więc do kuchni, żeby sprawdzić, czy pani Billington też została zaatakowana. Nie została.

Siedziała przy stole i piła wódkę. Powiedziała studentce, że to ona go napadła, i zgodziła się z nią, że skoro mąż oddycha, to lepiej zadzwonić po pogotowie.

-
Gdzie on jest? - zapytał Diamond.

-
Na oddziale intensywnej opieki medycznej, w królewskim szpitalu ogólnym. Postawiliśmy przy nim człowieka na wypadek, gdyby odzyskał

przytomność.

-
Tak z nim źle?

-
Mówią, że to poważne obrażenia. Użyła plastikowej torebki napełnionej miedziakami. Trzymają ją przy drzwiach i wkładają tam drobne, żeby mieć co dawać ludziom zbierającym na cele charytatywne.

Dwa funty w miedziakach mogą zrobić niezłą dziurę w głowie.

-
Powiedziała coś?

-
Jak do tej pory, nie. Jest w toalecie, wymiotuje. Za dużo wódki. Nie martw się. Policjantka Blinston jest z nią.

Diamond odwrócił się do Julie.

-
Pojeźdź lepiej do szpitala.

-
Nie słyszałeś? - rzekł Wigfull. - Już mamy tam swojego człowieka.

-
Chcę, żeby Julie tam była. - Przez chwilę wydawało się, że nastąpi starcie. Z rzadką u siebie dobroduszością Diamond dodał jednak. -

Mamy nowe informacje, że Billington mógł mieć coś wspólnego z zabójstwem Britt Strand. Obaj

chcemy go przesłuchać. Jeśli dojdzie do siebie, wszystko, co powie, może być niezwykle istotne.

Julie pojechała do szpitala.

DIAMOND DOŁĄCZYŁ DO WIGFULLA W POKOJU

PRZESŁUCHAŃ, po drugiej stronie stołu siedziała pani Violet Billington, skruszona mężo-
bójczyni. Ubrana była w spłowiały zielono-biały wełniany sweter na guziki, który Diamondowi
kojarzył się z miękkim kabaczkim, była prawie tak biała, jak chusteczki higieniczne leżące przed nią
w pudełku. Ale w niebieskich oczach była ta sama pogarda, którą okazała wcześniej.

Tym razem gotowa była jednak mówić.

Wigfull wyrecytował formalny wstęp do przesłuchania, nagrywanego na taśmę, i zapytał drobną
kobietkę, czy zechce powiedzieć, co przytrafiło się jej mężowi.

Odpowiedziała jednym zdaniem.

-

Przyszedł do domu, a ja go uderzyłam.

-

Musiał być jakiś powód.

-

Jest potworem - to cały powód.

-

Lepiej będzie, jeśli pani wyjaśni, co chce pani przez to powiedzieć.

Wigfull musiał przyjąć na siebie całą siłę miażdżącego spojrzenia.

-

Po co mnie pytacie? Wiecie doskonale, że to on zamordował naszą lokatorkę.

Jeśli wziąć pod uwagę moc tego stwierdzenia, Diamond zachował godną podziwu powściągliwość,
przejmując przesłuchanie.

-

Mówi pani o Britt Strand? Proszę to potwierdzić ze względu na nagranie.

-

A niby o kim mówię, o królowej Saby?

-

Britt Strand?

-

Daj pan spokój, no oczywiście!

-

Sam pani to powiedział?

-

Nie. Ale nie musiał - stwierdziła pani Billington. - Ja to wiem. I pan też wie. Mieliście przyjść po niego wieczorem.

-

Mieliśmy przyjść, żeby go przesłuchać - wyjaśnił Diamond, dokładając starań, żeby omówić wszystko dokładnie. - Skoro nie przyznał się pani, to jakie ma pani podstawy, żeby twierdzić, że zamordował Britt?

-

Wy go nie znacie tak jak ja - odparła gwałtownie. - W głowie ma tylko seks, w jego wieku. Myślałoby się, że na stare lata to mija. Ale nie u niego. Zawsze szukał jakiejś okazji, flirtował z dziewczynami, których mógłby być ojcem. Nie pamiętam, ile już razy go na tym przyłapywałam.

Nawet się nie ukrywał. Dzwoniły do domu, chciały z nim rozmawiać. W

samochodzie znajdowałam niedopałki. Widziałam rachunki hotelowe.

-

Możliwe, ale wesołe życie to jedno, a morderstwo to drugie.

-

Zabił ją, bo go nie chciała. Nie łąpała się na jego pochlebstwa.

Próbował, a ona za każdym razem go odpędzała. Uraziła jego dumę.

-

Skąd pani wie?

-
Widziałam dowody. Wypróbował wszystkie swoje sztuczki: pudełka czekoladek, bukiety, ale ona nie była zainteresowana.

-
Dawał jej prezenty w pani obecności? - zapytał z niedowierzaniem Wigfull.

-
Nie obnosił się z tym.

-
To skąd pani wie? Zglądała pani do jej pokoju?

-
Nie musiałam. Wyrzucała je do śmieci. Kwiaty z naszego ogrodu i całe pudła „Milk Tray”, nieotwarte. On zawsze daje „Milk Tray”. Żalotne, prawda? Ta reklama telewizyjna musiała mu wsiąknąć w mózg. Ładowały w koszu, nawet nierozpakowane. Ta nie patyczkowała się z nim. Nie była żalotną kreaturą, jak te dziewczuchy ze sklepów, które odwiedzał, bo koniecznie chciały zwrócić na siebie uwagę. Miała lepsze sztuki na oku.

Jeśli nawet pani Billington żywiła jakieś współczucie dla swojej byłej lokatorki, nie okazywała go. Mówiła o niej „ta”, nieprzyjemnie depersonalizując Britt. Pani Billington nie żywiła do niej szacunku za odrzucenie zalotów przewrotnego mężulka. Rozgoryczenie pochłonęło wszystko.

-
Chyba nie zrozumiała pani mojego pytania - powiedział Diamond. -

Skąd pani wie, że to pani mąż zabił Britt Strand?

Tym razem uzyskał szokująco szczerą odpowiedź.

-
Bo prosił mnie, żebym was okłamała i dała mu alibi. Naprawdę nie był razem ze mną na Teneryfie w dniu, kiedy ją zamordowano. Wrócił już do Anglii. Skrócił wakacje, kiedy dostał telefon. Powiedział, że musi wziąć udział w naradzie kryzysowej. To rzeczywiście był dla kogoś kryzys.

-
Kiedy to było?

-
Ten telefon?

-
Kiedy odleciał do domu.

-
W dniu, w którym została zabita. Nie zdawał sobie sprawy, że zrobił się odrażający. Nadal mu się wydaje, że jest darem bożym dla kobiet.

Młode dziewczyny przy basenie nie były nim zainteresowane, postanowił więc wrócić do domu i spróbować szczęścia z lokatorką.

-
Tak pani wtedy uważała? Przymknęła oczy.

-
Nie. Połknęłam to kłamstwo. Naprawdę myślałam, że coś się dzieje w pracy.

-
A pani kiedy wróciła?

-
Wyjechał po mnie na lotnisko w Bristolu i zawiózł mnie do domu.

-
Jak się zachowywał?

-
Nerwowo. Pomyślałam, że to ze względu na problemy w pracy.

Kiedy dojechaliśmy do domu, pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, były butelki z mlekiem na progu. Mogła w pośpiechu wyjechać, żeby z kimś przeprowadzić wywiad. Ale nie rozumiałam, czemu Winston zostawił dwa litry mleka, żeby skwaśniały. Wydziwiał, mówił, że został w Londynie na kolejną naradę. Marny z niego kłamca. Wiedziałam, że to wymyślił.

Zapytała pani o to?

-

Za bardzo byłam zmęczona, żeby się tym przejmować. Poszliśmy do łóżka, byłam zmęczona jak pies, ale nie mogłam zasnąć. Niepokoiła mnie lokatorka z góry. Naprawdę nie mogłam przestać o niej myśleć, poprosiłam więc, żeby sprawdził. Resztę znacie.

-

Nie znamy - powiedział Diamond. - Nie wiemy, co skłoniło panią do złożenia fałszywych zeznań, kiedy przybyła policja.

-

Nie złożyłam fałszywych zeznań.

-

Nie rozumie mnie pani - zaprotestował Diamond. Podniosła wzrok i zacisnęła usta.

-

Winston powiedział, że nie chce, żeby wasi ludzie zawracali głowę jego szefom i sprawdzali, czy mówi prawdę. Martwił się o swoją pracę i obawiał, że może ją stracić, jeśli przyjdzie policja i zacznie o niego wypytywać. Byłoby znacznie prościej, gdybyśmy oboje wrócili tego samego dnia. Powiedziałam, że nie będę kłamać, ale jeśli chce mówić za nas oboje, to jego sprawa. I tak się stało. Proszę przejrzeć zeznania. Ja opowiedziałam kiedy wróciłam do Bristolu i nie wspomniałam o Winstonie. - W oczach pani Billington pojawił się na sekundę błysk triumfu.

-

A zatem zachowywał się tak, jakby to ktoś inny zabił Britt Strand? -

zapytał Diamond.

-

Chciał, żebym tak myślała.

-

A pani tak myślała?

-

Wtedy tak. Wiedziałam, że jest nieuleczalnym kobieciarzem, ale nawet mi przez myśl nie przeszło, że

jest niebezpieczny.

-

Kiedy tak pani pomyślała?

-

Kiedy dziś rano przyszedł pan do mnie z wizytą. To oczywiste, prawda? Pan uważa, że to nie Mountjoy ją zabił. No i w końcu zabrał się pan do Winstona. Pytał pan o te sprośne pocztówki, które sprzedaje, i czy hoduje róże w ogrodzie. Potrafię dodać dwa do dwóch.

Dziesięć minut wcześniej Diamond cieszyłby się, gdyby mógł uwzględnić w śledztwie Winstona Billingtona. Teraz radość ulotniła się. Potwierdziły się jego najgorsze obawy. Rozmowa, którą przeprowadził, stała się przyczyną napaści.

-

Ale sama pani powiedziała, że róże nie mogły pochodzić z państwa ogrodu - wydusił słabym głosem.

-

Wcześniej już dawał jej róże.

-

Te były z kwiaciarni.

-

Wiem, ale to nie ma znaczenia - odparła. - Zabił ją. Sprawdziłam to i owo, kiedy pan poszedł. Przejrzałam historię jego karty kredytowej sprzed czterech lat. Ten bałwan trzyma wszystko przez pięć lat. W dniu powrotu z Teneryfy, w dniu morderstwa, wydał równowartość dziesięciu funtów sześćdziesięciu pięciu pensów w kwiaciarni Los Rodeos Airport.

-

To dlatego nie mogliśmy znaleźć sklepu - powiedział Diamond, bardziej do siebie niż do obecnych.

Pani Billington nie skończyła.

-

I żeby się upewnić, zadzwoniłam do jego biura i poprosiłam sekretarkę dyrektora, żeby sprawdziła, czy osiemnastego października 1990 roku naprawdę odbyła się narada kryzysowa, na którą musiał

przyjechać Winston. Nie odbyła się. Szef wyjechał wtedy w interesach do Szkocji i nie było go przez cały tydzień. Teraz rozumiecie, dlaczego dziś wieczór trzepnęłam tego szczura, kiedy tylko przestąpił próg?

Diamond rozumiał. Poczul się też troszeczkę lepiej, że nie był jedynym odpowiedzialnym za spuszczenie z łańcucha mściwej żony.

Rozdział 17

KOCHANA, OBAWIAM SIĘ, ŻE BEZ ZMIAN - powiedziała pielęgniarka dyżurna, kiedy Julie Hargreaves zapytała o Winstona Billingtona. To „kochana” w zamierzeniu było uprzejme; pielęgniarka wzięła ją za krewną chorego. Julie podeszła do umundurowanego policjanta, który siedział znudzony w kącie, bębniąc palcami w odwrócony plastikowy kubek do kawy.

-

Daje jakieś oznaki życia? - zapytała.

-

Czasem pojękuje.

-

To dobrze?

-

Nie wiem.

-

Może pospacerowałbyś sobie godzinę? Przejmę służbę. Przyńieś mi herbaty, jak wrócisz. Z mlekiem, bez cukru.

Skinął z wdzięcznością głową i poszedł.

Podeszła możliwie jak najbliżej łóżka. Skrawek twarzy pacjenta, który była w stanie zobaczyć, był szary, oczy miał zamknięte, jedno było purpurowe i mocno napuchnięte. Głowę miał zabandażowaną, a przy nosie i ustach rurki respiratora. Inna rurka podawała mu krew, a przewody przyklepione do klatki piersiowej monitorowały akcję serca. Nie był to idealny moment na rozmowę z głównym podejrzanym. Dziwiło ją okrucieństwo drobniutkiej pani Billington i siła pieniędzy, kiedy przyjmuje formę uderzenia garścią monet w plastikowej torbie.

Usiadła. Przynajmniej na jakiś czas pozbyła się Diamonda. Niełatwo było z nim pracować. Słyszała, jak nazywają go zrzędą, i na tym etapie współpracy nie mogłaby temu zaprzeczyć. Rozumiała poczucie osobistej porażki, które nim zawładnęło w związku z wydarzeniami sprzed

czterech lat. W pewnym sensie wołała jednak szorstkość Diamonda od gładkich manier Johna Wigfulla, jej rzeczywistego szefa. Przy całej chępliwości i prostactwie Diamonda czuła się z nim bezpieczna. Szczerze wyrażał

uczucia. Kiedy się uśmiechał (ostatnio rzadko), był to prawdziwy uśmiech. Kiedy był przygnębiony, nie ukrywał tego. Pytał ją o radę i wyglądało na to, że jej słucha. Chociaż niezbyt ufał innym. Zdaje się, że uważał resztę funkcjonariuszy z wydziału zabójstw w Bath za idiotów.

Najwyraźniej żywił głęboką urazę w związku ze swoją rezygnacją sprzed kilku lat. Do końca tego nie rozumiała. Zdaje się, że nigdy nie miał

sympatii dla zwierzchników. O jego reputacji jako dynamicznego szefa zespołu do spraw zabójstw do tej pory jednak mówiono na Mansver Street z szacunkiem. Przewodził silnemu, lojalnemu zespołowi, który teraz się rozpadł.

O jego życiu osobistym jak do tej pory dowiedziała się niewiele.

Wiedziała, że kiedyś grywał w rugby u Metsów. Od innych dowiedziała się, że czasem widywano go na trybunach stadionu terenów sportowych, gdzie Bath RFC, najlepsza drużyna w kraju, rozgrywała mecze.

Powiedziano jej też, że rozumie dzieci, mimo że sam ich nie ma. W Boże Narodzenie, po tym jak zrezygnował z pracy w policji, dostał robotę Świętego Mikołaja w centrum handlowym Collonades - i dowiedział, że w tej roli cieszy się popularnością. Nie musiał się wywatować.

Ciekawiło ją, jaka jest jego żona. Miała ochotę spotkać się z kobietą, która musiała stawiać czoło charakterowi Petera Diamonda i pozostawała z nim w ślubnym związku. Pani D. (jak dowiedziała się Julie) była nieduża, stanowcza i poświęcała mnóstwo energii pracom na rzecz lokalnej społeczności. Kiedyś była drużynową w harcerstwie, ostatnio pracowała w sklepie z tanią odzieżą. Niektórzy żartowali, że Diamond właśnie tam się ubiera.

Jęknięcie Billingtona przerwało jej rozmyślenia nad Diamondem i przypomniało, po co tu przyszła. Wstała i popatrzyła na chorego. Nawet nie drgnął, znów usiadła.

To pierwszy przypadek niebezpiecznej napaści żony na męża, z jakim Julie się zetknęła, chociaż prasa od czasu do czasu podawała informacje o pobitych mężach, jakby była to logiczna konsekwencja rewolucji feministycznej. Kiedyś Julie oglądała taki program w telewizji i była zdumiona, a zarazem sceptyczna, widząc, że mężczyźni - niektórzy byli wielkimi chłopami - pozwalali się bić ciężkimi przedmiotami. Ze statystycznego punktu widzenia te incydenty były nieistotne w porównaniu z domową przemocą, której podlegały kobiety. Julie знаła to: zwykle delegowano ją do śledztw w sprawach ataków na kobiety. Widziała już parę potwornych obrażeń, a czasem sama musiała się bronić przed napastnikiem. Nie była tak bardzo zbulwersowana faktem, że raz na jakiś czas kobieta zabiła mężczyznę.

Niedawno widziała policyjne fotografie zwłok Britt Strand i nie potrafiła się zdobyć na współczucie dla Winstona Billingtona. To nie z litości miała nadzieję, że ranny dojdzie do siebie i będzie w stanie

odpowiadać na pytania. Gdyby drań umarł, trudno byłoby zdobyć wystarczającą liczbę dowodów jego winy, żeby usatysfakcjonować sąd apelacyjny i dowieść, że skazanie Mountjoya stanowiło pomyłkę. Lepiej, żeby apelacja została wsparta podpisanym zeznaniem.

Znowu jakiś dźwięk. Tym razem pacjent poruszył głowę. Julie z niepokojem spojrzała przez oszklone drzwi, czy w pobliżu jest pielęgniarka. Załóżmy, że Billington odzyska przytomność tylko na chwilę. Jaką odpowiedzialność musiałaby podźwignąć! Próbowwała się zastanowić, o co należy go zapytać. Oskarżenie o morderstwo mogłoby go zabić. Ale jeśli nie zapyta o sprawy oczywiste, wystąpi przeciwko zasadom służby. Wyobraziła sobie, jak mówi Peterowi Diamondowi:

„Wprawdzie odzyskał na krótko przytomność, ale ja zapytałam go, jak się czuje. Odpowiedział »Niezbyt dobrze« i umarł”.

Niech cholera weźmie Violet Billington za to, co zrobiła.

W głowie Julie powstał kolejny niepokojący scenariusz. Gdyby Billington istotnie umarł, świadectwo jego żony stałoby się niezastąpione. Julie nie było przy tym, jak pani Billington sypnęła męża Diamondowi, nie mogła więc stwierdzić, czyjej słowa są przekonywające. Czy była godna zaufania? Czy to możliwe, że wymyśliła całą historijkę, żeby usprawiedliwić swoją podstępną napaść na męża?

Nie. Istniało potwierdzenie w niezależnym źródle. Punk G.B. widział

mężczyznę podobnego do Billingtona, jak wchodził do domu w Larkhall po wyjściu Mountjoya.

To był decydujący argument. Mimo wszystko można wyobrazić sobie mściwą żonę, która wymyśliła historijkę na temat męża brutalą. W końcu Violet Billington nie wiedziała wszystkiego, co stało się tej fatalnej nocy.

Nie mogła wiedzieć. Była na Teneryfie, kiedy zamordowano Britt Strand.

A według jej zeznania (zrelacjonowanego przez Diamonda) Winston do niczego się nie przyznał. Uderzyła go, zanim zdążył podać swoją wersję.

Pielęgniarka wróciła i sprawdziła, czy krew nadal równo płynie przezroczystymi rurkami.

-
To pani tatuś? - zapytała.

-
Nie - odparła ze znużeniem Julie. - Nie jestem krewną.

-
Po prostu przyjaciel? - Pielęgniarka powiedziała to współczującym tonem, ale z błyskiem

zainteresowania w oku.

-

Jestem detektywem inspektorem na służbie.

-

Naprawdę? - Pielęgniarka przyglądała się Julie dłuższy czas. -Nie powinna pani pilnować jego żony? Myślałam, że to ona go pobiła.

KOŁO DZIESIĄTEJ WIECZOREM DIAMOND ZADZWONIŁ DO

JULIE, do szpitala.

-

Powiedział już coś?

-

lylkojęczai.

-

Jest przytomny?

-

Nie. Dali mu coś przeciwbólowego i chyba teraz śpi.

-

Czy ma uszkodzony mózg?

-

Nie wiedzą. Lekarz mówił o tomogramie, ale nie zrobią go dzisiaj.

-

No to nie ma sensu, żebyś tam siedziała. Razem podbijemy kartę zegarową. Spotkamy się rano, wcześniej.

-

Co to znaczy wcześniej?

-
Może wpadłabyś do mnie na śniadanie, do hotelu Francis, powiedzmy koło wpół do dziewiątej?

-
Śniadanie robocze?

-
Nie. Zwyczajne. Właściwie to nie takie zwyczajne. Będziesz miała szansę spróbować „tradycyjnego półmiska”. Ja też. Musiałem go sobie darować dziś rano. Nie powołuj się na mnie, Julie, ale podobno dają tu dokładki.

Odłożył słuchawkę. Twarzą do ściany naprzeciwko niego stał komendant Warrilow. Przyciskał palec do planu miasta. Diamond, w niecodziennym dla siebie dobrotliwym nastroju, podszedł i przysiadł na biurku przydzielonym Warrilowowi.

-
Co pan sądzi o ściekach?

Warrilow uznał to za uszczypliwość i się nachmurzył.

-
Można tam poszukać Mountjoya - dodał Diamond. Warrilow nie odwrócił wzroku od mapy.

-
Jeśli naprawdę chce pan wiedzieć, prowadzimy poszukiwania na obszarze położonym zaledwie parę ulic stąd. Mężczyzna odpowiadający opisowi Mountjoya był widziany na Julian Road dziś wieczorem. Mamy też kolejne zgłoszenie, mniej więcej w tym samym czasie, na Morford Street.

-
Był sam?

-
A czego się pan spodziewał? - zapytał Warrilow, obrzucając go gniewnym spojrzeniem. - Związał dziewczynę i gdzieś zostawił

bie-dactwo. Powiedziano mi, że w okolicach Julian Road jest sporo pustych domów, z których czasem korzystają bezdomni. Kazałem je przeszukać.

-

A zatem pan uważa, że on jest w mieście?

-

Coraz bardziej na to wygląda. Czy Samantha z nim jest - prawdę mówiąc, czy jeszcze żyje - nie umiałbym powiedzieć. Coraz bardziej się o nią niepokoję.

Diamond wstał z biurka i ruszył do wyjścia. Nie było zbyt taktowne w takiej chwili schodzić z posterunku, ale miał już dosyć.

W CIĄGU DWUDZIESTU MINUT DOTARŁ DO BARU ROMAN W

Swoim ho-

telu - był jedynym Anglikiem wśród trzech grupek niemieckich i kanadyjskich turystów. Nieuchronnie po kilku brandy został wciągnięty w rozmowę i, co było do przewidzenia, został zmuszony do tłumaczenia się z obecności punków w tak zamożnym, zdawałoby się, mieście.

-

Nie można ich wrzucać do jednego worka - zaczął się wypowiadać jak autorytet. - To są całkowicie różne grupy. Mamy tutaj tak zwanych podróżników new age, wyrzutków społeczeństwa, głównie dwudziestokilkuletnich, zazwyczaj ubranych w mundury polowe albo w skóry. Włosy noszą albo bardzo krótkie, albo bardzo długie. Nigdy średniej długości. Mają psy, trzymane na smyczach albo biegające luzem i wyglądają dość groźnie. Zasadniczo ignorują ludzi takich jak my, chyba że chcą pieniędzy. Dla nich mieszkamy na innej planecie. Są też inni, zdeklarowani menele - mężczyźni mniej więcej w moim wieku. Zawsze trzymają w ręku puszkę albo butelkę. Są zaniedbani, ogorzali, ale z reguły ubrani w sportowe kurtki i sztruksy. Czasem przeklinają na głos. Tak jak ja, kiedy starcza mi odwagi.

To wywołało wybuch śmiechu.

-

Mówię poważnie. Wkrótce pewnie do nich dołączę - wyznał, osuszając kieliszek brandy. - Nie mam porządnej pracy. Rzuciłem ją dwa lata temu. Patrzę na tych facetów i wiem, że to tylko kwestia czasu. - Po wypowiedzeniu tej ckliwej prognozy, chwiejnie wstał. - Śpijcie dobrze, przyjaciele, i bądźcie zadowoleni, że nie leżycie w drzwiach jakiegoś sklepu.

Kiedy odchodził, usłyszał jak ktoś mówi.

-

Wielka Brytania aż się roi od ekscentryków.

-

I wariatów.

Nie obejrzał się. Ociężale doszedł do windy. Gadaniem (albo piciem) wprowadził się w melancholijny stan. Wiedział dlaczego. Rozwiązanie sprawy Britt Strand wtrąci go z powrotem w otchłań do-rywczych zajęć w Londynie. Tych kilka dni w okrutny sposób przypomniało mu o lepszych czasach, a jemu takie przypomnienie nie było potrzebne. Chciał wrócić do Bath, a przede wszystkim chciał wrócić do starej pracy.

Kiedy przed drzwiami do pokoju szukał klucza, nagle poczuł lekki nacisk na kark. Był tak zawiany, że nie od razu uznał to za coś groźnego.

Pomyślał, że musiał wpaść na kogoś tyłem.

-

Najmocniej przepraszam - mruknął. Z tyłu dobiegła komenda.

-

Otwórz drzwi i wejdź do środka. Wiedział, kto to jest.

Pistolet przystawiony od tyłu bardziej trzeźwi niż czarna kawa. Pistolet trzymany przez osądzonego mordercę jest skuteczny w dwójna-sób.

Diamond natychmiast doszedł do siebie.

To nie był bluff Kiedy odwrócił się, żeby stanąć twarzą w twarz z Johnem Mountjoyem, zobaczył wycelowaną w siebie czarną lufę.

-

Broń nie jest potrzebna - powiedział.

Mountjoy bardzo się zmienił. W Lansdown, parę dni temu, był

wychudzony i blady, jak to jest z więźniami, ale wydawał się nad sobą panować. Teraz zachowywał się nerwowo, w czarnych oczach czaiła się rozpacz, jakby odkrył, że wolność nie jest tak cenna czy pożądana, jak mu się wydawało. Żywoć uciekiniera zaczął dobierać mu się do skóry, chyba że zdarzyło się coś okropnego i to przemoc wycisnęła na nim piętno.

Oстрыm, nerwowym tonem kazał Diamondowi zdjąć kurtkę i rzucić ją na łóżko. Co podejrzewał - będzie tam broń albo jakieś urządzenie podsłuchowe? Machnięciem ręki pokazał, żeby Diamond usiadł na krześle pod oknem.

Głupio byłoby go nie posłuchać.

-

Co masz mi do powiedzenia? - zapytał. - Gadaj.

-

Mógłbyś to coś opuścić?

-

Użyję tego, jeśli nie będziesz mówił.

Diamond nie wiedział, czy groźba jest prawdziwa, ale istniało niebezpieczeństwo, że pistolet wypali przypadkiem, bo Mountjoy potrząsał nim jak puszką z aerozolem.

-

Jest postęp - powiedział Diamond. Cedził słowa, robił wszystko, żeby wyglądać na pewnego siebie, a jednocześnie zastanawiał się, ile może mu zdradzić. - Wyraźny postęp. Mam teraz świadka, który widział, jak wychodziłeś z domu, w którym dokonano morderstwa. Koło jedenastej. Co ważniejsze, ten świadek jest pewien, że widział Britt w drzwiach, jak cię odprowadzała...

Mountjoy przerwał mu.

-

Kto to jest?

-

Ktoś, kogo znała.

-

Powiedziałeś „on”. Co tam robił? Nie widziałem go. Diamond nadal sączył powoli informacje. Próbował narzucić tempo niebezpiecznej rozmowie.

-

Mówi, że obserwował dom.

-

Kto to taki? Na pewno wiesz, kto to jest.

-

Zastanawiał się, jakie ma szanse, żeby zostać jej chłopakiem. Ktoś mu powiedział, że zabrałeś ją do restauracji. Był zazdrosny. Pośzedł pod dom, żeby samemu się przekonać, czy to prawda. Stał na zewnątrz, na ulicy. Mówi, że wyszedłeś, nawet nie podałeś jej ręki i szybko odszedłeś.

-
Jak dotąd to prawda - przyznał Mountjoy. - Czy to zabójca?

Dlaczego ci to powiedział? Kto to jest?

Szala się przechyliła na korzyść Diamonda. Chęć poznania nazwiska tego człowieka sprawiała, że Mountjoy stał się nieco bardziej skłonny do ugody. Diamond był zbyt doświadczonym człowiekiem, żeby przepuścić szansę na rokowania.

-
Co się dzieje z Samanthą? Nic jej nie jest?

-
Nie zadzieraj ze mną. - Mountjoy zdenerwował się na samo wspomnienie imienia dziewczyny - Chcę znać nazwisko tego śmiecia.

-
Lepiej go nie obrażaj - ostrzegł go Diamond. - Jak dotąd jest twoją jedyną szansą.

-
Kto to jest?

-
Czy Sam żyje?

Bez odpowiedzi.

-
Wiesz, że jeśli ją skrzywdzisz, jeśli spadnie jej włos z głowy, oni cię dopadną.

-
Jacy „oni”? Jesteś jednym z nich. Wpadka.

-
Szefostwo - wytłumaczył Diamond.

-
I tak mnie złapią.

-
Jeśli dobrze to rozegrasz - Diamond poruszył bardziej pozytywny temat - powinieneś przeżyć. Pistolet ci nie pomoże. Nie wiem, skąd go masz, ale bezpieczniejszy jesteś bez niego.

Ostrzeżenie padło w samą porę, bo Mountjoy otarł sobie usta wierzchem dłoni, w której trzymał broń. Może popełnił kilka przestępstw, ale na pewno nie był rewolwerowcem.

Diamond czuł, że za chwilę dowie się czegoś o Samancie. Warto było dodać coś od siebie.

-
Prawdę mówiąc - powiedział - nie wiem, jak naprawdę nazywa się świadek, który widział cię wychodzącego z domu. To punk, włóczęga.

-
Ktoś z tej bandy? Kto mu uwierzy?

-
Ja.

Mountjoy ściągnął brwi.

-
Uwierzyłeś?

-
Tak.

-
Ty mnie wsadziłeś do więzienia. A teraz twierdzisz, że się pomyliłeś?

-
Tak to zaczyna wyglądać.

-
Czy zabójcą jest ten punk?

-
Chyba nie.

Mountjoy nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Mięśnie twarzy napięły mu się.

-

To kto nim jest, do cholery? - wycedził twardym głosem.

-

Jeszcze nie wiem.

-

Co?

-

...ale jestem blisko - szybko dodał Diamond. - Dlatego to takie ważne, żeby Samantha wyszła ze wszystkiego bez szwanku. Nic jej nie jest, prawda? - Nie uzyskał odpowiedzi. - Słuchaj, ludzie, którzy do-wodzą nagonką, robią się niecierpliwi. Gdybyś dał im jakiś dowód na to, że ona żyje, mógłbyś za to kupić trochę czasu dla nas obu. Jeśli nie

- zerknął na pistolet - sprawa może się bardzo szybko skończyć, John, i to skończyć krwawą strzelaniną.

Mountjoy patrzył na niego przez chwilę, w jego oczach widać było obawę, ale nic nie odpowiedział.

-

Powiesz mi o czymś innym? - zapytał Diamond. Mózg pracował

mu na wysokich obrotach. - Czy tego ostatniego wieczoru, który spędziłeś z Britt, wspomniała o kimś, z kim się spotyka?

-

Masz na myśli innych mężczyzn? Nie pamiętam.

-

Spróbuj.

-

Nie znaczy nie. Po co miałyby ze mną rozmawiać o swoich chłopakach.

-

Może dlatego, żeby dać ci do zrozumienia, że już się z kimś spotyka.

-
Nie mówiła o tym. To ja przede wszystkim gadałem, można powiedzieć, zagadywałem ją.

-
Czy przy okazji pytałeś o jej sprawę?

-
Tak, ale nie pyta się kobiety, z kim jeszcze sypia.

Dobra uwaga. Diamond musiał przyznać, że na pierwszej randce rozmowa nie zbacza na takie tematy. Dużo czasu minęło od jego pierwszej randki.

-
Kto płacił za posiłek w Le Beaujolais?

-
Użyłem mojej karty kredytowej, ale ona nalegała, że odda mi pieniądze za swoją część. Powiedziała coś na temat nowoczesnych kobiet, ceniących swoją niezależność.

-
Musiałeś się spodziewać, że wyjdzie z taką propozycją. - Diamond zdążył do meritum sprawy. Szło mu gładko, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności. - Czy nie dawałeś jej przypadkiem kwiatów?

Mountjoya rozszło pytanie. Mięśnie na szczękach się napięły.

-
Róż? Nie. Czy do twojego tępego łba nie dociera, że jej nie zamordowałem?

-
Jest ogromna różnica między kupowaniem kwiatów a mordowaniem - powiedział Diamond. - Ktoś inny mógł zobaczyć kwiaty od ciebie i uznać, że Britt robi skok w bok.

-
To nie były kwiaty ode mnie.

-
Szkoda. To byłby piękny gest, podarunek, który kobieta przyjąłaby z wdzięcznością od dojrzałego mężczyzny, takiego jak ty. Nie musiałbyś przychodzić z nimi do restauracji. Mógłbyś kazać

dostarczyć je do domu.

-

Nie zrobiłem tego.

-

A widziałeś w jej mieszkaniu jakieś róże, kiedy tam przyjechaliście?

-

Nie.

-

Zauważyłbyś je?

-

Pewnie tak.

-

Wracając do twojej rozmowy przy kolacji, rozmawialiście o jej pracy?

-

Prawie wcale. Mówiliśmy o szwedzkiej kuchni i o samochodach, które kiedyś miałem.

Ekscytujący temat!

-

Jesteś dobrym kierowcą?

-

Byłem.

-

A ona? - Znał odpowiedź, ale chciał, żeby Mountjoy mówił.

-

Chyba rozumiała, o czym mówię, ale wydaje mi się, że sama nie miała samochodu. Powiedziała, że w Bath łatwo można sobie dać radę bez niego, bo są minibusy i pociągi.

-
I przyjaciele z samochodami. Odwiozłeś ją do Larkhall po kolacji w Le Beaujolais?

-
Tak.

Mountjoy znów zaczął się denerwować, pocierał pistolet o rękaw.

-
Czy miałeś wrażenie, że dom był pusty?

-
Tak. Było ciemno. Mieliśmy go tylko dla siebie. Myślałem, że mi się udało, dopóki nie zaczęła mówić o moich irackich studentach. Wtedy zrozumiałem, że mnie wrobiła. Byłem całkowicie pewien, że gdzieś ma włączony magnetofon.

-
Jasne - przyznał głośno Diamond. Zabrzmiało to tak, jakby niczego innego się nie spodziewał, choć w istocie powiedział to samo-krytycznie.

Jasne, dobra dziennikarka użyłaby magnetofonu. - Szukałeś go?

-
Nie musiałem. Mówiła o dowodach, zdjęciach i dokumentacji, ale ja niczego nie potwierdziłem. Nawet nie dokończyłem kawy. Wstałem i wyszedłem. Byłem wściekły, ale nie widziałem sensu, żeby ją obrzucać obelgami.

-
Odprowadziła cię do drzwi?

-
Jeśli odprowadzeniem nazywasz to, że szła za mną po schodach i mówiła, że ma wszystkie materiały, jakie są jej potrzebne, i że zasłużyłem na to wszystko, co mnie spotka, to tak. Zatrasnęła za mną drzwi. Poszedłem do St. Saviours Road, gdzie zaparkowałem samochód, i pojechałem do domu.

-
Widziałeś kogoś na ulicy?

Z jakiegoś powodu rozwścieczyło to Mountjoya.

-
Do cholery, byłem za bardzo wściekły, żeby się rozglądać. Słuchaj, mówiłem ci to kiedyś co najmniej tuzin razy, tłusty flejtuchu. Po prostu próbujesz mnie nabrać z tymi bzdurami o jakimś punku. Britt Strand miała klasę. Nie zadawała się ze śmieciami.

-
Zazwyczaj nie. Wykorzystywała go tak samo, jak ciebie.

-
Po co?

-
Żeby napisać artykuł o komunie w Bath.

-
To nie jest materiał na artykuł. Nie zamieściliby tego nawet na rozkładówce lokalnej gazetki. Nie jestem zadowolony, Diamond.

Mieliśmy umowę. Zaufałem ci. Kiedy się wywiążesz?

-
Wkrótce.

-
Jutro.

Diamond przelotnie pomyślał o nieprzytomnym mężczyźnie leżącym w szpitalu miejskim.

-
To za wcześnie.

-
Jutro... albo nigdy. - Szarpnięciem otworzył drzwi i już go nie było.

DIAMOND POWINIEN TERAZ PODNIEŚĆ SŁUCHAWKĘ i powiadomić Warrilowa. Podszedł jednak do czajnika i włączył go. Wyjął

saszetkę z kawą z wazy i wsypał jej zawartość do kubka. Rozsypał trochę neski. Nie był w szoku, po prostu miał dwie lewe ręce. Zawsze był taki.

Nic na to nie mógł poradzić. Radził sobie za to z przesłuchaniami.

Jak na to, że przesłuchanie nie było zaplanowane, poszło mu całkiem nieźle. Nie uzyskał wprawdzie potwierdzenia, że Samantha Tott żyje, ale udało mu się wyciągnąć wskazówki, które mogłyby zmienić dochodzenie.

Jeśli starczy czasu.

Jego radość była krótka. W pokoju rozległ się dziwny dźwięk, wyćcie przechodzące w crescendo, a potem trzask. Gryzący dym wypełnił mu nozdrza. W czajniku nie było wody, spaliła się grzałka.

Rozdział 18

CHOCIAŻ PETER DIAMOND OSTRZEGŁ JULIE, że rozpoczynający się dzień będzie ciężki, jego asystentka odmówiła zjedzenia „tradycyjnego pół-miska”. Na śniadanie zamówiła müsli i herbatę. Nie skusił jej apełtyczny zapach kruchego bekonu i smażonych jajek dolatujący z drugiej strony stołu. Diamond słyszał, jak ktoś porównał kiedyś müsli do śmieci wymiatanych z klatki chomika i od tamtej pory nigdy ich nie tknął.

Litościwie zachował tę uwagę dla siebie.

Zajęli stolik przy oknie wychodzącym na trawnik przy Queen Square i rosnące tam potężne platany. Stolik nakryto wykrochmalonym lnianym obrusem, srebrnym serwisem do herbaty, srebrnymi sztuccami i świeżymi kwiatami. Mniejsza o szare niebo za oknem; wielki łysy eks-detektyw gawędził uprzejmie ze swoją atrakcyjną towarzyszka i nie zwracał uwagi na pogodę. Pławił się w pełnych zainteresowania spojrzeniach Niemców i Amerykanów, których spotkał w barze poprzedniego wieczoru, bo żaden z nich nie widział, jak Julie wchodzi do hotelu o wpół do dziewiątej.

-
Kiedyś przyprowadziłem tutaj żonę - mówił. - Niezłą scenę wywołałem. Musiała to być jakaś okazja, którą należało uczcić. Możliwe że wtedy, kiedy awansowano mnie na nadinspektora. Podjedliśmy sobie zdrowo i zapytałem Steph, czy chce likieru do kawy. Zwykle nie pijamy likieru, ale ona lubi mnie zaskakiwać. Powiedziała, że chciałaby kieliszek tego włoskiego czegoś, co zapalają i wkładają do środka ziarenko kawy.

Kiedyś to widzieliśmy i bardzo chciała tego spróbować.

-
Sambuca.

-
Zgadza się. Sambuca. Pachnie anyżkiem. Sam bym tego nie tknął, ale wtedy byłem bardzo zadowolony i zamówiłbym wszystko, czego miłość mego życia by sobie zażyczyła. Przyniesiono go, a jakże. Palił się wesoło na naszym stole. Przyglądaliśmy się trochę, a potem Steph zapytała, jak długo

będzie płonąć, bo chciałyby spróbować. Pod ręką nie było niczego, tylko mój pusty kieliszek do wina. Powiedziałem jej, że według praw przyrody ogień potrzebuje powietrza, i postawiłem kieliszek podstawką na szklaneczce z likierem. Płomień zgasł. Podniosłem kieliszek, ale zapomniałem o tym, że likiery są lepkie. Brzeg szklaneczki przykleił się do kieliszka od wina i szklaneczka poszła do góry...

-

O Boże! - Julie zaczęła się śmiać.

-

...a potem spadła na stół i się przewróciła.

-

Nie!

-

Niestety, ogień nie zgasł do końca. I zrobił się pożar. Przede mną buchnęły płomienie. Musiałem złapać za syfon z wodą sodową, żeby je ugasić. Obrus był przypalony i trzeba nas było przenieść do innego stolika, żebyśmy mogli dokończyć kawę.

Julie płakała ze śmiechu.

-

Słyszałam, że jest pan podatny na takie wypadki.

-

Kto ci to powiedział? Otarła oczy.

-

Wszyscy mamy słabe punkty. Ja nigdy nie pamiętam, kto mi co opowiadał.

Zgodnie z obietnicą nie wspomniał o dochodzeniu, dopóki nie skończyli jeść. Potem niemal dosłownie powiedział jej o swoim spotkaniu z Mountjoyem.

-

I teraz mam prawdziwy problem - wyznał. - Dylemat koszmarnych rozmiarów. Czy mam to zgłosić szefowi na Manvers Street? Powiesz, że to mój obowiązek.

-

Chyba tak - potwierdziła.

-

Ale nie mam niczego ważnego do przekazania poza tym, że jest uzbrojony.

-

To sporo.

Ciągnął dalej, jakby Julie niczego nie powiedziała.

-

Niczego się nie dowiedziałem o Samancie i gdzie ją ukrył. Jeśli powiem Warrilowowi, że Mountjoy ma pistolet, każe wydać broń i ja - ktoś idiota zastrzeli go bez ostrzeżenia.

-

Nie wolno panu nie powiedzieć im tego. Może zastrzelić funkcjonariusza, a pan będzie musiał z tym żyć.

Westchnął ciężko.

-

Przecież nie jest idiotą. Chce, żeby udowodniono jego niewinność.

Tylko po cholere mu ten pistolet? Nie miałem zamiaru rzucić się na niego.

-

Myślę, że miał ochotę pana nastraszyć. Żeby pan coś zrobił i to szybko.

-

Gdybym był w jego skórze, też bym tego chciał. Ale dowiedział się ode mnie sporo. Wpadliśmy po uszy, Julie. - Zauważył niezjedzoną grzanekę na sąsiednim stole i sięgnął po nią. - Nie lubię, kiedy mi się przystawia pistolet do głowy.

-

Mówił pan, że Mountjoy powiedział coś, co podważa całe śledztwo.

-

O, tak. - Diamondowi poprawił się nastrój, widmo powrotu do Londynu sprawiło, że każda zwłoka w rozwikłaniu zagadki była mile widziana. - Wyobraź sobie, że jest tam, z Britt, u niej w domu.

Rozumiesz?

-

W wieczór morderstwa?

-

Tak. Zjedli kolacyjkę i on przypuszcza, że skoro go zaprosiła, powinien wziąć się do dzieła. Tymczasem ona wybrała tę właśnie chwilę, żeby rzucić mu w twarz materiały na temat przyjętych przez niego Irakijczyków. To pułapka. Wczoraj wieczorem powiedział mi, że jego zdaniem nagrywała rozmowę. Oczywiście, że nagrywała! Była sprytną dziennikarką zbierającą materiał. Wiemy, że korzystała z nagrań w pracy. Miała dwa magnetofony, jeden przystosowany do trudnych warunków, taki, który stawia się w salonie...

-

Zestaw stereo?

-

Właśnie. I śliczny japoński mały aparat, tak mały, że mieści się w kieszeni albo w torebce. Po zabójstwie wywieźliśmy całe pudła jej rzeczy, w tym również taśmy. A co się stało z taśmą Mountjoya?

-

O ile istniała - odpowiedziała Julie.

-

Możesz dać swoją głowę, że tak.

-

Przejrzałam inwentarz jej rzeczy - odparła Julie. - Była bardzo porządna. Znaleźliśmy ponad pięćdziesiąt kaset, każda z datą i opisem, ale żadną z dnia morderstwa. Na pewno bym zauważyła.

-

Jedyną osobą zainteresowaną tym, żeby zabrać taśmę, był sam Mountjoy.

-

Chyba że magnetofon był nadal włączony - powiedziała Julie.

Diamond spojrział na nią i strzelił palcami.

-
Genialne! Taśmę mógł zabrać zabójca.

-
Fajnie... zabić kogoś, a potem sprawdzić, czy nie ma magneto-fonu.

-
Bardzo fajnie.

-
Chyba że...

-
Chyba że co?

-
...zabójca miał okazję zabrać ją później. Zapatrzył się na plac za oknem.

-
Wracamy do Billingtona. - W jego głosie wyraźnie słyhać było rozczarowanie. - On tam przecież mieszkał.

Przez jakiś czas nic nie mówili.

-
Nie chce pan, żeby udowodniono Billingtonowi morderstwo, prawda? - odezwała się Julie.

-
To takie oczywiste, dlaczego w swoim czasie nie poświęciłem mu więcej uwagi?

-
Ponieważ miał alibi, sam mi pan powiedział. Czy wiadomo coś nowego o jego stanie?

-
Rano telefonowałem do szpitala. Powoli mu się poprawia, ale uważają, że jeszcze nie będzie w stanie odpowiedzieć na pytania. Ale gdyby udało nam się znaleźć u niego w domu tę brakującą taśmę...

-
Nie zniszczyłby jej do tej pory? Nie zatarł nagrania? Ja bym na pewno tak zrobiła.

-
Możliwe - zgodził się niechętnie Diamond.

-
Czy mimo wszystko nie powinniśmy przeszukać domu?

-
Bez nakazu?

-
Żeby obejrzeć miejsce wczorajszej napaści. Poranne musli dobrze posłużyło Julie. Diamond się uśmiechnął.

-
Tak zrobimy.

ZDAJĄC SOBIE SPRAWĘ Z WŁASNYCH OGRANICZEŃ, Diamond kazał Julie przeszukać dom Billingtonów bez pomocnika. Niezgrabny z natury, podczas przeszukania niszczyłby ślady, zamiast je znajdować. W

zamian postanowił dowiedzieć się więcej o dziennikarstwie śledczym Britt Strand. Przesłuchania były jego mocną stroną. Pojechał do Steeple Ashton.

W samą porę na drugie śniadanie.

W domku unosił się gęsty aromat dwóch ciast owocowych świeżo wyjętych z piekarnika. Obfita pani Prue Shorter wyjaśniła, że są to warstwy tortu weselnego i jeśli Diamond nie ma nic przeciwko spróbowaniu obrzeży wystających poza blachą, to jest mnóstwo kawałków, których może skosztować.

Zrobiła kawę i podała mu wypełniony po brzegi talerz.

-
Co z palcem? - zapytała.

-
Z palcem?

-
No z kciukiem.

-
Ach... to ukąszenie. - Popatrzył na rękę. - Ileż to cierpienia!

Za-pomniałem o nim, chyba jest w porządku.

-
Jeszcze nie znalazł pan uciekiniera? Wie pan, że go tu nie ma.

-
Nie. To nie jest moje zadanie. Ja badam fakty dotyczące pani byłej koleżanki.

-
Britt? Powiedziała już wszystko, co wiedziałam, złotko.

-
Nie wie pani, że jej były gospodarz leży w szpitalu po awanturze z żoną.

-
W szpitalu?

-
Rąbnęła go w głowę torbą z miedziakami i teraz oskarża o zamordowanie Britt.

-
Boże Wszchemogący! - Roześmiała się głośno, chrapliwie i usiadła naprzeciwko Diamonda przy stole kuchennym.

Diamond zepsuł wesoły nastrój, informując ją o głównym celu swojej wizyty.

-
Jeśli dobrze pamiętam, zaglądała pani do tego domu kilkakrotnie.

Spotkała pani Billingtonów?

Pokręciła głową. Nie była to odpowiedź, ale reakcja na najnowszy zakręt w historii Britt Strand.

-
Czy spotkałam? Tak, to żalosne typy. Oboje. W ogóle się do siebie nie uśmiechali. Wita się człowiek z nimi, a oni przyjmują to jako osobistą zniewagę.

-
Pamiętają, że pani tam zachodziła. Przynajmniej ona pamięta.

-
Nie bardzo do nich pasuję, prawda?

-
Nie rozmawiała pani z nimi?

-
Prawie wcale.

-
Interesuje mnie, co Britt miała do powiedzenia na ich temat.

Szczególnie o nim.

-
O nim? Stary głupiec! Oczywiście podobała się mu. Niech mi pan pokaże mężczyznę, któremu by się nie podobała. Mówiła, że ją podrywał, a przynajmniej próbował, kiedy żony nie było w pobliżu. Dawał jej czasem prezenty. Czy naprawdę jest podejrzany?

-
Próbował czasem czegoś? - Diamond nie rezygnował.

-
Z Britt?

-
A o kim może być mowa?

-
Tak, z Britt.

Chwilę potrwało, zanim odpowiedziała.

-

Kto wie? Nie znałam jej aż tak dobrze. Byli inni mężczyźni, prawda?

To wyszło podczas procesu. Nie była nie do zdobycia, ale myślę, że na starym Billingtonie postawiła kreskę. Mogła sobie pozwolić na coś lepszego. Jest pan żonaty, panie Diamond?

Zirytował się, bo poczuł, że się rumieni.

-

Tak.

-

Dzieci?

-

Nie. Czy to ma znaczenie?

-

Po prostu jestem ciekawa. Widzę, że nie nosi pan obrączki.

-

Pani powinna zamienić się ze mną rolami. - Odzyskał pewność siebie. - Pani też nie nosi.

-

Złotko, w dzisiejszych czasach to nic nie znaczy - powiedziała ze śmiechem, ale już bardziej powściągliwym niż przedtem.

-

Ale była pani zamężna? Skinęła głową.

-

Świat nie jest sprawiedliwy, prawda? Pan pewnie pragnie dziecka, a moje było przez wpadkę. Ojciec zrobił swoje, jak to mówią. Cała rzecz trwała trochę ponad rok.

-

Dostał prawo opieki?

-
Nie. Johnny był zadowolony, że ją zatrzymałam, bo wybierał się do Irlandii Północnej. - Roześmiała się głucho. - Utknął w Belfaście ze swoją matką i swoimi kłopotami od 1982 roku. Gratuluję. Mężczyźni? Może pan ich sobie wziąć. Wróciłam do panińskiego nazwiska. Dlaczego miałabym trzymać się jego nazwiska przez resztę życia?

-
I została pani - jak to się teraz mówi? - samotną matką. Zawahała się, zmieniła ton.

-
Nie udaję, że było mi łatwo, ale gdybym mogła cofnąć czas, niczego bym nie zmieniła. Czasem, kiedy ludzie proszą mnie, żebym upiekła tort urodzinowy dla ich dzieci, płaczę.

-
A teraz? - zapytał Diamond, żeby wrócić do weselszych tematów.

-
Teraz?

-
Jest ktoś inny?

-
Jeśli ma pan zamiar zapytać mnie, czy jestem lesbą - odparła ostrym tonem - to niech pan sobie daruje. Widziałam to w pańskich oczach za pierwszym razem, kiedy pan tu przyszedł. To, że nie stosuję diety i nie noszę ładnych ciuszków, nie znaczy, że zawsze byłam zbudowana jak globus.

-
Nie o to chciałem zapytać. Przed chwilą zapytała mnie pani, czy jestem żonaty i ja odpowiedziałem.

Jej twarz nieco złagodniała.

-
Słusznie. Jestem wolna. I hetero. I interesuję się innymi mężczyznami. My, grubasy mamy wiele wspólnego, prawda?

Nie spodobał mu się ten „grubas”. Wolał o sobie myśleć, że jest „dobrze zbudowany”. Podała mu ciasto na znak solidarności, akurat kiedy chciał

wyglądać mniej obficie.

-

Czy Britt kiedykolwiek rozmawiała z panią o swoim życiu seksualnym? - To pytanie przychodziło mu łatwiej.

-

O swoich mężczyznach? Nie. Powiedziałam już panu poprzednim razem, że nie była plotkarką. Tego, co wiem, dowiadywałam się przypadkowo. Jej ostatnim chłopakiem - nie znoszę tego słowa, ale

„kochanek” brzmi jeszcze bardziej staroświecko - był ten od koni.

-

Marcus Martin. Spotkała go pani?

-

Nie. Oglądała go w telewizji pewnego dnia, kiedy do niej wpadłam.

Szczerze mówiąc, byłby ostatnim, jakiego wybrałabym spośród wszystkich jeźdźców. Mały rudy cherlak.

-

Ale bogaty mały rudy cherlak - zauważył Diamond. - A G.B.?

Ostatnim razem, kiedy rozmawialiśmy, nie chciała pani uznać go za chłopaka Britt. Spotkałem się z nim. Twierdzi, że w swoim czasie na-palił

się na nią.

-

To jasne. Rozbierał ją oczami, kiedy robiliśmy zdjęcia przy Trim Street - potwierdziła. - Na pewno miał na nią ochotę. Ale ona na pewno nie miała. Tylko się nim bawiła.

-

On też tak teraz mówi.

-

Mężczyźni są strasznie naiwni. Wzruszył ramionami.

-
Chciałbym jeszcze raz obejrzeć te, hm, zdjęcia, które pani zrobiła.

-
Z Trim Street. Proszę bardzo.

Poszła na górę, żeby przynieść. Zapach ciasta owocowego działał

demobilizująco i Diamond wyszedł z kuchni. Zmieniła umeblowanie salonu od czasu ich pierwszej wizyty. Wnękę, w której wystawione były małe skrzypce, zajmowała teraz zielona, porcelanowa waza. Bez wątplenia cenny okaz, ale na Diamondzie, który lubił dziecięce zabawki w domu, robił mniejsze wrażenie. Wyjątek stanowiły wyszywania, które go przygnębiały, bo kojarzyły mu się z przymusowymi robótkami. Ale tego tutaj nie było. Zmieniła też niektóre obrazy. Zamiast róż Redoute'a Prue Shorter powiesiła krajobraz leśny, który nie bardzo mu się podobał.

-
Co pan o tym sądzi? - zapytała, schodząc na dół ze zdjęciami. -

Znalazłam to w sklepie z antykami w Bradford-on-Avon.

-
Zbiera pani Corota? Aż pisnęła z zaskoczenia.

-
Pan się zna na sztuce?

-
Znam się, jeśli malarz wyraźnie napisze w rogu swoje nazwisko.

-
Aha.

Diamondowi dopiekła pogarda zawarta w tym „aha”.

-
Powiem pani coś o Corocie. Na jedno jego płótno przypada ponad sto fałszywych. To najczęściej podrabiany malarz na świecie. - Ta użyteczna wiedza utkwiała mu w głowie dzięki wykładom w szkole policyjnej. - Ten, jestem pewien, musi być prawdziwy.

-

To prawdziwa kopia, złotko. - Podała mu szarą kopertę ze zdjęciami. - Czego pan szuka tym razem?

-

Powodu, dla którego Britt zadała sobie trud, żeby odwiedzić komunę - odarł zgodnie z prawdą. - Nadal tego nie rozgryzłem, a G.B. mi nie pomógł.

-

Przynajmniej spotkał się pan z nim.

-

Tak. To bystry chłopak, ale mi nie pomógł.

-

Dlaczego to takie ważne? Zaczął powoli przeglądać fotografie.

-

Bo może to da odpowiedź, czemu została zamordowana.

-

Czy stary Billington to nie jest odpowiedź?

-

Nie jesteśmy pewni.

-

Myśli pan, że Britt wdepnęła w coś niebezpiecznego? Pokręcił głową.

-

Nie sędzę, żeby wdepnęła w cokolwiek. Doskonale wiedziała, czego chce i dlaczego. Żałuję, że my tego nie wiemy.

-

Przecież mogła przestraszyć jakiegoś punka, nawet o tym nie wiedząc. - Prue Shorter stanęła obok Diamonda. - Niech pan tylko popatrzy na tę bandę! Było wśród nich parę naprawdę ciężkich przy-padków. Bóg wie, do jakich okropieństw są zdolni. Wystarczyło, że któryś z nich pomyślał, iż jego przeszłość zostanie ujawniona. Mówię ci, złotko, bałam się ich.

Przyglądał się dokładnie każdej fotografii, na której ludzie o zamkniętych twarzach występowali jako osobne postaci, a nie amorficzny tłum.

Niektórzy najwyraźniej przemówili do Prue jako modele, bo występowali na większości zdjęć: mężczyzna z irokezem na ogolonej czaszce, krótko ostrzyżona kobieta w okrągłych okularach, mocno wytatuowany mężczyzna, który z flaszką cydru w ręce leżał z zamkniętymi oczami na większości ujęć. I oczywiście G.B., dominujący wzrostem i osobowością, jak wynikało ze stosunku innych do niego. Diamond wytypował

najważniejsze postaci i zabrał się do pozostałych, mniej fotogenicznych, czasem pojawiających się na bocznym planie, zasłoniętych meblami albo przeciętych w pół kadrem.

-

Ta. - Pokazał palcem szczupłą, wielkooką dziewczynę z czarnymi włosami zaplecionymi w warkocz. - Pamiętają pani?

-

Wszystkich pamiętam - odparła Prue - ale nie mam pojęcia, jak się nazywają, jeśli o to pan pyta. Nie przedstawiano nas sobie.

-

Chyba znam jej nazwisko - powiedział Diamond.

-

Tej chudej?

-

Przypominają sobie pani?

-

Słabo. Nie wyróżniała się. Po prostu jedna ze squaw. Kto to jest?

-

Nazywa się Una Moon.

-

Powinam o niej słyszeć?

-

Nie. - Nie musi jej oświecać. Una Moon była tą młodą kobietą, którą ostatnio widział na komendzie w rozmowie z Warrilowem, tą, która pierwsza zgłosiła zniknięcie Samantha Tott.

Rozdział 19

LEDWIE ROZBUDZONY MÓZG MOUNTJOYA PRÓBOWAŁ

WYJAŚNIĆ, jak to możliwe, że w celi w Albany jest kobieta. Słyszał

doskonale jej jęki, była bardzo blisko. Wizyta małżeńska - potężny mit, o którym tak często rozprawiali marzyciele? Wizyta małżeńska w Albany?

To równie prawdopodobne jak wycieczka balonem. Gdyby nawet były dozwolone, która chciałaby się z nim ożenić? Sophie po rozwodzie przysięgła, że więcej się do niego nie odezwie. Wizytę w więzieniu uznałaby z pewnością za ostateczne upodlenie.

I dlaczego leżał na podłodze zamiast w łóżku? Cienki materac, który mu dali, był cholernie niewygodny i czasem trudno mu było odróżnić łóżko od podłogi. Tutaj było nie tylko twardo, ale i zimno. I ta kobieta, gdzieś w pobliżu.

Zmienił pozycję, uwolnił prawe ramię i stwierdził, że leży na płaskiej, gładkiej powierzchni. To musiało być linoleum. Koniuszkami palców trafił

na spoinę. Podniósł róg linoleum, pomacał pod spodem i wyczuł szparę między dwiema deskami podłogi. W żadnym węzle nie było drewnianej podłogi.

Otworzył oczy, zobaczył staromodny kominek i okno bez krat.

Przypomniawszy sobie, gdzie jest. Przeklinał się za to, że zasnął.

-

Przestań jęczeć, dobrze? - powiedział do Samantha.

-

Tu jest obrzydliwie.

-

Gdzie?

-

Tutaj. — Siedziała pośrodku pomieszczenia, otulona kocami i pocierała twarz wierzchami związanych dłoni. - Ciarki mnie przechodzą.

Nigdy nie byłam w czymś tak stęchłym i okropnym.

-

Na litość boską, przecież wyciągnąłem cię z jaskini - powiedział

Mountjoy. - Przyniosłem ci koce, jedzenie, picie. Pozwoliłem zatrzymać twoje ukochane skrzypce.

Najwyraźniej to się nie liczyło.

-

Tutaj chyba od stu lat nikt nie mieszkał. Toaleta z drewnianą deską.

To antyk. Stary kominek z żelaznym rusztem. Groteska. Jakbyśmy cofnęli się w czasie.

-

Przestań, dobrze?

-

Gdzie jesteśmy? - zapytała. - Słyszę odgłosy z ulicy. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, gdzie jesteśmy?

-

Jesteś głodna? Zimno ci?

-

Nie.

-

No to o co chodzi?

-

Chciałabym wiedzieć, gdzie jestem.

-

Tylko tyle?

-

Prawie całe życie mieszkałam w Bath. Nie uwierzyłabym, że do dziś przetrwało tu takie miejsce.

-
Całe życie człowiek się uczy. - Mountjoy ziewnął. Żeby znowu nie zasnąć, wstał i podszedł do okna. W dole, bardzo daleko, równymi szeregami, jednokierunkową ulicą Orange Grove jechały samochody Mijały Wysepkę Kloaczną i Pierrepont Street i zmierzały do stacji kolejowej. Widok z tej wysokości był niezrównany, nic nie przesłaniało miasta, nie licząc wielkiej, kwadratowej wieży opactwa, wyrastającej z prawej strony. Widział lśniący Avon i trawniki Parade Gardens. Dalej, za iglicą kościoła katolickiego wznoszącą się nad wiaduktem kolejowym Brunela, rozciągał się lesisty stok Lyncombe Hill, prowadząc wzrok ku Beechen Cliff A jeszcze dalej, na lewo, był Bathampton Down.

Poprzedniej nocy widział z balkonu zalany światłem zamek Sham. Z

punktu widzenia potrzeb Mountjoya ta kryjówka miała pewne zalety, ale i tak wolałby parking dla przyczep mieszkalnych, gdyby pech ich stamtąd nie przegonił. Kamieniołom nie nadawał się do użytku. Można było zatrzymać się w nim na jedną noc i tyle. Teraz poważnie zastanawiał się nad opanowaniem domu przy Morford Street, ale musiałby wziąć dwoje zakładników więcej. Marna perspektywa! Przyprorowadził więc Samanthę tutaj. Będzie musiała się pogodzić z edwardiańską ubikacją.

Wiedział, co miała na myśli, mówiąc o podróży w czasie. Było tu trochę niesamowicie. To miejsce rzeczywiście wydawało się odległe od współczesności i nie chodziło tylko o kurz i pajęczyny. Tam, na dole, tłusty detektyw Diamond musi ruszyć tyłek, żeby dojść prawdy w sprawie morderstwa Britt Strand, ale tutaj, na piątym piętrze, w innym stuleciu, trzeba było czekać godzinami, a z godziny na godzinę wyczerpywało się zaufanie. Jak długo jeszcze?

Mountjoy znowu ziewnął. To stałe zmęczenie zaczynało sprawiać mu problem. Związał Samancie ręce i nogi, ale i tak nie mógł sobie pozwolić na porządny odpoczynek, bo ryzykował, że wpadnie w policyjną zasadzkę.

Drażniło go to, denerwowało i przygnębiało. Gdyby nie wałczył

samotnie z taką desperacją o sprawiedliwość - gdyby ograniczył się tylko do ucieczki - zamieniłby wolność na jedną noc snu w Albany. Kiedy to się skończy, bez względu na wynik, będzie spał. Całymi dniami.

Poczuł, że głowa mu opada. Krótka drzemka była niebezpieczna, ale pragnął jej nade wszystko. Postanowił usiąść. Oparł się o ścianę. Powieki mu opadły.

Musiało upłynąć kilka minut, zanim znowu otworzył oczy. Nie wiedział

ile. Jedyne, co wiedział na pewno, to że Samanthy nie ma w pokoju.

Zniknęła.

Koce leżały na kupie obok futerału na skrzypce. Linę, którą związał jej nadgarstki, porzuciła na podłodze razem z przewodem elektrycznym krępującym kostki.

Wstał i popędził do drzwi.

Nie chciały się otworzyć. Przez chwilę sądził, że uciekła i zamknęła go.

Potem pogrzebał w kieszeni i stwierdził, że nadal ma w niej klucz.

Przecież sam zamknął drzwi. Gdzie się podziała? Podszedł do drugich drzwi, prowadzących do sąsiedniego pokoju. Drzwi były lekko uchylone.

Zawahał się, zanim szerzej je otworzył. A jeśli czeka w środku, gotowa rzucić się na niego?

Wyjął pistolet z kieszeni i powiedział.

-

Wyłaż stamtąd. Wracaj, ale już. Nie wydała żadnego dźwięku.

-

Samantha. Kopnął drzwi. Nadal nic.

-

Lepiej, żebyś wiedziała, że trzymam w ręku pistolet - powiedział.

Wszedł do środka.

Pokój był pusty.

Zdumiony i przerażony rozejrzał się dokoła. Skoro nie było jej w środku i nie wyszła przez drzwi, musiała skorzystać z okna balkonowego. Nie było zamknięte.

Pchnął drzwi na balkon i wyszedł. Samantha stała na lewo od drzwi balkonowych, gdzie nie było jej widać z pokoju. Była półnaga. Zdjęła białą podkoszulkę i machała nią gorączkowo.

Odwróciła się, zobaczyła go i uznała to za sygnał, żeby zacząć wołać o pomoc. Jak do tej pory machała w milczeniu. Krzycząc z całych sił, wychyliła się przez kamienną balustradę, jak figura dziobowa okrętu.

Blade, nagie piersi wystawiła na październikowy chłód, nie przestając machać koszulą.

Mountjoy włożył pistolet do kieszeni. Nie przydałby się, skoro wpadła w histerię. Aż do tej pory skrupulatnie przestrzegał zasad braku kontaktu fizycznego z dziewczyną, unikał wszelkich ruchów, które mogłaby uznać za nieprzyzwoite. Wiązanie jej i rozwiązywanie było niezbędne, ale jego ręka nigdy nie zbłądziła. Tym razem rzecz wyrwała się spod kontroli.

Dosłownie.

Musiał usunąć ją z balkonu, a łagodna perswazja nie wchodziła w rachubę.

Chwycił ją od tyłu, jedną ręką objął ją za piersi, drugą odrywał jej palce od balustrady, o którą próbowała się zaczepić. Przez cały czas krzyczała.

Była silna. Kiedy musiała puścić kamienne słupki, wepchnęła między nie stopę i zahaczyła się nogą, odpychając go pod okno. Uderzona barkiem szyba pękła i rozsypała się na kawałki. Upadł i pociągnął dziewczynę za sobą.

Zwarli się w zapasach, Samantha była na wierzchu, ale leżała plecami na klatce Mountjoya, pośladkami przygniatała mu brzuch, włosami omotała mu twarz. Nie chciał pozwolić, żeby wstała, objął ją więc lewym ramieniem i poczuł, jak palce zagłębiają mu się w jej prawą pierś.

Wściekła, tłukła go jedną ręką po żebrach, drugą próbowała odgiąć mu palce. Machając nogami, mogła znaleźć jakiś punkt oparcia na balustradzie. Wreszcie udało mu się przycisnąć ją prawą nogę. Zaczął

mieć nadzieję, że wreszcie zaprzestanie walki.

Leżeli spleceni, zużywając siłę. Był tak zły, że mógłby zbić ją do nieprzytomności.

Rozdział 20

DWA RADIOWOZY Z WŁĄCZONYMI KOGUTAMI wjechały na Manvers Street w chwili, kiedy Diamond skręcał na parking. Komendant Warrilow, z miną patriarchy, siedział przy kierowcy drugiego samochodu.

Kolejny raz „widziano” Mountjoya, pomyślał Diamond i ziewnął.

Zaparkował, wszedł i poszedł do kantyny szukać Julie. Policjantka wstała z wyraźnym pośpiechem od stołu, gdzie siedziała z chłopakami z wydziału zabójstw, i wyszła mu naprzeciw.

Z pobłażliwym uśmiechem, który miał złagodzić ironię, powiedział:

-

Dyskusja na wysokim szczeblu, pani inspektor?

-

Zbierałam ostatnie plotki - odpowiedziała spokojnie. - Oni są z zespołu „Trzmiel”.

Uśmiech zniknął z twarzy Diamonda.

-

Da mi pan w ucho? - Szybko uczyła się, jak sobie radzić z sarkazmem Diamonda.

-

Po to tu jestem - odparł.

-

Znajdzie pan czas na kawę?

-

To tu się pija kawę? Szeroko otworzyła oczy.

-

Czy coś w tym złego?

Nie odpowiedział, niech się zastanawia, o co chodziło z tą kawą. Uznał, że się zrewanżował.

-

Przynieś mi herbatę i opowiemy sobie, czego się dowiedzieliśmy.

Znaleźli dla siebie stolik i Julie zrelacjonowała mu przeszukanie w domu Billingtonów.

-

Jeśli kasetka, której szukałam, tam była, to ją przeoczyłam.

Przeszukałam wszystko, co się dało, i miałam do pomocy zespół

kryminalistyczny. Spokojnie można powiedzieć, że Winston Billington pozbył się jej, o ile w ogóle ją miał.

-

Znalazłaś coś jeszcze?

-

Paczkę ze sprośnymi obrazkami w kopercie włożonej do tajnej szuflady starego biurka. Ale rozczarowanie! Myślałam, że znalazłam skarb, a to były gołe tyłki.

-

Czyje tyłki? - zapytał poważnie Diamond. - Znamy ich? Pokręciła głową.

-
Skąd mogę wiedzieć. Twarzy w ogóle nie było widać.

-
Obrazki, mówisz. Fotografie?

-
Kawałki papieru, wycinki z magazynów soft porno. Naprawdę żałosne.

-
Każdy z nas ma swoje podniety - odparł filozoficznie.

-
Cóż, dla mnie to smutne.

-
Czyżbyś go żałowała?

-
Żałuję kobiet, które na tych zdjęciach zredukowali do tyłka.

-
Niepotrzebne im twoje współczucie. Lepiej im płacą niż w po-licji.

-
Nie zrobiłabym tego za nic.

Przelotnie przypomniał sobie propozycję, żeby pozować nago w college'u w Chelsea, ale wolał o tym nie mówić. To była sztuka, a nie pornografia, a poza tym jeszcze nie podpisał kontraktu.

-
I nie znalazłaś niczego innego, co by nas interesowało?

-
Nie.

Listy, jakiś pamiętnik?

-

Szukaliśmy czegoś o rozmiarach i kształcie kasety magnetofonowej

- przypomniała. - Nie chcieliśmy się rozpraszać.

-

Jasne. - Streścił swoją rozmowę z Prue Shorter, starając się nie umniejszyć swojej bystrości, z jaką rozpoznał Unę Moon na jednej z fotografii przedstawiających squatersów z Trim Street. - Pięknie się to wszystko wiąże.

-

Uważam, że to przypadek - powiedziała dość nietaktownie Julie.

-

Pieprzyć przypadek! - Był urażony. - Mieszka w komunie w Widcombe, to zupełnie logiczne, że wcześniej też mieszkała w sąsiadach.

Nie byłem zdziwiony, że ją tam zauważyłem. Punki trzy-mają się razem.

Reprezentują sobą - uciekło mi to żargonowe słowo... całą subkulturę.

-

Ma pan zamiar ją przesłuchać? - zapytała Julie i dodała, bo nie odpowiedział: - Przepraszam. Czy mam ją przesłuchać? Nie da się pójść za każdym tropem w śledztwie dotyczącym morderstwa. A teraz, skoro jest nas tylko dwoje...

-

Una Moon może być istotnym świadkiem - stwierdził proroczym głosem.

-

Ale skoro Winston Billington jest mordercą, jak do tego pa-suje?

-

Wcale nie jestem pewien, że Billington to morderca. Zaciekawiona, czekała, cojeszcze powie. Rzadko się zdarzało, żeby Peter Diamond przyznawał się do wątpliwości.

-

Nie liczymy na to, że sam to wyzna, kiedy odzyska przytomność.

-

Widziano go, jak wchodził do domu.

-

Jeśli uwierzymy G.B.

-

A pan nie wierzy?

-

G.B. jest albo był dilerem narkotyków. Kłamstwa są nieodłączne od tego zawodu.

Julie była najwyraźniej zaniepokojona. Diamond miał chyba zamiar wyrzucić do śmieci wszystko, co do tej pory osiągnęli, a ona nie rozumiała dlaczego.

-

Ale pani Billington potwierdziła, że jej mąż wrócił wcześniej z Teneryfy. To się zgadza z zeznaniem G.B.

-

Owszem, zgadza się, ale go nie potwierdza. Nie spodobało się jej to rozróżnienie.

-

Wiemy, że Billington popełnił w sądzie krzywoprzysięstwo.

-

Ale nie wiemy, dlaczego. Westchnęła.

-

Czegoś w tym wszystkim nie rozumiem - powiedziała.

-

Rzecz w tym - wyjaśnił - że Billington skrócił wakacje i wrócił

wcześniej. Jak dotąd nie mamy solidnego dowodu, ale skoro potwierdzają to dwa źródła, to jest to bardziej niż prawdopodobne. To najciekawsza rzecz, jaka się pojawiła, odkąd oboje wzięliśmy się

do tej sprawy. Załóżmy teraz, że G.B. też się o tym dowiedział albo wtedy, w 1990 roku, kiedy to się zdarzyło, albo jakiś czas później. Z łatwością mógł spreparować historyjkę, żeby wpłatać Billingtona w morderstwo.

-

Rozumiem, ale dlaczego?

-

Zeby odsunąć podejrzenie.

-

Od siebie?

-

Albo od kogoś, kogo chce obronić. Nadal była sceptyczna.

-

Skąd G.B. mógłby się dowiedzieć o planach wakacyjnych Billingtona?

-

Pocztą pantoflową. Wszystkie te punki z Trim Street spotkały się z Britt, kiedy przyszła zbierać materiał do artykułu. Morderstwo wzbudziło wielkie zainteresowanie. Zeznanie Billingtona złożone podczas procesu zostało opublikowane w prasie. Jego zdjęcie trafiło do lokalnej prasy.

Wystarczyło, żeby tylko jedna osoba przypomniała sobie, że widziała go w Bath, kiedy to podobno miał być na Teneryfie.

Zamyśliła się.

-

Ale zakładaliśmy, że Billington wrócił wcześniej, bo miał nadzieję na romansik z Britt. Pamięta pan, kupił kwiaty na lotnisku w Teneryfie.

-

Tak nam powiedziała pani Billington.

-

Możemy sprawdzić historię karty kredytowej.

-
Tak.

-
Chce pan powiedzieć, że tego wszystkiego nie było?

-
Chcę powiedzieć, że może być inne wyjaśnienie.

-
Opowiedział żonie historyjkę o zebraniu w Londynie.

-
To ona powiedziała, że tak jej powiedział.

-
Jej też pan nie wierzy?

-
Nie. Dopóki sami tego nie sprawdzimy. Mam listę rzeczy do zrobienia. Na wczoraj. Jedną z nich jest to zebranie. Zadzwoń do dyrekcji Billingtona i sprawdź, czy mają protokół. Chcę też wiedzieć, czy mamy Unę Moon w archiwach.

-
Przepuściłam jej nazwisko przez policyjną bazę danych elektro-nicznych - powiedziała Julie, zapominając o fobii komputerowej Dia-monda.

-
Nie mamy własnych teczek w naszym okręgu? - zapytał ze złością.

-
Komputer jest szybszy. Nie chciał się kłócić.

-
Skoro jest taki szybki, sprawdź, co tam jest na resztę paczki: Billingtona, Marcusa Martina, Jake'a Pinkertona i G.B.

Nie zaprotestowała.

-

Znamy nazwisko G.B.? To go postawiło w niezręcznej sytuacji.

Pamiętał, że próbował wy-dobyć z niego nazwisko, ale mu się nie udało.

Był zły na siebie.

-

W dzisiejszych czasach mamy same inicjały: PNC, SOCO, CPS, PACE. Trzy dni w Bath i głowę mam wypchaną literkami alfabetu.

-

No to co z tym zrobić?

-

Z policyjną bazą danych? Naprawdę chcesz, żebym odpowiedział?

Uśmiechnęła się nieśmiało.

-

Z G.B.

Kiedy naprawdę czuł się winny, potrafił czasem głęboko sięgnąć do pamięci.

-

Jest taki zespół, który obserwuje punków podczas tego ich głu-piego, corocznego święta czerwcowego. Operacja Stonehenge czy jak to się nazywa. OS, tak, zgadza się. Powinni wiedzieć, kto to jest.

-

Zapytam ich. Czy powinnam też sprawdzić Prue Shorter, skoro już to robię?

-

W komputerze? Tak.

-

Nadal jest podejrzana?

Skinął głową, jakby pytanie było zbyteczne.

-

Nie byłam pewna, czyjeś pan nie skreślił - powiedziała Julie.

-

A to dlaczego?

-

Z początku myślał pan, że jest lesbijką zazdrosną o Britt, która miała romanse z mężczyznami, ale teraz wiemy, że miała córkę. Ten motyw odpada.

-

Nie odpada. Czyżby rewolucja seksualna przeszła koło ciebie niezauważona? Wokół jest mnóstwo lesbijek matek. Nie słyszałaś wyrażenia AC/DC?

Julie wykazała się powściągliwością, powstrzymując się od uwagi, że Diamond teraz sam posługuje się skrótowcami.

-

Może być. Ją też sprawdzę. Dopił herbatę.

-

Kiedy ty będziesz się wystawiała na działanie promieni gamma, ja pójdę poszukać Johna Wigfulla. Chcę wiedzieć, czy postawili już zarzuty pani Billington.

Wigfull był w głównej sali operacyjnej, rozmawiał przez telefon. Paru innych policjantów mówiło do mikrofonów podłączonych do słuchawek na uszach. Wyglądało na to, że ogłoszono ostry stan pogotowia. Wigfull na chwilę odjął słuchawkę od ucha i przystawił do pierśsi, żeby stłumić odbiór.

-

Słyszałeś? - zapytał Diamonda. - Zaraz jedziemy po Mount-joya.

-

Dokąd?

Wigfull podniósł rękę, żeby przerwać Diamondowi i znów zaczął mówić do słuchawki.

-

Słuchaj, jesteśmy w pełnej gotowości. Jeśli zaraz nie dostanę czegoś konkretnego, spróbuję w Wilts.

-

Warrilow znowu traci czas na darmo? - zapytał Diamond. Wigfull pokręcił głową i powiedział do słuchawki.

-

Dziękuję. Najszybciej, jak tylko możecie.

-

W Bath? - zapytał Diamond. Wigfull odłożył słuchawkę.

-

W hotelu Empire.

-

W hotelu? - wygrzebał nazwę z pamięci, strzelił palcami i powiedział. - Jasne. Ma na myśli ten ogromny gmach za Guildhall. Jest pusty od lat.

-

Są w jednym z pokoiów na ostatnim piętrze, od strony Orange Grove. Samanthę zauważono czterdzieści minut temu, jak próbowała zwrócić na siebie uwagę z balkonu.

-

Jesteś pewien, że to ona?

-

Całkowicie. Była półnaga i machała podkoszulką jak flagą.

-

Znasz ją aż tak dobrze?

-

Mówię, co się wydarzyło. - Wigfull poczerwieniał bardziej ze złości niż ze wstydu. - Pewien japoński turysta kręcił wideo z najwyższego piętra parkingu w Ham Gardens. Przyniósł je od razu do nas. Na zbliżeniu widać, że to Samantha, chociaż ma ufarbowane włosy.

-

Czy widać Mountjoya?

-

Nie widać.

-

No to co się dzieje?

-

Warrilow jest tutaj, dowodzi operacją.

-

Lepiej go ostrzeż, że Mountjoy jest uzbrojony.

-

Co? - Wigfull pochylił się gwałtownie w stronę Diamonda. - Co ty powiedziałeś?

-

Ma broń. Pistolet. Skoro mają po niego pójść, powinni o tym wiedzieć.

-

Cholera jasna! - Wigfull znów chwycił za słuchawkę. - Dajcie Warrilowa, szybko. Na litość Boską, dlaczego mi wcześniej nie powiedzieliście?

Diamond uznał, że to pytanie jest mniej pilne niż rozmowa telefoniczna z Warrilowem i że ważna informacja zostanie przekazana komendantowi szybciej, niż zdołałby odpowiedzieć

-

Tak, ma pistolet... Powiedział mi Peter Diamond... Nie wiem. Nie miałem okazji, żeby go zapytać... Oczywiście... Czy zechce pan...? Tak uważam, że to najważniejsze. - Zwrócił się do Diamonda. - Brakuje mi słów. Mogli zginąć ludzie.

-

Wycofuje ich?

-

Oczywiście. Mój Boże, Peter, powiedz szybko, co wiesz.

To właśnie miał zamiar zrobić Diamond. Zwięźle opowiedział, jak Mountjoy poprzedniego wieczoru trzymał go pod pistoletem w hotelu Francis.

-

Nie pytaj, skąd go wziął i czy był naładowany Tego nie wiem.

Powiedział, że zaczyna się niecierpliwić. Żąda wyników. - Przerwał, czekając na wybuch wściekłości Wigfulla.

-

To wszystko było wczoraj wieczorem. Wczoraj wieczorem, na litość boską! Po prostu nie rozumiem, dlaczego tego nie zgłosiłeś.

-

Szczerze mówiąc, dlatego żeby Warrilow nie kazał go zastrzelić.

Teraz, skoro wie, że Mountjoy jest uzbrojony, będzie miał prawo go zabić.

Znasz przepisy. Wiesz, jak kończą się oblężenia.

-

Jeśli miałyby to być życie Mountjoya za życie naszego człowieka, zastrzelimy drania - oświadczył Wigfull.

-

Nie znajduję błędu w twoim rozumowaniu.

Zabrzmiało to jak kapitulacja i rozbroiło Wigfulla. Kolejna uwaga wypowiedziana została mniej agresywnie.

-

Ale byłeś skłonny narazić funkcjonariuszy na strzał, nie ostrzegając ich.

-

Nie. Kiedy usłyszałem, że wchodzi do akcji, powiedziałem ci o tym, co wiem.

-

Dlaczego nie wczoraj wieczorem?

-

Przecież to wyjaśniałem.

-

Co takiego szczególnego jest w Mountjoyu, że chcesz go zachować przy życiu?

-

Jestem prawie pewien, że jest niewinny - powiedział Diamond łagodnym tonem.

-

Niewinny? Porwał córkę pana Totta. To poważne przestępstwo.

-

Mam na myśli to, że nie jest winny przestępstwa, za które go wsadziłem.

-

Rozumiem! Uwierzyłeś w to, co wczoraj wieczorem opowiedziała nam pani Billington, w te bzdury, że jej mąż zabił Britt Strand?

-

Mówię tylko, że Mountjoy prawdopodobnie padł ofiarą pomyłki wymiaru sprawiedliwości. Ja jestem głównym odpowiedzialnym i ja chcę doprowadzić do oczyszczenia go z zarzutów.

-

Jeśli jest niewinny, nie przysporzy ci to chwały. Tego już Diamond nie wytrzymał.

-

Myślisz, że szukam chwały? Za długo pracowałem w policji, żeby nie wiedzieć, co to znaczy. Miałem niezłe wyniki jako detektyw, ale nie byłem nieomylny i kiedy popełniałem błąd, miałem odwagę przyznać się i coś z tym zrobić.

-

Nie rozumiem - powiedział Wigfull, przejeżdżając ręką po czarnych włosach. - Po prostu nie rozumiem. Wprowadzono cię w to ze względu na Samanthę Tott, a nie Mountjoya. Jej życie było zagrożone, a Mountjoy wysuwał żądania. Musieliśmy cię tu sprowadzić, żeby go udobruchać, zanim go złapiemy.

-

Postawiłem sprawę jasno, że jeśli mam zostać, chcę ponownie przejrzeć sprawę. Udobruchanie

kogokolwiek nie leży w mojej naturze, jeśli jeszcze o tym nie wiesz.

-

Nie rozumiem, jak chciałeś cokolwiek osiągnąć. Jest was tylko dwoje. - Wigfullowi wpadła do głowy pewna myśl, nieomal widać było, jak się nad nią zastanawia. - Czy inspektor Hargreaves wiedziała, że Mountjoy jest uzbrojony?

-

Nie było jej przy tym - przerwał Diamond, chcąc zakończyć ten wątek.

-

Ale czyjej powiedziałaś?

-

Trzymaj Julie z dala od tego.

-

Może ci się wydawać, że skoro już nie służysz w policji, wolno ci ryzykować ludzkie życie, ale ona jest jedną z nas. Jeśli wiedziała o tym pistolecie...

-

Nie wiedziała - skłamał Diamond i zmienił kierunek rozmowy. -

Potrzebny jest wam ktoś, kto zna ten budynek. Na pierwszy rzut oka to labirynt. Miałaś już w ręku plany?

-

Dopiero co ogłosiliśmy alarm.

-

Spróbuj w radzie miasta, w wydziale nieruchomości i usług komunalnych. To ich dziecko. Muszą mieć komplet planów. Jeśli będziesz miał szczęście, znajdziesz tam kogoś, kto dobrze zna budynek od środka.

-

Właśnie się do tego zabierałem.

-

Pospieszyłbym się, gdybym był na twoim miejscu, John. -

Po-czekał, aż Wigfull wykona kolejny telefon.

Kiedy tylko skończył rozmawiać, Diamond okrężną drogą prze-szedł do kolejnej sprawy.

-

Mountjoy szkodzi sobie, nosząc broń. Akceptuję ten punkt wi-żdenia. Będziemy musieli użyć teraz strzelców wyborowych, a pisto-letem nic się nie zdziała przeciwko karabinowi. Ma niewielkie szanse na przetrwanie.

-

To byłoby proste, gdyby nie miał z sobą Samantha - zauważył

Wigfull, takjak można się było spodziewać.

Diamond pokiwał głową.

-

Macie akcję z zakładnikiem. Musicie postępować delikatnie. Ufasz Warrilowowi, że nie podejmie żadnego ryzyka? Między nami mówiąc, wątpię, czy da sobie radę z oblężeniem.

-

To nie jest sprawa dla mnie - powiedział Wigfull, zawsze wy-czulony na hierarchię służbową.

-

Czy pan Farr-Jones został powiadomiony? A Tott?

-

To się dopiero zaczęło.

-

Na twoim miejscu upewniłbym się, czy zostali dokładnie zapo-żnani ze sprawą. - Okrężna droga została otwarta.

Wigfull przyjął dobrą radę i znowu zasiadł do telefonu. Po rozmo-wie ze zwierzchnikami zwrócił się do Diamonda.

-

Mamy natychmiast pojechać do hotelu. Szef chce się z nami spotkać.

-
W obecności Warrilowa?

-
Tak. Jedziemy?

GAPIE, PRZYCIĄGNIĘCI PULSUJĄCYM NIEBIESKIM ŚWIATŁEM, gromadzi-li się wokół radiowozów zaparkowanych przed ozdobną fasadą nie-gdyś wspaniałego hotelu w centrum Bath. Budowa Empire zaczę-ła się w ostatnich latach panowania królowej Wiktorii, a skończyła w pierwszych latach króla Edwarda VII. Styl hotelu zdawał się sym-bolizować zmianę monarchów: pięć kondygnacji w formalnym stylu, charakterystycznym dla późnowiktoriańskich budowli publicznych i szósta, niespodziewanie swawolna. Szczyt hotelu cechował się trzema różnymi stylami: pokrytym czerwoną dachówką bliźniaczym, dwuspa-dowym dachem, zapożyczonym zapewne od podmiejskiej willi, ho-lenderskim dachem o eleganckich krzywiznach i siedmioboczną wie-życzką z blankami. W konsekwencji był to najbardziej krytykowany gmach w Bath. W książkach o tym mieście opisywany był na różne sposoby, jako „wielki i obrzydliwy”, „kamienny potwór”, „eklektyczny nonsens”, „doskonały przykład edwardiańskiego złego smaku”,

„zwa-riowana przesada”, „przerazająca jakobiańska imitacja drapacza chmur z akcentami Lacock Abbey w górnych partiach” oraz „równie udany w proporcjach jak gazomierz”. Ale Peter Diamond miał do niego słabość. Jego własny wygląd prowokował niemal równie ostre komentarze.

Tott był już na miejscu i stał na trawniku ronda Orange Grove, zapatrzony w szczyt budynku, gdzie widziano jego córkę, na bliźnia-czym, dwuspadowym dachu po lewej stronie. Rozmawiał z nim War-rilow - był

to człowiek, którego zdanie prawdopodobnie będzie się najbardziej liczyć

- wyluszczając swoje niewiele warte opinie przed podjęciem ważnych decyzji.

Widząc, że komisarz policji jeszcze się nie zjawił, Diamond nie podszedł

do nich od razu. Nic konstruktywnego nie wynikłoby z awantury z Warrilowem, który bez wątpienia winił go za zepsucie operacji schwytania zbiega. Można było liczyć na to, że Warrilow -karierowicz w typie Wigfulla - będzie się zachowywał przyzwoicie w obecności Farra-Jonesa.

Diamond wolał się przejść wokół hotelu. Nie interesowało go, które-dy Mountjoy dostał się do środka, chciał mieć kilka minut spokoju, żeby zebrać myśli. Decyzje, jakie wkrótce zostaną podjęte, będą miały wpływ na znacznie większą liczbę spraw niż tylko los Johna Mountjoja.

Wszystkie wejścia do hotelu były zamknięte. Biegająca wzdłuż murów od strony ulicy dziewięciometrowej głębokości kamienna fosa utrudniała wejście intruzom. Domyślił się, że słabe punkty znajdują się od tyłu budynku. Skręcił w lewo, w Boat Stall Lane, wąski pasaż oddzielający zaplecze hotelu od pubu Rummer, i wszedł na rampę schodzącą do Eastgate, średniowiecznego łuku poniżej poziomu ulicy, który kiedyś stanowił część granic miasta. W mrocznym, cuchnącym przejściu,

jakby prosto z horroru Hammera, znajdowała się pochylnia dostawcza hotelu Empire.

Przez zakratowane okienko udało mu się zobaczyć kilka inicjałów i dat wyskrobanych na ścianie. Wśród nich: „D.P.D. RN Guard, 1940”. Całkiem możliwe, że były to inicjały jego własnego stryja, Dona, który podczas wojny służył w marynarce. Większość napisów zrobili żołnierze piechoty morskiej. Była to pozostałość czasów, kiedy na początku wojny budynek przejęła Admiralicja. Pozostawał w gestii Ministerstwa Obrony do 1989

roku. Empire nie pełnił funkcji hotelu przez ponad pół wieku.

Idąc w stronę kawałka rampy białego od odchodów gołębi, sprawdził

podwójne drzwi wiodące do hotelowych piwnic. Drzwi były mocne, ale jedną z zabezpieczających je zasuw zerwano. Została tylko kłódka.

Domyślił się, że tędy mógł wejść Mountjoy. Kiedy ją oglądał, żeby sprawdzić, czy nikt przy niej nie majstrował, zaskoczył go głos dobiegający zza pleców

-

Co ty tutaj wyprawiasz, kolego?

-

Nie znasz mnie? Jestem Peter Dimond - powiedział speszony.

-

Naprawdę?

-

Dopiero co przyjechałem tu z inspektorem... przepraszam, z nadinspektorem Wigfullem.

Pocieszyło go, że nazwisko jego następcy nie wywarło większego wrażenia niż jego własne.

-

W jakim charakterze, proszę pana? Trudno powiedzieć.

-

No cóż, negocjatora. Jestem tutaj, żeby negocjować z porywaczem.

-

A ja po to, żeby nie dopuszczać ludzi do tej części budynku.

No to rób tak dalej. - Aż chciał dodać, że pilnowanie drzwi ma długą tradycję, ale konstabl nie wyglądał na człowieka dysponującego wyczuciem historii. Diamond wrócił rampą na podwórze na tyłach Guildhall, gdzie burmistrz i inni urzędnicy parkowali samochody. Myślał o żołnierzach piechoty morskiej. Jeśli żyją, mają co najmniej po siedemdziesiąt parę lat. Czy inicjały na murze są jedynym śladem, jaki po sobie zostawili? Los żołnierzy podczas wojny pozostawał poza ich kontrolą. Mogli zatonąć razem z „Ark Royal”, tak jak stryj Don. Ale Peter Diamond w 1994 roku był dzięki Bogu wolnym człowiekiem. Dał sobie spokój z tymi wszystkimi bzdurami, ze służbą, z ranami, tak, proszę pana, nie, proszę pana. Prawda? Ale czy w głębi ducha nie chciał znowu stanąć w szeregu?

Lepiej chyba skupić się na aktualnym problemie i stawić czoło logice obłączenia: jeśli złapią albo zastrzelą Mountjoya, umorzą też śledztwo wznowione w sprawie Britt Strand. Żadna z tych grubych ryb nie pragnęła obalenia pierwszego wyroku. Policja Avon i Somerset uniknęła złej opinii, którą w ostatnich latach zebrały inne wydziały za przyczyną niejasnych wyroków i dowodów wskazujących na korupcję. Bardzo im ulży, gdy wyekspedują go z powrotem do Londynu i zapomną o nim. Zawsze wiedział, że tak będzie.

Dziękował swojej szczęśliwej gwiazdzie, że na początku, kiedy zmuszono go do przybycia, starczyło mu rozsądku, by negocjować i wymusić na nich prawdziwe śledztwo. Od dawna tęsknił za rolą, w której tak dobrze się czuł. Nie podszedł do sprawy z myślą, że na pewno natrafi na pomyłkę wymiaru sprawiedliwości, tym bardziej że wtedy sam prowadził

dochodzenie. Ale teraz, kiedy wyszły na jaw błędy pierwszego śledztwa, czuł się osobiście zobowiązany do odkrycia prawdy. Nawet jeśli po drodze natknie się na własne zaniedbania. I co z tego? Wiedział, że nigdy nie wsadził niewinnego. Być może, do tej pory. Jedną rzeczą jest popełnić błąd, a inną próbować to ukryć. Jeśli chce żyć w zgodzie z sobą, musi odkryć prawdę o śmierci Britt Strand.

Potrzebował więcej czasu. Ile? Nie wiedział.

Trzymaj się, stary, pomyślał, zbierając odwagę. Muszę mieć dużo czasu.

Muszę wrócić do poprzedniej pracy, i tyle. Powinienem to zrobić dla Steph i dla siebie. Jestem detektywem, sprawdzonym, wypróbowanym, dobrym śledczym, nie bez wad, ale lepszym niż kiedykolwiek będzie John Wigfull. Nie zostałem stworzony na modela dla artystów, wózkarza w supermarkecie, barmana czy na Świętego Miłkołaja. Łapię drani. I to wychodzi mi najlepiej. Mogę to znowu robić. Mam niepowtarzalną okazję, żeby dostać to, czego chcę.

Wrócić do zawodu.

Okrążywszy hotel, wrócił na Orange Grove. Był zdecydowany, pełen optymizmu, gotów stawić czoło dowództwu. Ale został tylko jeden problem: dowództwo zniknęło. Na rondzie nie było nikogo.

Podszedł do jednego z radiowozów i powiedział do znajomego sierżanta.

-
Co się stało z komendantem Warrilowem i innymi?

-
Postanowili się wycofać, proszę pana, zejść z linii ognia.

-
Na litość boską, on ma tylko mały pistolet. Na tę odległość ni-kogo nie trafi!

-
Znajdzie ich pan dalej, przy ulicy. - Pokazał ręką i powiedział, lekko skrzepowany: - Na Wysepce Klozetowej.

Doskonałe miejsce, żeby tryskać opiniami, pomyślał Diamond. Trójkątny kawałek chodnika został tak nazwany, bo znajdowały się tam podziemne toalety publiczne.

Wysepka Klozetowa położona była jakieś sto metrów od hotelu. Ruszył szybkim krokiem.

Nadinspektor już tam był. Cztery twarze odwróciły się, żeby na niego spojrzeć, a przesłanie, które można było z nich wyczytać, nie było dla niego przyjazne. Nie patrzyliby z większą dezaprobatą, gdyby osobiście zaopatrzył Mountjoja w pistolet.

-

Nie dziwi mnie wcale, że przyszedł pan ostatni - mruknął Farr--

Jones.

Lizus, Wigfull, nie powiedział im, że Diamond już jest na miejscu.

-

Sprawdzałem tyły budynku - odparł Diamond. - Zeby się upewnić, czy jest tam jakiś funkcjonariusz. Jest. Nie miałem czasu, żeby zajrzeć do Parady Gardens. Jest przejście do piwnic pod ulicą. Domyślałem się, że kazał je pan sprawdzić - powiedział do Warrilowa. Ucieszył się, kiedy natychmiast zobaczył na twarzy komendanta wyraz zakłopotania.

-

Sprawdziłeś? - zapytał Farr-Jones.

Warrilow przejechał ręką po podbródku, jakby sprawdzał, czy się ogolił.

-

Nie jestem całkowicie pewien, panie nadinspektorze. Przekazałem to inspektorowi, z którego pomocy korzystam. Belshawowi. Bez wątpienia rozmieścił ludzi zgodnie z zasadami. To oczywiście wasz człowiek.

-

Nie liczyłbym na Belshawa - powiedział Diamond, wykorzystując przewagę. - On mieszka w Bristolu. Nawet tutejsi często nie znają tego wejścia do hotelu.

-

Sprawdź - polecił Farr-Jones Warrilowowi, który spojrzał na Diamonda, jakby chciał go zabić, i odszedł zająć się sprawą. Następne pytanie skierowane było do Diamonda. - Czy jest jakieś wejście od strony Parady Gardens?

-

Teoretycznie tak. Można się tam dostać z kolumnady nad jaźem.

Ale należałoby sforsować okute żelazem drzwi. Sprawdzenie zajmie cztery do pięciu minut.

-
Rozumiem, co panem kieruje, panie Diamond, ale proszę nie myśleć, że podzielam ten pogląd. Między nami mówiąc - nadinspektor gładko zmienił temat - może wytłumaczyłby pan, czemu nie poinformował nas pan wczoraj, że ten człowiek jest uzbrojony?

Diamond powiedział to samo co Wigfullowi. Żeby zapewnić sobie poparcie Totta, dodał:

-
Niech Bóg ma w opiece Samanthę, gdyby zaczęła się strzelanina.

-
Chyba nie sugeruje pan, że powinniśmy zrezygnować z użycia broni.

-
Sugeruję tylko, że idiota z karabinkiem snajperskim może doprowadzić do tragedii. Mountjoy ma mały, automatyczny pistolet.

Niewiele nam grozi tutaj na dole. Boję się tylko o Samanthę. Uważam, że możemy sprawę rozegrać tak, żeby Mountjoy nie wpadł w panikę. Nie należy go prowokować. Żadnych gróźb, a już na pewno żadnej strzelaniny.

Tott chrząknął z aprobatą i skinął głową. Ale Farr-Jones nie był przekonany.

-
Według naszych analityków, skoro ten człowiek ma broń, może ją przystawić Samancie do głowy i uciec, robiąc z nas wszystkich idiotów.

-
To i tak lepiej, niż gdyby miał ją zastrzelić - zauważył Diamond.

Tott przymknął oczy.

-
Jest coraz bardziej prawdopodobne, że w 1990 roku to nie Mountjoy zabił dziennikarkę - mówił dalej Diamond. - To zrozpaczony człowiek, który próbuje za wszelką cenę udowodnić swoją niewinność.

Przystawiając komuś lufę do głowy? - zapytał Farr-Jones.

-

Tak, to kretyn - przyznał Diamond. - Ale nie użyje broni, chyba że ktoś strzeli pierwszy. Jest zmęczony, w skrajnym napięciu, ale wie, że wszystko się skończy, jeśli kogoś zastrzeli. Gdyby udało mi się udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że to ktoś inny zamordował Britt Strand, moglibyśmy zakończyć oblężenie bez przelewu krwi.

-

A potrafiłby pan?

Diamond chciał, żeby jego słowa zabrzmiały przekonywająco.

-

Jestem coraz bliżej rozwiązania. Już teraz wiem tyle, by uwierzyć w niewinność Mountjoja. Udowodnienie tego będzie trudniejsze.

-

Czy zgodziłby się pan negocjować z nim, gdyby zaszła taka potrzeba?

-

Już z nim rozmawiałem. On potrzebuje czegoś bardziej namacalnego niż moja dobra wola. Jeśli znajdę dowód, którego szukam, to tak, chętnie z nim porozmawiam. W przeciwnym wypadku to nie ma sensu. Nie podda się na skutek jakichś mglistych obietnic, że będę się bardzo starał.

-

My nie zrezygnujemy - ostrzegł go Farr-Jones. - Będzie pan musiał

wyciągnąć królika z kapelusza, panie Diamond. I to szybko.

Zapadła cisza. Diamond z rozmysłem nie odzywał się, dobierał słowa. To, co teraz powie, może stać się najważniejszym oświadczeniem, jakie złożył w życiu.

-

Panie nadinspektorze, muszę panu przypomnieć, że jestem cywilem. Nie mam żadnych zobowiązań. Mogę teraz odejść, pójść Pierrepont Street na stację i wsiąść do najbliższego pociągu do Londynu.

-

Ale nie zrobiłby pan tego? - Brzmiało to jak stwierdzenie, nie pytanie.

-
Nie zrobi pan tego? - Tott z trudem wydobył głos. - Nie może pan tego zrobić. Tam jest moja córka. Nie może jej pan tak zostawić.

-
No cóż, w ten czy inny sposób sprawa zostanie rozwiązana bez mojego udziału - stwierdził Diamond bez krzty współczucia.

-
Nie! - Tott chwycił go za ramię. Farr-Jones zadał teraz bardziej konkretne pytanie.

-
Jakie są pańskie warunki negocjacji?

Diamond kazał im czekać, jakby przeglądał szeroką perspektywę wyborów, która się przed nim otwiera.

-
Po pierwsze, odstępimy od oblężenia. Żadnej strzelaniny. Żadnego szturmowania budynku. Niczego, co mogłoby przerazić Mountjoya.

-
Na jak długo?

-
Do północy. To mi daje prawie dwanaście godzin.

-
Dwanaście godzin! - szepnął Tott z rozpaczą.

W planach Diamonda nie było miejsca na pocieszenie zastępcy nadinspektora.

-
Musi to być rozkaz wydany przez Warrilowa. Farr-Jones głośno zaczerpnął powietrza.

-
No dobrze... jeśli namówi pan Mountjoya, żeby zszedł i wypuścił

Samanthę. Rozumiem, że chce pan mieć czas na zgromadzenie dowodów, które go przekonają.

-

Jest jeszcze jeden warunek - powiedział Diamond. - Muszę zostać ponownie przyjęty do służby.

Do Farra-Jonesa dopiero po chwili dotarło znaczenie tych słów.

-

Wykluczone.

-

Jako szef zespołu do spraw zabójstw - dodał Diamond, jakby go nie słysząc.

-

To niemożliwe.

-

Dlaczego?

-

Został pan zdymisjonowany.

-

Nie, nadinspektorze, sam zrezygnowałem, ze względu na zasady. To był mój protest. Teraz znów mnie potrzebujecie.

-

To nie jest kwestia potrzeby... - zaczął Farr-Jones.

-

Świetnie - odparł nonszalancko Diamond. - W takim razie idę. -

Uniósł kapelusz.

-

Niech pan zaczeka. - Zapadła niezręczna cisza. Farr-Jones zmagiał się z myślą o konsekwencjach takiej decyzji. - Mamy zamiar wzmocnić kadrowo wyższe stanowiska. Mógłbym porozmawiać z przewodniczącym Komitetu Policyjnego. Czeka nas mnóstwo problemów. Jeśli pana przyjmujemy,

Bóg jeden wie, co powie na ten temat prasa, kiedy sprawa Mountjoya trafi na czołówki gazet. Będzie to wyglądało tak, jakbyśmy pana nagrodzili za złe poprowadzenie sprawy.

-

Ale będą mieli używanie - radośnie przytaknął Diamond.

-

O ile, jak powiedziałem, poważnie się nad tym zastanowię...

-

...no panowie, róbcie, co uważacie za stosowne. Najbliższy pociąg odjeżdża chyba o pierwszej dwadzieścia siedem. - Już się odwrócił, kiedy zauważył, że z twarzy Johna Wigfulla odpłynęła cała krew.

-

No dobrze - oświadczył Farr-Jones. - Masz, czego chciałeś, Diamond. Do północy zakończysz bezkonfliktowo oblężenie i możesz wracać na swoje stanowisko. Gwarantuję ci to.

Diamond wyciągnął rękę, żeby mu uścisnąć dłoń.

Rozdział 21

Co DO UNY MOON... - powiedziała Julie, kiedy wyjeżdżali escortem z miasta na zachód, obok pól golfowych przy Weston Road.

-

Tak? - To „tak” wypowiedziane było nieobecny tonem. Peter Diamond był zajęty własnymi myślami.

Nie ustępowała.

-

Prosił pan, żebym sprawdziła jej dane w komputerze policyjnym, pamięta pan? Kilka razy zatrzymywano ją za posiadanie marihuany. Raz za utrudnianie postępowania. Nic poważniejszego. Słucha pan?

-

Uhm.

-

Co do innych to Jake Pinkerton i Marcus Martin mają czyste konto, Prue Shorter też. Nadal nie znalazłam prawdziwego nazwiska G.B.

Była pewna, że nie usłyszał ani słowa i dodała.

-

Sprawdziłam też pana Farra-Jonesa. Był skazany za kradzież bielizny ze sznura.

-

Aha. - Żadnej innej reakcji. Zerknęła w jego stronę.

-

Przyznał się do piętnastu podobnych przestępstw.

-

Dobrze - mruknął Diamond.

-

Dobrze?

-

Teraz wiemy, skąd ma slipy do pływania synchronicznego.

Po chwili zrozumiała żart i zachichotała. Potrzebowała trochę czasu, żeby przyzwycząić się do jego poczucia humoru.

-

A jednak pan słuchał.

-

Słyszałem każde słowo. Akurat, pomyślała.

-

Chce pan wiedzieć, co w policyjnej bazie danych jest o Unie Moon?

- zapytała, jakby przedstawiała sprawę po raz pierwszy.

-

Oczywiście. I o wszystkich innych.

Tym razem, zdaje się, informacja dotarła do niego, bo kiedy skończyła, powiedział:

-

Nie wiem, jak dopasować to do sprawy, ale będę musiał osobiście spotkać się z panną Moon.

Ostro skręciła w lewo, do Combę Park, gdzie było wejście do szpitala.

Reagowali na informację od policjanta dyżurującego w szpitalu: Winston Billington odzyskał przytomność i uznano, że może złożyć zeznania.

Diamond zapytał o godzinę.

Mógł spojrzeć na zegar na desce rozdzielczej, tak jak Julie, ale nie wypomniała mu tego.

-

Wpół do drugiej.

-

Za późno na lunch.

-

I tak wiele nie jadam.

-

I dobrze. Julie, mamy dziesięć i pół godziny, żeby przygwoździć zabójcę.

Pacjent siedział na łóżku i rozmawiał z kobietą w ciemnoczerwonym, pikowanym płaszczu.

-

Kim jest jego gość? - mruknął Diamond do konstabla dyżurnego siedzącego w rogu pokoju.

-

Jego siostrą.

-

Powiedzieli, że wolno go odwiedzać?

-

Nie powiedzieli, że nie wolno, proszę pana. Po prostu sobie weszła.

Diamond wzniósł oczy do góry.

-

Jak sądzisz, na czym polega twoje zadanie: na oglądaniu się za pielęgniarkami?

Kiedy podszedł do łóżka, kobieta wstała z krzesła. Jej perfumy skutecznie tłumiły szpitalne zapachy. Musiała mieć po czterdzieści, miała czarne, farbowane włosy i drobną, ładną, okrągłą twarz. Taki typ urody często spotykało się w latach pięćdziesiątych, teraz była to już rzadkość.

-

Proszę wybaczyć - powiedział Diamond. - Jesteśmy z policji.

-

Oczywiście. - Nachyliła się nad Billingtonem i powiedziała: -Jeszcze tu wrócę, Win. Uważaj na siebie, kochany - i pocałowała go w czoło, zostawiając ślad szminki.

Diamond odsunął się, żeby ją przepuścić, wpadł na parawan i musiał go przytrzymać. Skorzystał z zamieszania, żeby szepnąć do Julie.

-

Idź za nią.

A później całą uwagę skierował na pacjenta. Billington miał

zabandażowaną głowę, ale nie był już podłączony do respiratora i kroplówki. Wezgielnie łóżka zostało trochę podniesione, żeby mógł

przyjąć pozycję siedzącą. Czy wąty człowieczek o zażawionych oczach był zabójcą, który cztery lata temu oszukał policję, wielbicielem poślaków, bezustannie myślącym o seksie, dostawcą czekoladek, które miały zwabić ofiarę?

-

Pamięta mnie pan? Peter Diamond z wydziału kryminalnego w Bath.

Spotkaliśmy się kilka lat temu. Może mi pan powiedzieć, co się stało?

Billington powiedział coś, czego nie można było dosłyszeć.

-

Mógłby pan mówić głośniej?

-
...się bardzo oszołomiony.

-
Nie dziwi mnie to. Cały dzień był pan nieprzytomny. Czy może pan w ogóle coś sobie przypomnieć?

-
...nie wiem, jak mógłbym pomóc.

To zdanie obudziło wspomnienia. Cztery lata temu, w sądzie, Billington był bardziej wymowny, ale zasadnicza treść jego wypowiedzi była podobna: był uczciwym obywatelem, chętnym do współpracy, ale zaskoczony swoją rolą w śledztwie. Diamond pomyślał cynicznie, że ta sama atmosfera niewinności przydawała się przy sprzedaży sprośnych pocztówek.

-
Co się stało, panie Billington?

-
Moja żona... rozmawiała z panem? - Może i był oszołomiony, ale nie brakowało mu sprytu, żeby najpierw sprawdzić grunt.

-
Rozmawiała.

-
Pokłóciliśmy się. Powiedziała to panu?

-
Chciałbym usłyszeć pańską wersję.

-
...to wyrwało się trochę spod kontroli. Musiała mnie uderzyć. Nie wiem czym.

-
Powiedziała nam, że torebką z monetami.

-

Tylko monetami?

-

Jak jest dużo, mogą sporo ważyć. Wystarczy, żeby spowodować poważne obrażenia.

-

Uhm. Koszmarnie boli.

-

Ma pan szczęście, że pan żyje. Co było przyczyną tej kłótni?

Zastanawiał się przez dłuższy czas.

-

Coś, co sobie wyobraziła.

Diamond popatrzył na ślad szminki na czole Billingtona.

-

Nie sprowokował pan jej?

-

Wszystko wylęło się w jej głowie.

-

Proszę powiedzieć dokładnie, dlaczego żona pana zaatakowała.

-

Nie będę...

-

Tak?

-

Nie będę składał skargi. Załatwimy to po swoim.

-

To poważna napaść, proszę pana. Przecież prawie pana zabiła.

-

Ale źle się czuję.

Poczułbyś się jeszcze gorzej, gdybyś wiedział, o co cię oskarżyła, pomyślał Diamond.

-

Pani Billington powiedziała nam, że jej gniew spowodowało coś sprzed paru lat, kiedy w waszym domu zamordowano tę Szwedkę.

-

Tak? - Głos miał pusty, oczy skierował w bok, jakby nie chciało mu się myśleć o tamtych wydarzeniach.

-

Zeznała, że wrócił pan z Teneryfy przed śmiercią Britt Strand. Do protokołu i później, w sądzie, powiedział pan co innego.

-

To ważne? - wybełkotał Billington.

-

Cholernie ważne - odparł Diamond, starając się mówić łagodnie.

-

Minęło tyle czasu.

-

Muszę wiedzieć, co się naprawdę stało.

Billington znów spojrzał Diamondowi w oczy i powiedział zaskakująco wyraźnie:

-

Nie chcę zeznawać przeciwko żonie. Powód, dla którego mnie zaatakowała, jest teoretyczny.

-

Proszę pana, nie interesuje mnie, co się stało wczoraj. Chcę się dowiedzieć o tym, co było w 1990

roku. Zona oskarżyła pana o zamordowanie Britt Strand.

Przetrawił to, a potem się uśmiechnął.

-

Trochę przesadziła, prawda?

-

Czy wrócił pan z Teneryfy na dwa dni przed końcem wakacji?

-

Nie powinienem chyba odpowiadać na to pytanie.

-

Panie Billington, pan tego nie wie, ale John Mountjoy, człowiek, który w 1990 roku został skazany za zamordowanie Britt Strand, uciekł i w tej chwili trzyma jako zakładniczkę młodą kobietę. Zaklina się, że nie zabił wtedy nikogo. Pańska żona wskazała na pana, jako na zabójcę.

Nastąpiła długa przerwa.

-

To tylko świadczy o tym, ile ona wie. - Billington zmusił się w końcu do odpowiedzi. - Nie było jej w kraju, kiedy zabito Britt Strand.

-

Ale pan był. To, co powiedziała mi pańska żona, jest prawdą.

-

Tak.

-

Powiedziała też, że kupił pan kwiaty na lotnisku na Teneryfie.

-

Skąd o tym wie?

-

Z historii karty kredytowej. Billington nie odpowiedział.

-
Dlaczego? Dlaczego pan wrócił tak wcześnie?

-
Na spotkanie biznesowe. W Londynie.

To było wymyślone spotkanie, Diamond spojrział przez ramię, szukając oczyma Julie. Cholera, posłał ją za tamtą kobietą. Prosił, żeby sprawdziła, czy takie spotkanie w ogóle się odbyło. Czy to próbowała mu powiedzieć w samochodzie? Zaryzykował.

-
Nie było żadnego spotkania. Wrócił pan do Bath z tymi kwiatami.

Widziano pana, jak wieczorem, w dniu morderstwa wchodził pan do domu.

-
To mój dom.

-
A zatem pan nie zaprzecza?

-
Zaprzeczam, że zamordowałem Britt.

-
Ale był pan tam, kiedy ją zamordowano.

-
Nie, nie było mnie.

Diamond bardzo ostrożnie przekazał mu tę informację.

-
Jest coś, o czym powinien pan wiedzieć. Mamy świadka, który widział, jak mężczyzna o wyglądzie odpowiadającym pańskiemu rysopisowi wchodzi do domu między jedenastą a dwunastą w nocy.

Świadek powiedział nawet, że ten człowiek wyglądał, jakby dom należał

do niego. Miał klucz do drzwi wejściowych. A kilka minut wcześniej Britt Strand pokazała się w

drzwiach, żeby wyprowadzić Moun-tjoja.

Rozumie pan to, co mówię? Mountjoy - człowiek skazany za morderstwo -

wyszedł z domu, a krótko po tym wszedł pan. Żyła, kiedy pan wchodził.

Wilgotne, brązowe oczy Billingtona wpatrywały się w Diamonda.

Powiedział wyraźnie:

-

A czy ten sokoloki świadek widział także, jak parę minut po-tem wychodzę z domu?

Przelotne przyływy jasności umysłu Billingtona przekonały Dia-monda, że oszołomienie to tylko wygodne kłamstwo. Mężczyzna w pełni panował

nad swoimi zmysłami.

-

Wyszedł pan? Nie, panie Billington. Świadek nie wspomniał o tym.

-

A nadal tam był?

To pytanie zbiło Diamonda z tropu. Nerwowo przypominał sobie, co powiedział G.B. Czy został po przybyciu drugiego gościa? Szukał

odpowiedzi wśród słów, których użył G.B. „Odszedłem. Kiedy go zo-baczyłem, podjąłem decyzję. Gdybym zapukał, to do drzwi na pewno podszedłby on, a ja nie chciałem problemów". Historia Billingtona zga-dzała się zatem z tym, co powiedział G.B. Do sprawdzania krzyżowego zostały inne sprawy. Diamond zdjął kapelusz i położył go na łóżku.

-

Nie może pan zostać - odezwał się za nim jakiś głos. - Pan Bil-lington miał już gościa przez dwadzieścia minut, zanim pan przyszedł.

Nie możemy pozwolić, żeby się męczył.

Odwrócił się i kątem oka zobaczył granatowy mundurek. Siostra dyżurna nie była z tego typu osób, które ulegają perswazji.

Diamond skinął głową. Nie znaczyło to, że się zgadza ani że pro-testuje.

Nachylił się bliżej do Billingtona.

-
Dokąd pan poszedł?

Billington wolał milczeć, prawdopodobnie liczył na pielęgniarkę, która mogła to szybko zakończyć.

-
Skoro wyszedł pan z domu, jak przed chwilą pan powiedział, to dokąd pan poszedł?

Billington pokręcił głową

-
Czy ktoś może to poświadczyć? Gdzie pan spędził resztę nocy, skoro nie we własnym domu?

Billington odwrócił wzrok.

-
Jeśli pan nie odpowie, będę musiał założyć, że pan to wymyślił.

-
Niech pan zakłada, co chce.

-
Tamtej nocy próbował pan czegoś z Britt?

Billington nachmurzył się.

-
Co pan chce przez to powiedzieć?

Diamond spojrzął za siebie. Ku jego zadowoleniu pielęgniarka już sobie poszła.

-
No tak, trochę poklepać, trochę połaskotać. Policzki pacjenta poróżowiały.

-
Nawet się z nią nie widziałem. Była na górze, a my mieszkamy na parterze.

-

Skąd pan wie, że była na górze? Słyszał pan ją?

-

Kiedy szedłem ulicą, widziałem światło w jej oknie. Wiarygodna odpowiedź.

-

Chce mi pan powiedzieć, że nie poszedł pan do jej mieszkania?

Nawet nie zapukał do drzwi?

-

Nie.

-

Nie jest tajemnicą, że ją pan podrywał, dawał czekoladki i kwiaty. I proszę, znalazł się pan z nią w pustym domu. Niech mi pan nie mówi, że przepuścił pan taką okazję.

-

Nawet pięciu minut nie spędziłem w domu.

-

No, tak. Znowu pan opowiada tę zmyśloną historyjkę. Jeśli nie chce mi pan powiedzieć, gdzie pan spędził resztę nocy, to może pan powie, co pan robił przez tych pięć minut.

-

Wziąłem kluczyki do wozu. Poszedłem do toalety.

-

A potem wyszedł pan z domu?

-

Tak.

-

Po zabraniu kluczyków. I dokądś pan pojechał?

Założenie było dość oczywiste. Billington był w tak żalnym stanie, że nie stać go było na ironiczne komentarze. Popatrzył na Diamonda z pogardą.

-
Tak, podczas wakacji nie potrzebowałem kluczyków, zostawiłem je w domu. Mój stary wóz stał od kilku tygodni na ulicy. Wpadłem do domu, bo chciałem z niego skorzystać. To pan chciał wiedzieć?

-
Nie może pan powiedzieć, gdzie pan spędził resztę nocy? Wrócił pan potem do domu?

-
Nie.

-
Był pan z kobietą. Nie odpowiedział.

Gdyby to było w pokoju przesłuchań na komisariacie, Diamond mocniej by go przycisnął. Niektórzy ludzie pękali na samą wzmiankę o

przesłuchaniu trzeciego stopnia, i Billington, według wszelkich oznak, wyglądał na takiego, ale czas i miejsce nie sprzyjały Diamondowi.

Można było natomiast podejść do sprawy pośrednio.

-
Porozmawiajmy o Britt. Wiemy o kilku jej przyjaciółach, których poznała, kiedy mieszkała w pańskim domu. Czy spotkał pan kiedykolwiek tego muzyka rockowego - jak on się nazywał - Jake, hm...

-
Pinkerton.

-
Zatem spotkał go pan.

-
Zaczynam się męczyć - powiedział Billington.

-
Rozgarnięty z niego chłopak. Rozpoznał rynek muzyki pop 1

zainwestował w produkcję, kiedy już zarobił miliony na występach.

Przychodził do niej do domu?

-

Jeśli chce pan sobie pogawędzić, to może się pan przenieść na inną salę.

-

Spotkał pan Jake'a Pinkertona? Ciężkie westchnienie.

-

Nie mógł pan go nie zauważyć we własnym domu. Jest sławny.

Bardzo sławny. Ciągle go widać w telewizji. Przecież pan pamięta?

Ziewnięcie.

Diamond nie ustępował.

-

Mieli krótki romans, jak się wydaje. Spędzili kilka miłosnych nocy u niego, ale oboje byli wolnymi ludźmi. Nie należeli do tych, co mieszkają razem.

Billingtonowi opadły powieki.

To na nic. Chyba nie warto wspominać o innych kochankach Britt.

-

Jakiej marki był ten pański samochód, panie Billington?

-

Mgb.

-

Co?

Billington otworzył oczy.

-

Powiedziałem, mgb.

Nawet Peter Diamond, który nie był znawcą samochodów, wiedział, że mgb uważany jest za wielką rzadkość. Przeszto je produkować około roku 1980. Diamondowi nie przyszłoby nawet do głowy, że ten nijaki typ może być właścicielem mgb.

-

Zostawił pan sportowy samochód na ulicy, na dwa tygodnie, wyjeżdżając na wakacje?

Billington zamrugał i zaczął się w niego wpatrywać.

-

Tego nie powiedziałem.

-

Przed chwilą powiedział pan, że to był powód, dla którego wrócił

pan do domu w noc morderstwa: żeby zabrać kluczyki do samochodu.

-

Nie mówiliśmy o moim samochodzie. Mój samochód to stary vauxhall.

Pomyłka. Prawdziwa, czy udawana?

-

Co z tym mgb?

-

Należał do Britt, jeździła nim do Pinkertona. Czerwony. Piękny wozik.

-

Wydaje mi się, że nie była kierowcą.

-

Pozbyła się go później i nie kupiła innego.

-

A zatem mówimy o odleglejszej przeszłości?

-

Ja tak. A pan? - powiedział to w taki sposób, jakby to Diamond był w szoku pourazowym.

-

Ile czasu przed morderstwem to było?

-

Kilka lat. Nie wiem. To nie moja sprawa, prawda?

-

Ale wiedział pan, że nie kupiła nowego samochodu, kiedy po-zbyła się mgb.

-

Nie miała samochodu.

-

I nie była zmotoryzowana. Czy kiedykolwiek podwoził ją pan swoim starym vauxhallem?

-

Parę razy, na stację.

-

A czy wychodził pan po nią na dworzec, żeby zawieźć ją do domu?

Czy kupował pan jej kwiaty?

-

Czy kupowałem? Nie.

-

Ścinał je pan w ogrodzie.

-

A czemu nie? - powiedział Billington. - Mieszkała w moim domu.

Ludzie mogą być dla siebie uprzejmi bez ukrytych motywów.

Sposób, w jaki wypowiedział to okrągłe zdanie, przekonał Dia-monda, że Billington dobrze je przećwiczył. Zasłona uprzejmego za-chowania.

Kusiło go, żeby ją przebić, przypominając bezceremonialnie o wycinkach ze zdjęciami gołych tyłków, które znalazła Julie. Ale skoro pielęgniarka dyżurna mogła w każdej chwili przerwać przesłuchanie, przeszedł do pilniejszych tematów.

-
Był jeszcze jeden mężczyzna, z którym widywała się Britt na krótko przed śmiercią. Na swój sposób celebryta, prawda? To ten zawodnik, uczestniczący w konkursach konia wierzchowego, Marcus Martin. Odwiedzał ją w domu?

Billington zaczął dochodzić do siebie, adrenalina popłynęła swobodnie teraz, kiedy podejrzenie dotyczyło kogoś innego.

-
Wpadł niedługo przed naszym wyjazdem na wakacje.

-
Spotkał się pan z nim? Kiedy pojawił się po raz pierwszy?

-
Na jakiś tydzień przed wyjazdem na Teneryfę. Arogancki drań.

Potraktował nas jak służbę.

-
Jak to było?

Billington zaczął opowiadać.

-
Pamiętam, że raz przyszedł z psem. Wielkie, cętkowane bydlę. Nie wiem, co to za rasa czy jak to się nazywa. Przywiązał smycz do naszego wieszaka na płaszcze i kapelusze i kazał mi pilnować. Nawet nie powiedział „proszę”. Mamy lakierowaną drewnianą podłogę. Słyszałem, jak pies drapie ją pazurami. A pan Martin, wesolutki, ruszył po schodach do pokojów Britt. Poprosiłem go grzecznie, żeby zostawił psa za drzwiami. Poza tym mamy kota. Ale lord Gnojek nawet nie zareagował.

Zaraz wyprowadziłem psa i uwiązałem go do ogrodzenia. -Incydent sprzed czterech lat musiał wyrzeć na Billingtonie głębokie wrażenie, skoro teraz go sobie przypomniął. Wstrząs mózgu cudownie ustąpił pod wpływem oburzenia, które najwyraźniej nim zawładnęło.

Co się stało, kiedy zobaczył, że pies jest na zewnątrz?

-

Zszedł na dół, bo pies zaczął wyć. Zrobił się diabelny hałas. Po—tem ten nadęty głupiec wmaszerował do naszego mieszkania razem z psem i powiedział, że nie wolno mi było tego zrobić. Bezcelność. Dostał za swoje, kiedy Snowy rzuciła się na psa.

-

Snowy?

-

Kocica. Poczwała się zagrożona, rozumie pan. Pies rzucił się na nią i Snowy drapnęła go w nos. Ona niczego się nie boi. Ależ to był skowyt.

Więcej nie przyprowadził do nas psa.

-

Czy Britt coś o tym wiedziała?

-

Miała na tyle rozsądku, żeby się do tego nie mieszać. Diamond wpadł na pewną myśl.

-

Co się stało z państwa kotem, kiedy wyjechaliście na wakacje?

-

Oddaliśmy go sąsiadom, zawsze chętnie ją przyjmują. Mają sta—rego pręgowanego kocura, który wynosi się wtedy na piętro i zostawia Snowy miseczkę zjedzeniem.

Kocie szczęście przestało interesować Diamonda.

-

Przyjaźń Britt z tym człowiekiem zaczęła się załedwie na parę tygodni przed jej śmiercią, czy tak?

-

Chyba tak.

-

I nadal się widywali, kiedy byliście na wakacjach?

-

Tak sędzę.

-

Czy Martin przynosił Britt kwiaty? Billington pokręcił głową.

-

Był zbyt skąpy.

-

A ktoś inny? Czy kiedykolwiek dostarczano do pańskiego domu bukiety?

-

Nie przypominam sobie.

-

Czy Martin został kiedyś na noc?

-

Żaden nie zostawał. Przedstawiliśmy warunki jasno i Britt to uszanowała.

-

A pan ją szanował? Billington się nachmurzył.

-

O co panu chodzi?

-

Ojej prywatność. Czy wchodził pan kiedykolwiek do mieszkania pod jej nieobecność?

-

Tylko w sprawach technicznych.

-

Co to za sprawy techniczne?

-

Sprawdzałem, czy kaloryfery nie przeciekają, wymiana żarówek, sprawdzenie obić, rozumie pan.

-

Domyślam się - powiedział Diamond. Istotnie, domyślał się.

-

Nie miała powodu do narzekań.

-

Tej nocy kiedy znalazł ją pan martwą, wszedł pan do jej mieszkania około pierwszej, prawda? Czy też w sprawach technicznych, co?

-

To nie jest śmieszne.

-

Proszę mi odpowiedzieć.

Billington popatrzył na sufit, przypominał sobie tamten wieczór. Nadal mówił wyraźnie.

-

Było bardzo cicho. Zazwyczaj słyszymy, jak chodzi. Zawsze brała prysznic przed pójściem do łóżka i słyszeliśmy, jak woda spływa rurami.

Słyszeliśmy jej kroki. Tamtej nocy było cicho.

-

Ale przecież zdarzało się, że spędzała noc gdzie indziej. Miała kochanków. Dlaczego ta noc była taka szczególna, że postanowił pan sprawdzić?

-

Wróciliśmy po dłuższej nieobecności. Wtedy wszystko lepiej się widzi, słyszy i tak dalej. Zauważyliśmy, że nie odbierała mleka.

Przyjęliśmy, że wyjechała, ale to nie w jej stylu wyjeżdżać i nie powiadomić mleczarza. Była dobrze zorganizowaną osobą. Violet zaczęła się o nią martwić i nie mogła zasnąć. W końcu tak mi

dokuczała, że poszedłem sprawdzić.

Diamond, znając Violet Billington, pomyślał, że jej niepokój wynikał nie tyle z obawy o los Britt Strand, ile ze strachu, że związała, nie płacąc czynszu.

-
Niech pan powie, co pan tam zastał.

-
Już panu o tym mówiłem. Mówiłem o tym w sądzie. Opowiedziałem to wiele razy.

-
Niech mi pan odświeży pamięć.

Billington zrobił urażoną minę i spojrzał w kąt sali szpitalnej, gdzie wcześniej stała pielęgniarka.

-
Hm - powiedział po jakimś czasie, widząc, że nikt nie spieszy mu z pomocą. - Wszedłem do mieszkania i zawołałem ją po imieniu. Miałem wrażenie, że pomieszczenie jest, a jednocześnie nie jest pu-
ste. To dziwne uczucie. Chyba poszedłem prosto do sypialni. Drzwi były otwarte. Z początku nie zapalałem światła. Zobaczyłem, że na łóżku ktoś leży, ale w powietrzu unosił się niezdrowy zapach. Zapytałem, czy dobrze się czuje.

Nie było żadnego ruchu. Wszedłem na korytarz i tam włączyłem światło.

Wystarczyło, żebym zobaczył, co się stało. To była najgorsza chwila w moim życiu. Do tej pory śnią mi się koszmary.

-
Co pan zrobił?

-
Zszedłem na dół i powiedziałem o tym Violet. Poszła na górę, żeby zobaczyć. Potem zadzwoniliśmy pod numer alarmowy. To wszystko.

-
Niech pan powie, jak wyglądała Britt. Wzruszył ramionami.

Jak to jak wyglądała? Nie żyła.

-

Proszę opisać scenerię.

-

Sam pan ją widział. Przybył pan jeden z pierwszych.

-

Muszę to usłyszeć od pana.

Billington zamknął oczy i zaczął mówić jak medium w transie.

-

Zasłony były zasunięte. Jej ubranie leżało złożone na krześle przy toalecie. Buty stały razem na podłodze. Porządnie. Leżała twarzą do góry na łóżku, nie była przykryta kołdrą. Miała na sobie szlafrok i piżamę.

Niebieską piżamę. Szlafrok zrobiony był z materiału frotte. Był otwarty u góry. Piżama była mocno poplamiona krwią, ale już zaschniętą, raczej brązową niż czerwoną. Podobnie jak kołdra, na której leżała. Jedna ręka -

prawa - wyciągnięta była w poprzek łóżka. Druga, zagięta, leżała na jej brzuchu. Miała ziemistą cerę, a usta okropne. Ciemnoczerwone.

Zapchane zeschniętymi różami. - Otworzył oczy. - Skoro nie zabił jej Mountjoy, musi pan złapać potwora, który to zrobił.

-

Pański czas minął, inspektorze, i to dawno - przerwał im czyjś głos.

Groźna pielęgniarka znów pojawiła się w sali.

-

Mam nadzieję, że nie - powiedział Diamond.

-

Co?

Uśmiechnął się do niej.

-
Zostało mi jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Ale teraz wychodzę.

Rozdział 22

SPRAWY NIE SZŁY GŁADKO. PO pierwsze, kiedy Diamond poszedł

szukać escorta, samochodu nie było. Julie wzięła go, żeby śledzić kobietę, która odwiedziła Billingtona. Po drugie, nie miał przy sobie radio-telefonu, nie pomyślał nawet, żeby o coś takiego poprosić. Musiał

skorzystać z telefonu publicznego, żeby wezwać taksówkę do Bath. Ale była i pociecha: taksówkarz pamiętał go z dawnych czasów. Z

satisfakcją pogawędzili sobie o nowinkach, które ich zdaniem psuły charakter miasta: o czarnych, w londyńskim stylu, taksówkach, o auto-busach wycieczkowych, o turystyce, o włamaniach do sklepów, o włóczkach new age, o centrach handlowych, o parkingowych, o ludziach grających zarobkowo na ulicach, o wystawach na Boże Narodzenie, studentach, starcach, uczniach, o przemówieniach radnych, gołębniach, sondażach, wozach konnych i śpiewakach operowych występujących przed Royal Crescent. Zanim taksówka dojechała do zaniedbanej ulicy przy końcu Widcombe Hill, gdzie mieszkała Una Moon, a do niedawna także Samantha Tott, Diamond poczuł się znacznie lepiej.

Zmarkotniał, kiedy od zarośniętego młodego człowieka w mundurze polowym dowiedział się, że Una się wyprowadziła.

-
Gdzie mogę ją znaleźć?

-
A kto pan taki?

-
Przyjaciel.

-
Która godzina?

To pytanie Diamond zwykł sam zadawać i oczekiwał, że mu się odpowie.

-

Koło wpół do drugiej, jeśli się nie mylę. Gdzie ją zastanę o tej porze?

-

Na kółku.

-

Kółku zajęciowym?

-

Na rowerze z jednym kółkiem.

-

A! - Diamonda zawstydziła ta pomyłka.

-

Przy opactwie - młody człowiek dodał niepytany, a potem sam zapytał: - Skoro jest pan przyjacielem, czemu nie wie pan, że Una uprawia żonglerkę?

Diamond wsiadł z powrotem do taksówki.

NA DZIEDZIŃCU PRZED OPACTWEM, niedaleko przepompowni, tłum jakichś osiemdziesięciu osób uformował półkole wokół dwojga artystów. Mężczyzna w brudnym smokingu i cylindrze połykał ogień, a potem wręczał płonące pochodnie młodej kobiecie, która balansując na jednokołowym rowerze, żonglowała nimi. Nie był to wygodny moment, żeby pytać o komunę przy Trim Street.

Dziewczyna była cienka jak trzcina, miała piękną twarz primabaleriny, ciemne włosy zaplecione w warkocz, który kołysał się jej na plecach w takt ruchów rowerka. Panna Moon.

Zegar kościelny wybił kwadrans przed pełną godziną i Diamond zastanawiał się, czy nie przerwać występu, chociaż byłoby to posunięcie nie-mile widziane, a może nawet niebezpieczne. Postanowił dać im jeszcze dwie minuty, dwie minuty, podczas których mógłby zebrać najnowsze informacje o przebiegu oblężenia, bo północny kraniec dziedzińca przed opactwem wychodził na Orange Grove. Poszedł w tamtą stronę.

Na ulicy przy Guildhall stały zapory policyjne, blokując dostęp do Orange Grove. Jakiś konstabl rozwijał taśmę w białe czarne kwadraty w poprzek trotuaru.

Diamond powiedział mu, kim jest i zapytał, co się dzieje. Na rozkaz komendanta Warrilowa obszar przed hotelem Empire został zamknięty dla ruchu kołowego i pieszego. Ustawiono czułe urządzenia nasłuchowe, a w pewnych miejscach, na Orange Grove, urządzone zostały punkty obserwacyjne, wysłano kogoś na wieżę w północno-wschodnim narożniku opactwa. Nie był to strzelec wyborowy,

przy - najmniej tak wydawało się konstablowi. Nie wpłynęłoby to dobrze na opinię publiczną, gdyby miejsce kultu zostało wykorzystane jako sta - nowisko ogniowe, prawda?

-

Pokazywali się w oknie, odkąd zauważono dziewczynę? - zapy - tał

Diamond.

-

Jak do tej pory nie, proszę pana. Nie pozwoliłby jej tego zrobić, prawda? Ma cały hotel dla siebie, może ją trzymać w pokoju od tyłu. Ma w czym wybierać. - Policjant najwyraźniej chciał wstąpić do wy - działu kryminalnego.

-

Tak, ale będzie chciał zobaczyć, co się dzieje na dole - zauważył

Diamond.

-

Lepiej pilnowałby schodów wewnątrz budynku. Tamtędy po niego pójdziemy, chyba że pan Warrilow planuje coś teatralnego, z udziałem helikoptera.

-

To by mnie nie zaskoczyło.

Czas wracać do ulicznych artystów. Kiedy szedł przez dziedziniec, tłum klaskał. Najwyraźniej pokaz się skończył. Ludzie stojący z brze - gu rozchodzili się. Kilka szczodrych osób zostało dłużej, żeby wrzu - cić monety do cylindra. Następni artyści, kwartet smyczkowy, czekali, żeby wejść na estradę.

Una Moon zbierała kopące pochodnie, kiedy Diamond podszedł do niej i przedstawił się. W chwili, gdy wspomniał o Samancie, pod - niosła się i zapytała poważnym tonem:

-

Co z nią? Znaleźliście ją?

-

Może napijmy się kawy. Będziemy mogli porozmawiać -

zapro - ponował, nie odpowiadając na pytanie. - W hali targowej jest kawiarnia, gdzie można usiąść. A przynajmniej była.

Zapytała, czyjej przyjaciel, połykacz ognia, może do nich dołączyć.

Uliczni artyści są solidarni, kiedy ktoś chce ich ugościć. Facet w cylindrze mrugnął z sympatią.

Diamond znalazł w kieszeni tylko kilka drobniaków i poprosił połykacza ognia, żeby zwilżył sobie usta gdzie indziej. Odwzajemnił się mrugnięciem.

Zaproponował, że poniesie jednokołowiec w drodze do niedaleko położonego targowiska w Guildhall. W kawiarni targowej nie można wypić popołudniowej herbatki w takim luksusie, jak w przepompowni, ale było tam prawie równie wygodnie, a miejsce lepiej się nadawało do przesłuchania ulicznej artystki. Siedziała naprzeciwko Diamonda, przy stole z zielonym forniowanym blatem i grzała ręce o gruby, porcelanowy kubek, patrząc na niego pytająco ciemnobrażowymi oczami.

-

Przy takiej pogodzie powinna się pani cieplej ubierać - powiedział, zerkając na jej cienką podkoszulkę.

Zignorowała uwagę.

-

Niech mi pan powie o Sam.

On też potrafił ignorować różne rzeczy, jeśli mu to odpowiadało.

-

Nie mamy wiele czasu. Una Moon. To pani prawdziwe nazwisko, tak?

Zachmurzyła się.

-

Co to pana obchodzi?

-

Niewielu z was używa prawdziwych nazwisk.

-

A czemu mielibyśmy to robić? - zaatakowała. - To wolny kraj. Mamy prawo bronić się przed gliniarzami takimi jak pan, którzy usiłują dopasować nas do systemu. Chcę być osobą, a nie paroma cyferkami w komputerze.

-
Ale Una Moon to pani prawdziwe nazwisko?

-
Skąd pan wie?

-
Z komputera. I zanim zacznie się pani powoływać na swoje wolności obywatelskie, powiem, że to komputer państwowy. Ja też w nim jestem i premier jest, i każdy, kto ma samochód.

Ściągnęła brwi.

-
Nie mam samochodu.

-
Nie muszę pani mówić, skąd się tam pani wzięła. - Uznał, że jeśli ją lekko postraszy, przyspieszy przebieg rozmowy.

Spojrzała na niego wyzywająco.

-
Sam też używa swojego prawdziwego nazwiska - dodał.

-
Jest nowa, naucz się, jeśli przeżyje. To skandal, że do tej pory nie złapaliście tego faceta. - Una Moon była bardziej napastliwa, niż można byłoby sądzić z jej dziecięcych rysów i warkocza.

-
Chyba nie czuje się pani zbyt dobrze z myślą, że ktoś taki jak ja zna pani nazwisko? - zapytał.

-
Odwal się, glino.

-
Pani akcent wskazuje, że pochodzi pani z klasy średniej i ma dobre wykształcenie. Chodziła pani na uniwersytet?

-
To, czy chodziłam na uniwersytet, nie ma żadnego znaczenia. Co pan chce wydać mnie za męża, czy co? Są ważniejsze sprawy, do brze pan wie.

-
Prowadzi pani takie życie od kilku lat?

-
Co to ma znaczyć „takie życie”? Sąwaterstwo? Tak, odkąd wy-leciałam z Oksfordu. Już pan wie, byłam tam przez rok z kawałkiem.

Możemy przejść do istotniejszych tematów, na przykład co macie za-miar zrobić w sprawie Samantha?

-
Mieszkała pani przy Trim Street, kiedy Britt Strand została za-mordowana - naciskał. - Widziałem panią na zdjęciu.

Przybrała bardziej obronny ton.

-
Nie zabito jej w tym domu. Nikt z nas nie ma z tym nic wspól-nego.

-
Odwiedziła komunę, żeby zebrać materiał do artykułu i kazała zrobić zdjęcia. To było zaledwie na dziesięć dni przed jej śmiercią. Ile pani z tego zapamiętała?

-
Ma pan papierosa? Pokręcił głową.

-
Będzie musiała mnie pani poczęstować.

Wyjęła z kieszeni pudełko z draską, do połowy wypalonego papie-rosa, zapalną i zapaliła.

-
Britt Strand wiedziała, czego chce i jak to dostać. Poderwała jednego z chłopaków z komuny, prawdę mówiąc, najważniejszego, i wzięła się do niego. Namówiła go, żeby nas zmiękczył, bo potrzebo-wała tego do swojego artykułu.

-
Ma pani na myśli G.B.? Skinęła głową.

-
Kolejny, który woli bezimiennosc - dodał Diamond.

-
To jego wybór.

-
I dobrze, ale mogę się założyć, że na ubezpieczeniu nie ma wpisane G.B.

-
Nie byłabym pewna.

-
Była pani jego dziewczyną? Popatrzyła na niego ze złością.

-
To typowy sposób, w jaki na nas patrzycie. Tylko dlatego, że mieszkamy w jednym domu, nie musimy się pieprzyć. Tam są też inni ludzie, to wspólnota, rozumie pan?

-
A zatem nikt nie miał mu za złe, że przyprowadził tę bystrą Szwedkę, blondyneczkę, bo chciała napisać tekst o waszej komunie?

-
Nie powiedziałabym z pewnością, że nikt, ale ten dom namierzył
właśnie on.

-
Jak to się robi?

-
Jest mnóstwo sposobów. Wsuwa się zeschnięte liście w szpary pod drzwiami, a po paru dniach sprawdza, czy nikt ich nie wyjął. Można wepchnąć do skrzynki na pocztę i poczekać, czy zostaną

wyjęte.

Przychodzi się wieczorami, żeby zobaczyć, czy w oknach pali się światło. G.B. robił to wszystko. On był tam pierwszy. To dzięki niemu znaleźliśmy miejsce na nocleg.

-
G.B. to rozgarnięty chłopak.

-
Ma olej w głowie, ale niektórzy z naszych przestali mu ufać, kiedy stało się oczywiste, że ten szwedzki ptaszek wodzi go za nos. Na prawdę nie wyszło mu to na dobre.

-
Skąd o tym wiesz?

Westchnęła i spojrzała na niego ze złością.

-
Widywano ich razem. W tym wścibskim miasteczku ludzie wszystko wiedzą.

-
Ale zapytał was o zdanie, zanim ją przyprowadził, prawda?

-
Tak, przedstawił jej prośbę. Omówiliśmy to. Niektórzy z nas nie chcieli, żeby ich fotografie pojawiły się w gazetach. G.B. powiedział, że tekst, który Britt miała napisać, nie jest przeznaczony do brytyjskiego czasopisma. Miała go sprzedać za granicę, no więc wreszcie się zgodziliśmy. W końcu miała nam za to zapłacić.

-
Nikt nie miał żadnych obaw?

-
Jak to?

-
Czy po jej wizycie ktoś bał się, co ona napisze?

Niby co, przypnie nam łatkę pasożytów czy coś takiego? Jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

-

Zadawała jakieś osobiste pytania?

-

Mnie nie. - Una sięgnęła po blaszaną popielniczkę stojącą między nimi. - Do czego pan zmierza? Myśli pan, że to ktoś z naszych ją załatwił?

-

To możliwe. Może, jak pani powiedziała, ktoś nie miał ochoty, żeby go sfotografować?

-

Jeśli tak, to powinien załatwić fotografa, a nie dziennikarkę.

-

Za późno. Zdjęcia były już zrobione - powiedział Diamond. - Artykuł

nie został napisany i zdjęć nie opublikowano.

-

Gdzie je pan widział? - zapytała.

-

U fotografa. Pamięta pani Prue Shorter, tę dużą damę?

Skinęła głową, obrzuciła wzrokiem jego obfitą postać i wydawało się, że już chciała coś powiedzieć, ale przemyślała to i włożyła w usta papierosa.

-

"widziałem wszystkie zdjęcia, które zrobiono tamtego popołudnia -

wyznał. - Takich rzeczy nie publikuje się w czasopiśmie ilustrowanych.

Próbowałem zgadnąć, dlaczego Britt tak się wami interesowała. Niewiele jest uroku w bandzie punków z psami i kupą puszek po piwie, w jakimś zaułku Bath.

-

Kilku z nas wzięło się do sprzątnięcia przed zdjęciami - powiedziała Una.

-
Chwileczkę. Zdaje się, że wyprowadziliście się niedługo po morderstwie, prawda?

-
Niedługo.

-
Dlaczego?

-
Trim Street to była zdobycz G.B. A on się załamał. W całym domu nastrój był pod psem, kiedy popadł w depresję. Niektórzy nie wytrzymali ciągłych awantur i spieprzyli. W tym czasie znalazło się z sześć pustostanów.

-
I mieszkało w nich już trochę znajomków?

-
Tu i ówdzie.

-
G.B. nadal jest na topie.

-
Tak. - Uśmiechnęła się. - Wyszedł z tego. Jest na luzie.

-
Nie masz do niego żalu?

-
G.B. jest w porządku. - Słowa nie oddawały tonu, w jaki zostały wypowiedziane. To był ogromny komplement.

-
W porządku gość?

-

Lepiej. Mógłby nam kazać sobie płacić. Słyszałam o facetach, którzy włamują się do pustych domów i robią za pośredników. G.B. nigdy nie chciał od nas nawet pensa.

-

Myślę, że zarabia, sprzedając narkotyki - powiedział Diamond.

Wydmuchnęła dym i spojrzała w stronę sklepionego stropu.

-

A Samantha? - zmienił temat. - Kiedy się wprowadziła?

-

Do Widcombe Hill? Niedawno. Latem. Zerwała z rodzicami.

Banalna historia. Jest ode mnie młodsza, jeszcze się nie dotarła, jeśli wie pan, o czym mówię, ale lubię ją. To cholerny brak odpowiedzialności, kiedy gazety napisały, że występuje jako uliczna artystka, a jej staruszek jest policjantem i tak dalej.

-

Nie może pani winić prasy za to, co się stało.

-

Mogę i będę winić. - Tak mocno zacisnęła małe usta, że wargi straciły kolor.

-

Pani ją zna - powiedział Diamond. - Jak zniesie to porwanie?

-

Psychicznie jest dość silna. Przetrzyma to, jeśli będzie miała szansę.

Boję się raczej, że ten cały Mountjoy zacznie jej mieć dośyć. Ten dupek już wcześniej stosował przemoc wobec kobiet. Pamiętam, że czytałam o tym po wyroku. Jego małżeństwo rozleciało się ze względu na to, jak traktował żonę. I bił jeszcze jakąś inną kobietę. - Una zmiażdżyła niedopałek o popielniczkę. - Musicie ją szybko znaleźć.

-

Ależ już znaleźliśmy. Jest w budynku obok. - Kiedy Diamond opowiadał o incydencie w oknie hotelu Empire, Una zagapiła się na niego, z miną aktorki przesadnie wyrażającej uczucia w niemym filmie. - A teraz mamy stan oblężenia - podsumował. - I to z użyciem broni.

-
Jest uzbrojony? - wyszeptała.

-
Jeśli chcemy uniknąć tragedii, ktoś powinien namówić go, żeby zszedł. Tym kimś jestem ja. Ale on tego nie zrobi, dopóki nie rozwiąże sprawy Britt Strand. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jestem pewien, że Mountjoy nie jest mordercą. Ludzie, o których z panią rozmawiam, to podejrzani.

-
Mnie pan podejrzewa?

Przyglądała mu się wnikliwie i z niepokojem, odpowiedział więc szczerze.

-
Nie mam podstaw, ale jest pani jedną z tych, których nie przesłuchałem cztery lata temu. Może pani wiedzieć coś, czego nie wie nikt poza panią.

-
Dlatego pytał mnie pan o G.B.? Podejrzewa go pan? Zamieszał fusy w herbacie i przyłożył kubek do ust.

-
On nie jest agresywny - zaznaczyła. Pełne urazy słowa tak szybko wypadły jej z ust, że zlały się w jedno i przestały być zrozumiałe. -Nie słyszałam, żeby G.B. kogokolwiek zaatakował. Nigdy. To, że jest duży, nie znaczy, że jest groźny. Myli się pan co do niego.

Rozsiadł się i przejechał dłonią po głowie.

-
Jeszcze nie jestem pewien.

-
G.B. czuł coś do Britt - wyjaśniła. - Nie zrobiłby jej krzywdy.

-
Nie powiedział rzeczy, która się narzucała, że zakochany mężczyźna, nawet jeśli nie ma skłonności do agresji, może zabić, gdy dowie się, że jego kochanka darzy względami kogoś innego.

Naprawdę, to chciałbym się dowiedzieć, dlaczego Britt Strand zajęła się G.B.

-

Po to, żeby umożliwić jej wejście do domu.

-

Ale dlaczego? Powtórzę: co w was było takiego interesującego?

-

Nie chodziło o nas - odparła Una. - Chodziło o dawnego lo-katora.

Zaintrygowany czekał, aż dokończy.

Ona też chwilę odczekała, zanim powiedziała:

-

Wie pan, kto mieszkał przy Trim Street?

-

Obawiam się, że nie.

-

Jane Austen. Ściągnął brwi.

-

Ta pisarka? - Głupio powiedział, ale myślał kategoriami dwu-dziesiątego wieku.

-

Tak. Napisała cztery czy pięć największych powieści, jakie uka-zały się po angielsku.

-

Jane Austen mieszkała kiedyś w domu, w którym wy urządzili-ście komunę? Jest pani pewna? - Oto najwyraźniej odpowiedź, której szukał od kilku dni.

-

Nie - powiedziała. - Nie jestem pewna i nikt nie może być tego pewien, bo numer domu nie został wymieniony w listach. Jediną pewną rzeczą jest, że po śmierci ojca razem z matką musiały wynająć mieszkanie przy Trim Street. To była marna lokalizacja, nie znosiły tej ulicy.

Poczuł podniecenie. W wyciągnięciu tej informacji niewiele było jego zasługi, ale chyba udało się rozwiązać część tajemnicy.

-

Skąd pani to wszystko wie?

-

Zanim wyleciałam z Oksfordu, czytałam Jane Austen. Była jedyną autorką, którą mogłam strawić. Pożerałam wszystkie jej powieści, prace młodzieńcze i zbiór listów. Wydawało mi się, że wspominała o Trim Street, kiedy więc wprowadziliśmy się tam, poszłam do biblioteki, żeby to sprawdzić. Jane napisała, że jej matka zrobi wszystko, co w jej mocy, by uniknąć Trim Street. Może pan sobie wyobrazić, co czuły, kiedy tu trafiły w 1806 roku. To musiało być piekło. I teraz wie już pan, dlaczego tak bardzo zainteresowało to Britt Strand.

Próbował opanować podniecenie, ale mu się nie udało.

-

Dom Jane Austen zajęty przez komunę punków? Tak, na tym opierał się jej artykuł.

Una najwyraźniej doszła do tego samego wniosku jakiś czas temu.

-

Nie wiadomo dokładnie, w którym domu przy Trim Street mieszkała Jane Austen. Britt wybrała nasz i mogła być pewna, że nikt nie wypomni jej błędu. Ten dom jest równie dobry, jak każdy inny.

-

Na sto procent - zgodził się. - Wystarczyło opublikować zdjęcia i niczego nie trzeba było już wyjaśniać. Eleganckie, georgiańskie kominki zawałone puszkami po piwie. Graffiti. Punky i ich psy rozwaleni dookoła.

Dom Jane Austen zbezczeszczone.

Tego było trochę za wiele dla Uny

-

Niech pan uważa. Niczego nie bezczescimy. Umiemy robić właściwy użytek z toalety. Nie wybijamy szyb i niczego nie podpalamy.

-

Nie w tym rzecz, jak się zachowujecie, ale w tym, jak taki artykuł

wygląda w czasopiśmie. Jane Austen...

Wpadła mu ostro w słowo.

-

Pieprzyć Jane Austen. Kiedy pan tu siedzi i gada o jakiejś zmarłej pisarce, Sam leży związana w hotelu, z pistoletem przystawionym do głowy i czeka, aż pan coś zrobi.

Nie wzruszyło go to.

-

To nie jest robota dla jednego człowieka. Cała okolica znajduje się pod nadzorem. To, co mi pani właśnie powiedziała, jest ważniejsze niż pani sądzi. Musiałem to wiedzieć. Komu jeszcze mówiła pani o tym?

-

Nikomu. Kogo by to zainteresowało, na litość boską?

-

GB.? Jest pani pewna, że nie powiedziała pani o tym G.B.? Pokręciła głową.

-

Na pewno?

-

Po co niepotrzebnie pogłębiać jego smutek? - zapytała.

-

Smutek? Dlaczego miałoby go to zasmucić?

-

Biedny głupiec myślał, że Britt coś w nim widzi.

JULIE SIEDZIAŁA W GABINECIE NA MANVERS STREET, kiedy wszedł Diamond.

-

Nie mogłam pana znaleźć - powiedziała, ponieważ zabrzmiało to jak marna wymówka, dodała

pewniejszym siebie głosem: - Nie sądzi pan, że należałoby nosić z sobą radionadajnik albo telefon komórkowy?

Jeśli miała to być poważna sugestia, mogła sobie jej oszczędzić.

-

Pojechałaś za tą kobietą, która odwiedziła Billingtona? - zapytał.

-

Tak. -I?

-

Nie jest jego siostrą.

-

A kim?

-

Nazywa się Denise Hathaway i prowadzi mały urząd pocztowy w Iford.

-

Niedaleko Bradford-on-Avon?

-

Tak, poszłam za nią do jej domu.

-

I mam nadzieję porozmawiałaś?

-

Oczywiście - przerwała niecierpliwie Julie. - Nie wiem, czy to dobra nowina. Potwierdziła alibi Winstona Billingtona. W wieczór, kiedy dokonano morderstwa, oboje byli w hotelu Brunei, w Bristolu. Od około roku byli już kochankami. Poderwał ją, próbując jej wcisnąć do sprzedaży swoje kartki.

Diamond się nachmurzył.

-

W wieczór morderstwa Billington był w Bath.

-

Zgadza się, ale niech mi pan da dokończyć. Był w Bath, jak pan powiedział. Wpadł do domu, żeby zabrać kluczyki do samochodu, tak jak mówił. Pani Hathaway...

-

Pani? Jest mężatką?

-

Tak. Próbowwała utrzymać ten romans w tajemnicy. Potwornie się boi, że klienci w Iford dowiedzą się o jej niewierności.

-

A mąż?

-

Pracuje na nocną zmianę na poczcie w Bath. Nie wyglądało na to, żeby się nim przejmowała. Obawia się sąsiadów. Bez końca musiałam wyciągać z niej prawdę, a to pochlebstwem, a to groźbą, a to obietnicami.

To naprawdę sekretny romans. Twierdzi, że każde z nich jeździ swoim samochodem, a w hotelu meldują się o różnych godzinach. Rezerwują pokoje jednoosobowe i on skrada się do niej, kiedy w hotelu robi się cicho.

-

Jak w wiktoriańskiej powieści.

-

To życie na angielskiej wsi w 1994 roku, przynajmniej pani Hathaway tak żyje. Osiemnastego października Winston wrócił z Tene-ryfy. Postanowili spędzić noc w Bristolu. Zameldowała się w hotelu Brunei około ósmej wieczorem i zjadła kolację w pokoju. Winston zadzwonił do niej z Bath, dowiedział się, pod którym numerem mieszka, poszedł do domu zabrać kluczyki i pojechał do Bristolu. Koło wpół do pierwszej w nocy zapukał do jej drzwi. I miał ze sobą kwiaty. Z

Te-nerfy.

-

Kupił je dla niej?

-
Tak.

-
Róże?

-
Goździki. Ona uwielbia goździki. Następnego dnia rano zjedli osobno śniadanie i wyjechali swoimi samochodami.

-
Ale czy to rzeczywiście jest alibi? - zapytał Diamond.

-
Pasuje do zeznania samego Billingtona i do tego, co powiedział G.B.

Sprawdzałam w hotelu. Do księgi meldunkowej wpisał się kwadrans po dwunastej.

-
Użył własnego nazwiska?

-
Tak.

-
No, to zrobiliśmy krok naprzód - zauważył. - Tylko, że to nie jest alibi. Pamiętaj o czasie. G.B. powiedział, że koło jedenastej widział, jak Mountjoy wychodzi z domu, a Billington wszedł wkrótce potem.

Powiedzmy kwadrans po jedenastej. Mógł zabić Britt i pojechać do Bristolu przed wpół do dwunastej. Jak długo jedzie się do Bristolu?

-
To zależy od ruchu. No tak - przyznała. - Późno w nocy, bez korków, mógł tam dojechać bardzo szybko. - Ale czy to prawdopodobne, żeby uprawiał seks z panią Hathaway po tym, jak popełnił morderstwo?

-

Kto wie? - rzucił Diamond. - Mogło go to nawet podniecić.

-

Niech pan da spokój - powiedziała. - Mówimy o Winstonie Billingtonie, a nie o Kubie Rozpruwaczu.

Uśmiechnął się.

-

To prawda. Czy pani Hathaway opowiedziała ci, co wyczyniał

Winston po tym, jak zapukał do jej drzwi?

Nie rozbawiło jej to.

-

Nie. Bardzo jest tym wszystkim zawstydzona.

-

Nie przycisnęłaś jej?

-

Nie.

-

Może Winston też jej nie przycisnął.

Julie drgnęły usta. Wzniosła oczy do góry. W ten sposób okazywała pogardę, kiedy mężczyźni z Manvers Street robili dwuznaczne uwagi.

-

Ale rozwiązałaś jedną zagadkę. - Diamond podjął wątek, zanim Julie zdążyła cokolwiek powiedzieć. - Wiemy, gdzie Winston Billington spędził resztę nocy. Tymczasem ja rozwiązałem inną. - Opowiedział jej o związkach Jane Austen z Trim Street.

-

Do czego nas to prowadzi? - zapytała, kiedy skończył. - To nie może być motyw morderstwa, prawda? Mam wrażenie, jakbyśmy zrywali strupy zamiast przeprowadzać operację.

Tym razem nie mógł się obronić. Wyciągnął krzesło spod biurka i usiadł

naprzeciwko niej.

-

Nie mogę zaprzeczyć. Spójrzmy prawdzie w oczy, mamy za mało ludzi do pracy. To śledztwo nie przypomina innych.

-

Poprosimy o pomoc - powiedziała Julie. Pokręcił głową.

-

Wszyscy są zajęci przy blokadzie. Zostało nam do północy zaledwie osiem godzin, jeśli Farr-Jones jest gotów dotrzymać słowa. Ma do czynienia z Warrilowem, a ten z trudem panuje nad sobą, i nie liczyłbym za bardzo na to. Po prostu nie mamy czasu, żeby przesłuchiwać ludzi, którzy nic nie wiedzą o sprawie.

-

Co robimy dalej? - zapytała ze zniechęceniem Julie. -

Przesłuchaliśmy wszystkich podejrzanych, których udało nam się wygrzebać. Możemy wyeliminować tylko panią Billington, bo nie było jej w kraju. Tak jak pan prosił, sprawdziłam wszystkich w komputerze policyjnym. Nie zaprowadziło to nas ani kroku dalej.

-

Wszystkich? - powtórzył Diamond, jakby czekał na coś nowego.

-

Jake'a Pinkertona, Marcusa Martina, Winstona Billingtona, Prue Shorter, Unę Moon. Jak mówiłam, nie udało mi się rozwiązać zagadki nazwiska G.B., i nic na jego temat nie znalazłam. Czy tym mamy się zająć?

Diamond milczał, twarz miał ponurą, zdenerwowaną. Wreszcie odezwał się.

-

Wszystko zaczyna się od Britt. To na niej powinniśmy się skoncentrować. Jest w komputerze?

-

Britt? - Julie spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Nie powinno jej tam być. Nie żyje.

-
A sprawdzaliśmy ją w tym cholernym komputerze, kiedy została zamordowana?

-
Czy powinna tam być jako cudzoziemka?

-
Miała samochód, mgb.

-
W takim razie powinna. Może jest wydruk. Powinien zostać sporządzony rutynowo - powiedziała Julie. - Ale nie brałam w tym udziału. Mogę przejrzeć teczkę, jeśli pan sobie życzy.

-
Tak. Zrób to.

-
Natychmiast? Skinął głową.

Julie sięgnęła do segregatora z dokumentami. Kiedy przerzucała papiery, Diamond siedział, zamysłony, kiwając się na tylnych nogach krzesła. Był

wdzięczny za spokojne wsparcie Julie. Wiele mu dało w tych krytycznych godzinach. Dostawało się jej od niego. Drwił, karcił - taki był jego sposób pracy. Zazwyczaj znosił to cały zespół do spraw zabójstw.

-
Jest - powiedziała i wyjęła kartę wydruku komputerowego z teczki.

Podala mu ją nad biurkiem. - Ale niewiele tu mamy.

Przeczytał.

Pod nazwiskiem i adresem Britt Strand spisane były dokładne informacje o jej wozie, prywatny samochód marki mgb, numer rejestracyjny VPL

294S, data rejestracji 01.08.88, ważna przez rok.

Diamond uszczypnął się w podbródek.

-

W chwili śmierci nadal była właścicielką samochodu. Tak?

-

Mogę zobaczyć? - Julie spojrzała na wydruk. - No tak. Gdyby go sprzedała, dane wozu zostałyby przeniesione na nazwisko nowego zarejestrowanego właściciela.

-

Co się stało z tym wozem? Nie słyszałem o nim, kiedy prowadziliśmy śledztwo w sprawie morderstwa. Jasne, że byśmy go sprawdzili.

-

To może być błąd komputera - zastrzegła Julie. - Karta wozu nie jest zaktualizowana. Rejestracja wygasła w sierpniu 1989 roku, ponad rok przed sporządzeniem wydruku. Jeśli pan chce, mogę poszukać nowego właściciela.

Skinął głową i Julie wyszła, żeby poszukać danych w komputerze.

Więcej fragmentów układanki znalazło się na miejscu. Diamond wiedział

teraz, dlaczego Britt tak bardzo interesowała się komuną przy Trim Street, wiedział też, gdzie był Billington w noc morderstwa, ale nadal był zdenerwowany. Kiedy służył w wydziale do spraw zabójstw, miał do swojej dyspozycji najlepszych detektywów, równocześnie rozpracowujących kilka linii śledztwa. Nie miało znaczenia, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent kończyło się na niczym. Zespół

przynosił wyniki, a on je interpretował. Miał talent - bo to był talent - do wyplukiwania złota, wybierania samorodków ze szlamu. Ale w tej sprawie musiał ryc sam. Do pomocy miał tylko Julie, a czas uciekał.

Musiał być pewien, jak wszyscy diabli, że ta czarna robota jest produktywna. Działał w ogromnym napięciu. Nie mógł popełnić błędu.

Julie wróciła i pokręciła głową.

-

To dziwne, sprawdziłam VPL 294S. Britt nadal jest zarejestrowana jako właścicielka.

Pogarda Diamonda dla komputerów tylko wzrosła.

-

Przecież nie żyje od 1990 roku.

-
Nie wprowadzono tej informacji do komputera. To się często zdarza.

Zaskakujące, że nikt nie przejął tego samochodu. Co się z nim stało po jej śmierci?

-
Pewnie ktoś pomyślał, że warto mieć mgb - powiedział Diamond.

-
Kradzież?

-
Jeśli tak, powinien być jakiś wpis w komputerze.

-
Ale nie ma.

-
Przemyślmy to, Julie. Samochód został po raz ostatni zarejestrowany pierwszego sierpnia 1988 roku, na rok. Rejestracja wygasła na czternaście miesięcy przed jej śmiercią. Nie odnowiła jej.

Wygląda na to, że wóz nie ma innego właściciela. A więc gdzie jest? -

Mówił, ale jednocześnie zastanawiał się, czy to nie jest odejście od tematu.

Julie musiała być zdumiona, kiedy nagle powiedział: - Te cholerne róże.

Nie udało się nam tego prześledzić.

Czekała na dalszy ciąg.

-
Samochód, który znika. Dwanaście róż, które pojawiają się znikąd.

Musimy znaleźć odpowiedź, Julie.

-
Zdaje się, że z samochodem dalej się nie posuniemy - zauważyła.

-

W porządku. Pomyślmy więc o różach. Ktoś przysyła ci dwanaście róż. Jak reagujesz na to, jako kobieta?

-

Jestem zadowolona. Najprawdopodobniej są to walentynki, a ja mam wielbiciela.

-

To nie są walentynki, a ty nie masz wielbiciela.

-

Dziękuję. Naprawdę czekałam na te słowa.

-

Nie bierz tego do siebie. Stawiamy hipotezy. Morderstwa dokonano osiemnastego października, a nie czternastego lutego. Czy w tej dacie jest coś szczególnego? Czy to jej urodziny?

Julie znów podeszła do teczki.

-

Urodziła się dwunastego kwietnia.

-

To nie to. Czerwone róże to symbol miłości, prawda? Nawet taki prostak jak ja wie, że to język kwiatów.

-

Może to też być sposób, żeby powiedzieć przepraszam - podsunęła Julie.

-

Nie wiem, czy to nam pomoże.

-

Rozważam tylko inne możliwości. Nie podziękował.

-

Co wiemy na pewno? Sprawdzone wszystkie kwaciarnie w mieście i w miasteczkach położonych w okolicy, czy dostarczały róże. Pudło.

Prawdopodobnie ktoś je kupił, nie zostawiając nazwiska, a potem osobiście zaniósł do domu.

-

I można bezpiecznie założyć, że był to ktoś, kogo znała - dodała Julie. - Nie wpuściłaby obcego do domu o tak późnej porze.

-

Zgoda. Przejrzyjmy jej gości. Mountjoy to oczywistość, wybrał się na randkę, ale nie przyniósł róż, a przynajmniej twierdzi, że nie przyniósł.

Nie przypomina sobie, żeby widział jakieś róże w mieszkaniu. Billington kupuje kwiaty, ale dla innej kobiety.

-

I to nie były róże.

-

A G.B. twierdzi, że w ogóle nie wchodził.

-

Dlaczego ktoś miałby kłamać, że nie dawał jej bukietu czerwonych róż? - zapytała Julie. - Na pewno nie zabójca dał jej róże. Zrobił to ktoś inny.

-

Dlaczego?

-

Tak musiało być. Na pewno. Ktoś zaczął być zazdrosny, kiedy je zobaczył.

Diamond przemyślał to.

-

Możesz się mylić. Załóżmy na chwilę, że nikt nie kłamie.

-

Kwiaty już były w mieszkaniu?

-

Nie. Ustaliliśmy, że nie dostarczono ich z kwiaciarni, a Mountjoy nie widział kwiatów, kiedy przyszedł z wizytą. Chyba musimy przyjąć ewentualność, że to jednak zabójca przyniósł kwiaty.

-

Dlaczego?

-

Nie jesteśmy w stanie powiązać ich z żadną kwiaciarnią. Nie ma zapisu żadnej transakcji, nikt nie przypomina sobie, żeby ktoś, choćby trochę podobny do podejrzanych, kupował tamtego dnia róże. Co to znaczy? Prawdopodobnie osoba, która przyniosła róże Britt Strand, starała się ukryć swoją tożsamość. Może ten ktoś kupił je w innym mieście, zbyt odległym, żeby to prześledzić.

-

To znaczy, że myślał o morderstwie, zanim kupił kwiaty. Diamond podniósł palec na znak, że też tak uważa.

-

Teraz jesteś po mojej stronie. Morderstwo z premedytacją.

Po zaskoczony minie Julie widać było wyraźnie, że nie jest jednak tak bardzo po jego stronie.

-

Chce pan powiedzieć, że ktoś kupił czerwone róże i zabrał je do niej z myślą, żeby ją zamordować? Dlaczego? Jaki w tym sens?

-

Zeby nadać sprawie sens.

-

Teraz zupełnie już pana nie rozumiem - powiedziała.

-

To nie był symbol miłości, róże były symbolem zemsty, zrozumiałym dla Britt. - Odwołał się do jej wyobraźni wzrokowej. -

Pomyśl o tej scenie: odcięte pączki róż wepchnięte jej w usta. To wskazuje na coś innego poza morderczymi intencjami. Te kwiaty coś znaczyły, Julie.

-

Były symbolem?

-

Miały znaczenie zrozumiałe i dla ofiary, i dla zabójcy. Może w przeszłości, kiedy się kochali i ufali sobie, ktoś ofiarował kwiaty. Po tym zabójca poczuł się zdradzony.

-

To możliwe.

-

Obrzydliwe - podkreślił Diamond - ale ma sens. Zakładaliśmy, że zabójca zastał kwiaty na miejscu zbrodni, uznał, że przyniósł je kochanek, i nie mógł się powstrzymać przed ich zniszczeniem i zbezczeszczeniem zwłok. Teraz uważam, że kwiaty stanowiły nieodłączną część sceny morderstwa. Zabójca kupił kwiaty gdzieś daleko od Bath. To zabójstwo z premedytacją, a nie nagły wybuch przemocy. Jeśli mam rację, Britt Strand nie została zabita w związku z czymś, co zdarzyło się tamtego wieczoru. To było zaplanowane.

Julie słuchała.

-

W związku z czymś, co zdarzyło się wcześniej? To pan chce powiedzieć?

Skinął głową.

-

Skupialiśmy się przede wszystkim na wieczorze, w którym dokonano morderstwa, i na ludziach, o których wiedzieliśmy, że wtedy byli w Larkhall: Mountjoyu, Billingtonie i G.B. Każdy z nich był

zafascynowany Britt i nie krył się z tym. Ale jest dwóch, którzy jasno powiedzieli, że romans z nią był dla nich przeszłością.

-

Jake Pinkerton i Marcus Martin.

-

Tak. Teraz zaczęli mnie bardziej interesować.

-

Ale jeśli nie było ich na miejscu zbrodni...

-
Mają alibi? Zawahała się.

Diamond sięgnął po kapelusz.

-
Zacniemy od Marcusa Martina.

Rozdział 23

DOBRZE, ŻE JULIE ZAPROPONOWAŁA, ŻEBY NAJPIERW

ZADZWONIĆ. Gospośia powiedziała, że Martina nie ma w domu tego popołudnia, poszedł na pogrzeb.

Zamiast złożyć kondolencje, Diamond zaczął perorować.

-
I co jeszcze, gdzie to jest?

Gospośia najwyraźniej stwierdziła, że takiego krzykacza trzeba trzymać z dala od ceremonii.

-
Pan Martin wróci wieczorem.

-
Nie mogę tyle czekać. Który to cmentarz?

-
Przepraszam, ale to byłoby nieuprzejme.

-
Uprzejmość nie ma z tym nic wspólnego, szanowna pani.

Rozmawia pani z policjantem.

Zapadła cisza.

-
Zdaje się, że to przy zakręcie Lower Bristol Road - powiedziała po chwili.

-
Cmentarz Haycombe?

-
Nie. Ostatni Słupek.

-
Mogłaby pani powtórzyć?

-
Ostatni Słupek. Jestem pewna, że tak się nazywa.

-
Nigdy nie słyszałem - mruknął Diamond. - To pub przy cmentarzu czy co?

-
To nazwa cmentarza - upierała się. - Nie czytał pan gazet? Grzebią Horatia.

-
Jakiego Horatia?

-
Skoczka. Myślałam, że wszyscy w Anglii pamiętają Horatia z olimpiady, chociaż parę lat temu przeszedł na emeryturę. Uśpiono go przedwczoraj po tragicznym wypadku na polowaniu. Dosiadał go Beaufort.

-
To koń? To pogrzeb konia?

-
Horatio był wyjątkowym koniem. Skarbem narodowym. Telefon się urywał. Złożenie do grobu wyznaczono na wpół do czwartej.

-
W samochodzie Diamond powstrzymał się przed wyrażeniem zdania na temat końskich pogrzebów. Zapytał natomiast Julie, jakie wrażenie wywarł

-
na niej Marcus Martin. Był to oczywisty sposób na odświeżenie własnej pamięci, bo dziewczyna nadzwyczaj dobrze dostrzegała ważne szczegóły

-
To facet, na którego nabierają się pewnego typu kobiety. Wytworny akcent, lord na włościach.

-
Ty się na to nie wzięłaś, prawda?

Milczała przez chwilę, zanim odpowiedziała. Widać było, że nie chce, żeby ją w to angażować.

-
Nie.

-
Myślisz, że Britt dała się nabrać?

-
Nie ma mowy, sądząc z tego, co o niej wiemy.

-
Szkoda, że znamy tylko jego wersję ich związku. Skinęła głową.

-
I to bardzo mało prawdopodobną wersję.

-
Dlaczego?

-
Powiedział, że ich znajomość była krótka i konkretna, jakby wyłącznie fizyczna, jak z prostytutką.

-
Być może to jego sposób myślenia.

-
W stylu „trzy szalone i gorące tygodnie”, po których, jak powiedział, „rozstali się”. W tym tkwi jakaś sprzeczność. Zwrócił pan wtedy na to uwagę, ale jego odpowiedź nie była przekonująca.

Uważasz, że go rzuciła?

-

Zastanawiam się, czy w ogóle go przyjęła. Tacy mężczyźni, którzy przechwalają się swoim życiem seksualnym, zwykle wcale go nie mają.

-

Nie wierzysz, że byli kochankami?

-

Nie wierzę w trzy szalone i gorące tygodnie. Każda kobieta zna taki typ mężczyzny. Wszystko mają na wierzchu. Rozbierają oczami, nie mogą upilnować rąk. Próbuje coś udowodnić.

-

Tylko o tym gadają? Uśmiechnęła się.

-

Muszę powiedzieć, że w tym jest za dużo intuicji.

-

To opinia.

-

Doświadczenie?

-

Opinia - powtórzyła stanowczo, nie spuszczać oczu z drogi.

-

Trzeba jednak przyznać, że cztery lata temu, kiedy go przesłuchiwałem, opowiedział tę samą historię.

-

Założę się, że użył dokładnie tych samych słów. Diamond się zamyślił.

-

Przypuśćmy, że masz rację. Nie powiedziałby prawdy, wiedząc, że jest świadkiem w dochodzeniu w

sprawie morderstwa?

-

Mężczyźni to nieuleczalni kłamcy w sprawach seksu.

-

Mówisz jak feministka.

-

Chciał pan powiedzieć, że mówię prawdę.

Puścił to mimo uszu. Oboje puszczały różne rzeczy mimo uszu dla dobra sprawy.

-

Mogło być inne wyjaśnienie. Ostro wziął się do Britt i dostał krótką odprawę. Zabolalo. Nie, gorzej, uraziło jego miłość własną. Był zły, może na tyle zły, żeby zabić.

Julie miała wątpliwości.

-

Wpuściłaby go do domu?

-

Dlatego zabrał róże. Trudno jej było zatrzasnąć mu drzwi przed nosem.

-

O tej porze? - zapytała. - Ja bym zatrzasnęła.

-

Ty jesteś policjantką. Ona była wesołą dziewczyną ze Szwecji.

Zanim zareagowała, przemyślała swoje słowa.

-

Podać panu jeszcze jedną teorię? Próbował ją oczarować i wreszcie róże zdały egzamin. Poszła z nim do łóżka. Kiedy doszło do najważniejszego, nie stanął na wysokości zadania.

Zapadło milczenie. Diamond oceniał nowy scenariusz. Przejechali Churchill Bridge nad Avonem, dojechali aż do świateł na Midland Bridge Road. Wtedy wreszcie się odezwał.

-
Podoba mi się to. Tak jest lepiej. To pasuje do ich charakterów. -

Cichym głosem ujął to, co powiedziała Julie, w inne słowa. - Robi jeszcze jedno podejście. Przynosi różę. Ona go wpuszcza. Jest w do-brym nastroju, a jemu nic nie wychodzi. Zabijają, bo się nie spełnił. Niczego lepszego nie wymyśliliśmy dotąd. - Westchnął. - Ale to tyl-ko spekulacja.

Nie mamy niczego na tego drania, nawet pieprzonego mandatu za parkowanie.

-
Jak pan chce do tego podejść? - zapytała, jakby tylko tyle zosta-ło do powiedzenia w tej kwestii. - Lepiej, gdyby pan wkroczył sam. Przy mnie niełatwo będzie mu przyznać, że nie taki znowu z niego ogier.

-
Nie, będziesz mi potrzebna. Po prostu popieraj wszystko, co powiem.

Będzie śpiewał. Zobaczymy, czy melodia się nam spodoba. W lewo na następnym zjeździe.

Skręcili w Locksbrook Road, wjazd do dzielnicy przemysłowej Bath i rzędów skromnych wiktoriańskich domów, które mają niewie-łe wspólne z powszechnym wyobrażeniem o tym mieście. Ulica łą-czyła się z Brassmill Lane, biegnącą obok fabryk i magazynów. Dalej, w stronę Newbridge, za parkingiem dla przyczep mieszkalnych, leżały otwarte tereny. Kilka kóz podniosło głowy znad trawy. Obok znajd-o-wał się ogród otoczony niskim murkiem.

-
Tutaj.

Napis nad bramą gotyckimi literami głosił: „Ostatni Słupek.

Kre-matorium i cmentarz dla zwierząt domowych”.

Sznur samochodów przy ulicy mówił, że uroczystości pogrzebo-we Horatia jeszcze się nie skończyły.

-
Popularny koń - powiedział Diamond, kiedy wysiedli.

-
Jak go tutaj przywieźli? - zapytała Julie, patrząc na samochody. - W

żadnym by się nie zmieścił.

-

Może przywieźli go wcześniej.

Wewnątrz był trawnik z grządkami kwiatów ułożonymi w jodełkę. O tej porze roku było to tylko kilka przywiedłych i zbrązowiałych róż. Na małych plakietkach przymocowane do słupków wbitych w równych odstępach w ziemię widniało imię, data urodzin i data śmierci zwierzęcia, a czasem jeszcze kilka linijek wiersza. Stały tam figurki kotów i psów z plastiku i metalu, wisiały wyblakłe na powietrzu fotografie w ramkach, gniły wieńce, a tu i ówdzie leżały świeże kwiaty.

Żałobnicy zgromadzili się w odległej części cmentarza, było ich co najmniej czterdziestu, może więcej, wśród nich ksiądz w sutannie.

Większość stanowiły młode kobiety, kilka z nich przyniosło bukiety kwiatów. Marcus Martin, któremu lekki wietrzyk unosił co i raz kosmyki rudych włosów znad łysinki, stał po lewej stronie, trzymając drewnianą trumienkę wielkości pudła na buty.

-

Mały konik - mruknął Diamond do Julie. Spojrzała na niego gniewnie.

Żałobnicy opuścili głowy, jakby w modlitwie. Spoza pleców Diamonda dobiegł sceniczny szept.

-

Można jeszcze dołączyć. Nie jest za późno. Mówił to brodaty mężczyzna w czarnym garniturze.

-

Jest pan przedsiębiorcą pogrzebowym? - zapytał Diamond.

-

Właścicielem ogrodów.

-

Aha. Czy zdarzało się kiedy, żeby taki tłum przychodził na pogrzeb zwierzęcia?

Mężczyzna poprawił kołnierz.

-

Sadzę, że to wyjątkowa okoliczność.

-

Czy koń został tutaj poddany kremacji?

-

Nie, we Frome. Właśnie tam jest krematorium. To nie jest miejsce konsekrowane. Popioły zostały zebrane i miano się ich pozbyć. Ale właściciel, widząc, jaką popularnością i sławą cieszył się Horatio, uznał, że jego prochy powinny zostać pochowane w takim ogrodzie, jak ten. Tu wielbicieli konia mogą zawsze przyjść. Brama jest otwarta.

Jednym z najbardziej pożytecznych talentów Diamonda była niezwykła umiejętność podtrzymywania poważnej rozmowy bez względu na temat.

-

Czy to pierwszy pogrzeb konia?

-

Właściwie tak.

-

Z reguły zajmuje się pan kotami i psami?

-

Dlatego nazwaliśmy nasz ogród „Ostatnim Słupkiem”. Większość kotów ma słupki do drapania, a psy przez całe psie życie są zainteresowane słupami latarni.

-

I listonoszami - dorzucił Diamond. Zostało to przyjęte poważnym skinieniem głowy.

-

Od czasu do czasu zajmujemy się też królikiem. Tutaj nie moglibyśmy dokonać kremacji konia. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby zrobić to gdzie indziej. Po prostu z tak wielkim zwierzęciem wiążą się pewne kłopoty i koszty.

-

Zwykle sprzedaje się tuszę na żarcie dla kotów - zauważył

Diamond. - Albo dla psów myśliwskich.

Mężczyzna chrząknął, skonsternowany. Prawdopodobnie obawiał się, że słowa Diamonda mogły dotrzeć do żałobników, stojących po drugiej stronie trawnika.

-
A co z pogrzebem bez kremacji? Odpowiedź wymagała przysłonięcia ust dłonią.

-
Nie mogliśmy zrobić tego tutaj. Potrzebna byłaby mechaniczna koparka. Proszę wziąć pod uwagę, że królowa każe grzebać swoje ulubione konie w dobrach królewskich.

Uwaga Diamonda przeniosła się na żałobników.

-
Niektóre z tych dziewczyn trzymają czerwone róże - zwrócił się do Julie.

-
Te dziewczyny odczuwają to jako osobistą stratę - odparł godnie właściciel ogrodu cmentarza.

-
Nie sądziłem, że czerwone róże to symbol smutku - powiedział

Diamond, właściwie do siebie. - Niech pan się nie gniewa - znów podjął

rozmowę - ale niektórzy ludzie uznaliby, że to naruszenie zasad religijnych, te pogrzeby dla zwierząt.

-
To nie jest pogrzeb w ścisłym tego słowa znaczeniu, raczej podziękowanie za życie zwierzęcia i za przyjemność, jaką nam dawało.

Jeśli ma pan własne zwierzę domowe, może pan być pewien, że kiedy nadejdzie czas rozstania, a w końcu musi przyjść, możemy zapewnić panu spokój ducha i stałą pamiątkę.

Julie przytaknęła mu.

-
Powinien pan dostać królewską nagrodę za przedsiębiorczość -

zauważył Diamond.

Na tę myśl mężczyźni zaświeciły się oczy.

Po drugiej stronie trawnika coś się ruszyło. Marcus Martin włożył

trumienkę do wykopu, a niektórzy z żałobników nachylili się, żeby położyć kwiaty na grobie i wokół

niego. Błysnął flesz. Ksiądz zrobił krok do tyłu i zaczepił sutanną o krzak róży.

Martin odwrócił się i chociaż natychmiast spojrział w inną stronę i zaczął

rozmowę z innym żalobnikiem, było oczywiste, że zauważył Diamonda i Julie zmierzających w jego kierunku.

-

Pozwoli pan? - zapytał Diamond, stając przy Martinie. - Proszę nam dać jeszcze jedną szansę

-

Nie mam niczego do dodania, wszystko powiedziałem poprzednim razem - odparł Martin. - I to doprawdy nie jest okazja...

-

No to zabierzemy pana do samochodu - rzucił stanowczo Diamond.

Niewygodnie wciśnięty obok Martina na tylnym siedzeniu powiedział:

-

Dotkliwie brakuje nam czasu. Czy podczas pańskich gorących stosunków z Britt widział ją pan kiedykolwiek nago?

Marcus Martin miał prawo czuć się zaskoczony bezpośredniością pytania, ale odpowiedział dość gładko.

-

Oczywiście.

-

Więcej niż raz?

-

Często.

-

Nie wstydziła się swojego ciała?

-

Oczywiście, że nie. Dlaczego pan pyta?

-

Czyli właśnie pana należy zapytać o tatuaż w kształcie motyla na jej lewym pośladku?

Pułapka nie była subtelna, ale zadziałała.

-

A, to - powiedział Martin, siląc się na bezceremonialność.

-

Musiało to słodko wyglądać, kiedy szła - zauważył Diamond.

-

To był paź królowej czy rusałka admirała?

-

Nie jestem w stanie odpowiedzieć - rzekł Martin. - Nie wiem nic na temat motyli.

-

Nie wie pan nic na temat pośladków Britt. Koniec i kropka -

stwierdził Diamond. - Tam nie było tatuażu, przyjacielu. Wymyśliłem to tak, jak pan wymyślił romans z tą kobietą.

-

Ale...

-

Postawmy sprawę jasno. Odmówiła panu, prawda? Tych szalonych, gorących trzech tygodni nigdy nie było.

-

No...

-

Powinienem zdać sobie sprawę, że jest pan specjalistą od robienia w konia. Możemy pana oskarżyć za składanie fałszywych zeznań, wie pan o tym? Lepiej nie igrać z losem. Możemy zaufać temu, co

nam pan powiedział? Przychodziła do pana, żeby pojeździć konno. Wyłącznie po to. Zgadza się?

Diamond aż parował. Nic nie może się równać z satysfakcją płynącą z usidlenia kłamcy. Przyłapanie wymownego, gładkiego Marcusa Martina sprawiało Diamondowi szczególną przyjemność.

Marcus oparł się, zamknął oczy. Próbował zachować pozory spokoju.

-

Ogólnie tak.

-

Przystawiał się pan do niej, a ona pana nie chciała?

-

Wy, policjanci, sprawiacie, że wszystko staje się takie ordynarne.

-

Ale według wcześniejszych zeznań więcej niż raz gościł pan w domu w Larkhall.

-

To prawda - przyznał, otwierając oczy i pochylając się do przodu.

-

Nie miała samochodu. Zwykle podwoziłem ją land roverem.

-

Nikła nadzieja, ale zawsze nadzieja. Ale za każdym razem odmawiała, prawda? Popołudniowa herbatka w Canary to była część kampanii, zgadza się?

Martin odezwał się głosem o pół tonu wyższym.

-

Nie, była zupełnie niezaplanowana. Tamtego popołudnia chciała zrobić zakupy, zaparkowałem samochód w mieście i poszedłem z nią na herbatę.

-

Wtedy zobaczył pan G.B. i zdenerwował się, z kim ona się zadaje, przynajmniej tak pan twierdził.

-
Mówiłem prawdę. Nadal żywiłem nadzieję, że...

-
Ze zdjęcie dla pana majtki.

-
Chyba do tego się to sprowadza, chociaż brzmi to wulgarnie.

Diamond uczepił się najistotniejszej części odpowiedzi.

-
Nie dawał pan za wygraną? Nie przyjmował pan do wiadomości słowa „nie”?

-
A kto by przyjął? - powiedział Martin, korzystając z okazji, żeby dokonać uogólnienia. - Wszystkie z początku mówią „nie”.

-
A mają na myśli „tak”? - dokończył Diamond. - Lepiej niech pan uważa na słowa, przyjacielu. Obecna tu detektyw Hargreaves jest zadeklarowaną feministką.

Julie, która bez ruchu siedziała na fotelu kierowcy, nie skomentowała tego, ale w spojrzeniu, którym we wstecznym lusterku obrzuciła ich obu, była wyraźna dezaprobata.

-
Nalegał pan. - Diamond nie popuszczał. - Nie był pan w stanie uwierzyć, że odrzuciła propozycję pana, mistrza konia wierzchowego, uwielbianego przez wszystkie małe dziewczynki, które szwendają się po stajniach. Na pewno nie kupował jej pan nigdy kwiatów? Niech pan uważa. Już pana przyłapaliśmy na jednym kłamstwie.

-
Absolutnie nie.

-
Bukiet róż byłby bardziej w pańskim stylu niż innych facetów.

Sprawdziliśmy wszystkie kwaciarnie w promieniu wielu kilometrów.

Może jednak zmieni pan zeznanie?

-

Nigdy nie kupowałem jej żadnych kwiatów. - Martin mówił spiętym głosem, był zdenerwowany. Nie było wątpliwości, że wie, jakie znaczenie ma to pytanie, ale czy kłamał?

-

Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

-

Już panu mówiłem.

-

A ja daję panu szansę, żeby powiedział pan, jak było naprawdę.

Martin ze znużeniem pokręcił głową.

-

Na weekend przed jej śmiercią wyjechałem do Brukseli razem z narodową reprezentacją konia wierzchowego. To było chyba w czwartek przed moim wyjazdem, przyjechała na konie. Powiedziała, że to dla niej ostatnia okazja, bo niedawno zapisała się do college'u i nie będzie miała czasu. Jak zwykle zaproponowałem, że odwiozę ją do Bath. Powiedziała, że zamówiła taksówkę. Przesłanie było jasne i wyraźne. Nawet nie podaliśmy sobie rąk na pożegnanie.

-

Kiedy wrócił pan z Brukseli?

-

W niedzielę, późnym wieczorem.

-

I nie widział się pan już z Britt?

-

Nie.

-

I nie miał pan z nią żadnego kontaktu?

-
Żadnego.

-
Proszę mi przypomnieć, co pan robił w czwartek, osiemnastego października 1990 roku, w ostatni wieczór życia Britt Strand.

-
Spędziłem ten wieczór spokojnie, z przyjaciółką.

-
Z tą młodą kobietą, która wkrótce potem zmarła na zapalenie opon mózgowych.

-
Tak. Gdyby żyła...

-
Nie rozmawialibyśmy teraz, proszę pana. Miałby pan alibi na mur beton. - Diamond był w swoim najlepszym bojowym nastroju. Wiedział, na czym polega niebezpieczeństwo: za bardzo zdominuje przeciwnika i odbierze mu głos. - W zeznaniu sprzed czterech lat napisane jest, że w krytyczny wieczór był pan w mieszkaniu przy Walcot Street z tą młodą kobietą. Jak się nazywała?

-
Kelly McClure.

-
Czy ktoś inny mógłby to potwierdzić?

-
Już wtedy panu mówiłem. Nie.

-
Szkoda. Robię dla pana, co mogę. Podał mi pan parę niezbędnych informacji, które okazały się prawidłowe, mógłbym więc przy najmniej pomóc panu z tego się wygrzebać.

-
Jakie to informacje? - zapytał Martin, podejrzliwie podchodząc do tej zmiany taktyki.

-
Zwierzenia Britt, że właściciel domu ją nagabuje, daje prezenty i tak dalej. To była prawda. Sprawdziłem. Musiał pan być dobrym słuchaczem, że Britt mówiła szczerze.

Martin nie przyjął komplementu.

-
W ten sposób chciała mi powiedzieć, żebym trzymał się od niej z daleka. W ogóle niepochlebnie wyraziła się wtedy o mężczyznach.

-
Naprowadził pan nas też na kolejnego mężczyznę w jej życiu: punka G.B.

-
To nie była sympatia na serio - wyjaśnił Martin. - Wykorzystywała go.

-
Powiedziała to panu?

-
Nie mogła tego jaśniej wyrazić. - Łatwiej mówiło mu się teraz, kiedy chodziło o kogoś innego. - Była cholernie dobrą dziennikarką i zajmowała się swoimi zawodowymi sprawami. Czarowała go, żeby uzyskać kontakt.

Pisała ten artykuł o punkach w Bath.

-
Wiem. Jest pan pewien, że z panem nie prowadziła tej samej gierki?

Nachmurzył się.

-
Jakiej gierki?

Diamond wyłożył teorię, której nie omówił ani z Julie, ani w ogóle z kimkolwiek, a to z tej prostej przyczyny, że dopiero teraz na nią wpadł.

-
Powiedział pan: czarowała go, żeby uzyskać kontakt.

-
Co ja mógłbym jej powiedzieć?

-
Niech sam pan mi powie, panie Martin. Zawody konia wierzchowego to sport z najwyższej półki i jestem pewien, że znalazłby sobie miejsce w ilustrowanych czasopismach. Sama była dobrym jeźdź-

cem, prawdopodobnie opisałaby kariery skoczków międzynarodowej klasy, takich jak pan. Żaden zawodowy sport nie jest wolny od skandału, a pan jej mógł o tym opowiedzieć.

-
Doprawdy? - W głosie Martina zabrzmiał sceptycyzm. Diamond, który nie znał światka koniarzy, szukał po omacku.

-
Na przykład doping dla koni. Jak się nazywa ten środek przeciwbólowy, który im podają?

-
Pan jest bardzo zapóźniony. - Martin starał się być zjadliwy.

-
Ale czasopisma sprzedają czytelnikom historie o ludziach, a nie o naszych czworonożnych przyjaciołach. - Diamond się nie spieszył. - Handel zawodnikami. Z wyłączeniem obecnych, to, co się robi, żeby mieć osiągnięcia w konkursach konia wierzchowego albo w turniejach. Idę o zakład, że miałby pan o czym opowiadać.

-
Gdybym to zrobił - zauważył Martin - wypadłbym z gry. Sądzi pan, że zrezygnowałbym z kariery?

-
Gdyby tak było, miałby pan motyw do zabójstwa.

-
Co?

-
Zdradziłby pan jej sensację, a potem pożałował, wrócił i uciszył ją.

-
Nie. - Martin rąbnął pięścią w fotel z przodu. - Powiedziałem prawdę. Britt nie była zainteresowana ani mną, ani moim zawodem. Po prostu przyszła do mnie, żeby pojeździć konno. Spodobała mi się, podwiozłem ją kilka razy do domu, ale nie pozostawiła mi wątpliwości, że chce, żebym się od niej odczepił. Czy tak trudno to panu zrozumieć?

Na zewnątrz panował już mrok, to normalne w październikowe popołudnie, wszystkie inne samochody odjechały, został tylko range --

rover, który musiał należeć do Martina. A z przesłuchania nadal nie wyłoniło się nic istotnego. Diamond z uporem zaczął zarzucać sieć po nowy połów.

-
W porządku, panie Martin. Przyjmuję to, co mi pan powiedział. Nie uprawiał pan z nią seksu. Nie dał jej pan materiału do artykułu. Nie zabił

jej pan. - Pozwolił, żeby Martin przyswoił to, zanim dodał: - Nadal jest pan świadkiem i to być może istotnym. Rozmawiał pan z nią kilka razy w ostatnim miesiącu jej życia. Mówił mi pan o innych mężczyznach, o których wspominała, Billingtonie i G.B. Czy był ktoś jeszcze?

Martin pomyślał chwilę i powiedział.

-
Nie.

Diamond nadal sondował.

-
Pytałem już pana kiedyś, czy wspominała o Johnie Mountjoyu.

-
Nie wiedziałem o jego istnieniu, dopóki nie usłyszałem o jego aresztowaniu.

-
W porządku. Czy mówiła o kimś jeszcze nie wprost, bez nazwiska, o jakimś innym mężczyźnie, z którym się spotykała?

-
Nie.

-
O kimś nieznanym, kto ją obserwował? Czy odniósł pan wrażenie, że wie o jakimś zagrożeniu?

-
Nie. Wręcz przeciwnie. Robiła wrażenie pewnej siebie.

-
Jakby panowała nad swoim życiem?

-
Tak. Ale... - przerwał.

Peter Diamond czekał, siedząc w ciemności obok Martina.

-
Owszem, raz mi się zwierzyła - jak ona to powiedziała? - że nie chce mieć wobec nikogo zobowiązań. Chyba zaproponowałem, żeby zapomniała o pieniądzach, które jest mi winna zajazdy. Nalegała, że zapłaci. Powiedziała, że raz przyjaciel pomógł jej wyjść z opresji.

Powiedziała coś o aktach życzliwości, które zmuszają człowieka, żeby czuł się zobowiązany.

-
Wymieniła nazwisko?

-
Nie.

-
To mężczyzna?

-
Odniosłem takie wrażenie.

-
I niepokoił ją? Martin pokręcił głową.

-
Nie ujęła tego w ten sposób. Próbuję sobie przypomnieć, co powiedziała. Odniosłem wrażenie, że przed kilkoma latami przeżyła jakiś kryzys.

-
Tutaj, w tym kraju?

-
Chyba tak. Musiało to być tutaj, bo mówiła, jakby ten ktoś na-dal był gdzieś w okolicy, blisko. Tak czy inaczej, pomógł jej pokonać ten kryzys, a to wiązało się z pewnym ryzykiem dla niego. Złe się z tym czuła.

-
Obawiała się, że może zażądać spłaty długu?

-
Nie wiem.

-
To wszystko?

-
Możliwe, że przedstawiłem to w przesadny sposób. Powiedziała tylko...

Diamond przerwał mu nagle.

-
Może pan już iść.

Nachylił się nad nim i otworzył drzwi samochodu. Kiedy znów się zamknęły, powiedział do Julie:

-
Conkwell. Jedziemy do Conkwell. Zapytała, czy chce się przesiąść do przodu.

Nie. - Musimy się śpieszyć. Nie mamy tyle czasu, ile mi się wydawało.

Rozdział 24

KIEDY DOJEŹDŹALI DO PUBU WESTON, zobaczyli przed sobą zbliżające się światła hamowania. Przypomnieli sobie, że co wieczór na tym odcinku Upper Bristol Road tworzy się korek. Diamond irytował się.

Zapyta, czy nie ma jakiegoś skrótu.

-

Mogę zrobić tylko jedno. Przejechać nad rzeką po Windsor Bridge - zaproponowała Julie. - I tak tamtędy pojedę. A dlaczego Conkwell?

-

Hm.

-

Powiedział pan przecież, że mam pana zawieźć do Conkwell.

Pytałam tylko dlaczego. To wszystko.

-

Nie pamiętasz? - skarcił ją. - Jake Pinkerton ma tam studio na-grań.

W lasach pod Conkwell.

-

Nie było mnie z panem, kiedy pan przesłuchiwał Pinkertona - odparła lodowato.

-

To gdzie byłaś?

-

Nie pamięta pan? - powtórzyła jego pytanie zadane przed chwilą. -

Wysłał mnie pan do Prue Shorter, ku mojemu rozczarowaniu. Nawet nie porozmawiałam z gwiazdą popu.

-
Nie straciłaś niczego szczególnego - odparł. Odetchnęła mocno.

-
Dziesięć lat temu wydrapałabym panu oczy za te słowa. W sypialni miałam jego zdjęcie.

-
Był goły? Parsknęła śmiechem.

-
Wtedy nie miałabym nic przeciwko temu.

-
Większość z tych gwiazd popu to durnie.

-
Wie, co robi, skoro przetrwał tak długo. - Przejechała na prawe pasmo. Musieli poczekać, żeby wjechać na most. - Zakłada pan w ciemno, że to Jake Pinkerton jest facetem, który pomógł Britt w trudnej chwili?

-
Nie w ciemno - powiedział Diamond. - To matematyczna pewność.

Wiemy, że to przyjaciel, mężczyzna, mieszka w okolicy, mógł pomóc i znał Britt na parę lat przed morderstwem. Sporo zbieżności, prawda?

Nie odpowiedziała.

-
Wszystko układa się w całość - mówił Diamond. - Kiedy zobaczyłem te dziewczyny z różami na pogrzebie konia, przypomniało mi się coś, co powiedział Pinkerton. Powiedział, że jakiś gnojek posłał

tużin czerwonych róż na pogrzeb Britt. Widzisz teraz, skąd mi się wziął

Pinkerton.

-
„Gnojek” to chyba właściwe określenie - oceniła Julie. - Jaki brak wyczucia!

-
Chyba że było to zrobione celowo - zauważył Diamond. - Chyba że posłał je morderca.

-
Czy to prawdopodobne?

-
Nie wiem, czy prawdopodobne, wiem, że możliwe. - Popatrzył przed siebie na sznur samochodów. -
Ruszaj. Światła się zmieniają. Mamy do czynienia z dziwakiem, który robi z trupa układankę kwietną, coś więc dziwnego w przysłaniu kolejnych róż na pogrzeb?

Za Windsor Bridge nie stali już w korku, ale nadal posuwali się powoli.

Jechali w równym tempie Lower Bristol Road aż do Widcombe Hill, potem wybrali skrót przez Claverton Down, po to żeby natrafić na kolejny korek u podnóża Brassknocker, gdzie droga łączyła się z A36.

Diamond bębnił palcami w zagłówek na przednim fotelu.

-
Mamy latarkę w samochodzie? - zapytał.

-
Nie sprawdzałam - odparła Julie.

-
Będzie nam potrzebna.

Znowu ruszyli, podjechali na pocztę w Limpley Stoke, kupili praktyczną lampę dającą silny strumień światła, który wypróbowali na ścianie pubu po drugiej stronie ulicy. Zapadła już czarna jak smoła noc.

-
Wiesz, jak dalej jechać? - zapytał Diamond, gdy zawracała samochód.

-
Myślę, że dowiozę pana do Conkwell - stwierdziła. - Często przejeżdżam przy drogowskazie na Winsley Road.

Przyjemnie się idzie do Conkwell - powiedział Diamond. - Ruśszasz przy Dundas Aqueduct, idziesz przez pole i stromą trasą przez las. Ale to nie dzisiaj.

-

Nie wiedziałam, że taki z pana piechur.

-

To mój sąsiad - wyjaśnił. - Buciory, plecak, cyklistówka, laska, wszystko, co trzeba. Co za kutafon!

Znaleźli skręt i ruszyli jednopasmową drogą między wysokimi żywopłotami. Mgła sprawiała, że jazda była trudna, światła drogowe po-garszały sprawę. Julie przełączyła je na postojowe, które dawały wi-doczność na jakieś dwadzieścia metrów. W takich warunkach jazda czterdziestką zdawała się aktem szaleństwa. Droga była tak wąska, że nie mogliby wyminąć nawet rowerzysty. Diamond zdobył się na sa-mokontrolę i siedział cicho, pozwalając Julie się skupić. W głębi duszy błagał los, żeby przez kolejnych pięć minut nic nie wjechało na wąską drogę i jednocześnie, żeby Julie nie zdjęła nogi z gazu.

Przejechali mniej więcej dwa kilometry i dotarli do grupki budyn-ków.

Znak ostrzegał, że na drodze po lewej stronie nie ma miejsca, żeby zawrócić, dojechali więc do wlotu ulicy i wysiedli. Mogli teraz sprawdzić, ile warta jest ich latarka.

Conkwell to mała wioska składająca się ze zbudowanych z ka-mienia domków, skupionych na stupięcdziesięciometrowym odcinku stromego zbocza doliny Avonu. Za dnia przyjemnie tu wpaść z wizy-tą, w nocy to koszmar. Wieczór się dopiero zaczynał, w kilku oknach świeciło się światło. Diamond zastukał do drzwi pierwszego z brzegu i poprosił

starszego mężczyznę, który im otworzył, żeby pokazał dro-gę do studia nagrań. Staruszek wiedział, o co pytają. Powiedział, że muszą iść około dwóch kilometrów, ale nie radzi chodzić po lesie po zmroku.

Podziękowali mu, zignorowali jego radę i weszli na ścieżkę, która choć wyglądała, jakby prowadziła do czyjegoś ogrodu, natychmiast za-prowadziła ich do lasu Conkwell. Diamond szedł pierwszy. Brodząc w grubej warstwie liści, oświetlał drogę latarką.

-

Są takie pory roku, że można tu jeszcze usłyszeć słowiki -

poin-formował Julie, jakby prowadził wycieczkę krajoznawczą. I zaraz do-dał: - Tak mi powiedział sąsiad. - Jedynym dźwiękiem, który słyszeli w ten szczególny wieczór, był nieustający szum samochodów dobie-gający przez dolinę od A36. Co jakiś czas widzieli przesuwające się re-flektory, bo las po ich prawej stronie był mniej gęsty. Diamond wrócił

do swoich słowików.

-
W dzisiejszych czasach na tym zadupiu bardziej można się spodziewać, że człowiekowi bębni w uszach popękają od rocka.

-
Nie wydaje mi się - zaprzeczyła Julie. - Studio musi być dźwiękoszczelne.

Co kilka kroków podnosił latarkę, żeby zobaczyć, co jest z przodu, ale na razie niewiele się zmieniało, tyle że między pniami i krzakami co jakiś czas zdarzały się spowite pnączami uschnięte drzewa, które opierały się pod dziwnymi kątami o gałęzie innych drzew. Ścieżka była dość gładka dzięki temu, że regularnie używali jej konni i piesi turyści, ale po obu stronach rozciągały się gęste krzaki, głównie jeżyny. W pewnej chwili spłoszyli ptaka siedzącego na gałęzi. Odleciał z piśkiem szukać bezpieczniejszego miejsca.

Po kilku minutach ostrożnego marszu, bo kamienie na ścieżce stały prawdziwe zagrożenie, minęli dwumetrowy płot z drucianej siatki, zwieńczony potrójnym zwojem drutu kolczastego. Po bliższym przyjrzeniu mu się w świetle latarki stwierdzili, że za bardzo pokryty jest rdzą, żeby mógł być wzniesiony przez Jake'a Pinkertona, który zbudował

swoje studio w połowie lat osiemdziesiątych. Ścieżka omijała płot, poszli więc dalej.

Płot Pinkertona był wyższy, niepokryty rdzą i miał na szczycie instalację elektryczną. Na siatce, w równych odstępach, umieszczona była nazwa firmy ochroniarskiej. Szli wzdłuż ogrodzenia, szukając wejścia. Co jakiś czas Diamond oświetlał teren za siatką.

-
Szuka pan czegoś konkretnego? - zapytała Julie.

-
Może - mruknął. - Ale to musi być dobrze schowane.

-
Trudno będzie znaleźć z latarką.

-
Tak.

Chwilę później, w najgłębszych ostępach leśnych uruchomili sterowany fotokomórką podwójny zestaw reflektorów. Nieruchomi jak króliki na autostradzie zobaczyli wejście. Do studia prowadziła

po-rządna, szeroka droga.

-

Niepotrzebnie zniszczyłam buty - powiedziała Julie, żeby od-zyskać panowanie nad sobą.

Diamond nie słuchał. Znalazł skrzynkę z mikrofonem, głośni-kiem i kamerą dozoru.

-

Policja - rzucił, gdy w głośniku rozległ się trzask. - Do pana Jake'a Pinkertona.

-

Pan Pinkerton wyjechał - zabrzmiała odpowiedź.

-

Mimo wszystko chcielibyśmy wejść.

-

Proszę poczekać przy szlabanie.

Przeszli przez bramę. Mężczyzna w czarnym mundurze ze srebr-nymi guzikami i czapce z daszkiem otworzył przed nimi drzwi i za-pytał, czy może służyć jakąś pomocą - jego ton jasno wskazywał, że to ^jakąś"

oznacza ograniczenie, a nie nieskończoną wspaniałomyślność.

-

Oczywiście, że pan może - powiedział Diamond, który w swo-im czasie wykonywał podobną pracę i wiedział, jak postępuje się z nieumówionymi gośćmi. - To inspektor Hargreaves, a ja nazywam się Diamond. Julie, pokaż panu identyfikator. Jak dawno wyjechał pan Pinkerton?

-

Co najmniej godzinę temu.

-

Czyjechał do domu?

-

Nie wiem, proszę pana.

-
Domyślam się, że w samochodzie ma telefon - pospieszyła z pomocą Julie.

-
Dobry pomysł. - Diamond zwrócił się do ochroniarza. - Lepiej, żeby wiedział, że tutaj jesteśmy. Czy jest tu jeszcze ktoś?

-
Dwa studia są zajęte. Pewien zespół ma właśnie nagranie.

-
Miałem na myśli pracowników.

-
Główny inżynier dźwięku w reżyserce i menedżer studia, ale nie należy im przeszkadzać, chyba że w bardzo ważnej sprawie.

-
W takim razie nie będziemy ich fatygować. Pan sam może mi pokazać co trzeba, panie, hm...
Humphrey. Przy okazji, służył pan w policji? - Zgodnie z zasadą, że lepiej jest się obsłużonym, kiedy się zwraca do ludzi po nazwisku, podszedł na tyle blisko, żeby odczytać plakietkę z nazwiskiem Cyrila Humphreya.

Ochroniarz się zaczerwienił.

-
Nie mogę panu pomóc. Nic nie wiem na temat spraw studia.

-
Studio nas nie interesuje. - Diamond wiedział, że mówi wyłącznie w swoim imieniu. - Chcę zobaczyć, gdzie parkujecie samochody.

-
To jest na tyłach.

-
A zatem chcielibyśmy rozejrzeć się na tyłach.

Zadziałało. Po drodze na parking mieli okazję zajrzeć do studiów, bo nowoczesny trend w architekturze tego typu budowli preferuje wielkie okna w miejscach, w których kiedyś za niezastąpioną uważano wykładzinę dźwiękoszczelną. Artyści nie muszą się już czuć, jakby zamknięto ich w bunkrze; sesja nagraniowa i próby były widoczne dla każdego, kto przechodził obok okna. Stąd zapewne te wszystkie wymyślne zabezpieczenia. W studiach nikt nic nie robił. Długo-włosa młodzież próżnowała, nudziła się i popijała coś z papierowych kubków.

-

Tędy pójdziemy na parking - poinformował ich Humphrey.

Na asfaltowym kwadracie stało około dziesięciu wozów, ale miejsc było na trzy razy więcej. Diamond przejechał po samochodach światłem latarki.

-

Czy szef zostawia tutaj swój samochód?

-

Pan Pinkerton? Nie, proszę pana. Ma prywatny garaż z drugiej strony.

-

Chcielibyśmy go potem obejrzeć.

-

Nie da rady. Jest otwierany elektronicznie.

-

Z zewnątrz?

-

Tak. Pan Pinkerton ma samochód z czujnikiem.

-

Który uruchamia mechanizm?

-

Tak. Nie mamy zapasowego.

-

Drzwi się otworzą, kiedy wjedzie, zamykają się za nim?

-

Tak, proszę pana. - Cyril Humphrey był chyba bardzo zadowolony, że zastosował się do zasad i nie może wpuścić ich do garażu.

-

Muszą więc być wewnętrzne drzwi - powiedział Diamond -

prowadzące do jego biura, prawda? Dlatego wszyscy razem tam pójdziemy i dostaniemy się do środka.

-

Nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za wpuszczenie państwa do biura pana Pinkertona. Nie mam na to zgody. - Zaczynały się zmagania.

-

Biuro nas nie interesuje - odparł Diamond. - Chcemy zobaczyć garaż.

-

Jest pusty.

-

Powiedziałem garaż, nie samochód.

-

Może pan do niego zadzwonić - przypomniała Julie ochroniarzowi.

Postawiony wobec perspektywy rozmowy z Pinkertonem o policjantach, którzy chcą zajrzeć do garażu, Humphrey spuścił z tonu. Pozwolił im wejść do budynku. Korytarzem wykładanym dywanem, ze ścianami obwieszonymi obrazami, przez sekretariat dostali się do świątyni - pokoju umeblowanego jak scena wagnerowskiej opery, na czarno i srebrno, z żelaznymi tronami (nie sposób było nazwać tego krzesłami), ogromnym, żelaznym okrągłym stołem i mosiężnymi kinokietami. Na ścianach wisiały tarcze herbowe.

Ochroniarz skierował ich do pomalowanego na czarno kawałka ściany, w której sprytnie ukryte były drzwi. Po kilku kamiennych stopniach schodziło się do prywatnego garażu Jake'a Pinkertona. Było to czyste, betonowe pomieszczenie, w którym mogły się zmieścić cztery wozy

-

widzicie? - zapytał Humphrey. - Nic tu nie ma. Diamond zrobił

krótki obchód i powiedział.

-

Czy to jedyny garaż? A inni goście? Czy jest jakieś pomieszczenie, gdzie mogliby zostawiać samochody?

-

Jest tylko ten garaż.

-

Dziękuję. Jakie zabezpieczenia macie na zewnątrz? Po Humphreyu widać było, że czuje się nieswojo.

-

O co panu chodzi, o płot?

-

O teren. Patrole z psami? Reflektory? Alarmy?

-

To skuteczny system - odpowiedział ostrożnie ochroniarz.

-

Mógłbym się tu przejść bez dobermana przy gardle? Humphrey zrozumiał, że ma do czynienia z prawdziwym ekscen-trykiem.

-

Chce pan wyjść, obejrzeć okolicę? To niemożliwe. Tam jest dzi-ko.

Gęsty las.

-

Wiemy. Szliśmy wzdłuż płotu. Załatwmy tę sprawę, panie Humphrey. Mamy mało czasu.

-

Nikt tam nie chodzi. - Humphrey próbował przemówić mu do rozumu. - Tam nic nie ma.

-
Zaraz będzie - powiedział Diamond. - A mianowicie inspektor Hargreaves i ja z naszą latarką oraz każdym, kto zechce do nas dołączyć.

Gdyby chciał pan pójść, będzie pan potrzebował latarki. Prawdę mówiąc, lepiej, jeśli będą dwie.

Humphrey nie mógł zrozumieć, czemu ci ludzie go dręczą. Skapił.

Zaprowadził ich z powrotem do pomieszczenia kontrolnego przy wejściu, żeby wziąć latarki.

-
Właściwie czego państwo szukają?

-
Zaginionego miasta Inków - mruknął Diamond.

-
Tam? Tam nic nie ma. Zaręczam panu.

-
Skąd pan wie, skoro nikt tam nie chodzi?

-
No...

-
To, co schowano sześć lat temu, teraz będzie mocno zarośnięte. -

Diamond poprowadził ich wokół budynku, wymachując latarką, aż doszli do miejsca, w którym krzaki podchodziły na kilka metrów do parkingu.

Kiedy jest ciemno, można się pomylić w ocenie odległości, ale na oko uznał, że studio zajmowało obszar wielkości połowy boiska piłkarskiego, większość wolnego terenu leżała poza budynkami.

Zarośla tworzyły kłującą, bujną zaporę. Diamond podniósł jakiś kij i wyrębał nim drogę między dwoma krzakami. Zanurkował, zaklął i wychynął z dwoma solidnymi kijami, które wręczył Julie i Humphreyowi.

Ze studia wyszli muzycy, zaciekawieni tym, co się dzieje. Doszli do wniosku, że to dobra zabawa, i zaproponowali, że się do niej dołączą.

Podobnie postąpiło kilku techników. Diamond wpadł na sprytny pomysł, zarekwirował trzy samochody i ustawił je tak, żeby reflektorami oświetlały las. Sprawa przybrała postać policyjnego przeszukania. Diamond rozstawił pomocników w tyralierę, która miała przeczesać teren.

Rozległ się szelest stóp po ściółce, przerywany odgłosami rąbania zarośli i od czasu do czasu okrzykiem, kiedy ktoś znalazł jakiś śmieć. Było zimno, nieprzyjemnie, ale humory dopisywały. Niecodziennosc zadania sprawiała, że wszyscy się do niego przykładali, dopóki z grupy muzyków, idącej po lewej stronie nie dobiegł okrzyk.

-

Co teraz zrobić?

-

Jakiś problem? - odkrzyknął Diamond.

-

Utknąłem, nie mogę iść dalej.

-

Dlaczego?

-

Tutaj jest jakaś szopa.

-

Już idę.

Zanim doszedł, inni już się zgromadzili na miejscu. Była to ceglana komórka z dachem z blachy falistej, tak mocno zarośnięta, że nie można jej było zauważyć ani ze studia nagrań, ani od strony płotu. Musieli zerwać całe masy bluszczu i powojów, żeby dostać się do drzwi. Silnie skorodowana kłódka łatwiej dała się zerwać niż niektóre z pnączy. Drzwi rozwarły się szeroko, kiedy mocno pociągnęli klamkę.

Latarki zaczęły sondować ciemne wnętrza. Ktoś zapytał:

-

Czy tego szukaliśmy?

W świetle latarki ukazała się jakaś powierzchnia: widać było wgniecioną, chromowaną oprawę reflektora samochodu. Szkła nie było, zostało tylko kilka odłamków. Diamond nachylił się, żeby

wytrzeć mańską. Czerwony kolor, ośmiokątna plakietka mgb, przymocowana do czarnego, poliuretanowego zderzaka. Serce zabiło mu szybciej. Pochylił się niżej i starł warstwę błota i mchu z tablicy rejestracyjnej. To był numer, którego szukał: VPL 294S. Samochód Britt Strand, nieużywany od 1988 roku.

-

Niech ktoś tutaj zaświeci - zażądał. Przeciskając się między ścianą a burtą samochodu, zdierał wieloletnią warstwę kurzu i zbutwiałych liści, które wpadły przez dziury w dachu garażu. Latarka Julie pozwoliła mu lepiej się przyjrzeć.

-

Lewy błotnik jest uszkodzony, widzisz? - powiedział. - Mocno wgnieciony. Druga strona w porządku?

Ktoś poświecił i powiedział;

-

Z tej strony wszystko w porządku.

-

Ten reflektor jest rozbity, a zderzak się wygiął - mruknął Diamond.

- Samochód z całą pewnością w coś uderzył. - Podniósł wzrok. - A więc o to chodziło. Ile czasu nam zostało?

Popatrzyła na zegarek.

-

Do północy? Niecałe cztery godziny.

Rozdział 25

BUDZĄC SIĘ, SAMANTHA POCZUŁA CIEPŁO NA TWARZY.

Uczucie całkiem przyjemne, jeśli zważyć, jak zimna była reszta ciała -

przyjemne do chwili, kiedy zaczęła podejrzewać, że ciepło, które czuje, to ludzki oddech. Słyszała już chrapliwe wdechy i powolne wydechy.

Przeżrana otworzyła oczy, ale niczego nie zobaczyła. Pokój tonął w ciemności. Nie myliła się. Ciche, rytmiczne chrapanie nie ustawało.

Próbowała się odwrócić i stwierdziła, że nie może. Miała związane ręce i nogi. Po tym, jak próbowała zwrócić na siebie uwagę na balkonnie, Mountjoy powalił ją na podłogę, zaciągnął do środka i związał jeszcze mocniej. Wściekły, wpadł w furję i aż stękał z wysiłku, zaciskając węzły na sznurze. Tym razem do jej zakneblowania użył kawałka taśmy klejącej.

I tak zostawił ją na podłodze. Leżała, czekając, aż ją skopie i zbije, nadal naga od pasa w górę.

Ale kiedy ją poskromił, poszedł sobie. Jakiś czas potem musiał narzucić na nią koc.

Zbliżył się do niej po cichu. Po raz pierwszy zakradł się w ten sposób. Do tej pory darzył ją szacunkiem, jeśli tak można mówić o sytuacji zakładnika. Nie robił aluzji seksualnych, nigdy celowo nie położył ręki na intymnych częściach ciała.

Oddech przyspieszył. Poczwała jego dłoń na swoim ramieniu.

-

Nie śpisz? - zapytał.

Nie mogła odpowiedzieć, bo była zakneblowana, a i tak nie wiedziałaby, jakich słów użyć.

-

Kiwnij głową.

Posłuchała. Czy położył się tak blisko niej tylko po to, żeby sprawdzić, czy oddycha?

Zaczął odrywać taśmę klejącą. Jedną dłoń podłożył jej pod policzek, żeby nie ruszała głową.

-

Jeśli krzykniesz, nie dostaniesz jeść - ostrzegł.

Twarz ją piekła. Głęboko nabrała powietrza. W ustach czuła przykry smak.

Odwiązał jej ręce. Poczwała, że coś w nie włożył: to banan. Obrała go. Była głodna.

-

Obserwowałem tych na dole - powiedział. - Wiedzą, gdzie jesteśmy, dzięki twoim wygłupom. Zatrzymali ruch w okolicy i wysłali ludzi na dachy domów.

Ucieszyła się. Ktoś musiał zauważyć, jak machała koszulką. Połknęła banana trzema łykami. Wargi miała zdrętwiałe tam, gdzie uciśkał je knebel. Dotykając ich ostrożnie czubkami palców, powiedziała najbardziej niewinnym tonem, na jaki była w stanie się zdobyć.

-

Co teraz będzie?

-

Skąd mam wiedzieć? - odparł.

-

Czego się spodziewasz?

-

Powiem ci, czego się spodziewam - rzekł z rozgoryczeniem. -

Spodziewam się, że ten gruby detektyw odda mi sprawiedliwość, którą jest mi winien. Gdzie on jest? Nie widzę go na ulicy.

Nutka szaleństwa w jego głosie zaniepokoiła ją. Mogła tylko próbować spełnić jego zachcianki i modlić się, żeby działania policji nie przeraziły go. Przecież gdzieś nadal ma pistolet.

Pomyślała o ojcu i zaczęła się modlić, żeby nie dowodził operacją. Tata nie był w stanie zachować się spokojnie i obiektywnie. Nie potrafiłby zakończyć oblężenia pokojowo.

-

Będziemy musieli się przenieść - powiedział Mountjoy.

-

Znowu?

Usłyszał rozpacz w jej głosie.

-

Nie gdzie indziej, tylko wewnątrz budynku. Niech zgadują.

-

Dokąd pójdziemy?

-

Gdzieś, gdzie będzie bezpieczniej, gdzie nie będą mogli nas zaatakować. Kiedy spałaś, rozejrzałem się. Chcesz się napić?

Pokiwała głową. Zrobiłaby tak, nawet gdyby nie chciało się jej pić. Trzeba przyjmować każdą propozycję jedzenia albo picia.

Włożył jej w rękę puszkę. Macała, szukając kółka do otwierania, ale miała zbyt zdrętwiałe palce, żeby je podnieść. Powiedziała, że nie da rady, i zrobił to za nią.

-

Nie łudzę się - wyznał. - Są wyszkoleni. To znaczy do oblężeń.

Dysponują ostatnimi zdobyczami techniki śledczej. Urządzeniami podsłuchowymi. Są w stanie wychwycić to, co teraz mówię do ciebie.

-

Zamilkł na jakiś czas, jakby zaniepokojony swoimi słowami.

Upiła łyk. Podjął wątek.

-

Ten stary budynek to nie forteca. Są drogi, którymi mogą tutaj wejść, nawet na sam szczyt, nie używając schodów. Na tyłach są zewnętrzne schody pożarowe i schody do tylnego wyjścia, łączące się z piwnicą. Albo mogą wspiąć się po balkonach od frontu. Mogą użyć dźwigu czy helikoptera.

Samantha uznała, że rozsądnie będzie nie odzywać się, kiedy mówi takim tonem. W myślach przypominała sobie zakończenia obław, które widziała w telewizji, kiedy używano gazu łzawiącego, a oddziały specjalne wkraczały w maskach gazowych i ubiorach ochronnych.

-

Powstrzymuje ich to, że nie wiedzą, w którym jesteśmy pokoju

-

powiedział Mountjoy z trochę większą pewnością siebie. Przerwał, a ona znowu usłyszała jego chrapliwe wdechy i wydechy. - Wiesz, gdzie teraz jesteśmy?

Oczywiście, że wiedziała. Nie wiedziała tylko, jak odpowiedzieć na takie pytanie.

-

Gdzieś blisko dachu?

-

Nie moglibyśmy wejść dużo wyżej, nawet gdybyśmy się starali

-

zaśmiał się. - Gdybyś stanęła na ulicy, przed budynkiem i popatrzyła do góry, to jesteśmy z lewej

strony, na końcu dwuspadowego dachu.

Przyglądałaś się kiedyś temu staremu hotelowi?

-

Raczej nie - przyznała szczerze.

-

Bo wtedy wiedziałabyś, dokąd mam zamiar cię zabrać. Na drugi koniec. Tam jest wieżyczka z blankami. To naprawdę najwyższe miejsce.

Mogą tam wysłać kogo chcą, a ja powstrzymam ich za pomocą pistoletu.

Nie ma tam balkonu. Wstawaj.

Włączył latarkę. Zobaczyła, że w drugiej ręce trzyma pistolet. Kazał jej zabrać kawałki sznura elektrycznego i owinać ramiona kocem. Zapytała, czy mogłaby najpierw włożyć koszulkę, której, jak zdążyła się zorientować, używała jako poduszki. Zgodził się. Sięgnęła też po futerał

na skrzypce, nie chciała ich tutaj zostawiać. Potem zarzuciła koc na plecy.

Wyszli z pokoju i zaczęli przemykać się korytarzem. Pomyślała, że to świetna okazja, żeby zorientować się, gdzie jest, rozglądała się, ale niewiele z tego wyszło, bo Mountjoy nisko skierował strumień światła z latarki, który tworzył plamkę w okolicy jej stóp. Na końcu korytarza kazał

jej skrócić w prawo i zaraz potem w lewo. Światło latarki oświetliło pierwsze stopnie spiralnej klatki schodowej.

Kiedy wchodziła po schodach, ogarnęła ją rozpacz. Mountjoy miał rację, pokój w wieżycze był nie do zdobycia. Nikt nie mógł ich zaskoczyć.

Mountjoy z pistoletem panował nad jedynym wejściem. Było pewne, że oblężenie zakończy się strzelaniną. Cóż innego poza śmiercią mogło z tego wyniknąć?

-

Drzwi na wprost.

Na schodach szedł tuż za nią, żeby nie mogła go kopnąć. Popchnął ją pistoletem. Przed sobą zobaczyła krótki korytarzyk z trojgiem drzwi.

Wieżyczka była podzielona na trzy segmenty.

-

Musieli tu mieszkać służący - ocenił Mountjoy, kiedy weszli do małego, ciasnego pokoiku. Dziwne, ale w jego głosie zabrzmiały jakby przeprosiny za brak wygód.

Pierwsze, nieco uprzejmiejsze słowa, jakie wypowiedział od paru godzin.

Samantha spróbowała nawiązać rozmowę.

-

Dzisiaj rozebraliby jedną z wewnętrznych ścianek, zainstalowali jacuzzi i nazwali to penthousem.

W świetle latarki wędrującym po pokoju zobaczyła, że łukowate okno wychodzące na ulicę było zabite deskami sięgającymi dobrze ponad głowę.

-

Gdyby to zdjęć, byłby wspaniały widok.

-

Jesteśmy tutaj właśnie ze względu na te deski - powiedział znowu wrogim tonem. - Nie można nas zobaczyć ani z opactwa, ani znikąd.

Złóż ręce za plecami.

Uprzejmości się skończyły. Zaczął ją wiązać. Robił to sprawnie, ale bez nienawiści.

-

Musisz mi wiązać nogi? - zapytała.

-

Chodzi o to, żebyś nie mogła wyjść z tego pokoju. - Tym razem jej nie zakneblował. Posadził ją pod ścianą ze sznurem elektrycznym ściśle oplecionym wokół dżinsów i położył jej koc na nogach. - Idę sprawdzić, co się dzieje.

Wyszedł z pokoju i zniknął na korytarzu. Miał rację, co do tej wieźniczki.

Mógł ją tu trzymać, nie ryzykując, że ktoś zobaczy ją z ulicy.

Prawdopodobnie okno w pokoju obok nie było zabite deskami i służyło mu do obserwacji.

Wkrótce z sąsiedniego pokoju dotarł do niej krzyk.

-

Dranie!

Serce zaczęło jej mocniej bić. Wszystko, co denerwuje Mountjoya, naraża ją na niebezpieczeństwo. Chwilę potem zrozumiała, dlaczego tak krzyknął: silny strumień światła wpadł do pokoju przez łuk okna niezasłonięty deskami. Na dole, na ulicy, włączono reflektory.

Wrócił do pokoju.

-

Zamiast nas dręczyć światłami, powinni spróbować negocjacji.

-

Pewnie usiłują stwierdzić, w której części budynku jesteśmy. Jak mają negocjować, skoro nie wiedzą, gdzie nas szukać?

Nie odezwał się.

Wyglądało na to, że przyznaje jej rację. Ośmieliło ją to, żeby dodać:

-

Potrzebny ci telefon komórkowy.

-

Dziękuję - odparł nieprzyjemnym tonem. - Następnym razem, kiedy będę uciekał z więzienia, nie zapomnę wsadzić go do kieszeni.

-

Mówię o tym, bo pewnie chcą ci jakoś przekazać komórkę. Wiedzą, że trzeba rozmawiać.

-

Doprawdy? Już widzę, jak to robią.

-

Rozmawiałeś przecież z tym Diamondem.

-

I ni chuja mi to nie pomogło.

To dziwne, chciała, żeby oblężenie się skończyło, ale rozumiała sytuację Mountjoya. W końcu stanowiła jej część. Bała się, była zła, że uprowadził

ją z ulicy i wziął jako zakładniczkę dla sprawy, o której nawet nie słyszała, ale też wyczuwała, że

naprawdę mógł zostać skrzywdzony. Jeśli rzeczywiście tak było, oznaczało to, że przez całe lata niesłusznie trzymano go w więzieniu. Nie chciała, żeby przez nią zraniono go albo zabito. Nie chciała przez całe życie myśleć o tym, że został zastrzelony, żeby mogła stąd wyjść.

Rozumiała też, że to więzienie doprowadziło go do desperacji, ale to nie pomagało jej znosić trudów sytuacji.

Znów spróbowała wprowadzić optymistyczny nastrój.

-

Jestem pewna, że pan Diamond robi wszystko, żeby dojść do prawdy.

-

Co to jest?

-

Powiedziałam, że jestem pewna...

Przerwał jej w pół słowa.

-

Słuchaj.

Niczego nie usłyszała, ale Mountjoy wymknął się z pokoju i stanął u szczytu spiralnej klatki schodowej.

Samantha nachyliła się tak daleko, jak tylko pozwalał sznur elektryczny, wydało się jej, że usłyszała słaby dźwięk. Nie była pewna, czy dochodzi z wnętrza budynku.

Mountjoy cofnął się do pokoju z pistoletem w ręku. Mówił wysokim, histerycznym głosem.

-

Muszę cię znowu zakneblować. Nie mogę ci ufać, że będziesz cicho.

Tutaj na pewno ktoś jest.

Zareagowała błyskawicznie.

-

Może to Diamond.

-

Niewielkie szanse! - Znalazł rolkę taśmy samoprzylepnej i złał ją za koniec paznokciami.

-

Jeśli użyjesz pistoletu, jesteś skończony - powiedziała Samantha -

bez względu na to, jaka jest prawda.

Oderwał kawałek taśmy i zalepił jej usta.

-

Dotarłem do miejsca, w którym jestem zbyt znużony, żeby się cackać. Te dranie i tak po mnie przyjdą. - Wstał i wyszedł na klatkę schodową.

Rozdział 26

O PORWANIU WIEDZIELI już WSZYSCY. Kiedy tylko otoczono kordonem hotel Empire, nie można już było dalej stosować embarga na informację. Wiadomości Channel Four rozpoczęły się od pokazania zdjęć Mountjoja i jego zakładniczki Samantha, potem szedł reportaż na żywo sprzed hotelu i wywiad z komendantem policji Avon i Somerset, Farrem-Jonesem, który podkreślał, że chociaż zbiegły więzień jest mordercą i wiadomo, że ma broń, policja podjęła działania zmierzające do szybkiego zakończenia akcji, która, jak dodał, doprowadzi do bezpiecznego uwolnienia panny Tott. Nie powiedział nic o ewentualnych perspektywach przeżycia Mountjoja.

Kilkuset mieszkańców Bath wyszło z domów, żeby zobaczyć akcję. Peter Diamond przybył na Orange Grove tuż po ósmej i stwierdził, że tam, gdzie wcześniej były taśmy w biało-czarną szachownicę, teraz stoją kordony policjantów. Widać było ich żółte kurtki z odbleskowymi paskami, wstrzymywali gapiów na wszystkich możliwych podejściach do fasady hotelu. Liczba policyjnych minibusów i autobusów zaparkowanych obok Wysepki Klozetowej świadczyła o tym, że posiłki ściągnięto z całego hrabstwa.

Julie wyrzuciła go przy północnym krańcu Pierrepont Street, zawróciła i odjechała. Na tym krytycznym etapie operacji trzeba było podzielić siły.

Należało sprawdzić ważne ślady, a Diamond miał zweryfikować najważniejszą sprawę - stan nerwów Mountjoja. Zbyt długo nie miał z nim kontaktu. Ten człowiek utkwiał w pułapce: musiał być wyczerpany i przerażony. Jeśli wpadnie w panikę i użyje broni, cała robota ostatnich kilku godzin pójdzie na marne. Należało go jak najszybciej poinformować, że nowe dowody zwalniają go z odpowiedzialności za morderstwo. To Diamond miał go o tym przekonać. Osobiście. To nie była okazja, przy której w ruch idą megafony czy aparaty komórkowe.

Julie wykonywała ważne zadanie ustalenia znaczenia odkrycia, dokonanego w Conkwell Wood.

Przy Wysepce Klozetowej złowieszczą czekały dwie karetki pogotowia.

Ich załogi wyszły z wozów i przypatrywały się grze świateł reflektorów na fasadzie hotelu. Farr-

Jones, ubrany w kamizelkę kuloodporną i tyrolski kapelusik, przekazywał informacje dziennikarzowi, stojąc przed policyjną przyczepą, która służyła za centrum dowodzenia operacji.

Kiedy zauważył, że nadchodzi Diamond, natychmiast przerwał rozmowę.

Razem weszli do przyczepy. Nie chodziło o miłą pogawędkę.

-

Gdzie, do diabła, włączyłeś się całe popołudnie? Powinieneś być w kontakcie. - Zostało to powiedziane w obecności cywilnego radiooperatora, Keitha Halliwella, i Totta, który wstał, jakby chciał

przywitać Diamonda, ale natychmiast usiadł, gdy usłyszał reprimendę.

Diamonda zaskoczyła ta wrogość. Długie doświadczenie podpowiedziało mu, że to przykrywka dla jakiejś głupiej decyzji. Unikając odpowiedzi na pytanie nadinspektora, które na tym etapie sprawy uznał za zbędne, sam zapytał:

-

Co słychać? Mamy kontakt z Mountjoyem?

-

Nie, nie mamy - odpowiedział Tort. Farr-Jones nie dawał za wygraną.

-

Świetnie, że to właśnie ty mówisz o kontakcie.

Diamond miał ogromną chętkę podrażnić się z nimi. Była to jedna z zalet cywilnego życia.

-

Co się dzieje? Po co to oblężenie? Myślałem, że najważniejszym zadaniem będzie ustanowienie łączności.

-

Najważniejszym zadaniem jest ustalenie miejsca, w którym znajduje się Mountjoy i gdzie trzyma pannę Tott - odparł jadowicie Farr-Jones.

-

Nie zrobiliście tego?

-

Są na czwartym albo piątym piętrze. Przenieśli się z miejsca, w którym ich zauważono. Zajęliśmy poziomy od parteru do trzeciego piętra.

Diamond wybuchnął.

-

Posłaliście ludzi do środka? Jezu Chryste, dał mi pan słowo, że nie przeprowadzicie szturmowania budynku.

Farr-Jones osadził go.

-

Nie dramatyzuj. Niczego nie szturmowaliśmy. To było spokojne posunięcie. Podjąłem tę decyzję godzinę temu.

-

Ludzie są uzbrojeni?

-

Przecież nie wysłałbym ich z pałkami i tarczami, skoro facet ma pistolet.

-

Ale obiecał mi pan. Dał mi pan czas do północy, mam go namówić, żeby zszedł. Mieliście się powstrzymać do północy. Cholera, zgodził się pan na to!

Farr-Jones wycelował w Diamonda palec.

-

Proszę, Diamond, nie igraj ze mną. To jest operacja policyjna i ja jestem odpowiedzialny. Tutaj, na miejscu ja ponoszę ryzyko i wydaję rozkazy. Nie można cię było nigdzie znaleźć, nie utrzymywałeś z nami kontaktu.

-

Jakie to rozkazy? - zapytał Diamond przerażony, że może się w nich kryć możliwość krwawej łąźni.

-

Uszczelnienie wszelkich możliwych dróg ucieczki i podejście do góry tak wysoko, jak się da, bez narażania się na osobiste ryzyko.

Tott robił wszystko, co mógł, żeby załagodzić sprzeczkę.

-
Pracujemy z wykorzystaniem planów, które dostarczyła nam rada miasta. Problem polega na tym, że ten budynek jest jak sito. Z większości pokoi na najwyższym piętrze jest dostęp do strychów. Instalacja wodno-kanalizacyjna jest niesamowita. Powiedzieli, że to jest jak maszynownia na krążowniku.

-
Gdzie jest Warrilow? - zapytał Diamond, myśląc o nowej, niepokojącej sprawie.

-
Komendant. Komendant Warrilow - podkreślił stanowczym głosem Farr-Jones. - Dowodzi grupą znajdującą się w hotelu. Komunikujemy się z nim drogą radiową.

Właśnie tego Diamond się obawiał. Warrilow będzie mógł usprawiedliwić każdą akcję, twierdząc, że znalazł się pod ostrzałem.

-
Niech mu pan powie, że zaraz tam będę i żeby wstrzymał wszelkie działania.

-
Diamond, co to za bezczelność. Ledwie nad sobą zapanował.

-
Mam to, co obiecałem, panie Farr-Jones: sposób na zakończenie tego oblężenia. Jestem gotów porozmawiać z Mountjoyem, ale bez snajperów składających się do strzału.

-
Chcesz powiedzieć, że znalazło się coś istotnego dla sprawy?

-
Samo się nie znalazło - mruknął Diamond. Było widać, że to sformułowanie mu się nie podoba. - My to znaleźliśmy, Julie Hargreaves i ja, dzięki solidnej pracy detektywistycznej. Możemy udowodnić, że Mountjoy nie zabił Britt Strand.

Tott zacisnął pięści.

-
Dobra robota.

Nadinspektor był mniej wspaniałomyślny.

-

To kto ją, do diabła, zamordował?

Jeśli wydawało mu się, że usłyszy jakieś nazwisko, to się rozczarował.

-

Zajmijmy się oblężeniem - odpowiedział sztywno Diamond. - Zechce pan poinformować komendanta Warrilowa, że tam idę, i rozkazać mu cofnąć ludzi na drugie piętro? Nie chcę rozmawiać z Mountjoyem pod groźbą użycia broni.

-

Chyba czegoś nie rozumiesz. - Farr-Jones był poirytowany. - To incydent wysokiego stopnia ryzyka.

-

Dzięki wam.

-

Rozmieściliśmy ludzi w całym budynku.

-

Tak, i złamaliście złożoną mi obietnicę - odparł Diamond. - Czy rezygnuje pan z moich usług, panie nadinspektorze? Czy to Warrilow ma zakończyć oblężenie strzelaniną?

-

Boże uchowaj... Nie! - krzyknął Tott. Farr-Jones wolał nie odpowiadać.

-

Czekam na potwierdzenie - naciskał Diamond. - Ściśle poza protokołem, jak zwykli mawiać nasi przyjaciele stojący tam na zewnątrz.

Aluzja do prasy zrobiła swoje. Farr-Jones westchnął i zwrócił się do radiooperatora.

-

Dajcie Warrilowa.

Diamond nie czekał na to, jaki będzie wynik rozmowy. Poszedł prosto do hotelu, ignorując drepczących przy nim dziennikarzy, którzy podtykali mu pod nos mikrofony i przez całą drogę

zasypywali pytaniami. Na szczycie kamiennych schodów, pod białym portykiem z kutego żelaza, stał konstabl, który skinieniem ręki zaprosił go do środka.

Niegdyś wspaniały hol, który Diamond widział po raz pierwszy, był

podle oświetlony jarzeniówkami zainstalowanymi w czasach, kiedy hotel zajęty był przez urzędy. U stóp pięknej, mahoniowej klatki schodowej, która kiedyś musiała być wyłożona dywanami, a teraz pokrywało ją przymocowane metalowymi paskami linoleum, stałi mężczyźni w mundurach polowych. Po prawej stronie znajdowała się nowoczesna recepcja, zajmowana zwykle przez firmę ochroniarską patrolującą hotel.

Zza kontuaru, jak portier hotelowy, wyszedł Warriłow. Jego zachowanie wskazywało na to, że jest tu dowódcą.

-

Winda pewnie nie działa? - Diamond pominął nudne wstępy.

Warrilow przenikliwie uznał, że opór na nic się nie zda wobec szarżującego nosorożca.

-

Jeśli rzeczywiście chce pan wejść na górę, będzie pan musiał skorzystać ze schodów. Mam nadzieję, że nie brakuje panu kondycji.

-

A ja mam nadzieję, że nadinspektor jasno się wyraził - oświadczył

stanowczo Diamond. - Nie idę tam ze wsparciem ogniowym i nie chcę, żeby mi przeszkadzano, choćby nie wiem jak długo by to trwało. Moim zadaniem jest sprowadzić go na dół. Musi mi zaufać.

Warrilow nie mógł się powstrzymać od złości.

-

Nie wie pan przypadkiem, gdzie on jest? - Tonem wskazywał, że oddałby wszystko za tę wiedzę.

-

A pan?

-

To bardzo niejasna sprawa. Uważamy, że wyniósł się z tego pokoju pod dwuspadowym dachem.

-

Chodzi panu o ten pokój z balkonem?

-

Tak.

-

Zabrał z sobą dziewczynę?

-

Tak zakładamy. Nie dochodzi nas żaden dźwięk z tej części budynku.

-

Dokąd jeszcze mogliby pójść? Ma pan plany?

Warrilow wyglądał na zmęczonego portiera, który ustępuje żądaniom zdziwaczałego gościa hotelowego. Zaprowadził Diamonda do biurka, podniósł plik papierów i podał mu nad blatem. Diamond prze-kartkował

plany. Piąte piętro, gdzie widziano Samanthę stojącą na balkonie, miało kształt litery V. Znajdowało się tu jakieś dwadzieścia pokoi po obu stronach korytarza. Jedna strona wychodziła na Orange Grove, druga na Grand Parade i Pulteney Weir. Litera V kończyła się siedmiokątem.

Diamond domyślił się, że to podstawa wieżyczki górującej nad wschodnim krańcem fasady hotelu.

-

Myślę, że właśnie tam poszli - powiedział.

-

Wątpię - odparł Warrilow. Zabrał mu plany i przeszedł do plan-szy przedstawiającej szóste piętro.

-

Niech pan popatrzy. Wieżyczka ma jeszcze jedną kondygnację i jest całkowicie odcięta. Jest podzielona na trzy pokoje, z których każdy ma tylko jedne drzwi. Znaleźliby się tam w pułapce, jak szczury.

-

Dojściem jest spiralna klatka schodowa - zastanawiał się na głos Diamond, jakby nie słysząc Warrilowa. - Może się tam bronić. A to wygląda jak kolejne schody na dach. Droga pożarowa. Gdyby trzy-mał

związaną dziewczynę w jednym z pokoiów, mógłby stanąć tutaj. - Dotknął planu. - I miałby jednocześnie widok na drogę pożarową i klatkę schodową.

-
I nadal byłby w pułapce - upierał się Warrilow. - Mam ludzi na dachu.

Diamond głośno zaczerpnął powietrza.

-
Jak się tam dostali?

-
Zewnętrzными schodami pożarowymi i od tyłu budynku.

-
Jakie dostali zadanie?

-
Patrolują dach. Nie wkroczą, dopóki nie wydam im rozkazu przez radio. Diamond, wszystko jest pod ścisłą kontrolą. Kiedy Mount-joy zrozumie, że nie ma ucieczki, bez względu na to, gdzie jest, podda się bez walki. Lepiej, żeby się poddał.

-
Ja mu to powiem - rzekł Diamond nieprzejednanym tonem.

-
Nadal chcesz to zrobić?

Nie warto odpowiadać. Diamond odłożył plany i się rozejrzał.

-
Coś jeszcze? - zapytał Warrilow. - Pistolet? Diamond pokręcił głową.

-
Będzie ci potrzebny. Jesteś uzbrojony?

Proszę o telefon służbowy - powiedział Diamond.

-

Co takiego?

-

O osobistą radiostację. Czy nie tak to nazywacie?

Warrilow kiwnął na jednego z konstabli stojącego przy drzwiach i ka-

mu pożyczyć radiotelefon. Okazało się, że Diamond musi zostać po-instruowany, jak się nim posługiwać. Jego niechęć do nowoczesnych me-

nauczyć się obsługi jakiegoś urządzenia, natychmiast wyrzucał to z pamięci.

-

Konieczniesz to zrobić? - W głosie Warrilowa pojawiła się troska. Jego wrogość została rozbrojona, gdy zobaczył, jak Diamond nie potrafi dać sobie rady z telefonem.

-

Oczywiście.

-

I nie chcesz broni?

-

Nie.

-

Na litość boską, skorzystaj z radia, gdy tylko zaczną się kłopoty.

-

Dam to radio Mountjoyowi - odparł niedbale Diamond. Jeszcze raz zażądał gwarancji, że na piątym i szóstym piętrze nie ma policjantów, i ruszył ku wspaniałej klatce schodowej jak nowo przy-

Na trzecim piętrze był już trochę mniej pewny siebie, zatrzymał się, żeby nabrać tchu i porozmawiać z grupką policjantów w kamizelkach kuloodpornych i z karabinami automatycznymi. Powiedzieli

mu, że słyszano jakieś dźwięki w zbiorniku na poddaszu na piątym piętrze, ale możliwe, że to woda, bo ktoś skorzystał z jednej ze starych toalet z drewnianą deską.

Na następnym piętrze spotkał kolejnych sześciu policjantów w pełnym uzbrojeniu. Powiedzieli mu, że są z grupy uderzeniowej Oddziału Specjalnego i że każdy z nich jest strzelcem wyborowym. Właśnie zajmowali piąte piętro, kiedy Warrilow kazał im się wycofać na czwarte.

W oczach Diamonda wyglądali niepokojąco młodo. Mimo to twierdzili, że potrafiliby „zdjąć” Mountjoya i uwolnić Samanthę. Nie pamiętał żadnego z nich z dawnych dni, a oni nie wyglądali na takich, co to chcieliby się zaprzyjaźnić. Mimo to przypomniawszy im, że mają się trzymać z dala od górnych poziomów, kiedy on tam będzie.

Jego tusza nie sprzyjała wspinaniu się po schodach. Wchodził, co raz bardziej zadyszany, żałując, że nie wziął z sobą latarki, żeby oświetlić ciemne korytarze. Poważnie pomyślał o ryzyku, jakiego się podjął -

zasadniczo polegało ono na tym, że zastrzeli go człowiek, któremu szedł

na odsiecz. Wolałby, żeby w hotelu nie było ani jednego uzbrojonego policjanta. Niepokoił go ci młodzi ludzie potrzęsający spluwami. Bał się ich bardziej niż Mountjoya.

No proszę, on, cywil, kładł życie na szalę, ufając, że namówi uzbrojonego człowieka, żeby się poddał. Dlaczego? Bo to była sprawa osobista. Bo cztery lata temu popełnił błąd. Był to winien Mountjoyowi.

Był jeszcze jeden powód, prawda? To nie altruizm. A cóż takiego, do diabła? Jego pamięć nie funkcjonowała za dobrze. Aha! Chciał wrócić do swojej cholernej roboty. Nikt by tego nie podejrzewał, kiedy opieprzał

nadinspektora. Prawdę mówiąc, zamknął sobie wtedy perspektywę powrotu do pracy, ale przecież Farr-Jones nie dotrzymał obietnicy, nie można tego nazwać inaczej. Przekazał dowodzenie operacją Warrilowowi.

Jeszcze chwila i gorliwi młodzi ludzie z karabinami namierzyliby Mountjoya i zaczęli strzelać. To musi się skończyć bez przelewu krwi. Potrzebna jest stara, dobra robota policyjna, którą on reprezentował. Ani trochę nie przypominał poczciwego angielskiego policjanta, Dixona z Dock Green -

Bogu dzięki - ale walczył o prawdę bez względu na cenę. Dzięki temu tak długo nie wyrzucono go z pracy, chociaż urządził awantury ludziom takim jak Farr-Jones. Jego wartości przeważały.

Zbliżał się już do piątego piętra. Nachylił się, by pokonać ostatnie stopnie. Zrobił to mimowolnie i był za to zły na siebie. Natychmiast się wyprostował. To był właściwy sygnał, który należało przesłać Mountjoyowi: otwartość, a nie podstęp. Prawda, powinien oznajmić, że nadchodzi.

-

Mountjoy toja, Peter Diamond - zawołał i dodał: - Chcę z tobą porozmawiać. Obiecałem, że przyjdę. Jestem.

W połowie ostatnich schodów zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać, wydawało mu się, że coś usłyszał.

-

Mountjoy, to ty? - zapytał. Ktoś strzelił.

Przywarł do ściany.

Natychmiast rozległ się drugi strzał.

Ogień prowadzono nad jego głową, z piątego piętra. Echo rozbrzmiewało w budynku.

Najpierw pomyślał, że Warrilow wykiwał go i rozstawił tam strzelców wyborowych. Był wściekły

Durnie.

Ale szybko doszedł do wniosku, że nie strzelano do niego. Już by nie żył, stanowił łatwy cel. Akcja rozgrywała się w korytarzu. Musieli namierzyć Mountjoya.

Czekał prawie minutę, nie ruszał się, w uszach mu dzwoniło. Dośzedł

jeszcze jeden dźwięk, wysoki, ciągły pisk.

Radiostacja. Złapał za nią i nacisnął przełącznik. Usłyszał trzask statyki, a potem głos Warrilowa.

-

Dowództwo do Diamonda. Masz odbiór? Diamond wysyczał do aparatu.

-

Powiedziałeś, że tu nie ma spluw. Ktoś dwa razy strzelił.

-

Słyszeliśmy. Gdzie teraz jesteś?

-

Na piątym piętrze.

-

Nie mamy nikogo powyżej czwartego, nie licząc drużyny na dachu, a oni nie wchodzili.

-
Któryś musiał wejść.

-
Mam z nimi łączność, na litość boską. Wiem, gdzie są. Nikt się nie ruszył. Nikt. To Mountjoy musiał strzelać. Słuchaj, wysyłam do ciebie drużynę.

-
Nie rób tego - odpowiedział bez chwili wahania Diamond. - Sam sobie poradzę.

-
To śmieszne. Facet stracił panowanie nad sobą. Mógł zastrzelić zakładniczkę.

Ta porażająca myśl uderzyła Diamonda w chwili, gdy została wypowiedziana. To potworne, ale mógł przewidzieć tę sytuację.

Powiedział to, co właśnie pomyślał.

-
Były dwa strzały, siebie też mógł zabić. Powstrzymaj ludzi, dopóki nie sprawdzę, co się stało.

-
Nie przyjmuję od ciebie rozkazów - rzucił Warrilow.

-
To ja jestem na miejscu i decyzja należy do mnie - odparł Diamond z pasją w głosie. - Wstrzymaj wszystko. Słyszysz mnie, Warri-low?

Słyszysz? Powiadomię cię przez radio, kiedy sprawdzę.

Nie mógł polegać na Warrilowie, ale przy łucie szczęścia może kupił sobie dodatkowe minuty. Wyłączył radio i krzyknął w ciemność:

-
Mountjoy?

Odpowiedziało tylko echo odbite od nagich ścian. W powietrzu czuć było spalony proch.

-

Mountjoy, tu Peter Diamond. Gdzie jesteś? Potrzebujesz pomocy?

Żadnej odpowiedzi. Nie spodziewał się jej. Prawdopodobnie Mountjoy załamał się pod wpływem napięcia i strzelił sobie w łeb, ale to nie wyjaśniało dwóch strzałów. Żeby popełnić samobójstwo wystarczy strzelić raz, a z całą pewnością wystrzały były dwa. Podwójne zabójstwo?

Musi być na to przygotowany.

Wstał, pokonał ostatnich kilka stopni i zatrzymał się na piątym piętrze.

-

Jestem sam - krzyknął znowu. - Nieuzbrojony. Słyszysz mnie?

Najwyraźniej Mountjoy nie słyszał.

Ale Diamondowi wydało się, że gdzieś wyżej pojawił się jakiś cichy ruch. Możliwe że to ludzie na dachu. Natężył uwagę i słuchał. Znowu nic.

Po drugiej stronie korytarza widział już zakręt, w miejscu, gdzie był

łącznik w kształcie V Tam powinna się znajdować spiralna klatka schodowa. Poszedł przed siebie, w stronę czegoś, co powinno być niższym poziomem wieżyczki. Ściany na tym odcinku nie biegły całkiem równolegle. Przed nim panowała całkowita ciemność.

-

Mountjoy? Nic.

-

Jeśli tam jesteś... - W połowie zdania przerwały mu piski z radiostacji. Złapał aparat i zaczął majstrować przy przełącznikach, żeby go uciszyć, ale rozległ się trzask statyki i głos Warrilowa.

-

Dowództwo do Diamonda. Nasz monitor wychwycił odgłosy z górnego piętra wieżyczki. Słyszysz mnie? Górne piętro...

Słowa urwały się na dobre, bo Diamond zerwał z piersi aparat i cisnął nim wściekle o ścianę. Skoro są odgłosy, to jest i życie.

-

Mountjoy, to tylko ja, Diamond.

Sięgnął przed siebie i namacał poręcz przy schodach.

-
Nie mam broni. Chcę ci pomóc.

Tym razem był pewien, że coś usłyszał. Żadnej odpowiedzi. Znow jakież szepty. Nadzieja powróciła.

Znalazł pierwszy stopień i zaczął wchodzić.

-
Idę do ciebie - powiedział. - Nie jestem uzbrojony. Obiecałem, że wrócę i wróciłem. - Miarowo, prawie nie przystając, wchodził po schodach. Nagle zamarł, kiedy całą klatkę schodową oświetlił ruchomy promień. Balustrada rzucała długie, obracające się cienie, wywołując zawrót głowy. To światło reflektora przesuwawało się po frontonie budynku.

Zniknęło równie niespodziewanie, jak się pojawiło.

Szepty na górze - jeśli to właśnie usłyszał - ustały, kiedy się odezwał.

Problem z wchodzeniem po spiralnych schodach w ciemności polega na tym, że traci się poczucie kierunku. Dopiero kiedy skończyła się balustrada, zrozumiał, że wszedł na samą górę. Próbował odtworzyć w myślach plan szóstego pietra. To był korytarz u szczytu schodów, prawda? A tam troje drzwi prowadzących do pokojów. Fragment siedmiokąta.

Jeśli wybierzesz właściwe, pomyślał ponuro, staniesz na wprost lufy pistoletu.

-
Jestem na górze - poinformował, żałując, że nie panuje do końca nad głosem. - Na wypadek, gdybyś wcześniej nie usłyszał, tu Peter Diamond. Jestem sam.

Rozpostarł ramiona. Gdzie są drzwi? Jedne powinny być po lewej, jedno z przodu, jedno z prawej. Wyciągnięte palce niczego nie mogły namacać.

Może rozsądnie byłoby poczekać, aż reflektor znow zawadzi o tę część budynku.

Nie. Już się odezwał. Mountjoy czeka na niego. Gdyby zwlekał, zasiałby ziarno podejrzania, że to pułapka.

Posunął się do przodu o krok. Prawą ręką dotknął płaskiej powierzchni, która ustąpiła pod naciskiem - na pewno drzwi. Stał na przeciwko nich i popchnął.

-
Jesteście tu?

Nie. Od strony okna dobiegało trochę światła. Pokój był z całą pewnością pusty. Wiedział o tym, nie wchodząc do środka. Gdyby wszedł, popełniłby błąd.

Wrócił na korytarz i po omacku zaczął szukać drzwi na samym końcu.

Obie ręce trafiły na nie równocześnie. Tak jak poprzednie były już lekko uchylone. Spodziewał się tego. Nie zostawiłby ich zamkniętych.

Nacisnął lekko, tym razem nic nie mówił. Nie miał nic sensownego do powiedzenia. Wydawało mu się, że słyszy czyjś wdech.

Stał w drzwiach, czując, że ktoś jest bardzo blisko. W tym pokoju było ciemniej niż w poprzednim. Okno zostało czymś zasłonięte, bo u jego szczytu widać było słabe półkole, ale niżej było ciemno. Przyjmując pozycję obronną, postawił stopę przy drzwiach. Próbował rozstrzygnąć, czy zapach, który czuje, to odór niepranych ubrań. Po kilku dniach musiały zacząć śmierdzieć. Zachwiał się do przodu, przytrzymał się framugi i zrobił następny krok.

Po lewej rozległ się wyraźny odgłos drapania, potem westchnienie, jakiś dźwięk. To był głos kobiety.

-

Samantha? - zapytał.

Zrobił krok w stronę źródła dźwięku. Jego stopa dotknęła czegoś miękkiego. Ubranie? Koc?

Nagle światło zalało pokój. Promień reflektora wpadł przez szczelinę u góry okna i oświetlił dwie postacie przyciśnięte do ściany za drzwiami.

Jedna z nich była przerażoną kobietą, druga trzymała broń. Kobietą była Una Moon, mężczyzną G.B., a bronią dwururka.

Rozdział 27

PROMIEŃ REFLEKTORA ODSUNĄŁ SIĘ OD WIEŻYCZKI. W

egipskich ciemnościach Diamond powiedział to samo, co miał

powiedzieć Johnowi Mountjoyowi:

-

Możesz odłożyć broń. To ja. - Był zbyt zaskoczony, żeby wymyślić coś innego. Ale nie miał wątpliwości, że wzrok go nie mylił. To nie była sztuczka, którą spłatała mu wyobraźnia. To nic, że długo błądził w mroku i stracił orientację na spiralnych schodach. Nie mógłby pomylić bladej twarzy Una Moon i jej szesanych do tyłu włosów, zebranych w warkocz.

Nieemożliwe, żeby pomylił ją z Samantha Tott. A mężczyzną trzymającym strzelbę nie mógł być nikt inny poza G.B. Był wyższy niż Mountjoy.

-

Na litość boską, niech nikt nie wpada w panikę - powiedziała Una w ciemności. - Teraz zapalę latarkę.

Promień oświetlił stopy Diamonda i rzucił słabą poświatę na cały pokój.

Diamond zobaczył, że G.B. posłuchał go o tyle, że skierował lufę do góry.

Ale jego palec nadal spoczywał na spuście. Punk, którego wszyscy traktowali z szacunkiem, krył się obok Uny jak dziecko przyłapanie na wagarach. Stali plecami odwrócenii do ściany z nadzieją, że nikt ich nie znajdzie.

Diamond rozejrzał się po pokoju, zbierał myśli. Na podłodze były ślady świadczące o tym, że niedawno ktoś tu był, stos koców i futerał na skrzypce.

-

To ty strzelałeś? G.B. skinął głową.

-

Dwa razy?

-

Tak - powiedziała Una. - I dwa razy chybił.

-

Tego nie wiemy - stwierdził G.B. Una zaatakowała go z pogardą.

-

Daj spokój, w takim razie, gdzie jest ten bandyta? Nie widzę, żeby tu leżał na podłodze, a ty?

-

Strzelałeś do Mountjoya? - zapytał Diamond. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Uny nic to nie obchodziło. Mówiła żarliwie, jakby był to dalszy ciąg tego, co rozpoczęła w kawiarni w hali targowej.

-

Ktoś musi uratować Sam. Złapałam G.B. Nie mogłam już wytrzymać, bo ona tu była, a wy, świnie, gównieście.

-

Nieprawda - zaprzeczył Diamond. Una zlekceważyła ten protest.

-

Sam jest jedną z nas, a my zawsze trzymamy się razem.

-

Jak tu weszliście?

-

Przez okno. G.B. jest geniuszem, jeśli chodzi o otwieranie różnych wejść. Nikt nas nie widział. Przeszliśmy piwnicami i tylnymi schodami, a wy, łajzy, objaliście się w holu.

-

I co chcieliście zrobić? Złapać Mountjoya? Znaleźliście go?

-

Zauważyliśmy skunksa w korytarzu. Przeszukaliśmy każdy pokój piętro niżej i na koniec weszliśmy do tego, skąd dziś po południu widzieliśmy Sam na balkonie. Już ich tam nie było, ale właśnie wtedy dostrzegliśmy jakiś ruch. Przechodził korytarzem. To był on, bez dwóch zdań, to ten łajdak. G.B. powinien mu odstrzelić łeb, ale chybił. Dwa razy.

GB., którego siła inwektyw Una zdegradowała do roli pomocnika, wystąpił w swojej obronie.

-

Miałem go na widoku zaledwie przez parę sekund.

-

Pomyśleliśmy, że pobiegł na górę - wyjaśniła Una - i zajrzeliśmy tutaj.

G.B. odezwał się bardziej stanowczym głosem.

-

Na pewno był tu jeszcze niedawno. Popatrz na te rzeczy. To futerał

Sam. Byli w tym pokoju.

-
A teraz wystraszyliście ich i nie można ich znaleźć - dorzucił

Diamond.

-
I co w tym złego?

-
Jedno, że próbowałem zdobyć jego zaufanie, a drugie, że może skrzywdzić dziewczynę, jeśli wpadnie w popłoch. Trzeba być świrem, żeby strzelać z dwururki.

-
Ma na nią pozwolenie - wyjaśniła Una.

-
Pozwolenie na strzelanie do ludzi? Dawno jesteście na górze?

-
Pół godziny, trzy kwadranse, skąd mam wiedzieć?

-
Nie mogliście zostawić tego profesjonalistom? - strofował ich Diamond. Wątpliwości co do jego własnego statusu jakoś nie przyszły mu na myśl.

-
We troje możemy go złapać - powiedział stanowczym tonem G.B. -

To żaden problem.

-
Nie, nie możemy - warknął Diamond. - Wszystko popsuliście. Nie rozumiecie, że na zewnątrz są strzelcy wyborowi i tylko czekają, aż pokaże się cel? Łazicie tu z latarką, wymachujecie tą swoją cholerną strzelbą. Macie szczęście, że jeszcze was nie zdmuchnęli. Dość tej błazenady na dzisiaj.

-
A jeśli odmówimy? - zapytała Una.

-
Mogę was zamknąć za bezprawne wtargnięcie, użycie broni palnej z zamiarem pozbawienia życia i utrudnianie pracy policjantowi podczas wykonywania obowiązków - zaryzykował, ale z przekonaniem. - Zrobię to po swojemu. A wy, zanim sobie pójdziecie, oddacie rozładowaną spluwę i wszystkie zapasowe naboje.

-
Akurat! - krzyknął G.B., podniósł kolbę i rzucił się do ataku.

Wszystkie atuty były po stronie G.B.: wzrost, budowa ciała, wiek, a przede wszystkim broń. Był największym mężczyzną, z jakim Diamond miał kiedykolwiek do czynienia, i nie walczył czysto, ale lata, które spędził w drużynie rugby, wyposażyły go w pewne umiejętności, a przede wszystkim w wyczucie czasu. Zrobił unik przed strzelbą, mocno uderzył G.B. w ramię i skierował impet na bok. G.B. trzasnął głową w kant drzwi, zachwiał się i runął na ziemię. Strzelba zaklekołała po podłodze.

Wielki punk natychmiast wstał i znowu rzucił się na Diamonda, tym razem z zamiarem zwalenia go z nóg. To jeszcze bardziej przypominało rozgrywanie piłki i Diamond rozprawił się z nim w taki sposób, że żaden sędzia nie zaaprobowałby tego: przechylił się w lewo i podniósł kolano.

Kość uderzyła o kość. W przypadku G.B. tą kością była szczeka. Głowa odleciała mu do tyłu i runął po raz drugi.

Una uderzyła go w czaszkę latarką i krzyknęła:

-
Ty ptasi mózdzku! Ty wielki bałwanie! Co do cholery sobie myślisz?

G.B. niewiele myślał po połączonym uderzeniu kolana Diamonda i latarki.

Przetoczył się na plecy i jęknął.

Latarka też ucierpiała. Parę razy błysnęła i zgasła.

Una szybko się opanowała, może zresztą wcale nie straciła równowagi.

Prawdopodobnie oceniła sytuację i uderzyła G.B., żeby zredukować straty, na jakie się narazili.

-
Nic się nie zdarzyło, w porządku? Strzelba nie jest już naładowana, a my nie mamy już nabojów, ale możesz ją sobie zabrać, jeśli chcesz.

Zostaw ją na podłodze. Każ mu wstać. Oddam was w ręce ludzi, którzy są na dachu.

Nie protestowała.

-

Masz zamiar uratować Sam? - zapytała tylko.

-

To jedyny powód, dla którego tu jestem.

Zadowolona się tym. Kazała G.B. wstać. Zaklął, ale posłuchał. Diamond odsunął się, żeby mogli wyjść i skręcić na lewo, gdzie było trochę więcej światła. Potem ruszyli w stronę wyjścia awaryjnego, drabiny z drewnianymi szczeblami wiodącej do luku przeciwpożarowego.

-

Lepiej trzymajcie ręce nad głową, kiedy wyjdziecie na dach -doradził

Diamond. - Mogą was wziąć za kogoś innego.

Patrzył, jak wchodzi po drabinie, otwierają luk i wydostają się na dach.

Rozległy się krzyki, rutynowe polecenie dla uzbrojonego podejrzanego, żeby położył się twarzą w dół. Oddział na dachu zabrał się do nich.

Przynajmniej chłopcy się nie nudzą.

Aż kipiał ze wściekłości. Kolano, którym uderzył G.B., nie bardzo nadawało się do użytku. Głupota tych obojga sprawiła, że jego misja stała się nieskończenie trudniejsza i bardziej niebezpieczna. Wiedział, że musi zapomnieć o incydencie i znowu skupić myśli na Mountjoyu. Trzeba się upewnić, że pozostałe dwa pokoje, oba ledwie oświetlone z zewnątrz, są puste. Sprawdził je. Potem po omacku poszedł do spiralnych schodów prowadzących w dół na piąte piętro. Teraz mógł zrobić bilans.

Mountjoy i jego zakładniczka znajdowali się w którymś z dwudziestu paru pokoiów ciągnących się wzdłuż korytarzy w kształcie litery V albo na którymś z balkonów, albo na stryszkach, do których można się było dostać z niektórych pokoiów. Musiał postawić wszystko na to, że są właśnie tutaj.

Wiedział, gdzie najpierw zajrzeć. Tott powiedział, że instalacje wodno-kanalizacyjne hotelu są jak maszynownia na krążowniku. Na tym piętrze powinny się znajdować zbiorniki z wodą dla całego budynku. W pokojach w wieżycy widział kaloryfery, które pewnie zainstalowano po to, by poprawić warunki pracy urzędnikom z Admiralicji. Musiały więc gdzieś być rury i zbiorniki na ciepłą i zimną wodę. Sala ze zbiornikami pewnie jest obszerna.

Najprawdopodobniej była położona w środku budynku, blisko miejsca, w którym się znajdował.

Począł, aż kolejny obrót reflektora pokaże korytarz przed nim. Kiedy rozbłysło światło, zapamiętał rozmieszczenie drzwi i znalazł to, czego szukał, zwyczajne drzwi bez forniru, ze śladami smarów wokół klamki. Podszedł i otworzył je.

-

Mountjoy?

Niewiele widział, ale słyszał miarowe kapanie wody, gdzieś niedaleko przed sobą i metaliczny rezonans. Mogło to znaczyć tylko jedno: zbiornik z zimną wodą. wszedł, zostawiając otwarte drzwi. Stał na czymś, co musiało być drewnianą kładką pokrytą chrzęszczącym kurzem. Kolanami dotknął jakiejś przeszkody, zagiętej i gąbczastej: izolacja rury wodociągowej.

-

Słuchaj - powiedział w ciemność. - Wiem, że jesteś tutaj. To ja, Diamond.

Głos odezwał się niedaleko jego ucha.

-

Jesteś trupem, Diamond.

Twardy przedmiot wbił mu się w gardło. To znowu musiała być lufa.

-

Zaufałem ci, draniu - rzucił John Mountjoy, robiąc przerwy między słowami, jakby wypluwał coś niezdrowego. Kiedy spotkali się wcześniej, w hotelu Francis, wyglądał na wzburzonego. Teraz był na skraju załamania nerwowego.

-

To nie ja strzelałem - odparł szybko Diamond.

-

Ubzdurałem to sobie, tak? Plecy mam całe pokrwawione i naśpikowane śrutem. Ubzdurałem sobie?

-

Jesteś ranny? To nie ja. Przysięgam. - Diamond próbował

wytłumaczyć całe zajście. - Jacyś durnie dostali się tutaj bez mojej wiedzy. To nie byli policjanci. Właśnie się ich pozbyłem. Zabrano ich.

Nie wiedzieli, że cię trafili.

-

Ci w korytarzu, ze strzelbą? - zapytał Mountjoy.

-

Jesteś ciężko ranny?

Nie odpowiedział na to pytanie.

-

Kłamiesz, Diamond. Wołałeś mnie, zanim zaczęto strzelać.

Wyszedłem na korytarz i trafili. Wrobiłeś mnie, draniu.

-

Nie. Nie wiedziałem, że tutaj są. Chcę to zakończyć bez przelewu krwi. Mam dla ciebie informacje.

-

Tak - powiedział gorzko Mountjoy. - Budynek roi się od policji.

Chryste! - Jęknął z bólu i mocniej przycisnął pistolet do szyi Diamonda.

-

Mylisz się. Mogę to udowodnić.

Nastąpiła chwila milczenia, ale nie ze względu na to, co powiedział

Diamond. Mountjoy nie mógł zaczerpnąć tchu. Musiało go naprawdę boleć.

-

Oszust - wymamrotał w końcu.

Diamond odpowiedział z pewną trudnością, pistolet hamował mu oddech.

-

Mieliśmy umowę. Chciałeś poznać prawdę o Britt Strand - i to dzisiaj. Dotrzymałem słowa. Wiem, kto to zrobił.

-

Odstrzelę ci łeb.

-

Słuchasz czy nie? - W głowie miał gonitwę myśli. Ten człowiek stracił rozsądek, za bardzo go bolało.

Nacisk na gardło zelżał. Nie był to dobry znak. Diamond był pewien, że Mountjoy przystawi mu pistolet do głowy i strzeli. W ułamku sekundy zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostała. Na ślepo machnął ramięm, żeby odbić pistolet. Jednocześnie pochylił głowę. Przedramieniem trafił na przedramię Mountjoya. Pistolet wystrzelił.

Mówi się, że po każdym ostrym urazie następuje krótka chwila wytchnienia. Wstrząs układu nerwowego sprawia, że ofiara nie czuje bólu.

Diamond nie wiedział, czy został zraniony. Zanurkował na lewo, upadł na podłogę, przetoczył się kilka razy aż do miejsca, w którym kończyły się deski podłogi. Wpadł w dziurę między legarami. Wiedział, że to legary, bo ich górne krawędzie wbiły mu się w nogi i żebra równocześnie. Musiał zebrać całą wolę, żeby nie krzyknąć.

Wcisnął się w dziurę i leżał bez ruchu.

Potem biała smuga padła na sufit i zrobiło się jasno. Promień reflektora.

Niedaleko niego Mountjoy próbował podnieść pistolet. Ból od śrucin był ostry, bo schylając się, jęknął i nie dokończył ruchu. Musiał uklęknąć.

Diamond wstał i rzucił się na Mountjoya, któremu udało się podnieść pistolet. Już zaczął odwracać się w stronę Diamonda, kiedy dektyw dopadł go i runął mu na klatkę piersiową. Mountjoy upadł jak kręgiel, ale nie puścił pistoletu. Nie był dobrym strzelcem, nie wykorzystał okazji.

Diamond przycisnął go do podłogi, schwycił oburącz za nadgarstek i zaczął bić jego dłoń o podłogę, aż pistolet wypadł mu z ręki i znalazł się poza jej zasięgiem.

Mountjoy zaprzestał oporu.

-

Jeśli chodzi o nas, rachunki są wyrównane - stwierdził Diamond.

Sięgnął po pistolet i przystawił go Mountjoyowi do głowy. -Gdzie jest Samantha?

Żadnej odpowiedzi.

-
Jeśli zrobiłeś jej krzywdę...

-
Nie. - Mountjoy schylił się, odpowiadając na dźgnięcie lufą. - Nic jej nie jest. Zejdź ze mnie natychmiast.

-
Gdzie ona jest?

-
Tam, za dużym zbiornikiem.

-
Gdzie?

Duży zbiornik mógł być wszędzie. Światło reflektora znów się od-daliło.

-
Kilka metrów od tego miejsca.

-
Zaprowadź mnie do niej - powiedział Diamond. - Na pewno nic jej nie jest? Dlaczego nic nie mówi?

-
Jest zakneblowana.

Odsunął się. Mountjoy, pojękując, wyprostował się na kolanach. Nie wyglądało na to, żeby w takim stanie zdołał znów zaatakować, ale dobrze było mieć w ręku pistolet. Diamond przyłożył go Mountjoy-owi do poranionego grzbietu, nie zwracając uwagi na wykrzywioną twarz i jęki.

Mountjoy wstał i ruszył, potykając się o legaty i rury. Do-szedł do czegoś, co wyglądało na zbiornik zimnej wody, i obszedł go, przesuwając dłonie po powierzchni.

-
Tutaj. Ostrożnie. Nie nadepnij na nią. Gdzieś powinna leżeć latarka.

-

Mogę cię zastrzelić - ostrzegł go Diamond. Pozostałe zmysły zaczęły rekompensować fakt, że nic nie widział w ciemności. Słyszał, że jest blisko Mountjoja, był gotów na wszelkie gwałtowne ruchy z jego strony.

Był też świadom bliskości kogoś innego. Może to było ciepło ciała, może zapach.

-

Znalazłem.

W świetle pojawiła się postać dziewczyny leżącej twarzą do góry w dziurze między dwoma legarami. Kostki i biodra obwiązane miała białym sznurem elektrycznym, ręce skrupowane z tyłu. Brązowa taśma samoprzylepna zasłaniała jej usta. Jedno oko było przekrwione, na czole widniał siniak.

-

Już po wszystkim, kochanie - powiedział Diamond. - Skończyło się.

Rozdział 28

Z GŁÓWNYCH POSTACI DRAMATU w HOTELU EMPIRE, Diamond był jeźdźcą, która uczestniczyła w finale. Kiedy na komisariacie przy Man-vers Street przeprowadzono ważne przesłuchania, John Mountjoy leżał nagi, plecami do góry w pokoju zabiegowym szpitala królewskiego, wyjmowano mu śruciny z pleców i pośladków. Pilnował go komendant Warrilow z dwoma uzbrojonymi policjantami. Pacjent nie miał

wątpliwości, że jeden fałszywy ruch z jego strony i będzie potrzebował

kolejnego zabiegu.

Samantha pozwoliła ojcu zawieźć się do domu na gorący posiłek. Mogła wykapać się i spędzić noc w czystej pościeli. Była wyczerpana, ale nalegała, żeby następnego dnia wrócić do komuny, chociaż przyznała, że występy uliczne nie odpowiadały jej ambicjom zawodowym.

Po złożeniu zeznań na temat strzelaniny G.B. i Una Moon zostali ostro skarceni przez Keitha Halliwella. Powiedział im, że później zostanie podjęta decyzja, czy należy ich oskarżyć. Było w tym coś z farsy, wiedzieli, że nic im się nie stanie, wyszli z komisariatu przed północą.

Na piętrze, w pokoju z owalnym stołem i portretem królowej, tam gdzie po raz pierwszy rozmawiano z Diamondem o czekającym go zadaniu, nadinspektor dziękował mu gorąco za uwolnienie panny Tott i schwytanie Mountjoja.

- To przecież miałem zrobić - zauważył Diamond i dodał, po chwili milczenia - ...panie nadinspektorze. Chyba teraz powinienem zwracać się do pana we właściwy sposób.

-

Doprawdy?

-

No cóż, w związku z tym, o czym mówiliśmy.

-

No, tak - odparł nieobecny głosem Farr-Jones.

-

Moja część umowy polegała na tym, że do północy zakończę oblężenie bez przelewu krwi - przypomniał mu Diamond.

-

Zgadza się... Chociaż Mountjoy mógłby mieć co do tego wątpliwości. Jeśli chodzi o jego stan, o stan jego części tylnych, nie powiedziałbym, że skończyło się to bez przelewu krwi. - Farr-Jones uśmiechnął się szeroko.

-

Ale żyje, panie nadinspektorze.

-

I macha nóżkami, powiedziałbym. - Farr-Jones był w doskonałym humorze.

Diamond czekał.

-

Nie jestem zadowolony z wszystkiego, co powiedziałaś i zrobiłaś przez ostatnich kilka dni, Diamond, ale dałem słowo i zobaczę, co da się zrobić w sprawie przywrócenia cię do służby. Jesteś całkowicie pewien, że chcesz wrócić?

-

Do wydziału kryminalnego. Farr-Jones skinął głową.

-

Komisja policyjna otrzyma odpowiednie powiadomienie wraz z rekomendacją z mojej strony. Spisałaś się dzielnie. Nie jesteśmy niewdzięcznikami.

Diamond ucisnął twardą dłoń z serdelkowatymi palcami. Farr-Jones posunął się o krok dalej, położył lewą rękę na ramieniu Diamonda i ucisnął go.

-
Co więcej, zwinąłeś go bez żadnych głupot.

-
Głupot?

-
Chodzi o wznowienie sprawy Britt Strand.

-
Ach, właśnie, panie nadinspektorze - powiedział Diamond gładko i uprzejmie. - To nie jest głupota.

To radosne zapewnienie zdmuchnęło uśmiech z twarzy nadinspektora.

-
W czym rzecz?

-
Rozwiązaliśmy sprawę. Razem z detektyw Hargreaves. Dlatego Mountjoy się poddał. Obiecałem mu, że zdobędę podpisane zeznanie od prawdziwego zabójcy Britt Strand. Dowód nie do podważenia. Niczego więcej nam nie potrzeba, żeby obalić pierwotny wyrok.

Farr-Jones poczerwieniał złowieszczo.

-
Nie mówisz tego poważnie. Dla mnie ta sprawa jest zamknięta, dla ciebie zresztą też, jeśli masz choć odrobinę wyczucia logiki.

-
Nie chodzi o moje wyczucie logiki, ale o nasze poczucie sprawiedliwości, prawda? Wznowienie sprawy może być zabójcze dla mojej reputacji, ale sprawiedliwości musi stać się zadość. Jeszcze dziś wieczór będę miał to zeznanie.

-
Akurat! Skąd je weźmiesz?

-
Kiedy pracowaliśmy w świetle reflektorów, w hotelu, Julie Hargreaves dyskretnie kończyła nasze

śledztwo. Jest z jednym z pańskich najlepszych detektywów.

-

Wiem o tym.

-

Ale chyba pan nie wie, że dziś wieczorem przyprowadziła człowieka, który złożył zeznanie.

Brwi nadinspektora uniosły się jak Tower Bridge.

-

Jest w pokoju przesłuchań, na dole, chętnie wszystko opowie.

Nadinspektor zamilkł. Wydusił z siebie tylko jedno słowo.

-

Kto?

-

Jake Pinkerton.

-

Ten rockman?

-

Producent, panie nadinspektorze. Już nie występuje na estradzie. -

Powściągliwy styl Diamonda był zwodniczy. W skrytości ducha rozkoszował się przerażeniem nadinspektora. - Zechce pan ze mną pójść?

Przyrzekłem Julie, że jej pomogę. Chciałaby, żebym przy tym był.

PINKERTON, TYM RAZEM UBRANY W JASNOBŁĘKITNE DRESY

Z odblaskowymi paskami, czekał w pokoju przesłuchań. Zajęty był

usuwaniem skórki z paznokci. Wyglądał bardzo nonszalancko.

-

Był w domu, dzwonił - powiedziała Julie do Diamonda.

-
Mówiłaś mu, o co chodzi?

-
Nie musiałam. Najwyraźniej ktoś mu o tym powiedział.

-
No i co, podniósł rączki do góry?

-
Wątpię, żeby to chciał zrobić. Ale myślę, że pęknie. Nadinspektor przyglądał się przesłuchaniu z sąsiedniego pokoju przez weneckie lustro.

-
Panie Pinkerton, nie ma sensu przedłużać sprawy - rozpoczął

Diamond, kiedy włączono nagrywanie, a Julie wypowiedziała stereo-typowe formuły. - Kiedy poprzednio przesłuchiwałem pana w pańskim domu, powiedział mi pan kilka rzeczy o Britt Strand, ale zrobił

to pan w sposób niekompletny.

-
Wydawało mi się, że jestem całkowicie szczery - odparł Pinkerton arogancko. - Powiedziałem, że mieliśmy to już za sobą, choć wcześniej było cudownie. Co pana jeszcze interesuje, nasze ulubione pozycje? -

Mrugnął do Julie.

Diamond puścił tę bezczelność mimo uszu. Lepiej było milczeć.

-
Powiedział pan, że romans trwał kilka miesięcy, w 1988 roku. Czy tak?

-
Mówiłem już - rzucił Pinkerton ze złością.

-
Powiedział pan też, że piła whisky bez wody i lodu.

-
A pan stwierdził, że ponoć była abstynentką, tak jakbym kłamał. Ale nie kłamałem. Później porzuciła ten zwyczaj.

-
Ma pan rację - zgodził się Diamond. - Wszyscy, których o to pytałem, mówili, że nie tykała alkoholu. Wie pan przecież, dlaczego o tym mówię, prawda?

-
Niech mi pan sam powie.

-
Najpierw porozmawiamy o prowadzeniu samochodu. Nie mówiliśmy o tym poprzednim razem. Była kierowcą, kiedy spotkał ją pan w 1987 roku, prawda?

Pinkerton zawahał się i odsunął od stołu.

-
Co to za podstęp?

-
Proszę odpowiedzieć na pytanie - poinformowała go Julie. Zmienił pozycję na krześle.

-
Tak, miała sportowy samochód, czerwone mgb.

-
Dobrze, robimy postępy - ucieszył się Diamond. - Pożyczał pan go czasem?

-
Mgb? Nie. Mam własny wóz. Wtedy, o ile pamiętam, mercedesa.

Tyle już ich było.

-
Interesuje mnie samochód Britt - powiedział Diamond, starannie dobierając słowa. Chciał

przyłapać Pinkertona na kłamstwie i teraz trafiła się okazja. - W chwili śmierci nie miała samochodu. Według tych, którzy ją znali, nie prowadziła wozu co najmniej od dwóch lat. Ciekawe, co zrobiła z mgb?

-

Pewnie sprzedała.

Tak to chcesz rozegrać, pomyślał Diamond.

-

Nie, nie sprzedała. Sprawdziliśmy rejestry właścicieli. Samochód nadal oficjalnie należy do Britt. Cztery lata po jej śmierci.

-

Nie umiem pani pomóc - odparł Pinkerton.

-

Ależ umie pan. Samochód jest teraz w pańskim posiadaniu, prawda?

Muzyk próbował udawać zdumienie.

-

Co pan chce przez to powiedzieć?

-

Znaleźliśmy go dziś wieczorem. Trochę nam pomogli pańscy przyjaciele. - Diamond uśmiechnął się. - W Conkwell, w szopie, w lesie za studiem. Zapomniał pan?

Pinkerton zaczął się bawić wisiorkiem przy suwaku, westchnął.

-

Zupełnie. To było tak dawno - powiedział.

-

Tak, zielsko i chaszczki wszystko zarosły - zgodził się Diamond.

-

To bez wątplenia samochód Britt. Jak się tam znalazł?

-
Pewnie poprosiła, żebym się nim zaopiekował. Tak, jestem tego pewien.

-
Wtedy, kiedy mieliście romans?

-
Właśnie wtedy - stwierdził to niedbałym tonem, ale nie wyglądał dobrze.

Diamond dokręcił śrubę.

-
Daj spokój, Jake. Romans skończył się w 1988 roku. Dlaczego nie zabrała samochodu?

-
Dobre pytanie.

-
No to odpowiedz.

Pinkerton przejechał czubkiem języka po górnej wardze.

-
Powiedziała mi, że chce, żeby zniknęła z ulicy. Nie miała garażu.

Wiedziała o tej szopie w Conkwell i o tym, że zmieści się w niej samochód. Zapytała, czy mógłbym go tam przechować.

-
Niezbyt wygodnie, skoro mieszkała w Larkhall.

-
Ano nie.

-
Co się stało? Czy kiedykolwiek korzystała później z tego samochodu?

-
Nic o tym nie wiem.

-
Naprawdę?

-
Już mówiłem.

-
Pytam dlatego - wyjaśnił Diamond - że samochód jest uszkodzony. Nie wyjechałby na ulicę w takim stanie. Reflektor z lewej strony jest rozbity, błotnik mocno wgnieciony, zderzak się odkształcił.

-
Ale o co chodzi? - zapytał Pinkerton z pozornym spokojem.

-
Nie wyjeżdżał na drogę.

Diamond nachylił się i powiedział towarzyskim tonem:

-
Jake, problem polega na tym, że nie chcesz mi powiedzieć całej prawdy. Kiedy wstawiła samochód do twojej szopy, nie zrobiła tego dla wygody, ale żeby ukryć zniszczenia, a ty byłeś z nią w zмовie. Nie zgłosiła wypadku, który spowodowała. Musiałeś widzieć, w jakim stanie jest jej samochód.

Znowu zaczął się przyglądać paznokciom.

-
Tak.

-
Można go było naprawić - zauważył Diamond. - Dlaczego tego nie zrobiono?

-
Nie mogę mówić za nią.

No to mów za siebie - przypomniał Diamond ostrym tonem. - Ten samochód stoi w twojej szopie od sześciu lat. Jest sporo wart, to mgb.

Powinien znaleźć się na liście ruchomości Britt.

-
Nie kradnę samochodów, jeśli o to panu chodzi.

-
Nie chciałeś, żeby się wydało, że pomagałeś jej ukryć wypadek.

Dlatego nic nie zrobiłeś, prawda? No prawda?

Pinkerton odwrócił wzrok. Tym razem wątek podjęła Julie.

-
Widziałeś, w jakim stanie jest samochód. Musiałeś ją zapytać, dlaczego jest zniszczony, a ona musiała to zrobić. Opowiedz nam dokładnie, co ci mówiła. Od tej chwili - dodała - widzimy w tobie współsprawcę.

Pinkerton był wystarczająco rozgarnięty, żeby to zrozumieć. Po-patrzył na Diamonda, potem na Julie, wiedząc, że póki taśma jest w ruchu, nie zaproponują mu układu bez oskarżenia. Siedzieli jak dwa sfinksy.

Zaczął mówić.

-
Pewnego razu, późnym wieczorem, Britt przyszła do mnie, do domu w Monkton Coombe. Widziałem, że jest czymś bardzo przeję-ta.

Powiedziała, że była w Warminster, pracowała tam nad artykułem i jadła suto zakrapiany lunch.

-
Kiedy to było? - zapytała Julie.

-
Pracowałem nad albumem Sons of Slade, więc to musiało być w 1988 roku. W październiku 1988 roku.

-
Jesteś pewien?

-
Tak. Powiedziała mi, że mocno przytankowała, zanim wsiadła do wozu i że pojechała złą drogą. Do Westbury zamiast do Bath. To nie było nic takiego, bo wiedziała, że może wrócić przez Trowbridge. Ale potem w lusterku zauważyła radiowóz i pomyślała, że jadą za nią.

Wiedziała doskonale, że jeśli każą jej dmuchać w alkomat, straci prawo jazdy. Zeby się ich pozbyć, zjechała z głównej drogi i zgubiła się w jakichś uliczkach. Zaczęło się robić ciemno, domyśliła się, że jest koło piątej.

Powiedziała mi, że jechała przez wieś, kiedy nagle jakiś pieszy wszedł na jezdnię. Britt ostro skręciła, ale nie udało się jej go wyminąć. Potrafiła go.

Samochód zawadził o kamienny murek, ale utrzymała nad nim kontrolę i pojechała dalej.

-
Pojechała dalej. Potrafiła człowieka i się nie zatrzymała?

-
Tak.

-
Mężczyznę? Kobietę?

-
Nie powiedziała. Właściwie to nie przejechała tej osoby, hamowała, kiedy w nią uderzyła, pomyślała więc, że nie mogła jej poważnie zranić.

Ale gdyby zgłosiła stłuczkę, mogłaby się znaleźć w tarapatkach. Nie mogła zostawić wozu na ulicy przed domem. Musiała go gdzieś schować.

Przyszła więc do mnie z prośbą o pomoc. Powiedziałem, że może zostawić wóz przynajmniej do czasu, kiedy wszyscy zapomną o wypadku, a potem może kazać to cholerstwo naprawić i znów nim jeździć.

-
Co się nigdy nie stało - powiedział Diamond.

-
Tak.

-
Słyszał pan coś o tym wypadku? - zapytała Julie.

-
Nigdy już do tego nie wracała.

-
A pan nie pytał? - zdziwił się Diamond. - Przecież jej samochód stał w pańskiej szopie długo po waszym rozstaniu.

Pinkerton wzruszył ramionami.

-
Może trudno wam w to uwierzyć, ale to prawda. Zapomniałem o całej sprawie. Biznes mi się rozwijał. Prawie co miesiąc przybywały do mnie nowe zespoły, grały sensacyjne nowe kawałki. Byłem zwałony robotą.

-
Jesteś całkowicie pewien, że więcej nie rozmawiała z tobą o wypadku?

-
Ze mną nie. To był drażliwy temat. Całkowicie odstawiła go rzałę i oboje wiedzieliśmy dlaczego. I sądzę, że przestała prowadzić samochód.

-
Kiedy ostatni raz cię przesłuchiwałem, opisałeś to inaczej.

Uwierzyłem ci, że nie wiesz, dlaczego przestała pić.

Ze smutkiem pokręcił głową.

-
Człowieku, daj żyć. Nie chcę być w to wplątany.

-
Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa, a ty prosisz, że-bym dał ci żyć? - zapytał Diamond podniesionym głosem. - Ukry-wałeś dowody, naraziłeś moje życie i prosisz, żeby dać ci odetchnąć? Żartujesz.

Nie podobają mi się twoje odpowiedzi. Nie wierzę, że zapomniałeś o istnieniu samochodu.

-

To święta prawda - upierał się Pinkerton.

-

To bzdura. A kiedy ją zamordowano i o wszystkim pisano w gazetach, też sobie nie przypominałeś.

Potarł twarz.

-

No, dalej, mów - przynaglił Diamond. Pinkerton westchnął.

-

Dobrze... nie mówiłem o tym wozie. Panie Diamond, jestem cholernie dobrze znany w tym biznesie. Gdybym coś powiedział, prasa rzuciłaby się na mnie, żeby pytać o moje stosunki z Britt. Powiedziałem, że to się skończyło, przeszło do historii i to prawda. Gdyby wiedzieli, że nadal mam jej samochód, zjedliby mnie. Pan też. Nikt by nie uwierzył, że zerwaliśmy.

-

Poprzednim razem powiedziałeś mi, że utrzymywaliście kontakty.

Zgadza się?

-

Pewnie. Pozostaliśmy przyjaciółmi.

-

I nigdy nie wspomniała o wypadku ani o samochodzie.

-

Mówiłem, to był drażliwy temat.

-

Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

-

Jakieś trzy tygodnie przed jej śmiercią. Na Milsom Street, przy padkiem. Była sama, robiła zakupy.

-
Co powiedziała?

-
Niewiele. Opowiedzieliśmy sobie, co u nas słychać. Powiedziałem jej parę ciekawostek o zespołach, z którymi pracowałem, a ona mówiła o czasopiśmie, dla których pisze. To wszystko. Załedwie parę minut na ulicy.

-
Czy potem rozmawialiście przez telefon?

-
Nie. To był z całą pewnością ostatni raz. Tym razem powiedziałem wam wszystko, przysięgam na Boga.

-
JAKI TO MIAŁO CEL? - Farr-Jones zapytał podenerwowanym tonem. - Już uwierzyłem, że zaraz wyciągniecie przyznanie się do zabójstwa.

-
Przyznanie się? Nie. To była istotna informacja - zaznaczył

Diamond.

-
Większość to pogłoski.

-
Prawda - zgodził się Diamond.

-
Ale przyznał się, że trzymał jej samochód - wtrąciła Julie. - Był współnikiem w ukrywaniu dowodów.

-
Chyba nie proponujecie poważnie, żeby go o to oskarżyć? - przeraził

się Farr-Jones. - Miałem męczący dzień i jest już późno. Przesuwam wszystko na jutro.

-

Doskonale, panie nadinspektorze - powiedział łagodnie Diamond. -

O której zechciałby się pan z nami spotkać?

-

Jest coś jeszcze do omówienia?

-

Parę wyjaśnień.

-

No to o jedenastej. - Myśl o kolejnym dniu sprawiła, że Farr--Jones ziewnął.

-

Świetnie - stwierdził Diamond. - Przed kościołem?

-

Przed jakim kościołem? Przecież to nie niedziela?

-

Steeple Ashton.

-

Po co?

Kiedy Farr-Jones wyszedł, Diamond pokręcił powoli głową.

-

On miał męczący dzień. Julie, nie zbiera ci się z tego powodu na płacz?

Rozdział 29

JEST TO JEDNA Z TYCH SPRZECZNOŚCI, które uwydatniają urok angielskiego krajobrazu: kościół parafialny w Steeple Ashton, mimo iglicy występującej w nazwie wsi, sam iglicy nie ma. Zwaliała ją burza w 1670 roku. Wieża, która przetrwała, góruje nad wsią i okolicą na północ od Westbury Hill, bo nawet w skróconej wersji St Mary jest wysokim kościołem. Wielka liczba

guzowatych sterczyn rekompensuje brak iglicy i wygląd budowli można by określić raczej jako nazbyt bogaty niż niekompletny. Obfitość ozdób świadczy o zyskach z handlu wełną w średniowiecznym Wiltshire. Ciekawe, że większość gargulców, wyrzeźbionych na okapach i blankach, ma pękaty wygląd lalek z włóczki.

Ale nie to było obiektem zainteresowania grupki wyższych szarżą policjantów, którzy przestępowali z nogi na nogę i zacierali dłonie w rękawiczkach, stojąc pod południowym portykiem jak żałobnicy czekający na sformowanie się konduktu. Mróz pobieł przykościelny cmentarz, wiał

przenikliwy wiatr ze wschodu.

Kiedy niebiesko-złoty zegar na wieży pokazał dokładnie godzinę jedenastą, Peter Diamond i Julie Hargreaves wyszli z za rogu budowli.

- Dzień dobry panom. Czy wszyscy są?

Skład grupy był imponujący. Poza Farrem-Jonesem i Tortem pojawili się John Wigfull, Keith Halliwell i dwóch inspektorów w mundurach, którzy wcześniej zostali przydzieleni komendantowi Warrilowowi. Ten ostatni, ku cichemu zadowoleniu wszystkich, wrócił rano w triumfie na wyspę Wight razem z zakutym w kajdany więźniem.

Diamond i Julie pojawili się ponad godzinę wcześniej i nie zmarnowali ani minuty. Ich wędrówki zapisały się na szronie w formie szarych tropów między grobami w zachodniej części kościelnego dziedzińca.

-

Zechcecie panowie pójść za mną? To nie potrwa długo. - Diamond zaczął przecierać nowy szlak na zmarzniętej trawie. Za nim, gęsiego, zdążali inni. Szli w stronę grobów rozstawionych w rzędach równych jak zęby aktora. Wreszcie zatrzymali się przy działce z niskim kamiennym krzyżem. Widniała na nim prosta inskrypcja:

„Georgina May Higginson 13.9.1981-17.10.1988”

-

Zaledwie siedem lat - zauważył Tott.

-

Jakie to smutne - mruknął Halliwell, najbardziej wrażliwy w tej grupie. Należało powiedzieć coś jeszcze, chociaż wszelkie słowa były tu nieodpowiednie.

-

Zauważył pan datę, nadinspektorze - zapytał Diamond Farra-Jonesa.

-
Październik osiemdziesiątego ósmego roku. Zakładasz, że dziewczynka padła ofiarą wypadku, którego sprawca uciekł z miejsca zdarzenia?

-
Jesteśmy tego pewni. To jedyny grób dziecka z 1988 roku, jaki tu znaleźliśmy.

Farr-Jones gwizdnął, wypuszczając pióropusz białej pary.

-
Czy to dziecko istotnie zginęło w wypadku drogowym?

Sprawdziliście w archiwach?

-
Detektyw Hargreaves właśnie to zrobiła. Julie złożyła raport.

-
W tym dniu dziecko o tym nazwisku zostało zabite przez samochód w Steeple Ashton, naprzeciwko sklepu wiejskiego, za kwadrans piąta.

Kierowcy nie znaleziono.

-
Najbliżsi krewni - dodał Diamond - to John Higginson, ojciec, mieszkający w Belfaście, i Prue Shorter, matka, która nadal tutaj mieszka.

To ta fotografica, która pracowała z Britt Strand.

Do tej pory, każde zdanie brzmiało dla Farra-Jonesa zrozumiale. Ostatnie nie, sądząc z jego miny.

-
Pani Shorter zaoferowała swoją pracę Britt Strand latem 1990 roku, prawie dwa lata po śmierci dziecka - wyjaśnił Diamond. - Do tej pory zdążyła powziąć mocne podejrzenia, że Britt Strand była kierowcą tego samochodu, ale chciała się upewnić, bo planowała pomścić śmierć córki, odbierając życie osobie, która ją spowodowała. Latem i jesienią 1990 roku pracowała jako fotograf, dopóki nie uzyskiwała całkowitej pewności i dopóki nie nadarzyła się sposobność.

-
Czy wtedy nic o tym nie wiedzieliśmy?

-
O wypadku? Dane były w archiwach dotyczących kierowców, którzy uciekli z miejsca przestępstwa, ale nie było powodu łączyć go ze sprawą morderstwa Britt Strand. Rutynowo sprawdziliśmy, czy świadkowie byli karani, pani Shorter miała czystą kartotekę. Fakt, że była matką ofiary wypadku, nie pojawił się w komputerze.

-
Nie mógł się pojawić - potwierdził Wigfull.

-
To jak do niej dotarliście? - zapytał Farr-Jones.

Diamond niespodziewanie zaczął tańczyć na palcach, jak młody łąbędź z opery Piotra Czajkowskiego.

-
Proszę o wybaczenie, ale muszę załatwić małą potrzebę. To pewnie z zimna.

-
Tutaj? - zapytał Farr-Jones i się nachmurzył.

-
Przypadkiem zauważyłem, że Prue Shorter napaliła w kominieku.

Może byśmy teraz ją zgarnęli?

BYŁO TO NAJBARDZIEJ KULTURALNE ARESZTOWANIE W

doświadczeniu wszystkich detektywów. Pora nie mogła być lepiej dobrana.

-
Ilu was tam jest? - zapytała Prue Shorter. - Ośmioro, prawda?

Obawiam się, że nie znajdę krzeseł dla wszystkich. Panie Diamond, zechce pan wziąć nóż? Ten duży, w szufladzie za panem.

Postawiła na kuchennym stole parujące ciasto owocowe, żeby Diamond je pokroił.

Kilku funkcjonariuszy popatrzyło na nadinspektora, żeby dał im wskazówkę, jak mają postąpić w tej niesłychanej sytuacji. Wystarczyło mu zdrowego rozsądku, żeby się zgodzić.

-
Kiedy byłem chłopcem, czytywałem książeczki o misiu Rupertcie -

zaskoczył wszystkich tym stwierdzeniem. - Te oryginalne, autorstwa Mary Tourtel, w żółtych okładkach, z czarno-białymi ilustracjami.

Zawsze się kończyły tak, że Rupert wracał po jakichś przygodach do domu, a tam okazywało się, że miła pani Niedźwiedziowa upiekła ciasto.

Zapadła pełna skrepowania cisza. Wyżsi stopniem policjanci rzadko odkrywają takie szczegóły z życia osobistego.

-
Osobiście nigdy nie uwierzyłam w zwierzęta noszące ubrania.

Lubiłam Niezwykłą Piątkę - oznajmiła Prue Shorter.

-
Enid Blyton - powiedział Wigfull, chodząca encyklopedia.

-
Czy w jednej z nich nie występował... - odezwał się Tort.

-
George. Owszem - odparła szybko Prue Shorter i dodała, nieomal niesłyszalnie: - Georgina.

Ich przybycie do drzwi jej domku nie spieszyło jej.

-
Teraz, skoro już przyszliście, nie jestem nawet w stanie powieścić, jak mi ulżyło. Kochani, co wolicie najpierw, kawałek ciasta czy zeznanie?

Po takim wstępie grubiaństwem byłoby napomykanie, że dwóch umundurowanych policjantów stoi przy tylnych drzwiach, żeby zapobiec ucieczce. Przecież zaprosiła ich i zrobiła dla wszystkich kawę z ekspresu.

Diamond skończył krojenie ciasta i włożył nóż do zlewu, z dala od Prue Shorter. Nadal miał przed oczami zmasakrowane ciało Britt Strand. Miła pani Niedźwiedziowa potrafiła równie dobrze władać nożem i piec ciasta.

-

Jest pani gotowa do zeznań? - zapytał.

-

Złotko, nie powiesz im, jak mnie znalazłeś? - powiedziała z godnym podziwu opanowaniem. - Zbieraj oklaski, kiedy tylko masz okazję.

Kompletnie mnie zatkało na taką dobrą robotę. Ale nie jestem pewna, czy pozostali to doceniają.

-

Tak, panie Diamond - zgodził się Farr-Jones, ulegając tej niebezpiecznej kobiecie - dlaczego nie miałby pan przedstawić nam sprawozdania ze swojego śledztwa?

-

Nie tylko mojego - zauważył Diamond. - Było nas dwoje. Duża część zasługi spada na detektywa Hargreaves. Prawdę mówiąc, należy się jej pochwała.

Julie spuściła wzrok na filiżankę z kawą. Diamond nie był taki skromny.

-

Chcecie wiedzieć, co nas tutaj doprowadziło? - zapytał. - To stara jak świat historia obserwacji i dedukcji. Niektóre z tych szczegółów miały, z początku, niewielkie znaczenie. Na przykład, kiedy po raz pierwszy przyszedliśmy tutaj z Julie, zauważyliśmy dziecięce skrzypce w jednej z wnęk w sąsiednim pokoju. Był także rysunek przypięty do tablicy, postać z kresek, najwyraźniej autorstwa małego dziecka. Niewiele jak na początek, ale kiedy tu znów przyszedłem, skrzypiec nie było. Okazało się, że pani Shorter była krótko mężatką i urodziła dziewczynkę, która zmarła w wieku siedmiu lat. Nie poszedłem za tym tropem, nie zapytałem, co było przyczyną śmierci i możecie myśleć, że to błąd z mojej strony, ale kiedy przeanalizowałem później wszystko, doszedłem do wniosku, że raczej nie uzyskałbym prawdziwej odpowiedzi. Zapuściłem się na niebezpieczne terytorium, prawda? Prue Shorter skinęła głową.

-

Oczywiście - ciągnął Diamond - człowiek nieustannie zapisuje w pamięci różne rzeczy. Dziewięćdziesiąt pięć procent okazuje się nie mieć znaczenia. Potrzeba było trochę sumiennej pracy i inteligentnej dedukcji Julie i mojej, żeby odkryć, że Britt Strand miała kiedyś samochód, mgb.

według danych komputerowych, ma go do tej pory. W końcu znaleźliśmy samochód i odkryliśmy oczywiste dowody, że brał udział w wypadku. Jake Pinkerton, który wtedy był jej chłopakiem, pozwolił jej ukryć wóz w lesie za studiem nagrań, w Conkwell. Oczywiście, przesłuchaliśmy go.

Gdy zdarzył się ten wypadek, Britt Strand wyznała Pinkertonowi, że kogoś potrąciła, ale nie powiedziała, czy chodziło o mężczyznę, czy kobietę.

Dlaczego? - pomyślałem. Dlaczego to takie ważne, jakiej płci była ofiara?

Powód, dla którego nie powiedziała swojemu chłopakowi, był taki, że za bardzo się wstydziła. Potrafiła dziecko i uciekła.

Zostawiła ją na drodze, z pękniętą czaszką - wtrąciła Prue Shorter ostrym, oskarżycielskim tonem, kontrastującym z łagodną osobą, którą do tej pory udawała. - Następnego dnia było o tym w gazetach, ale i tak się nie ujawniła.

Godne ubolewania - powiedział Tott.

Mimo wszystko - Farr-Jones zwrócił się do Diamonda - związek między dziecięcymi skrzypcami a ucieczką kierowcy z miejsca wypadku drogowego jest dość słaby

Było więcej szczegółów - odparł Diamond ostrym głosem. Był

zirytowany. - Znacznie więcej. Picie alkoholu. Dowiedzieliśmy się od Jake'a Pinkertona, że Britt Strand piła kiedyś whisky. Zerwała z tym całkowicie po wypadku. Została abstynentką.

Bardzo to pomogło, kiedy moja dziewczynka nie żyła - wtrąciła zjadliwie Prue Shorter.

Przejdźmy więc do pani. - Diamond po raz pierwszy zwrócił się do niej bezpośrednio. - Zaradna dama. Czarodziejka pieczenia ciast. Człowiek towarzyski, co różnie można rozumieć.

Roześmiała się.

Mówię poważnie - upierał się Diamond. - Łatwo przychodzi pani zawierać znajomości, bo niby co my tu robimy przy pani kuchennym stole? Umie pani oczarować każdego, nawet najgorszego wroga, i właśnie to pani zrobiła. Ale nie za pomocą ciast. Ma pani doświadczenie jako zawodowy fotograf. Miejscowy wolny strzelec, który robi zdjęcia do działu wiadomości „Bath Chronicle” i „Wiltshire Times”, a czasem sprzedaje fotografie do gazet ogólnokrajowych. Naprawdę dobre fotografie. Znalazła się pani we właściwym miejscu i o właściwym czasie, żeby pokazać swoje prace Britt i przekonać ją, że lepiej wyjdzie na zatrudnieniu lokalnego talentu, niż gdyby miała prosić ją o

zarozumialca z Londynu. To było w połowie lat dziewięćdziesiątych, prawda?

Prue Shorter skinęła głową.

-

Daty są ważne - powiedział, rozglądając się wokół stołu. -

Dziewczynka została zabita w październiku 1988 roku, mówimy więc o okresie co najmniej półtorarocznym. Bardzo długa przerwa. Do tej pory nie mówiłem o tym, jak dowiedziała się pani, że to Britt. W końcu nie wiedziała pani, że jej samochód nadal istnieje. Doszła pani do prawdy zupełnie inną drogą niż my.

-

Jak pani odkryła, że to Britt zabiła pani córkę? - naciskał Diamond.

-

Róże - powiedziała głosem wypranym z ożywienia, które wcześniej wykazywała. - Pojawiły się na grobie dzień po pogrzebie. Tuzin, w zwykłej, przezroczystej folii. Żadnej karteczki. Żadnej wskazówki, kto je przyniósł. Poświęciłam całe tygodnie, żeby się tego dowiedzieć. Pytałam we wszystkich kwiaciarniach w Bath, w Bristolu, w Trowbridge, Westbury, Melksham. Rozumie pan, domyśliłam się, że położył je kierowca, który uciekł z miejsca wypadku. Wiedziałam to. Ale nie byłam w stanie znaleźć kwiaciarni. Musiała je kupić w Londynie. Czekałam rok, zanim na nią wpadłam.

-

W rocznicę wypadku?

-

Powinna pomyśleć i obserwować cmentarz, ale nie zrobiłam tego.

Znowu świeży bukiet bez żadnej wskazówki, kto przyniósł kwiaty. Ale tym razem, zamiast obchodzić kwiaciarnie, przepytalam ludzi mieszkających przy Church Road, przed kościołem, czy kogoś widzieli.

Niewiele samochodów tutaj przyjeżdża, chyba że w weekendy, nie licząc pogrzebów. A to był wtorek. Jeden z mieszkańców z naprzeciwka widział

taksówkę, która nadszła przed zmiernikiem. Wsiadła z niej kobieta w chustce na głowie i czarnym płaszczu. Poszła na cmentarz. Taksówka czekała jakieś dziesięć minut. Miała taki podświetlony znak na dachu.

Była z korporacji Abbey Taxis, która ma bazę w Bath.

-
I znalazła pani taksówkarza?

-
Następnego dnia. Zapamiętał ją. Miała przy sobie róże. Mówiła z lekko cudzoziemskim akcentem. Taksówkarz podał mi dobry opis.

Blondynka, atrakcyjna, dobrze ubrana. Problem polegał na tym, że nie potrafił podać mi jej nazwiska ani adresu. Wsiadła do taksówki na postoju przed stacją kolejową i tam też przywiózł ją z powrotem.

Kazałam mu obwozić się po Bath przez kilka popołudni z nadzieją, że ją zauważy, ale nie mieliśmy szczęścia. Pewnego wieczoru kilka tygodni później zadzwonił do mnie i powiedział, że rozmawiał z jednym z taksówkarzy swojej korporacji, który twierdził, że zna tę kobietę. Woził

ją często ze stacji do domu w Larkhall. To była szwedzka dziennikarka. -

Prue Shorter rozłożyła ręce. - Dowiedziałam się tylko tyle, ale to wystarczyło. Nie pracowała dla żadnego z miejscowych brukowców, ale ją znali. Nie rokowało to wielkich nadziei, bo dowiedziałam się, że ta kobieta nie pije i nie prowadzi samochodu, ale niełatwo mnie zniechęcić.

Zebrałam na jej temat wszystko, co się dało. Dostałam u niej pracę, robiłam z nią kilka artykułów, w Longleat i w komunie przy Trim Street.

-
Tak dobrze umie pani obchodzić się z ludźmi, że potrafiła pani stłumić gniew, który wywoływała w pani kobieta odpowiedzialna za śmierć pani córki.

-
Nie - przerwała. - Źle pan to ujął. Nie byłam pewna, czy ona to zrobiła. Gdybym była pewna, zabiłabym ją wcześniej. Nie czekałabym.

Sposób, w jaki to powiedziała, mroził krew w żyłach. Diamond przyjął poprawkę skinieniem głowy.

-
Chodziło mi o to, że zyskała pani całkowite zaufanie Britt, zrobiła pani wszystkie zdjęcia, jakie pani zleciła, i były to dobre zdjęcia.

Odwiedzała pani jej mieszkanie w Larkhall. Poznała pani rozkład jej zajęć, jej przyjaciół, gospodarza. Jestem pewien, że ona pani nie odwiedzała.

Nie zrobiłaby tego. Pani była fotografem, partnerem niższej rangi w tym zespole, to pani przynosiła do niej odbitki do oceny. Nie wiedziała, że mieszka pani w Steeple Ashton, gdzie zabiła pani dziecko. Pani telefon ma numer okręgu miasta Devizes. Tylko to było jej potrzebne, żeby być z panią w kontakcie.

Napił się kawy. Nikt się nie odzywał. Ugryzł kęs ciasta. Cała uwaga i tak była skupiona na nim.

-

We wrześniu albo w październiku 1990 roku Britt zajęła się aferą w college'u Johna Mountjoya. Jak zwykle zaufała pani, przedstawiła pani tło, podejrzenia, że wpisuje na listy Irakijczyków, którzy wcale nie mieli ochoty zostać studentami, ale potrzebne im były papiery do wizy. Zrobiła pani kilka zdjęć budynku z zewnątrz. I teraz jesteśmy dzień przed morderstwem. Siedemnastego października - dwa lata od dnia, kiedy pani córka zginęła w wypadku samochodowym. To był dzień, kiedy ponad wszelką wątpliwość potwierdziła pani, że to Britt spowodowała wypadek.

-

Róże? - zapytał Farr-Jones. Prue Shorter skinęła głową.

-

Widziała pani, jak przyniosła je na grób? - zapytał Diamond.

-

I wtedy już byłam pewna - powiedziała cicho.

-

Miała też pani okazję, żeby coś z tym zrobić następnego dnia. Britt przyjęła zaproszenie na kolację z Mountjoyem i powiedziała pani, że sprowadzi go do Larkhall i nagra rozmowę. Tamtego wieczoru chciała skonfrontować go z dowodami i zrobiła to. On przyznaje, że tak było. Ale to nie on ją zabił. Ani G.B., jej ostatni wielbiciel, zażdrosny jak diabli, który poszedł za nimi do jej domu. Ani Billington, który wpadł tam niespodziewanie, żeby zabrać kluczyki do samochodu. Morderstwo zostało popełnione, gdy wszyscy ci mężczyźni poszli. Odwiedziła ją pani późnym wieczorem, kiedy była sama. Było to mniej więcej o północy albo później pod jakimś pretekstem, który podała jej pani przez telefon - może nawet powiedziała pani prawdę, że wie pani, kto spowodował wypadek.

Prue Shorter skinęła głową.

-

Tylko to mogło sprawić, by wpuściła mnie do domu o tak późnej porze.

-

Zgodziła się.

-

Natychmiast.

-

A pani przyszła do niej uzbrojona w nóż...

-

Nóż kuchenny.

Diamond przelotnie pomyślał o nożu, który mu dała, żeby pokroił ciasto, ale odrzucił tę myśl.

-

Zaprosiła panią na górę. Miała pani ze sobą róże, które położyła na grobie pani córki. Dźgnęła ją pani wielokrotnie i wepchnęła róże w usta.

Patrzyła na niego wyzywająco.

-

Jedno pytanie - zawahał się. - Czy zanim wyszła pani z mieszkania, zabrała pani kasetę z magnetofonu?

-

Nie znajdzie jej pan tutaj - odparła. - Wrzuciłam ją do rzeki.

Nagrywała prawie wszystko. To mogło mnie zdradzić.

Zwrócił się raczej do policjantów niż do niej.

-

Znaczenie tych róż było prawdziwą zagadką dla detektyw Hargreaves i dla mnie. Nie znaleźliśmy ich na cmentarzu. Widzieliśmy je tylko na miejscu zbrodni. Przez jakiś czas uważaliśmy za oczywiste, że wskazują na zazdrosnego kochanka. Popelniliśmy także inny błąd.

Uznaliśmy, że zostały kupione przez mordercę. Jedno było pewne: ktokolwiek je przyniósł, postarał się, żebyśmy nie wpadli na jego trop poprzez miejscową kwiaciarnię. Dopiero wczoraj wieczorem doszliśmy do tego, że sama kupiła kwiaty, żeby położyć je na grobie dziewczynki, którą potrafiła i zabiła. 1

Prue Shorter uderzyła ręką w stół.

-
Robi pan z tego akt współczucia. Ta suka zrobiła to, żeby ratować swoje cholerne sumienie. W rocznicę śmierci Georginy te odrażające róże pojawiały się na grobie mojego dziecka, bezczeszły go. Nie kładziono ich tam ze względu na moje dziecko ani ze względu na mnie. O, nie. Kładła je, żeby ukoić swoje cholerne ja", żeby przekoćnać samą siebie, że nie jest zimna i bezduszna. Ale była taka, bo inaczej nie opuściłaby za żadne skarby mojego dziecka umierającego na ulicy. Jej było wszystko jedno. Pędziła życie bez trosk. Miała wszystko, dośkonałą pracę, urodę, podróże, kochanków. Kupno tuzina róż raz do roku nie było poświęceniem. Oddałam je, niech ma. Napchałam nimi jej załgane usta.

Zostawiłam je na jej zakrwawionym trupie zamiast na grobie mojej córki. -

Wściekłymi przekrwionymi oczami potoczyła wokół stołu. - Nie patrzcie na mnie tak świętoszkowato. Żadne z was nie wie, przez co przeszłam. Nie wiecie, co to znaczy wychowywać samotnie dziecko, próbować zastąpić ojca, któryje porzucił, i jednocześnie wyszarpywać każdy grosz, żeby się utrzymać. Nie pielęgnowaliście jej, kiedy miała ataki astmy i zapalenie oskrzeli. Nie pocieszaliście jej, kiedy się bała, bo zaczynała się szkoła. I nie wieziono was do kostnicy, żebyście zidentyfikowali jej żałosnego trupka. - Zakryła oczy i zaszlochała.

Farr-Jones spojrział na Julie. Podeszła do Prue Shorter i objęła ją za ramiona.

Kobieta szybko wyprostowała się i powiedziała:

-
Kochani, nie chciałam, przepraszam. Ktoś chce jeszcze kawy?

DIAMOND ZADZWONIŁ DO STEPHANIE W porze obiadowej i powiećdział, że będzie w domu wieczorem.

-
W sam raz, żeby zdążyć na uroczystą kolację - powiedział. - Kupię coś smacznego dla nas obojga. I butelkę.

-
Co to za uroczystość? - zapytała. - Złapałeś tego uciekiniera?

-
Tak, ale jest coś więcej, Steph. Powiem ci wieczorem.

-
Co się stało? Mówisz jak stary Diamond - zrobiłeś się cholernie energiczny.

-
Stary Diamond? Wcale nie jestem stary, sama się przekonasz. W

słuchawce na chwilę zapanowała cisza.

-
Na pewno nic ci nie jest? To uządlenie nie wpłynęło jakoś na ciebie?

- powiedziała z wahaniem.

-
Zapomniałem o tym zupełnie.

-
Czym to leczyłeś? - zapytała podejrzliwie.

-
Wszystko w najlepszym porządku. Po prostu jestem szczęśliwy, że sprawa dobrze się skończyła.

-
No, to mi ulżyło - westchnęła. - Myślałam, że będziesz wykończony.

-
Wcale nie. Sprostąłem temu wyzwaniu. A na koniec coś pysznego. -

Roześmiał się. - Bułka z masłem.

Rozdział 30

KIEDY DIAMOND ZAJRZAŁ DO TYMCZASOWEGO GABINETU, Julie nadal spięsywała na maszynie zeznania.

-
Ile jeszcze zostało? - zapytał. Podniosła wzrok i westchnęła.

-
Dwie kartki tego, a potem muszę spisać własne.

Papierkowa robota. Nie odrzuca cię to?

Przekartkował swoje papiery: prospekty dotyczące nieruchomości na sprzedaż w Bath i wokół miasta. Swoją papierkową robotę odwali w drodze do Londynu.

Napisała kolejne zdanie i powiedziała:

-

Przynajmniej do wszystkiego się przyznała.

-

Cztery lata za późno.

-

Współczuję jej, chociaż jest morderczynią. Nie wzruszyło go to.

-

Ona nie współczuła Mountjoyowi, który przesiedział ostatnie cztery lata w Albany.

-

Wkrótce go wypuszczą, prawda?

-

Nie wiem - odparł. - Młyny sprawiedliwości miały powoli.

Nadinspektor obiecał, że raport pójdzie bezpośrednio do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

-

Kiedy już zebrałam zeznania, zapytałam ją o Mountjoya -

kontynuowała Julie. - Czy ma wyrzuty sumienia. Powiedziała, że czytała o nim w gazetach, o przemocy, jakiej używał wobec kobiet. Uznała, że zasłużył na każdy dzień, który spędził w więzieniu.

-

To nie ma sensu, Julie. Prue Shorter nie wymierza sprawiedliwości.

-

Nie powiedziałam, że się z nią zgadzam.

-
Powinniśmy pójść na drinka - zaproponował.

-
Mam nadzieję, że nie zabrzmie to nieuprzejmie, ale chcę się tego pozbyć - odparła. - Nie będę pana zatrzymywać.

-
Przynieść ci kawę, zanim sobie pójde?

-
Nie, dziękuję.

-
Uszy do góry. Nowiny nie są takie złe.

-
Co pan ma na myśli? Ze odzyskał pan swoją pracę? - Dziwne, ale nie wyglądała na uradowaną.

Wyszedł, żeby złapać najbliższy pociąg.

Podziękowania

Autor chciałby wyrazić wdzięczność Josephowi Matthewsowi za porady dotyczące tradycji żeglarskich; Sue Dicker z wydziału własności i usług komunalnych rady miasta Bath, za to, że pokazała mu wnętrza hotelu Empire i dostarczyła istotnych informacji; synowi, Philipowi Loueseyowi za łaskawe uwagi na temat biznesu muzycznego oraz policji z Avon i Somerset za pomoc przy operacji „Trzmiel”.